

ROZMAWIAJĄ
EWELINA GŁADYSZ
I PRZEMYSŁAW RADZYŃSKI

Helena

Misja możliwa



WYDAWNICTWO
SALVATOR



Helena

Misja możliwa

ROZMAWIAJĄ
EWELINA GŁADYSZ
I PRZEMYSŁAW RADZYŃSKI



Wydawnictwo SALWATOR
Kraków

Redakcja
Magdalena Mnikowska

Korekta
Anna Śledzikowska

Projekt okładki
Artur Falkowski

*Redakcja techniczna
i przygotowanie do druku*
Artur Falkowski

Zdjęcie na okładce
Monika Kostka

Wydawnictwo składa szczególne podziękowania
Monice Kostce i Natalii Krawiec za pomoc przy powstawaniu książki.

Imprimi potest
ks. Piotr Filas SDS, prowincjał

© 2018 Wydawnictwo SALWATOR

ISBN 978-83-7580-593-2 (wersja drukowana)
ISBN 978-83-7580-616-8 (wersja elektroniczna)

Wydawnictwo SALWATOR
ul. św. Jacka 16, 30-364 Kraków
tel. 12 260 60 80
e-mail: wydawnictwo@salwator.com
www.salwator.com

WSTĘP

Wydaje się, że każdy z nas ma w swoim życiu do wypełnienia jakąś misję. Pewnie rzeczywistość ta będzie dotyczyła różnych płaszczyzn, mniej lub bardziej istotnych. Będzie to „mała misja” dnia codziennego, następnie ta nieco poważniejsza, która wyznacza plan działania na znacznie dłuższy czas, czy wreszcie ta dotycząca całego życia, powołania, bycia dla innych lub tylko dla siebie. I pewnie z założenia chcemy, by misja naszego życia była idealna, niepowtarzalna, by dawała radość nie tylko nam samym, ale i tym, których spotykamy na drogach naszego życia. Często jednak w takim momencie rodzi się refleksja: no dobrze, ale jak to zrobić? Przecież życie dla innych nie jest łatwe, niesie za sobą wiele trudności; to droga ciągłych poświęceń i ofiary z siebie. Czy to możliwe do zrealizowania? Czy taka misja jest w ogóle możliwa?

Drogi Czytelniku, oddajemy w twoje ręce opowieść o osobie, dla której nie było misji niemożliwych do zrealizowania. To opowieść o kimś, kto dla dobra, radości czy uśmiechu innych potrafił działać bardzo wiele – czasem rzeczy wręcz niemożliwych. To opowieść o osobie, która zaplanowała misję swego życia dość dokładnie i wytrwale pracowała nad tym, aby jej plan został zrealizowany, aby dać świadectwo „misji możliwej”, możliwej do wykonania w codzienności, ale przede wszystkim w perspektywie opartej o piękno świętego życia wieczności.

Tragiczne wydarzenia, do których doszło w dalekim boliwijskim mieście, sprawiły, że życie skromnej dziewczyny,

wolontariuszki Wolontariatu Misyjnego Salvator, mogło zostać odkryte przez wielu ludzi. Zwróciliśmy uwagę na coś, co było tak blisko, a co często pozostawało przez nas niezauważone. No cóż, to chyba cecha charakterystyczna dobra – ono nie domaga się uwagi innych.

Niniejsza publikacja to zbiór 24 wywiadów – relacji osób, które osobiście poznały Helenkę i chcą się podzielić wrażeniem, jakie ona w nich pozostawiła. Dzięki tym wypowiedziom możemy odbyć wspólnie z Helenką podróż opisującą jej życie, jej „misję możliwą”. Wielkie bogactwo świadectw jej najbliższych, znajomych, przyjaciół pozwala odkryć tę niezwykłą osobę po raz kolejny i w wielu wymiarach. Wspólnie z rodzicami i siostrą przekraczamy progi rodzinnego domu, gdzie uczyła się wiary i miłości. Relacje przyjaciół i znajomych z duszpasterstwa akademickiego pozwalają nam poznać ciepłą, serdeczną i jednocześnie zaangażowaną w wiele inicjatyw osobę. Słowa pani profesor ze szkoły muzycznej i kolegów ze studiów podkreślają jej nieprzeciętne zdolności intelektualne oraz umiejętności organizacyjne. Wielu zafascynowanych pięknym głosem Helenki stwierdza, że śpiew i muzyka to rzeczywistości, które odgrywały w jej życiu wielką rolę. Podczas lektury tej książki możemy nawet wspólnie z Helenką wsiąść na pokład samolotu i ze zdumieniem stwierdzić, że potrafiła nie tylko oczarować uśmiechem, ale też dawać świadectwo żywej wiary. Dzięki relacjom wolontariuszy Wolontariatu Misyjnego Salvator poznajemy struktury tej organizacji i otrzymujemy świadectwo zaangażowania misyjnego Helenki. Uświadamiamy sobie, że działalność misyjna nie była dla niej chwilowym pomysłem na spędzenie wakacji w ciekawym miejscu, ale wiązała się z głębokim pragnieniem niesienia pomocy potrzebującym i dawania świadectwa o Bogu tym, którzy Go jeszcze nie poznali bądź kochali za mało. Dowiadujemy się,

że kolejne wyjazdy na Węgry, do Rumunii, do Zambii czy Boliwii wynikały z głębokiej potrzeby serca, a nie z chęci przeżycia przygody. W końcu, czytając relację siostry słuźebniczki dębickiej z Cochabamby, z bólem możemy śledzić tragiczne wydarzenia boliwijskiej nocy, podczas której Helenska oddała swoje młode życie w służbie innym.

Chyba większości wypowiedzianych słów towarzyszyły, jeśli nie łzy, to przynajmniej drzenie głosu i serca. Nie jest bowiem łatwo mówić o kimś bliskim, kogo niedawno pożegnaliśmy. Jestem jednak przekonany, że słowom, które znajdziemy na kartach tej książki, jeszcze częściej towarzyszyły ciepły uśmiech i rozmarzony wzrok, bo trudno, a właściwie nie można w inny sposób mówić i pisać o naszej Helence. Pozostawiała po sobie tak wiele dobra i ciepłych wspomnień, że warto jej osobę ukazywać światu jako wzór dobrze wykonanej misji życia.

*ks. Mirosław Stanek SDS
dyrektor Wolontariatu Misyjnego Salvator*

OD AUTORÓW

Helena przyszła do nas przez pomyłkę, a właściwie razem z dziennikarską nierzetelnością. W pierwszych informacjach o dramatycznych wydarzeniach w Boliwii, które pojawiły się w mediach, wprowadzono w błąd, pisano m.in. o salezjanach zamiast salwatorianach i o Trzebnicy – naszym rodzinnym mieście – zamiast o Trzebini. Chwyciliśmy za telefon. Zadzwoniliśmy do ks. Pawła Radziejewskiego SDS, również trzebniczana. Padły pierwsze pytania o młodą, świecką misjonarkę, ale – i to jest najważniejsze w opowieści o pomyłkach – wtedy też otworzyły się nam serca, a Helena na dobre się w nich rozgościła.

Resztą zajął się Pan Bóg.

W ciągu kilku miesięcy spotkaliśmy wielu bliskich Helenki Kmieć. Do każdego z osobna kierujemy dziś słowo: dziękuję. Za spotkanie, za zdania wypowiedziane i te przemilczane, ale przede wszystkim za zaufanie, którym nas obdarzyli.

Nasi rozmówcy uchylili drzwi do intymnego świata swoich prywatnych wspomnień. Zagłądając przez te drzwi, warto pamiętać o czasie, który dzieli ostatnie chwile życia Helenki od tych rozmów. Jego miarą są dni, tygodnie, miesiące, nie lata...

Książka jest opowieścią o Helence Kmieć. Jednak rozmowy o niej w pewien naturalny sposób stały się też opowieścią o ludziach, którzy z nami rozmawiali. Trzeba to powiedzieć: mieliśmy szansę spotkać dobrych i pięknych ludzi. Helena, taka jaka była, była też dzięki tym, którzy

znaleźli się blisko niej na różnych etapach życia i w różnych miejscach: Libiążu, Gliwicach, Trzebini, Krakowie, na misjach. Jednocześnie jesteśmy pewni, że żaden z naszych rozmówców nie powiedziałby tego o sobie...

Wszystkie wspomnienia są bardzo osobiste, ale też subiektywne i co ważne – na tym etapie nieweryfikowalne. Pewnie czytelnik w kilku miejscach znajdzie nieścisłości, które i nas zatrzymały, ale to nie jest książka dokumentalna. Nie ustalaliśmy faktów, wysłuchaliśmy wspomnień, a jak wiemy, pamięć ludzka rządzi się swoimi prawami.

Forma wywiadu nie zawsze to oddaje, ale bohaterami naszych spotkań były też często: cisza, łzy, niedopowiedzenia... oraz pokora wobec pytań, które chcieliśmy zadać i na które było zdecydowanie za wcześnie. Dodajmy – pierwsze myśli nad formą książki odsyłały nas do reportażu, krótkich obrazków, miniatur opowieści. Jednak nie poszliśmy w tę stronę. W pełni oddaliśmy głos naszym rozmówcom. Uznaliśmy, że reportaż wymaga formy, narracji – pewnie i dla nich nadejdzie właściwy czas.

Helena. Misja możliwa to książka nie napisana, a usłyszana. Dziś wszystkie te historie z wdzięcznością, ale i nadzieją przekazujemy innym.

Ewelina Gładysz
Przemysław Radzyński

Trzebnica, 28 grudnia 2017 r.

BARBARA I JAN KMIĘĆ. RODZICE

TAKA BYŁA HELENKA.
Z FANTAZJĄ

Z rodzicami Heleny spotykamy się w pewną sobotę. Jedziemy z Krakowa. To jakieś 50 km, w większości autostradą. Deszcz spływa strumieniami po szybach autokaru. Na świecie wiosna. Mamy całą kartkę pytań, których – jak wiemy – i tak nie zadamy.

Libiąż, niewielkie miasteczko. Ślepa ulica. Na końcu ulicy stoi dom. Pewnie ktoś na jego widok mógłby powiedzieć: dom z duszą. Zanim zapukamy, na moment jeszcze naszą uwagę przykuwa imponujący ogród. Pukamy.

Czy zdarzało się, że Helenka pomagała w pracach w ogrodzie?

Mama: Helenka umiała wiele i chętnie pomagała. To było w niej niesamowite. Jak przyjeżdżała, kosiła trawę, a jak widać, jest co kosić. Jednak zazwyczaj, gdy przyjeżdżała do domu, to gotowała obiad. Mówiłam: „Ucz się, ucz. Przyda ci się”.

À propos nauki. Proszę opowiedzieć o czasach szkolnych Helenki. Czy do szkoły podstawowej Helenka chodziła tu, w Libiążu?

Mama: Tak. To szkoła katolicka, którą prowadzi Katolickie Stowarzyszenie Wychowawców. Jest tam szkoła podstawowa, gimnazjum i liceum. I Terenia, i Helenka uczyły się w tej szkole, z tym że Helenka po pierwszej klasie liceum wyjechała do Anglii. Dwa lata uczyła się tam i jak już mó-

wiłam, tam też zdawała maturę. Proszę jednak zauważyć, że jednocześnie tutaj, w naszej szkole w Polsce, w ramach indywidualnego toku nauczania zaliczyła drugą i trzecią klasę liceum. Przyjeżdżała do Polski na wakacje, przerwy świąteczne i w tym czasie zdawała egzaminy.

Czy Helenka dużo czasu poświęcała na naukę?

Mama: Była bardzo zdolna. Miała świetną pamięć. Po trzeciej klasie szkoły podstawowej Helenka nie poszła do czwartej klasy, tylko od razu do piątej. Cały materiał z czwartej zaliczała równolegle.

Z czasu podstawówki jest też inne wspomnienie. Była w drugiej albo trzeciej klasie. Zdobyła nagrodę główną w konkursie „Kangur Matematyczny” i wyjechała na wycieczkę do Danii, do Legolandu. I co Helenka tam zrobiła? Wymieniła korony duńskie na żeton do automatu, zadzwoniła do Polski, wykręcając cały numer z prefiksem. Kiedy usłyszeliśmy ją po drugiej stronie, zaniemowiliśmy. To nie była jeszcze era komórek. Taka była Helenka. Z fantazją.

Skąd pomysł, by Helenka ukończyła szkołę średnią w Anglii?

Mama: Istnieje taka organizacja: Towarzystwo Szkół Zjednoczonego Świata, która przyznaje stypendia do prestiżowych szkół europejskich dla polskiej zdolnej młodzieży. W ramach tego programu można również wyjechać do szkół w Anglii. Jeden z uczniów naszej szkoły już jakiś czas temu skorzystał z takiego stypendium. Pewnego dnia odwiedził nas i opowiedział uczniom o swoim pobycie za granicą. Helena była wtedy uczennicą trzeciej klasy gimnazjum. Pomysł wyjazdu bardzo jej się spodobał. Powiedziała: „Mama, jadę”. Musiała sama zgromadzić i wysłać

wszystkie dokumenty: dyplomy konkursowe, świadectwa, zaświadczenia, opinie. Liczyły się nie tylko wyniki w nauce. Pamiętam moment, w którym Helenka niosła grubą, szarą kopertę na pocztę. Po cichu myśleliśmy, że się na tym skończy, ale przeszła do następnego etapu, potem do kolejnego i w efekcie stypendium zdobyła. To była naprawdę prestiżowa szkoła, bardzo droga szkoła...

Gdzie tam mieszkała?

Mama: To była żeńska szkoła katolicka z internatem. W ramach stypendium miała wszystko zagwarantowane. Ten pomysł absolutnie nie był na naszą polską kieszeń.

W ramach stypendium Helenka miała opłacone zakwaterowanie, wyżywienie, szkołę. My musieliśmy zadbać o takie dodatki, jak: mundurki, nuty, przeloty. Helenka była w ogóle pierwszą Polką w tej szkole. Po roku dyrektor powiedział, że chce następną Helenkę. Następna uczennica ma być taka jak Helenka. To było bardzo sympatyczne.

Czym wyróżniała się Helenka?

Mama: Z najwyższą lokatą zdała maturę. Inna sprawa, że Helenka zdawała egzaminy z wielu przedmiotów. Tam uczyły się głównie Angielki, ale i dziewczyny z innych stron świata: Hiszpanki, Niemki, Koreanki. W Polsce jesteśmy przyzwyczajeni do mniej więcej 12 przedmiotów i człowiek się po prostu uczy. Tam dziewczyny wybierały trzy, a Helenka wzięła: matematykę, matematykę wyższą, fizykę, chemię, przez chwilę biologię, z której potem jednak zrezygnowała, język polski jako obcy. Wszystkie przedmioty zdała na najwyższą ocenę A.

Czy Państwo jej cokolwiek sugerowali przy wyborze kierunku studiów?

Tato: Nie.

Mama: To były wyłącznie wybory Helenki.

Jadąc tutaj z Krakowa, zaczęliśmy głośno myśleć, jak to się stało, że Helena studiowała w Gliwicach, a nie w Krakowie. Ta różnica odległości jest naprawdę niewielka. Poza tym Kraków...

Mama: Helenka ukończyła szkołę średnią w Leweston w Anglii. Po powrocie zależało jej na tym, by nie stracić kontaktu z językiem angielskim. To ten aspekt w głównej mierze zdecydował o wyborze kierunku studiów. Po prostu: szukała kierunku z językiem angielskim jako wykładowym. Znalazła inżynierię chemiczną na Politechnice Śląskiej w Gliwicach.

Czy Helenka opowiadała o znajomych, o gliwickiej grupie przyjaciół?

Mama: Przyjeżdżało do nas wielu młodych ludzi. Palili ogniska, grali, śpiewali. Stąd wielu z nich znamy. Niektórych od lat. Jednych mniej, innych bardziej, ale u nas często się coś działo.

Ulubieni święci Helenki?

Tata: Sancja Szymkowiak.

Mama: Tak, tak. Który to był rok? Byliśmy na spotkaniu z Janem Pawłem II na Błoniach. Zresztą ile razy papież był, to i my byliśmy. Najpierw sami, potem z dziewczynkami. Trwała beatyfikacja Sancji Szymkowiak. Okazało się, że ona ma wspomnienie liturgiczne 18 sierpnia, wtedy gdy Helenka ma imieniny. Helenka była może na początku szkoły podstawowej. Powiedziała: „To będzie moja patronka do bierzmowania”. I pozostała temu wierna...

Często w rozmowach powraca wątek, że Helenka była niezwykła w swojej zwyczajności...

Tato: Ona zachowywała się zwyczajnie, ale była niezwykła... Dla innych ta niezwykłość była czymś, co tak bardzo podkreślali, zauważali, a dla nas niezwykłość Helenki była normalna.

Mama: Helenka była światłem. Znikała i pojawiała się z prędkością światła. Ogrzewała jak światło. Żyła porządnie, z pasją i szybko. Angażowała się we wszystko, czy to było sprzątanie, koszenie trawy, nauka hiszpańskiego, organizacja balu w duszpasterstwie akademickim czy przygotowywanie się do wyjazdu na misje. Brała się do roboty i robiła. Była bardzo, bardzo konkretna. I wszystko, co robiła, robiła z ogromną radością.

Słyszeliśmy jednak, że mimo wielu talentów niekoniecznie lubiła malować...

Mama: Tego tematu dotyczyła jedna z naszych ostatnich rozmów. Kiedy widziałam, jak maluje kwiaty na ścianach w Cochabambie, żartowałam: „Pochowam pędzle, jak wrócisz”. Ona mi odpisała: „Ja maluję, ty ucz się śpiewać”.

W sumie ciekawe, co by było, gdyby Helenka tam odkryła, że pędzel jej jakoś leży w dłoni...

Tato: Tak, to prawda. Te kwiaty, które malowała w ochronce w Cochabambie, były coraz ładniejsze...

Mama: Coraz ładniejsze...

Wszyscy jednak zgodnie mówią o muzycznym talencie Helenki. Skąd u dziewczyn – i u Helenki, i u Teresy, tak duże zainteresowanie muzyką od dzieciństwa?

Mama: Po prostu chciały. Na szczęście w Libiążu jest prywatna szkoła muzyczna i mogliśmy tam posłać dziewczyn-

ki. Wożenie ich do państwowej szkoły w Chrzanowie to byłby dla nas drugi etat. Bez szans.

Jaka była motywacja Helenki, by kontynuować naukę w szkole muzycznej w Gliwicach?

Mama: To pytanie do Helenki.

Czy Państwo byli dumni z tego, co ona robiła?

Mama: To oczywiste. Byliśmy dumni, widząc, że nie marnuje czasu. Jak to rodzice. Wiele rzeczy jednak docierało do nas po czasie. Helenka nie była osobą, która przychodziła i zdawała relację z tego, co u niej się dzieje.

Tato: O wielu sprawach dowiedzieliśmy się teraz, niedawno...

Mama: Tak, nawet nagranie z Dworca Głównego we Wrocławiu zobaczyliśmy niedawno. Helenka nie była osobą, która przyjeżdża i mówi: „Słuchajcie, ale mi dobrze poszło, ewangelizowałam na dworcu”. Pewnie kojarzą Państwo piosenkę, którą Helenka śpiewa – *Wierzyć jak Piotr...* Przyszła kiedyś do mnie i mówi: „Nowa piosenka, mamo. Posłuchaj”. Być może było to jakieś prawykonanie. To wszystko działo się jednak bardzo normalnie, było czymś oczywistym. Absolutnie w Helence nie było pychy pt. „Jestem świetna”.

Tato: Helenka bardzo dużo pracowała nad sobą.

Mama: Na pewno nie miała kompleksów. Nie ma też co przesadzać, bo tak zwany słuszny gniew pojawiał się u Helenki. Znamy historię o balu. Helenka była oczywiście za coś tam odpowiedzialna. Zgodnie z umową mieli bawić się do północy. Północ wybiła i nie wszystkim odpowiadało, że to koniec zabawy. W Helenkę wstąpił wtedy anioł z mieczem ognistym i powiedziała: „Nie, nie tak się umawialiśmy”. W słusznej sprawie potrafiła obronić swoje zda-

nie. Absolutnie nie była miękka, potulna. Miała w sobie iskrę.

Jak Państwo reagują na to, że publicznie mówi się o świętości Helenki?

Mama: Świętość jest powołaniem każdego człowieka, który jest ochrzczony, więc cóż więcej można powiedzieć. Powołanie do świętości ma każdy z nas. Formalne wyniesienie na ołtarze to osobny temat.

Ale o tym też się mówi głośno...

Mama: Może się mówi, ale to już jest poza nami.

Konkurs Poezji Religijnej w Pani szkole od tego roku nosi imię Helenki, jedna z ulic w Libiążu też została nazwana jej imieniem... Niektórzy mówią, że modlą się za Helenkę, ale i za jej wstawiennictwem. Jak Państwo odbierają te inicjatywy?

Mama: Jesteśmy wzruszeni.

Porozmawiajmy o misjach.

Mama: Pojawia się pytanie, które ktoś już do nas skierował: skąd się wziął Wolontariat w życiu Helenki? W roku 2011, może 2012, trudno mi teraz to ustalić, przeżyaliśmy tutaj w Libiążu peregrynację obrazu Jezusa Miłosiernego. Ksiądz salwatorianin głosił wówczas kazanie. Podjął temat misji. Tu w Libiążu, przy obrazie Jezusa Miłosiernego, Helenka po raz pierwszy usłyszała o Wolontariacie Misyjnym Salvator. Wtedy była już w Gliwicach na studiach. Co ciekawe, tę opowieść o początkach zainteresowania Helenki wolontariatem ten ksiądz salwatorianin znał od niej samej i nam ją po prostu przekazał.

Czy misje świeckich – forma, w jaką była zaangażowana Helenka, są dla Państwa zrozumiałe?

Mama: Oczywiście. Helenka mogła się w tysiąc innych spraw zaangażować, co zresztą robiła. Uczyla dzieci, działała w duszpasterstwie akademickim, organizowała i drogi krzyżowe, i bale. Przeróżne rzeczy robiła. Pamiętam, jak zaangażowała się w organizację paczek dla dzieci na Ukrainie. To było niesamowite. Wolontariat był jedną z wielu ważnych dla niej spraw.

Tato: Helenka mówiła nam, że znalazła swoje miejsce u salwatorianów. Czuła się tam bardzo dobrze. Była wśród swoich.

Mama: Z Helenki opowieści wynikało, że bardzo odmieniła ją Afryka. To, czego tam doświadczyła, wpłynęło na nią, na jej sposób myślenia o świecie. W Zambii zderzyła się z ogromną biedą, wieloma problemami. To było dla niej ważne doświadczenie. Warto posłuchać samych świadectw Helenki. Gdy stamtąd wróciła, miała ogromne problemy zdrowotne. My, jak to rodzice, żyliśmy głównie nimi.

Po przyjeździe z Zambii, mimo problemów zdrowotnych, zaangażowanie Helenki w Wolontariat nie osłabło. Jak Państwo reagowali?

Mama: Helenka miała do tego prawo. Dobra była intencja, dobry był cel.

Czy mają Państwo kontakt z Anitą?

Mama: Tak, oczywiście. Była u nas kilka razy. Rodzice Anity dzwoniли przed jej przyjazdem. Ona ostatnia widziała Helenkę. Była świadkiem jej śmierci.

Na pogrzebie Helenki odczytano wiersz, który sama napisała. W jakich okolicznościach powstał i gdzie go odnaleziono?

To było podczas wyjazdu do Ziemi Świętej z grupą przyjaciół. Jeden z cudów tego czasu polegał na tym, że udało im się wejść trzydziestoosobową grupą do Bazyliki Grobu Pańskiego, która jest zamykana na noc. I noc – z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek – spędzili tam, przy Grocie Grobu Pańskiego, przy Golgocie. Widać tam podziały. Tu Koptowie, tam prawosławni, a jedni drugich traktują, jak traktują. Helenka to zobaczyła, opisała.

Jedną z pasji Heleny niewątpliwie były podróże. Pasję połączyła ze swoimi umiejętnościami i została stewardesą. Czy prawdziwa jest informacja, że miała pomysł na stworzenie duszpasterstwa pilotów?

Mama: Tak. Ta historia związana jest z jej pielgrzymowaniem. Bywało tak, że Helenka szła na pielgrzymkę z mundurkiem stewardesy w plecaku. W trakcie drogi przebierała się i jechała do pracy na lotnisko. Wylatywała i wracała, by dalej iść. Na jednej z pielgrzymek poznała pewnego księdza. Okazało się, że jego parafia to Pyrzowice. Z opowiadań wiem, że ten pomysł zrodził się podczas ich wspólnej rozmowy. Szczegółów niestety nie znam.

Zostańmy przy temacie linii lotniczych. Na pogrzebie wspominano o pewnej ankiecie. Podobno Helenka wypełniała tę ankietę w momencie, gdy była przyjmowana do pracy. Taki kontekst został przedstawiony. Wśród różnych pytań pada tam pytanie o plany na przyszłość. Helenka odpowiada: chcę być świętą. Jednak przyjaciele Helenki twierdzą, że nie była to ankieta na potrzeby rekrutacji do Wizz Air...

Mama: Już wyjaśniam, bo faktycznie ja jestem odpowiedzialna za zamieszanie wokół tego tematu. Opróżniając torbę służbową Helenki, znalazłam kartkę papieru.

W jakimś notesie?

Mama: Nie. To była luźna kartka wśród mnóstwa innych. Ponieważ Helenka wspominała o różnych szkoleniach, które odbywała w liniach lotniczych, pomyślałam, że ta ankieta jest właśnie stamtąd. Ksiądz Franciszek Ślusarczyk uznał to za pewnik. Zresztą inni poszli w tym o krok dalej i twierdzili nawet, że to było *curriculum vitae* do Wizz Air. To kompletna nadinterpretacja. W momencie, gdy ankieta została upubliczniona, okazało się, że pochodzi ze szkolenia, w którym nawet kiedyś i my z mężem braliśmy udział.

Wniosek jest taki. Tak, są to autentyczne słowa Helenki. Ankieta jednak nie była dla Wizz Air, tylko została znaleziona w torbie Wizz Air. Wypełniona więc z innym przeznaczeniem, ale prawdziwa.

Rozmowa z rodzicami Helenki trwała prawie dwie godziny. Powyższy tekst nie jest zapisem tego spotkania. Zaprezentowany tu wywiad zawiera tylko te pytania i odpowiedzi, które w trakcie autoryzacji uzyskały akceptację i nie były opatrzone żadnym komentarzem.

Helena zmarła 24 stycznia 2017 roku, rodzice zgodzili się na rozmowę cztery miesiące później, 6 maja 2017 roku.

Wobec odesłanego tekstu przyjęliśmy postawę, która w tej chwili wydaje nam się jedyna słuszna. To postawa pokory i wdzięczności.

Żegnając się z panią Barbarą i panem Janem, powiedzieliśmy, że przed powrotem do domu pójdziemy odwiedzić Helenkę. W odpowiedzi usłyszeliśmy słowa wypowiedziane z uśmiechem, którego nie było widać, a który – podobnie jak

*dobro, wzruszenie, życzliwość, serdeczny uścisk, zapewnienie
o modlitwie – po prostu był tam cały czas.*

*Mama: Chyba do nieba się Państwo jeszcze nie wybieracie?
Dziś możecie najwyżej odwiedzić jej grób, a to jest zasad-
nicza różnica.*

Libiąż, maj 2017

TERESA KMIEĆ. SIOSTRA
ZAWSZE JEJ
KIBICOWAŁAM

Po maturze wyjechała do Lublina. Skończyła ekonomię i muzykologię na KUL-u. Przez ponad rok pracowała w korporacji. Teraz jest organistką.

Przez dwa lata była doktorantką literaturoznawstwa, ale jej marzeniem jest doktorat z muzykologii. Chce napisać rozprawę o muzyce w Ruchu Światło-Życie. Często gra podczas różnych rekolekcji Ruchu. Śpiewa w Chórze Akademickim KUL-u.

Gdy Helenka wróciła z Afryki, wciągnęła mnie do WMS-u. We wrześniu 2013 roku odbywało się spotkanie regionalne w Trzebini. Powiedziała: „Przyjedź. Chcę, żebyś tu była. Będziemy miały okazję się spotkać”. Helenka jechała na to spotkanie prosto z Zambii, więc myślałam, że chodzi o to, byśmy zobaczyły się jak najszybciej, jeszcze zanim wróci do domu, do Libiąża. Okazało się, że to spotkanie także dla nowych wolontariuszy. Nagle dowiedziałam się, że i ja jestem nowym wolontariuszem! Helenka zrobiła to podstępem, ale spodobała mi się idea wyjazdów misyjnych. Poza tym to była świetna wspólnota ludzi.

Dobrze się tam czułam i cieszyłam się, że jestem z Helenką. Dawno nie byliśmy razem w żadnej wspólnotce.

W momencie, gdy wyjechałyśmy z domu – ona do szkoły, do Anglii, ja rok później na studia – każda z nas znalazła sobie miejsce w innym duszpasterstwie. Czasem zapraszałyśmy się nawzajem na rekolekcje.

Teresa z WMS-em była związana prawie dwa lata. Potem musiała zrezygnować. Spotkania Wolontariatu często kolidowały ze spotkaniami oazowymi. „Bardzo mocno czuję się związana z Ruchem Światło-Życie. Myślę, że to jest moja droga do Pana Boga” – mówi i jednocześnie podkreśla, że wybór między wspólnotami w jej wypadku był oczywisty. Nie wykluczała wyjazdu na misje, ale na wszystkie te aktywności po prostu brakowało zwyczajnie czasu.

Na spotkaniach WMS-u miałyśmy okazję spotykać się z Helenką. Ona była tam pewnego rodzaju gwiazdą, w takim pozytywnym sensie – wszyscy ją znali i ona znała wszystkich. Ta sytuacja sprawiała, że nie musiałam sama poznawać ludzi, ona mnie przedstawiała.

Widziałam, że wolontariat misyjny bardzo ją wciągnął. Pamiętam jej maile z Węgier czy Afryki. Wiedziałam, że Helence się tam podoba, ale nie miałam pojęcia, że aż tak. Po śmierci Helenki słuchałam świadectwa, jakie wygłosiła w czasie rekolekcji dla studentów w Gliwicach – „Na dobry początek”. Powiedziała wtedy, że w Wolontariacie chyba pierwszy raz poczuła się tak niesamowicie „u siebie”. Wydaje mi się, że miała tam okazję wykorzystać wszystkie swoje umiejętności równocześnie – muzyczne, językowe, organizacyjne. Do tego dochodził kontakt z drugim człowiekiem.

Wiedziałam, że jej się to podoba, ale uważałam, że to jest jedna z wielu aktywności, jakie podejmowała.

Teresa pytana o wspólne dzieciństwo opowiada różne historie. Pojawiają się w nich inne dzieci, podwórka u sąsiadów, ulice Libiąża.

Zabawy. Miałyśmy sąsiada, który był rok ode mnie starszy. Bawiliśmy się wspólnie, jeździliśmy na rowerze. Byliśmy taką małą paczką. Gdy przeprowadziłyśmy się do nowego domu, ja poszłam do zerówki. W pewien naturalny sposób skończyły się odwiedziny sąsiada. Później obie chodziłyśmy do szkoły, doszły zajęcia pozalekcyjne i nowe znajomości. Z tamtego czasu pamiętam, jak jeździłyśmy na rowerze. W trójkę. Nagle brama. Ja i Bartek hamujemy przed nią, a Helenka w nią wjeżdża... Jej rower był bez kontry i hamowało się inaczej niż na naszych.

Czy coś jej się stało?

Oczywiście, że nie.

Jaką była uczennicą? Skrupulatną? Długo się przygotowywała do lekcji?

Nie. Była zdolna. W podstawówce wystarczało jej to, czego nauczyła się w szkole, chociaż pamiętam, że zaczęła uczyć się w domu, kiedy w czwartej klasie przechodziła do piątej – robiła wtedy dwie klasy jednocześnie. Od października realizowała program z piątej klasy, a materiał z czwartej musiała zdać eksternistycznie. Pamiętam, że tata pomagał jej tylko z historii, bo nie bardzo jej szła ta nauka. Poza tym nie miała problemów z uczeniem się, nie siedziała nad książkami.

Psociłyście razem w siostrzanej zmowie?

Raczej nie. Pamiętam jedną sytuację... To był mój pomysł. Miałyśmy woreczek muszelek przywiezionych znad morza. Nie wiem dlaczego, ale zaczęłyśmy je rozbijać kamieniem w domu na wykładzinie – nie dość, że zniszczyłyśmy wszystkie muszelki, to jeszcze te skorupki naprawdę trudno było usunąć z wykładziny.

Jak zareagowali rodzice?

Na pewno nie byli z tego powodu szczęśliwi, ale jakiejś specjalnej kary nie pamiętam.

Czyli na ogół byliście grzecznymi dziewczynkami?

Wtedy tak. Ja zaczęłam się buntować w gimnazjum. Uważałam, że mam lepszy plan na swoje życie niż mama. W trakcie kłótni słyszałam czasami: „Helenka na pewno by nigdy tak do mnie nie powiedziała”. Helenka faktycznie była spokojniejsza. Miałam wrażenie, że to ja byłam tą bardziej niegrzeczną siostrą.

Jednak zawsze obie byłyśmy blisko Pana Boga. Wiedziałyśmy, że jeśli robimy coś przeciw rodzicom, robimy to też przeciw Panu Bogu. Jeśli robiłyśmy coś naprawdę złego, miałyśmy świadomość, że to grzech.

Mnie zawsze denerwowało to, że Helenka była bardzo ugodowa. Kiedy o coś się kłóciliśmy w większym gronie, chciałam tę dyskusję doprowadzić do końca. Chciałam wygrać tę batalię pt. „Kto ma rację”. A ona chciała ją jak najszybciej skończyć i mówiła: „Nie kłóćmy się, nie kłóćmy się!”. Helenka nie stawiała po mojej stronie, tylko chciała zakończyć dyskusję.

Mieszkałyście w jednym pokoju?

Tak. Zawsze chciałam mieć swój pokój. Jestem nocnym markiem, a Helenka na ogół wcześniej chodziła spać. Myślałam, że jej nie przeszkadza moje nocne życie. Zawsze miałam wrażenie, że śpi. Dopiero na studiach dowiedziałam się, że jednak przeszkadzało, że nie mogła zasnąć, gdy świeciło się światło. Zawsze też miałam mocniejszy sen i trudno było ściągnąć mnie rano z łóżka. Gdy dzwonił mój budzik, Helenka go wyłączała. Pamiętam, że raz wzięła zraszacz do kwiatków i przyskała mi wodą po twarzy. Zadziało!

Każda miała swoje łóżko i biurko. Nad nim obrazki z Pierwszej Komunii św., tablica korkowa. Wspólny regał na książki.

Były inne powody do spieć?

Mnóstwo. Kiedy coś nie było moje, rzucałam na jej biurko, a jej się obrywało za bałagan.

Dziś myślę, że ją wykorzystywałam. Wydawało mi się, że jako starsza siostra mam większe prawo do sprawowania rządów.

Kiedyś w złości schowałam jej wstążkę. Taką do włosów. Potem o tym zapomnialiśmy, a mama kupiła jej nową. Później, przez przypadek, znalazłam tę wstążkę w kieszeni swojej spódnicy...

Gdy Helenka zginęła, miałam duże wyrzuty sumienia. Przypominały mi się te historie, te moje występki. Za część zdążyłam ją przeprosić. To był owoc jednych z rekolekcji, na których byłam. Mówiliśmy tam o przebaczeniu, potem napisałam do niej list, w którym przeproszałam za różne rzeczy z dzieciństwa i młodości.

Im byłam starsza, tym częściej starałam się przeproszać.

Za co na przykład?

W ubiegłym roku robiłyśmy dla taty audiobook – Księgę Psalmów. Szukałyśmy 150 osób, które przeczytają teksty. Robiłyśmy to na ostatnią chwilę. Jak zwykle. Byłam na nią zła, kiedy czegoś nie dopilnowała. Głupio mi potem było za tę złość, bo ona i tak wiele ogarniała. Pamiętam, że i za to przeproszałam.

Jak ona reagowała?

Też przeproszała za swoje niedociągnięcia.

To były takie typowe siostrzane relacje?

Myślę, że u nas to była sytuacja jednostronna. W dzieciństwie raczej to ja dokuczałam, a ona musiała wybaczać.

Zdarzało się, że razem podróżowałyśmy. Helenka wszystko organizowała. Lepiej się znała na rezerwacji lotów, hoteli itp. Po jednym z takich wyjazdów – na Triduum do Ziemi Świętej – gdy wracałyśmy z lotniska, ona zapytała, co mogło być lepiej. Zaczęłam wymieniać: tu nie byliśmy, tego nie zobaczyłyśmy, a to nie było zorganizowane. Rozpłakała się. Tłumaczyłam jej, że to nie tak – wylczyłam to, co mi się nie podobało, bo przecież o to poprosiła. Widziałam jednak, że to był błąd z mojej strony. To był super wyjazd. Tak naprawdę byłam jej wdzięczna. Ale nawet nie wiem, czy jej za to podziękowałam. Włożyła tyle serca w organizację. Później z Lublina miałam napisać do niej list z przeprosinami.

Ziemia Święta. Czy gdzieś jeszcze razem podróżowałyście?

W listopadzie byliśmy w Neapolu i Bari. Wcześniej, gdy byłam na Erasmusie w Holandii, Helenka do mnie przyjechała i pojechałyśmy do Amsterdamu – tam też to Helenka organizowała noclegi. Ona miała doświadczenie międzynarodowych podróży z czasów liceum, gdy jako szesnastolatka wyjechała do szkoły w Wielkiej Brytanii. Poza tym bardzo dobrze znała angielski.

Co poczułaś, gdy okazało się, że ona wyjedzie do szkoły średniej w Wielkiej Brytanii?

Cieszyłam się, że jej się udało. Dużo się o to modliłyśmy. Nie wiem, czy znacie tę historię, ale pierwsze wyniki rekrutacji były negatywne.

Towarzystwo Szkół Zjednoczonego Świata to polska organizacja non-profit umożliwiająca wybitnie zdolnej młodzieży z Polski dostęp do najlepszych uniwersytetów świata. W tym celu Towarzystwo przyznaje stypendia (od 50 do 100 procent) na czas drugiej i trzeciej klasy w renomowanych szkołach średnich z internatem na całym świecie. Program stypendialny obejmuje zarówno 13 szkół na pięciu kontynentach zrzeszonych w United World Colleges, jak i kilkadziesiąt prywatnych szkół w Wielkiej Brytanii i USA.

Na trzecim etapie rekrutacji okazało się, że Helenka może pójść do jednej ze szkół prywatnych, ale nie dostanie pełnego stypendium, tylko jakiś procent, a resztę kosztów będą musieli pokryć rodzice. Jeśli doliczymy do tego cenę przelotów, mundurków i innych rzeczy potrzebnych do szkoły, koszty rosą – rodzice stwierdzili, że ich po prostu na to nie stać.

Niby już wszystko było wiadomo, ale my z Helenką modliłyśmy się, żeby się jednak udało. Po kilku tygodniach zadzwonił ktoś z Towarzystwa. Okazało się, że w czasie rozmów rekrutacyjnych z dyrektorami brytyjskich szkół Helenka zaintrygowała jednego z nich. Na pytanie, co by zrobiła, gdyby miała możliwość takiego wyjazdu, ale nie mogłaby tam praktykować swojej wiary, odpowiedziała, że musiałaby z niego zrezygnować. Na dyrektorze jednej z katolickich szkół zrobiło to duże wrażenie i zaczął na własną rękę szukać szkoły dla Helenki. Zapytał znajomego dyrektora Leweston School, czy przyjąłby do siebie zdolną Polkę i sfinansował jej naukę. Przyjął.

Cieszyłyśmy się obie. Helenka, bo się udało. Ja, bo wiedziałam, że ona tego chce. Mama się za bardzo nie cieszyła, bo się o nią bała.

Po pierwszym roku nauki okazało się, że Helenka jest najlepsza w swoim roczniku. Dyrektor szkoły napisał prośbę do Towarzystwa, które wysłało Helenkę, żeby przysłali kolejną Polkę, taką jak Helenka. Od tego momentu, od 2007 roku do Leweston School co roku przyjeżdża Polka. Tym samym szkoła weszła do programu szkół Towarzystwa.

Zachowała się jakaś komunikacja między Wami z tamtego czasu? Czy mówiła na przykład, że czuje się samotna z dala od rodzinnego domu?

Nigdy mi o tym nie mówiła. Z jej maili pamiętam ciągle relacje o tym, co dzieje się w szkole, czego się uczy. A poza nauką też wiele się działo. Pamiętam, że był jakiś bal, na który Helenka pożyczyła moją sukienkę ze studniówki. Otworzyła się wtedy na wiele muzycznych rzeczy – gdy w Polsce *talent shows* nie były jeszcze tak popularne, w brytyjskiej telewizji już emitowano takie programy. Ciągłe podsyłała mi jakieś linki, pisała, że czegoś muszę koniecznie posłuchać. Albo zachęcała mnie do oglądania filmów czy seriali, które tam widziała. Pamiętam też, że w maju miała przyjeżdżać do Polski i bardzo nalegała na to, żebym też przyjechała do domu, żebyśmy się spotkały. Miałam wtedy sporo nauki, w sesji czekało mnie osiem egzaminów. „Na dwa dni tylko, no... Będę grzeczna i nie będę Ci przeszkadzać w nauce” – pisała.

W tym czasie prowadziła bloga i fotobloga. Czytałam go po jej śmierci. Tam jest wiele smutnych rzeczy. Wtedy jakoś ich nie dostrzegałam. Dziś przykro mi, że tego nie widziałam... Niby czytałam na bieżąco, ale nie dostrzegałam tego, co działo się w jej sercu. Skupiałam się na opowieściach o świecie, w którym była. I ona chyba nie widziała we mnie osoby, której mogłaby się zwierzyć. Może za bardzo ją krytykowałam, za mało miałam w sobie empatii dla niej...

Czy zdziwiło Cię, że po powrocie z Wielkiej Brytanii zdecydowała się studiować chemię?

Nie. Wiedziałam, że szuka jakiegoś technicznego kierunku i chciałaby studiować po angielsku. Na Politechnice w Gliwicach znalazła spełnienie kilku swoich oczekiwań.

Chciała dostać się do Oksfordu. Nie udało się. Tamtejsi nauczyciele zachęcali ją, by wybrała inną dobrą szkołę w Anglii, bo miała takie możliwości. Stwierdziła, że jeśli nie Oksford, to nic.

Chemia raczej nie była jej wymarzonym kierunkiem studiów (tak jak moja ekonomia), ale zaczęła studia i skończyła. I dobrze.

Helenka później śledziła w mediach społecznościowych losy Polaków z Towarzystwa Szkół Zjednoczonego Świata ze swojego rocznika. Większość po szkole została na studiach za granicą. Kiedyś powiedziała mi, że czuje, że skończyła najslabiej, że jej się nie udało – wróciła do Polski... Tłumaczyłam jej, że to nie tak...

No właśnie. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, byli pod wielkim wrażeniem tej szkoły w Wielkiej Brytanii; imponowało im to, że się tam uczyła. Nikt nie pomyślałby o tym jak o porażce.

Bo nikt nie wiedział, że miała jeszcze większe ambicje. To nie szkoła była dla Helenki porażką, tylko niedostanie się do Oksfordu.

W jaki sposób Helenka dowiedziała się o możliwości nauki za granicą?

Polonista opowiadał o chłopaku, który był absolwentem naszego liceum i uczył się w jednej z brytyjskich szkół. Też o nim kiedyś czytałam, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, że taki projekt może być dla mnie. A Helenka, jak

się o tym dowiedziała, od razu skontaktowała się z tym chłopakiem i napisała mu, że też chciałaby wyjechać. Skierował ją do Towarzystwa i powiedział, jakie dokumenty ma przygotować.

Rodzice na początku ją motywowali, ale chyba nie liczyli, że się dostanie... Jak się dostała, mama trochę się o nią bała. Helenka miała pierwszy raz lecieć samolotem. Poza tym to daleka podróż, bo do Londynu, a później jeszcze pociągiem do miejscowości, w której była szkoła.

Mówisz o pierwszym locie... Gdy została stewardesą, to był jej chleb powszedni.

Helenka przez jakiś czas chodziła do szkoły policealnej. Tam poznała koleżankę, która dała jej znać o rekrutacji do Wizz Air. Helenka stwierdziła, że spróbuje. Zadzwoiła wtedy do mnie. Powiedziała, żebym jeszcze nie mówiła mamie. Kiedy Helenka miała przez dwa miesiące wiele godzin szkoleń, okazało się, że to nie jest praca „kelnerki w powietrzu”, tylko o wiele bardziej skomplikowane zajęcie wymagające wiedzy i umiejętności.

Mama bardzo się o nią bała. Ale z każdym lotem strach był coraz mniejszy. Rodzice zawsze byli z niej bardzo dumni. Przejście kilkietapowej rekrutacji było z pewnością sukcesem. Byli dumni z tego, że tak wiele potrafi, że jest mądra i zdolna.

A Ty jak reagowałaś?

Mega, super, fajnie! Próbuj! Cokolwiek nowego robiła Helenka, zawsze jej kibicowałam. Podobnie było z wyjazdem do Afryki.

Czy da się określić, co ją ciągnęło do tego typu pracy?

Chyba podróże. Ale i to, że mogła wykorzystać swoje talenty – znajomość języków obcych, umiejętność pracy z ludźmi. Potrafiła poradzić sobie z pasażerami, a wiadomo, że bywają różni. Dużo było tych historii o lataniu. Opowiadała np. o zdziwieniu pasażerów, którzy usłyszeli rozmowę dwóch stewardes:

– Jesteśmy w Kolonii?

– Nie, w Szkocji.

No cóż, pasażerowie, słysząc takie słowa, mogli być nieco przerażeni [śmiech], ale Helenka w ciągu doby miała np. cztery loty. Mogła zapomnieć, gdzie jest.

Gdy latałyśmy razem – Helenka w roli pasażerki, czuła się wtedy bardzo swobodnie. Przedstawiała mi załogę, chodziła do pilotów. Widać było, że koleżanki i koledzy z pracy bardzo ją lubili. W liniach jest taki zwyczaj, że gdy ktoś odchodzi z pracy, to na ostatni lot sam dobieira sobie załogę. Jeden pilot chciał, by Helenka była na jego pokładzie w czasie ostatniego lotu, ale to miało być w marcu...

Wiele osób z jej pracy nie podzielało jej wartości, ale ona z tego powodu się od nich nie separowała. Choć wydaje mi się, że Helenka nie miała z nimi relacji poza pracą – raczej nie spotykali się na kawie, abstrahując od tego, że Helenka nie piła kawy...

Mieszkałyśmy daleko od siebie. Gliwice–Lublin. Nie miałyśmy częstego kontaktu twarzą w twarz, ale pisałyśmy do siebie, rozmawiałyśmy, dzieliłyśmy się tym, co u nas. Może nie relacjonowałyśmy sobie każdego dnia, ale nie było też sytuacji, by przez dwa miesiące zapanowała między nami cisza. Poza tym gdy się spotykałyśmy, nie mogłyśmy się nagadać.

Jak zareagowałaś na to, że Helenka planuje taki długi wyjazd na misję?

Wiedziałam o nim już w czerwcu. Przynajmniej z tego czasu mam informacje na ten temat w wiadomościach na Facebooku. Z pewnością Helenka myślała o tym już wcześniej. Chciała wyjechać na dłużej, tylko nie wiedziała gdzie – myślała o Indiach, Filipinach, ale też o Afryce i Ameryce Południowej. W pracy nie dostała zgody na urlop od października, tylko od stycznia.

Sam pomysł wyjazdu mnie nie zaskoczył. Widziałam, że jest bardzo zaangażowana w Wolontariat.

Nie zaskakiwało Cię to, co robiła na przykład w Zambii?

Pamiętam, że w tym czasie byłam w Macedonii na koncertach z chórem. Spaliśmy w hotelu. Ludzie trochę narzekali na warunki. Chwilę później czytałam mailowe relacje Helenki z Afryki, opisy, że nie mają ciepłej wody, że Internet jest tylko kilka godzin w ciągu dnia. Było mi głupio. Oczywiście te warunki w Afryce to nie był dramat, ale na pewno nie było łatwo.

Pamiętam, że gdy wróciła chora z Zambii, pojechaliśmy do Kliniki Chorób Zakaźnych i Tropikalnych do Krakowa. Czekałyśmy w kolejce w izbie przyjęć, a Helenka opowiadała, gdzie była i co robiła. Gdy ją zapytano, czy było warto, odpowiedziała, że zdecydowanie tak. Ale na pewno wtedy była fizycznie wycieńczona.

Opowiadała np. o tym, że gdy obserwowała koleżankę, która opatrywała bardzo dużą ranę jednego z chłopców, nie mogła patrzeć, czuła wstręt. Stwierdziła jednak, że musi, bo wkrótce być może sama będzie komuś opatrywać podobną ranę. I faktycznie tak było. To musiało być też dla niej trudne psychicznie.

Afryka to nie jest do końca bezpieczne miejsce. Nie bałaś się, że coś może się wydarzyć?

Ale co może się wydarzyć?

Zwierzęta, insekty, malarie?

Była szczepiona. Nie mieszkała w buszu... Wiadomo, trochę się o nią martwiłam.

Ale nie odradzałaś jej tego wyjazdu?

Nigdy. Zwłaszcza, że wiedziałam, jak wiele radości jej to sprawia. Poza tym wiedziałam, że jedzie w miejsce sprawdzone i bezpieczne, że nikt nie wysłałby jej do pracy, gdzie byłaby narażona na utratę życia. Wiem, że po okolicy poruszały się tylko w towarzystwie starszych miejscowych chłopaków. Białe dziewczyny nie mogły chodzić same. Nigdy się nie bałam, bo mam duże zaufanie do takich instytucji jak WMS. Wolontariaty misyjne wysyłają ludzi w sprawdzone miejsca, tak żeby wolontariuszom nic się nie stało. Podobnie myślałam o Boliwii...

W pierwszej kolejności nigdy nie było we mnie strachu o nią, tylko radość, że może spełniać swoje marzenia, może komuś pomóc. Myślę, że to była przygoda jej życia. Kto może pozwolić sobie na dwumiesięczny wyjazd do Afryki? Przede wszystkim trzeba być odważnym.

Co ją pociągało w tego typu wyjazdach?

Nie rozmawiałyśmy o tym, ale myślę, że chodziło o poznanie nowych miejsc, podróże, a zwłaszcza o możliwość pomagania innym. Gdy ktoś potrzebował pomocy, Helenki nie trzeba było namawiać. Zresztą ona początkowo miała jechać na Ukrainę, a nie do Zambii. Długo przygotowywała się do tego wyjazdu – uczyła się nawet rosyjskiego. Decyzję

zmieniła dwa miesiące przed wylotem, dla niej nie było istotne, gdzie będzie komuś pomagała.

Jest jeszcze jeden wątek z Waszego życia... Helena podobno mówiła, że miała trzy mamy. Wskazywała na Waszą biologiczną mamę, obecną mamę i Matkę Bożą. Rozmawialiście o tej mamie w niebie?

Tak, ale rzadko. Nikt przed nami nie ukrywał żadnych informacji. Odkąd pamiętam, wiedziałam. Nie było jednak takiego momentu, żeby rodzice posadzili nas na kanapie i opowiedzieli całą historię. U nas w domu traktowało się to normalnie. Wiem, że jest wiersz Helenki, w którym pisała, że płakała za mamą. Pamiętam, że gdy go przeczytałam, mówiłam jej, że to niemożliwe, żeby płakała po śmierci mamy, bo przecież była za mała... Zamiast wczuć się w poezję siostry, traktowałam wszystko bardzo racjonalnie... Nie wiem, może Helenka czasami siedziała i płakała? Dla nas nigdy nie był to temat tabu. Jednocześnie nie mówiłyśmy o tym wszystkim dookoła, chyba że znałyśmy się z kimś bliżej.

Mam wrażenie, że gdy ktoś się o tym dowiaduje, np. teraz, to wydaje mu się, że to jest jakiś rodzaj sensacji pt. „A, czyli to nie jest wasza «prawdziwa» mama”. Tylko że dla mnie to jest prawdziwa mama, tu, na ziemi. Oczywiście, gdy byłam nastolatką i kłóciłam się z mamą, zastanawiałam się, czy ta mama biologiczna też by taka była, czy też byśmy się kłóciły... Nigdy jednak nie myślałam: „Szkoda, że jej nie ma; na pewno byłaby lepsza niż ta”. Kiedyś dowiedziałam się, że to naturalne u dzieci adoptowanych, że idealizują swoją pierwszą mamę, zwłaszcza gdy jej nie znały.

Czy była w Was ciekawość, na przykład zastanawialiście się, jak wyglądała mama?

Wiemy – są zdjęcia.

A kontakt z rodziną biologicznej mamy? Utrzymujecie relacje?

Tak. Brat mamy jest chrzestnym Helenki. Do swojej śmierci odwiedzała nas też babcia, mama mamy. Myślę, że nasi rodzice bardzo dobrze to rozegrali. Nie odcięli się od rodziny mamy. Dlaczego mieliby to robić? To nie jest niczyja wina, że tak się stało. Cały czas utrzymujemy kontakt.

Jeśli czasami powstrzymuję się, żeby o tym mówić, to ze względu na mamę, żeby nie poczuła, że jest mamą drugiej kategorii. Myślę, że to błogosławieństwo, że chociaż nasza mama zmarła, mamy mamę na ziemi.

Czy kontaktowałaś się z Heleną, gdy wyjechała do Boliwii?

Malutko. Ona wyjechała 8 stycznia, a ja 15 stycznia zaczynałam rekolekcje, więc miałyśmy tylko tydzień. O tym, że szczęśliwie doleciała, dowiedziałam się z Facebooka, bo zamieściła zdjęcia. Później przysłała mi fakturę. Nie było tam słowa komentarza, więc zastanawiałam się, czy to ja nie opłaciłam jakiegoś rachunku. Gdy dopytałam, okazało się, że to jej faktura za telefon, której nie zdążyła uregulować w Polsce.

W czasie rekolekcji wysłałam jej dwa SMS-y. Przypomniałam jej o Dniu Babci, żeby pamiętała o życzeniach. Podziękowałam też za życzenia w kalendarzu, które dopiero wtedy zobaczyłam. To była już tradycja, że od kilku lat dostawałam od Helenki kalendarz na nowy rok. W czasie rekolekcji mieliśmy jakąś grę o ks. Franciszku Blachnickim. Przeczytałam wtedy, że był w Boliwii, i napisałam o tym do Helenki, żeby się rozglądała, bo pewnie spotka kogoś z „naszych”. Ona odpisywała na moje SMS-y na Facebooku. Już po jej śmierci otworzyłam nieprzeczytane wiadomości, że pamięta o babciach i że jak tylko oderwie się od malowania ścian, to może kogoś spotka, bo na razie maluje kwiatki.

Myślałam, żeby odezwać się do niej w sprawie rocznicy 25-lecia ślubu naszych rodziców, która przypadała w roku 2017. Zawsze na takie okazje przygotowywałyśmy coś specjalnego. Chciałam ten temat poruszyć już w styczniu, by znów nie było na ostatnią chwilę. Pomyślałam: jak wrócę z rekolekcji, to się tym zajmę. Nie zdążyłam.

Teresa pełniła posługę muzyczną na rekolekcjach Domowego Kościoła, które odbywały się na Podkarpaciu.

To rodzice do Ciebie zadzwonili z informacją o śmierci Helenki?

Tata. Byłam na rekolekcjach, więc nie nosiłam telefonu ze sobą. Wróciłam do pokoju, by się przebrać. Zobaczyłam nieodebrane połączenia i SMS-a z prośbą, bym oddzwoniła, że to pilne. Zadzwoniłam i spytałam, co się stało. Wtedy usłyszałam, że Helenka została zamordowana. Dowiedziałam się najwcześniej, jak mogli mi to przekazać. Rodzice otrzymali tę informację ok. godz. 15.00. Następnego dnia mówiły o tym media.

Przerwałaś rekolekcje?

Nie, ale miałam dylemat. Wiedziałam, że jestem potrzebna na rekolekcjach – posługa muzyczna jest dość ważna, a z drugiej strony zastanawiałam się, czy rodzice chcą, bym wróciła do domu. Rozmawiałam z tatą, później z mamą. Mówili, że nie muszę przyjeżdżać. Do końca nie wiedziałam, co o tym myśleć... Może naprawdę chcieliby, żebym była blisko... Jednak konsekwentnie mówili, że nie muszę przyjeżdżać. Zadzwoniłam do wujka, który obserwował tę sytuację trochę z zewnątrz. Powiedział, że skoro rodzice tak mówią, to znaczy, że nie muszę być w domu, a poza tym co tam będę robiła? Siedziała w pustym pokoju i patrzyła

w ścianę? Wiem, że gdybym była wtedy w Lublinie, rodzice na pewno namawialiby mnie na przyjazd do domu, żebym nie została z tą straszną informacją sama, ale ja byłam we wspólnocie, wśród dobrych ludzi, czułam, że mam duże wsparcie. Dopiero po rekolekcjach spędziłam z rodzicami tydzień. Na miejscu część ludzi dziwiła się, że nie jadę do domu, ale później byli wdzięczni, że mimo takiej sytuacji zostałam na tych rekolekcjach.

W naszym domu rodzinnym miłości nie wyraża się tym, że siedzimy razem i trzymamy się za ręce, ale wspieramy się w potrzebie i każdy wie, że wzajemnie się za siebie modlimy.

Pierwsze myśli...

Że mi się to śni. Po otrzymaniu informacji od taty powiedziałam o tym tylko jednemu zaprzyjaźnionemu małżeństwu. Przygotowywaliśmy się do nabożeństwa pokutnego – nie chciałam tą informacją przeszkadzać ludziom przed spowiedzią.

Siedziałam na tym nabożeństwie i wbijałam paznokcie w dłoni, żeby sprawdzić, czy mi się to nie śni. Wydawało mi się to bardzo nieprawdopodobne. Gdy obudziłam się następnego dnia, też miałam nadzieję, że to był sen...

A czy Helenka Ci się śni?

Od czasu do czasu. Mam wtedy wrażenie, że to się co prawda wydarzyło, ale ona dalej żyje i wszystko jest w porządku.

Lubisz te sny?

Tak, w nich ona żyje...

Pamiętam sen, w którym pytałam ją, czy podobał jej się pogrzeb. Odpowiedziała, że był bardzo ładny. Inny sen. Krótco po śmierci. Prosiłam ją, by opowiedziała, jak to

się stało, bo z wielu źródeł słyszałam tę historię, ale chcę wiedzieć, jak to było naprawdę. Zaczęła opowiadać, ale ja na początku tej opowieści się obudziłam. Wszystkiego dowiedziałam się później, od Anity.

Gdy wiele osób dookoła mówi, że Helenka może będzie świętą, co wtedy myślisz?

Że to super! Fajnie mieć błogosławioną siostrę. Gdy ktoś przy mnie mówi o tym ze zbyt dużym entuzjazmem, przypominam, że trzeba czekać pięć lat na rozpoczęcie procesu. Ale gdyby faktycznie tak się wydarzyło, bardzo bym się ucieszyła. Ostatnio czytałam życiorys Piera Giorgia Frassatiego – on zmarł w 1925 roku, a beatyfikowany był w 1990. Gdy policzyłam, że musiałabym czekać na tę beatyfikację 65 lat, to... Nie wiem, czy dożyję...

[śmiej]

Niektórzy na ten argument podają przykład Jana Pawła II, który sześć lat po śmierci został beatyfikowany.

Dla mnie ważne jest to, że Helenka jest wciąż obecna w pamięci, w świadomości. Nie jest tak, że było o niej głośno tylko przez miesiąc – od śmierci do pogrzebu. Każdego dnia widzę, że wiele osób o niej myśli. Gdy opowiadam o Helence ludziom obcym, wszyscy ją kojarzą. A po drugie ciągle wokół niej coś się dzieje – ludzie modlą się za jej wstawiennictwem, została honorowym obywatelem Libiąża. To wszystko ma miejsce pół roku po jej śmierci. I nadal pojawiają się informacje o nowych inicjatywach.

Na przykład?

23 września w Warszawie Ruch Światło-Życie organizuje spotkanie związane m.in. z 30. rocznicą śmierci ks. Blachnickiego pod hasłem „Świadek Wolności”. Przy tej okazji chcą przypomnieć jego postać, ale zaprezentować też inne.

Na plakatach ma być Jan Paweł II, Karolina Kózkówna i... Helenka. Bardzo się cieszę, że ludzie ciągle o niej pamiętają, że jej historia jest ciągle żywa.

Wspomniałaś, że ludzie modlą się za jej wstawiennictwem. Kto na przykład?

Ja [śmiech]. Ja to wiadomo, bo ją znałam. Jest jednak mnóstwo ludzi, którzy nie znali jej osobiście, ale dowiedzieli się o niej z mediów i modlą się za jej wstawiennictwem. Niedługo po jej śmierci kontaktował się ze mną pewien mężczyzna z Wielkiej Brytanii. Napisał, że jest pod wielkim wrażeniem życia Helenki, że jest takie jedno zdjęcie, gdzie ona – on ma takie wrażenie – patrzy na niego z miłością. Mężczyzna ten jeździ samochodem czyszczącym ulice. To jest jego praca. Pewnego razu miał w pracy trudną sytuację. Głupio mu było prosić o wstawiennictwo Helenki, ale był zdesperowany i się pomodlił. Wszystko dobrze się dla niego skończyło. Inną opowieść znam od koleżanki z naszej parafii, która bardzo dobrze znała Helenkę. Jechała samochodem z narzeczonym. W Krakowie bardzo mocno padał deszcz. Zobaczyli, że chodnikiem idzie jakaś siostra zakonna, więc stwierdzili, że się zatrzymają i zapytają, czy nie trzeba gdzieś jej podwieźć. Gdy tylko to zaproponowali, pierwsze, co powiedziała owa siostra, nie wiedząc, że oni znali Helenkę: „To Helenka mi was zesłała!”

– Siostra mówi o Helence Kmieć?

– Tak! Wy znaliście Helenkę? W celi, obok obrazka Pana Jezusa i Matki Bożej mam zdjęcie Helenki. Gdy tylko jest jakiś problem, modlę się za jej wstawiennictwem.

Jeszcze inna sytuacja. Opowiadał ją ksiądz z naszej parafii, któremu ostatnio w jednym z domów opieki zadano wprost pytanie, czy można się modlić za wstawiennictwem Helenki.

Można?

A dlaczego nie?

A gdy Ty się modlisz za jej wstawiennictwem, to o co prosisz?

O proste rzeczy. Żebym zdążyła na autobus. Żeby samochód odpalił. Mieliśmy taką sytuację z rodzicami. Samochód nie mógł odpalić. Wszyscy byli zdenerwowani. Zaczęłam się wtedy modlić: „No, Helen, wstaw się, żebyśmy ruszyli”. I udało się.

Gdy wracałam ostatnio z rekolekcji, znajome małżeństwo prosiło, żebym pomodliła się za wstawiennictwem Helenki w intencji ich córek.

– Jasne, ale wy też możecie się pomodlić.

– No tak, ale ty jesteś z nią bliżej...

Też zaraz coś wymyślę.

[śmiech]

Pomodlę się.

Modlę się za jej wstawiennictwem o dobrego męża. Kiedyś w tej intencji miałyśmy odmawiać Nowennę Pompejańską – ona miała się modlić za mojego męża, a ja za jej. Myślałyśmy, że dzięki temu będziemy miały lepszą motywację. Później z tego zrezygnowałyśmy i każda modliła się za swojego. Ale teraz, gdy ona już tego nie potrzebuje, nic nie stoi na przeszkodzie, by wymodliła dobrego męża dla mnie. Czasami jej o tym wspominam.

Gdy ktoś prosi mnie o świadectwo albo o wywiad, proszę Helenkę, żeby mi pomogła mówić prawdę. Ona już teraz zna prawdę o sobie – ja jeszcze nie. Zdaję sobie sprawę, że mogę idealizować siostrę, a wiem, że nie była idealna, bo nikt nie jest. Myślę, że jej siła polega właśnie na tym – była człowiekiem jak każdy z nas, dlatego każdy może być taki jak ona. To nie była święta z księżycą, niepokala-

nie poczęta i predestynowana do śmierci męczeńskiej od urodzenia.

Ona nigdy się nie chwaliła. Pamiętam, że gdy byliśmy kiedyś razem na rekolekcjach i opowiadała o Afryce, animatorom „opadły szczęki”. A ona mówiła mi potem, że głupio jej było o tym opowiadać. Zachęcałam ją do tego, bo dlaczego miałaby się wstydzić, że robiła takie wspaniałe rzeczy?

Wspomniałaś, że dostajesz prośby o wywiady czy wypowiedzi do mediów. Udzielasz ich?

Nie chcę lansować się na śmierci siostry, ale staram się pozytywnie odpowiadać na te wszystkie prośby, bo lubię mówić o Helence. Dobrze się znałyśmy i dużo na jej temat mogę powiedzieć. Poza tym takie rozmowy czasami bywają okazją do sprostowania pewnych informacji na temat Helenki. A zdarza się, że ja, Michał lub Anita jesteśmy zdziwieni tym, co czytamy czy słyszymy...

Jesteś świadkiem jej życia. Trudno, mówiąc o Helence, nie zapytać o nią Ciebie.

Wszystko zaczęło się od rocznicy ŚDM w Krakowie. Zadzwoił do mnie ksiądz i poprosił o świadectwo na temat życia Helenki. Wiedziałam, że Helenka była zaangażowana w pracę na ŚDM, ale my spotkałyśmy się w domu już po zakończeniu, nie obserwowałam jej zaangażowania. Jednak ksiądz stwierdził, że świadectwo siostry będzie dla tych młodych ludzi ważne. Zgodziłam się.

Skoro mowa o procesie beatyfikacyjnym, to komu mogłaby patronować Helenka?

Stewardesom. Wolontariuszom misyjnym. Myślę, że zostanie patronką WMS-u, a może patronką ludzi, którzy wyjeżdżają do szkoły czy na studia za granicę.

Myślę, że prywatnie każdy może ją o coś prosić. Nie jest oficjalnie stwierdzone, że ona jest w niebie, ale tyle rzeczy wydarzyło się już za jej wstawiennictwem... Poza tym ja mam pewność, że ona jest w niebie – na pewno była w stanie łaski uświęcającej, gdy została zamordowana, a to przecież jest bilet do nieba. Dodatkowo tyle osób się za nią modliło. Znam też relację księdza, który modlił się za jej wstawiennictwem w intencji małżeństwa, które nie mogło mieć dzieci. Wiem, że teraz oczekują dziecka.

Gdy ktoś mnie pyta, czy się modlę za jej wstawiennictwem, mówię, że tak, i że ty też możesz.

Czy Helenka wspominała, że myśli o małżeństwie?

Helenka kiedyś mówiła, że chce być siostrą zakonną, mieć męża księdza i dzieci ministrantów.

[śmiech]

Wtedy pytałam, co zrobi, jak jej się urodzą córki. Żartowałyśmy sobie. Nie chciała pójść do zakonu. Ona po prostu bardzo chciała mieć świętą rodzinę.

Co myślałaś o jej półrocznym wyjeździe do Boliwii w kontekście relacji Heleny z Michałem?

Myślę, że gdyby wcześniej się poznali i związali, Helenka nie pojechałaby do Boliwii. Jej wyjazd był po prostu zaplanowany wcześniej.

Żałujesz, że nie poznali się wcześniej?

Nie myślę o tym, że ktoś tu popełnił błąd i że poznali się za późno. Widzę, że to wszystko było kierowane przez Pana

Boga. Michał też mówił, że Helenka była bardzo szczęśliwa na tym wyjeździe, że czuła się spełniona, na swoim miejscu. Pytałam czasami Pana Boga, dlaczego nie zapobiegł tej tragedii. Wiem, że mógł. Ale nigdy nie myślałam, że to On wysłał tam tego mordercę. To diabeł jest przyczyną zła w świecie. Ale dlaczego ten człowiek nie mógł po drodze złamać nogi? Tak myślimy, gdy patrzymy tylko w perspektywie ziemskiej, bo nie mamy innej. Razem z rodzicami staramy się patrzeć trochę dalej. Usłyszałam ostatnio, że święci mogą zrobić więcej z nieba niż z ziemi. W takiej perspektywie wiadomo, że Helenka może bardziej pomóc teraz. Dla mnie to była bardzo duża strata, strata siostry, ale przez tę śmierć wszyscy dowiedzieli się o Helence i mają orędowniczkę w niebie.

Gdy byłam teraz na pielgrzymce i w różnych grupach opowiadałam o Helence, podszedł do mnie jeden chłopak i powiedział, że dzięki niej się nawrócił. Jest z Trzebini, a nie wiedział wcześniej, że tam działa Wolontariat. Wstąpił do WMS-u i w tym roku był na Węgrzech. Na miejscu dowiedział się, że to była pierwsza placówka Helenki. Mówił, że dzięki Helence się nawrócił. To jest bardzo duży zysk, bo prawdopodobnie jedna dusza więcej zostanie zbawiona. Być może Helenka pozwoliła mu wrócić do Pana Boga.

A czy jakaś przemiana dokonała się w Twoim życiu?

Gdy sobie uświadomiłam, jaka byłam czasem wredna dla Helenki, stwierdziłam, że nie mogę tak dalej żyć. Jeśli będę się tak zachowywać wobec innych, ciągle będę sobie wyrzucać, że mogłabym być lepsza. Stwierdziłam, że chcę się zmienić. Moje życie to mały kawałeczek świata, który może być zmieniony. Ale tych kawałeczków jest bardzo wiele.

Nie mogę zamknąć oczu i powiedzieć, że nic dobrego z tej śmierci nie wynika. To jest wielka tragedia i miałam

inny pomysł na naszą relację – wolałabym mieć Helenkę na ziemi, dla siebie i innych; chciałam mnóstwo rzeczy zrobić z nią razem, być świadkiem na jej ślubie, być chrzestną jej dzieci. Teraz chodzę na cmentarz...

Gdy ostatnio w Kalwarii Pałacowskiej jeden franciszkanin dowiedział się, że jestem siostrą Helenki, powiedział:

- Nie mogła ci siostra lepszego prezentu zrobić.
- Mogła...

Tej rozmowie przysłuchiwał się mój kolega, który stwierdził, że jest za wcześnie, by mówić takie rzeczy. „Za wcześnie?” – zdziwiłam się. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę potrafiła myśleć, że lepsze jest to, co się wydarzyło, niż to, gdyby żyła. Chociaż sama jestem zaskoczona, jak dobry duchowo był dla mnie ten czas, ten po śmierci Helenki. Wiem, co mówię, bo przeżywałam już znacznie trudniejsze duchowo, psychicznie i emocjonalnie momenty. Oczywiście był we mnie smutek, bo straciłam siostrę, ale nie oddaliłam się w tym czasie od Pana Boga.

Ktoś się o Ciebie troszczy.

To oczywiście.

W tym czasie doświadczyłam wiele życzliwości – zobaczyłam, jak wiele osób o mnie pamięta, dla ilu jestem ważna. Wielu mówiło wtedy: „Współczuję ci, ale miałaś super siostrę”. Wszyscy zachwycali się Helenką, a na mnie rykoszetem spadała ta życzliwość.

Chwilami było mi nawet głupio ze względu na ten mój duchowy stan... Wydawało mi się, że powinnam więcej rozpaczać.

Wspomniałaś, że we śnie pytałaś Helenkę o to, czy podobał się jej pogrzeb.

Koleżanka ze szkoły muzycznej Helenki, która zajęła się organizacją uroczystości od strony muzycznej, napisała do mnie, że chciałaby, by pogrzeb Helenki był tak piękny jak jej życie. Cieszyłam się, bo Helenka zawsze lubiła śpiew i piękno liturgii. Wiedziałam, że jej już ani chór, ani orkiestra czy wojsko nie są do szczęścia potrzebne, ale jednocześnie uważałam, że na to zasłużyła. Cieszyłam się, że kapłani byli ubrani na biało, że podkreślono duchowy wymiar zmartwychwstania.

Na mszy pogrzebowej śpiewałaś psalm.

Chciałam to zrobić najlepiej, jak potrafię, dla Helenki, i żeby nie odstawać od całej oprawy muzycznej.

Ona mogłaby patronować młodym? Być przykładem, jak żyć pełnią życia?

Tak, a także ludziom, którzy robią mnóstwo rzeczy i próbują to ze sobą pogodzić. Trochę jej zazdrościłam elastycznego czasu pracy. Dzięki niemu Helenka mogła i pracować, i być szefową parafialnego komitetu ŚDM. U mnie nie było szans, by w lipcu wziąć urlop. Wtedy pracowałam w korporacji i tylko na weekend przyjechałam do Krakowa. Nie widziałam się nawet z Włoszkami, które mieszkały w naszym domu. A z Helenką spotkałyśmy się już po wszystkim, w niedzielę wieczorem.

Później jeszcze raz byłam w sierpniu w domu, a potem na święta. W międzyczasie, jak wspominałam, byłyśmy w Bari i w Neapolu.

To ostatnia Wasza wspólna podróż?

Tak, to było w listopadzie. Miałyśmy lecieć na kilka dni na Teneryfę, bo Wizz Air otworzył nowy lot. Ale Helenka się rozchorowała i musiałyśmy zmienić plany. Jak już wyzdro-

wiała, zdecydowałyśmy się na Bari i Neapol. Dużo czasu w podróży, mniej na zwiedzanie. Pamiętam, że byłam zła, że nie zwiedziłyśmy któregoś z muzeów, że nie zobaczyłam jakiegoś tam kościoła. Stwierdziłam, że na następny taki wypad się nie piszę. Dziś wiem, że to był nasz ostatni wyjazd. Od tamtego czasu mam mocne przekonanie, że jeśli chcę się z kimś spotkać, to nie można zwlekać, bo z różnych powodów to spotkanie może nigdy nie dojść do skutku. Nie warto odkładać takich rzeczy. Staram się być lepsza dla ludzi, zwłaszcza tych najbliższych. To prawda, że gdy zabraknie człowieka, najbardziej żałuje się tego, czego się dla niego nie zrobiło.

Kraków, sierpień 2017

BP JAN ZAJĄC. WUJEK

MAM WRAŻENIE, ŻE ZARAZ MRUGNIE OKIEM

Biskup Jan Zajęc, kustosz sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach w latach 2002-2014, biskup pomocniczy krakowski w latach 2004-2014, od 2014 roku biskup senior archidiecezji krakowskiej. Jest wujkiem Barbary Zajęc-Kmieć – mamy Heleny. To on, na prośbę prowincjała salwatorianów, przekazał rodzicom tragiczną informację o śmierci Heleny. Tamtego dnia bp Zajęc razem z ks. Franciszkiem Ślusarczykiem odwiedzili państwa Barbarę i Jana w Libiążu.

Jak Ksiądz Biskup pamięta Helenkę z okresu dzieciństwa?

Mama dziewczynek zmarła zaraz po narodzinach Helenki. Teresa miała wtedy dwa lata. Zaczęła się nimi opiekować Barbara. Po dwóch-trzech latach znajomości wzięli ślub z Janem Kmieciem – ojcem Helenki. Spotykaliśmy się wtedy przy okazji rodzinnych uroczystości – świąt, imienin mojego brata, bratowej.

Pierwszy raz widziałem Helenkę, gdy miała może cztery lata. Zналиśmy się więc przeszło 20 lat. To były bardzo żywe istotki – i ona, i Terenia. Chociaż obie miały całkiem inne charaktery. Helenka może nie rzucała się na szyję, ale chciała być blisko – nie tyle szukała czułości, ile zaspokojenia zainteresowania; w stronę drugiego człowieka pchała ją ciekawość.

Obie dziewczynki były bardzo zdolne. Chodziły do szkoły katolickiej, w której lekcje katechezy prowadziła Barbara. Później dowiedziałem się, że Helenka wyjechała do Anglii, by tam kontynuować szkołę średnią.

Nie zauważyłem, żeby w tym czasie wyróżniała się jakąś – że tak powiem – „świętobliwością”. To było raczej żywe srebro. Można było w niej zauważyć radość, ale to nie była trzpiotowatość, ale radość płynąca z głębi jej ducha – na miarę dziecka, a później dorastającej dziewczyny. I ciągle była w niej wielka ciekawość. Dopytywała o różne sprawy.

O co na przykład?

Proszę sobie nie wyobrażać, że jak do domu przyjeżdżał biskup, to od razu chodziło o jakieś poważne sprawy. To było tradycyjne „100 pytań do wujka”. Pojawiały się pytania o jakieś codzienne, zwykłe sprawy, o spotkania z ludźmi...

A później – gdy Helenka dorastała – czy nie było nigdy takiej sytuacji, by wykorzystała fakt, że ma wujka biskupa? Może prosiła o pomoc w jakiejś sprawie?

Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że nigdy nie wykorzystała tego, że ma wujka biskupa.

Poza tym przyznam, że byłem pełen podziwu dla jej babci i mamy, ich sposobu wychowania dziewczynek. Choćby taki szczegół jak brak telewizora w domu. Dziewczynki za nim nie tęskniły. W domu były rozmowy, gry, babcia czytała książki, a małeństwa były zasłuchane. To była świadomie realizowana metoda wychowawcza.

Jak już mówiłem, obie dziewczynki były bardzo zdolne, więc w lot wszystko chwytały. Widać było, że Helenka też bardzo chce pogłębiać swoje zainteresowania i zaspokajać ciekawość – myślę, że stąd wziął się wyjazd do Anglii, a potem studia w języku angielskim.

Już jako uczennica szkoły podstawowej włączała się w duszpasterstwo, w ruch oazowy. Później było duszpasterstwo akademickie w Gliwicach i Wolontariat Misyjny Salvator.

Duszpasterz akademicki z Gliwic był jej ojcem duchowym, a ona była pełna jakiegoś zauroczenia i korzystała z jego posługi duszpasterskiej. Ksiądz odkrył, że Helenka to nieprzeciętny materiał. Nie mówimy tu o jakiejś postawie gloryfikowania kogoś, ale on widział, że jest to dziewczyna, która rozumie nie tylko metody współpracy duszpasterskiej, ale także je wypełnia. Ze świadectw innych ludzi wiem, że Helenka potrafiła organizować spotkania duszpasterskie i przyprowadzać na nie innych ludzi. Można było wyczuć, że to jest jej pasja, ale nie traktowała tego jako działalności społecznej, było to dla niej pogłębienie jej życia wewnętrznego – przez modlitwę i życie sakramentalne. Helence zawsze chodziło o drugiego człowieka, o otwarcie się na niego.

Już po jej śmierci dowiedziałem się, że ukończyła również szkołę muzyczną. Nigdy się tym nie chwaliła. Wiernie wzbogacała siebie tym wszystkim, co pomagało jej owocnie ewangelizować przez śpiew, grę na gitarze czy znajomość języków tak bardzo potrzebną do kontaktów z ludźmi.

Czy to wszystko, zdaniem Księdza Biskupa, przygotowało ją też do misyjnych wyjazdów, gdzie na ogół pomagała dzieciom?

Jej wyjazd do Zambii jest przykładem tego, jak Helenka realizowała swoje powołanie głoszenia Ewangelii. Mówi również o postawie rodziców wobec niej. Helenka po kilku miesiącach pobytu wśród dzieci ulicy zachorowała. Rodzice początkowo mówili: „Pojechała służyć Panu Bogu i się rozchorowała...”. Zaczęto szukać przyczyn choroby. Podejrzewano jakąś chorobę tropikalną. Wtedy okazało się, że to

wrodzona wada serca i problem z płucami. Gdyby nie tamto badanie, nie wiadomo, jak zakończyłaby się cała historia. Rodzice przyjęli to wówczas jako znak działania opatrzości Bożej. To w jakiś sposób pomogło mi zrozumieć ich postawę, gdy przyjmowali wiadomość o śmierci Helenki.

To znaczy?

Pierwsze moje zdanie, gdy przekazywałem im tę tragiczną wiadomość, brzmiało: „Helenka poszła do nieba”. Oboje westchnęli, usłyszałem słowa: „A miało być tam bezpiecznie...”. Ale zareagowali jednocześnie wyznaniem, że Pan Bóg ma w tym swój plan i to poprowadzi... Dla mnie było to świadectwo ich żywej wiary. Helenka od nich otrzymała głęboką wiarę i zaufanie do Pana Boga, że to, co się dzieje, to nie kwestia przypadków, ale Boży plan.

O tym, skąd w życiu Helenki pojawił się Wolontariat Misyjny Salvator, bp Zajac dowiedział się już po jej śmierci. W latach 2011-2013 po parafiach archidiecezji krakowskiej peregrynowała kopia obrazu Jezusa Miłosiernego z Łagiewnik oraz relikwie św. Faustyny i bł. Jana Pawła II. W listopadzie 2012 roku stacją tej pielgrzymki był Libiąż. W parafii, w której Helenka zaangażowana była w duszpasterstwo, odbywały się z tej okazji misje. Prowadził je salwatorianin. W czasie konferencji dla młodzieży wspomniał, że działa Wolontariat Misyjny Salvator. Ona to usłyszała, a później tam się zgłosiła jako wolontariuszka.

Powołanie misyjne Helenki zrodziło się wobec Pana Jezusa Miłosiernego, w blasku Bożego miłosierdzia.

Na naszym ostatnim spotkaniu przed wyjazdem Helenki, gdy dowiedziałem się, że ona jedzie do Boliwii, powiedziałem głośno, że tam jest przecież niebezpiecznie.

Odpowiedziała, że mimo wszystko chce jechać do dzieci, które potrzebują opieki. Wyznała, że to jest powołanie Chrystusa – by tam być! To nie było ryzykanctwo. I nie była to sztuczna deklaracja pobożności przed wujkiem biskupem. Ona nosiła to powołanie w sobie. Dla niej było ono konsekwencją jej wiary i zaufania Chrystusowi.

Co jeszcze Ksiądz Biskup pamięta z Waszego ostatniego spotkania?

W święta Bożego Narodzenia dowiedziałem się, że Helenka pracuje jako stewardesa w liniach lotniczych. W tej pracy poza znajomością języków i urodą trzeba posiadać umiejętność reagowania na różne zachowania pasażerów, a przecież nie była atletką. Jednak Helenka, mówiąc kolokwialnie, nie dała sobie w kaszę dmuchać i potrafiła bronić godności swojej i drugiego człowieka. Po jej śmierci skojarzyłem te dwa fakty i pomyślałem, że w tym pokoiku w Boliwii musiała stoczyć się walka, bo przypuszczam, że jako stewardesa umiała zachować się także w takich trudnych sytuacjach.

Gdy w czasie tego naszego bożonarodzeniowego spotkania powiedziała, że wyjeżdża do Boliwii, zażartowałem, że na pewno znajdzie tam sobie jakiegoś Indianina i może coś z tego wyjdzie. Ona wtedy tylko się uśmiechnęła. Kilka dni później spotkaliśmy się po raz drugi, gdy jej babcia, a moja bratowa, obchodziła 90. rocznicę urodzin. Po mszy św. na spotkaniu rodzinnym zauważyłem, że obok niej nie stoi Indianin, ale przystojny mężczyzna – Michał. Serce rosło, widząc ich zakochanych z planami na życie małżeńskie i rodzinne. Wtedy skończyłem z żartami, by szukała męża w Boliwii.

24 stycznia, w dniu tragicznych wydarzeń w Boliwii, bp Zając brał udział w pogrzebie ks. Mieczysława Malińskiego w Krakowie. Dopiero po celebracjach zorientował się, że

próbował się do niego dodzwonić prowincjał salwatorianów. Gdy się skontaktowali, ks. Piotr Filas przekazał biskupowi informację o zamordowaniu Heleny.

Skupiłem się na tym, jak tę informację przekazać rodzicom. To było bardzo trudne. Zrządzenie Boże sprawiło, że z ks. Franciszkiem Ślusarczykiem dotarliśmy do Libiąża o trzeciej po południu – w Godzinie Miłosierdzia. Zaniepokoiło ich to, że tak bez okazji przyjeżdża do nich wujek. Na miejscu padło pierwsze pytanie:

- Co się stało?
- Helenka poszła do nieba.
- Jak to: „Poszła do nieba”?

I wtedy im wyjaśniłem, że był napad w Boliwii i Helenka została zamordowana. Oboje westchnęli: „A miało być tam bezpiecznie...”. Później był płacz i cisza. Odmówiliśmy Koronkę do Bożego Miłosierdzia. „O krwi i wodzie, która wypłynęła z Serca Jezusowego, jako źródła miłosierdzia dla nas – ufamy Tobie”. I krew Helenki... Było widać, jak oni reagują, jak łączą te światy duchowe. Stała się tragedia, ale nie była to niepotrzebna śmierć, tylko ofiara w łączności z krwią Chrystusa. Podziwiałem ich postawę wyrażoną w wołaniu: „Jezu, ufam Tobie”.

Dramat tej sytuacji i ból dręczący rodziców zapewne do dziś, lecz ze zrozumieniem przyjęli to wydarzenie, uwierzyli, że ma ono głęboki sens. Helenka była tam bardzo krótko, a jednak dała świadectwo i spełniła to, na co Pan Bóg wobec niej liczył. Posłuszeństwo Panu Bogu sprawiło, że przelana krew przynosi dzisiaj owoce, gdyż „krew męczenników rodzi Kościół”.

Podczas spotkania z rodzicami biskup połączył się telefonicznie z prowincjałem salwatorianów, który rozmawiał z rodzicami.

Czy w czasie tej trudnej wizyty w domu w Libiążu była obecna też babcia Heleny?

Ona najbardziej to przeżywała. Nic nie mówiła. Włączyła się w modlitwę i płakała. Helenka była jej przybraną wnuczką, ale więzy między nimi były bardzo silne. Myślę, że obok rodziców też miała duży wpływ na wychowanie Helenki, która szukała ludzi mogących kształtować jej postawę głębokiej wiary, a przede wszystkim ducha służby drugiemu człowiekowi.

W czasie drugiej mojej wizyty w Libiążu mama Helenki wyciągnęła jej służbową torbę, a z niej ankiety, o której wspominał ks. Franciszek w czasie homilii na pogrzebie. Możemy się z niej dowiedzieć, jakie Helenka miała plany na najbliższy czas i na dalszą przyszłość. Chciała założyć rodzinę i służyć drugiemu człowiekowi, a ten dalszy plan to była świętość. Widać było, że ta kartka jest podniszczona, że Helenka musiała do niej często wracać. Mógł to być dla niej swoisty drogowskaz, wskazówka, jak realizować powołanie. Była niezwykle dojrzała, bo przecież potrafiła tak szybko żyć i tak wiele w życiu wypełnić. Wystarczyły jej trzy-cztery godziny snu na dobę. Sama mówiła, że wyśpi się po śmierci. Chciała ciągle iść i służyć drugiemu człowiekowi.

Trzeba też zaznaczyć, że jej życie przy tym było bardzo radosne. Było w nim miejsce i na turystykę, i na góry, i na rower. Chodziła na pielgrzymki. Intensywnie włączyła się w przygotowania do ŚDM. Ale dla niej nie było w tym nic nadzwyczajnego. Wszystko było czymś bardzo naturalnym. Swoje obowiązki wypełniała jak najlepiej, jak najgłębiej i jak najradośniej. Jej życie to świadectwo kogoś, kto szybko dojrzewa do nieba.

Podziałało to nawet na starego wujka. Choć te nasze kontakty były sporadyczne, po jej śmierci nastąpiło pogłę-

bienie więzi duchowej. Mam na biurku jej zdjęcie; takie dość „zawadiackie”. Zawsze mówię do niej, żeby czuwała i pilnowała, bo jak chce być znana, no to niech nas wspiera. Teraz ma w końcu dużo czasu, tam w niebie.

Opowiedział Ksiądz Biskup, jak informację o morderstwie przyjęli rodzice, babcia, a Ksiądz Biskup jak zareagował?

Na początku było niedowierzanie. Szybko skupiłem się na zadaniu, które mi zlecono. Jeszcze raz podkreślę – skupiłem się na tym, jak przekazać tę tragiczną informację rodzicom. Szukałem pomocy u Ducha Świętego. Musiałem się mocno trzymać, bo nie wiedziałem do końca, jak oni zareagują.

Jak ja to przeżyłem? Oni pokazali mi, jak należy przeżywać ten dramat. Zastanawiałem się, jak im to przekazać, a oni mi to ułatwili. Oboje są głęboko wierzącymi osobami, zaangażowanymi w życie duszpasterskie. Barbara po studiach inżynierskich poszła na teologię i dziś katechizuje. Jakby tego było mało, skończyła szkołę pisania ikon, a jej wielką pasją jest ogród – to świadczy zarówno o artyzmie, jak i wewnętrznej potrzebie szukania piękna. A Jan, ojciec Helenki, przeżył już śmierć żony, Agnieszki.

Dla rodziców Helenki był to ogromny ból, ale nie było spazmów i rwania włosów z głowy. Autentyczna wiara i głębokie życie duchowe pozwoliły im to przyjąć ze zrozumieniem, na tyle, na ile rodzice mogą w ogóle zrozumieć śmierć swojego dziecka...

W czasie pogrzebu prowincjał salwatorianów przekazał osobom związanym z Helenką krzyże misyjne – takie, z którymi ona wyjeżdżała na misje. Jeden z nich otrzymał bp Jan Zajac, aby zawieźć go do sanktuarium Bożego Miłosierdzia.

Ten krzyżyk trafił tutaj jako znak łączności Wolontariatu Misyjnego z Bożym miłosierdziem. Ponieważ teraz jest czas bierzmowania, to wykorzystuję ten krzyżyk. Jeżdżę z nim i pokazuję go młodym ludziom jako pewien symbol. Później wróci do sanktuarium i będzie wystawiony tutaj, żeby młodzi czerpali natchnienie do wolontariatu misyjnego. Na razie „wykorzystuję go na wynos”.

Czy to jest motyw kazania Księdza Biskupa do bierzmowanych?

To jest wyśmienity temat. A raczej nie temat, a świadectwo. Bierzmowani mają przecież stawać się świadkami Pana Jezusa. Pokazuję ten krzyżyk, mówiąc, że jest on świadectwem oddania się Chrystusowi Panu.

Kiedy wręczam bierzmowanym krzyże, to odwołując się do tego symbolicznego krzyżyka, łatwiej mi im wyjaśnić, czym ma być ich posłanie, żeby nieśli Ewangelię Chrystusa Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego na cały świat.

Na moment błogosławieństwa wszyscy podnoszą krzyże do góry – im więcej młodzieży, tym las krzyży większy. Przekazuję im wtedy orędzie Jana Pawła II, że „muszą być mocni mocą, którą daje wiara, mocą nadziei, która nie zawodzi, i miłości, która jest mocniejsza niż śmierć”. Krzyżyk Helenki jest świadectwem, że ona zdała egzamin z życia i wypełniła swoje powołanie. Można brać z niej przykład. To osoba wśród młodych znana. Ja nie mówię im o „jakiejś Helence” – oni dobrze wiedzą, o kim ja mówię.

Co Helenka może dać tym młodym ludziom?

Bierzmowanie czyni człowieka świadkiem Pana Jezusa. Każdy bierzmowany z głęboką wiarą przyjmuje Boże słowo, przez modlitwę nawiązuje kontakt z Bogiem, zawiera sobie Panu Jezusowi i wypełnia przykazania miłości Boga

i człowieka. Po to jest bierzmowanie. Proszę – tu macie przykład, że to jest możliwe. Nie tylko siostra zakonna czy ksiądz mogą dojść do świętości, ale właśnie Helenka – ona jest żywym przykładem świętego nie z obrazka, ale z życia: pełna radości, uprawiająca sport, myśląca o pięknej miłości małżeńskiej, o założeniu rodziny. Ona przez całe swoje życie starała się być blisko drugiego człowieka – to była jej droga do świętości. To nie była staruszka żyjąca latami na pustelni, ale młoda dziewczyna żyjąca w świecie, która z radością i entuzjazmem tak osiągnęła świętość. To właśnie może pociągać młodych.

Prowincjał, przekazując ten krzyżyk do sanktuarium Bożego Miłosierdzia, związał z nim pewną intencję – żeby tu, w Łagiewnikach, modlono się również o miłosierdzie dla sprawcy tej zbrodni.

Tak, tu modlimy się o miłosierdzie dla każdego człowieka. Chodzi o rodzenie się apostołstwa miłosierdzia. Nie każdy musi wyjechać na misje. Apostołem miłosierdzia można być przez dobry czyn, przez życzliwe słowo i wytrwałą modlitwę. Ten skromny krzyżyk, z którym Helenka wyjechała na misje, jest bardzo wymownym znakiem, który przemawia zarówno do dorosłych, jak i do młodych.

Czy tak po ludzku w Księdzu Biskupie nie ma złości? Ona nie zginęła od kuli czy ciosu nożem, ale została brutalnie zamordowana 14 ciosami...

W pierwszym odruchu myślałem o człowieku, który to zrobił, że to samo zło. Ale później dowiedziałem się, kim on jest. Ma 21 lat. Opuścili go rodzice – najpierw ojciec, potem matka. Dziecko ulicy. Narkoman. Po prostu biedny człowiek... Wcześniej został już skazany za gwałt i próbę zabójstwa. Rodzina się zadłużyła, wykupując go z więzie-

nia. Po dwóch miesiącach popełnił tę zbrodnię. Rodzina powiedziała: dość. Sądzę, że tutaj największą rolę odegrało jego uzależnienie. Dlatego konieczne jest wołanie o miłosierdzie Boże. Popełnił zło. Nie chodzi o pobłażliwość, o to, żeby go usprawiedliwiać, ale przebaczenie jest konieczne. Jak można nazywać siebie apostołem miłosierdzia, kiedy nie ma w nas przebaczenia?

Kiedy ktoś pyta mnie o przebaczenie, to wracam do rodziców Helenki. Oni pokazują, jak można przeżyć taką tragedię i jak okazywać miłosierdzie wobec tego człowieka.

Ksiądz Biskup wspomniał, że na biurku ma zdjęcie Helenki. Co to za zdjęcie?

Wycięte z gazety. Jest na nim zawadiacko uśmiechnięta. Ma 16-17 lat. Mam wrażenie, że gdyby mogła, mrugnęłaby okiem.

W jaki sposób Helenka jest obecna w życiu Księdza Biskupa?

Zdjęcie Helenki pomaga mi nawiązać z nią bliższy kontakt, niż był za jej życia. „Czuwaj, pomagaj” – takie myśli kieruję w jej stronę. Podobną rolę odgrywają w moim życiu relikwie św. Jana Pawła II.

Czy Ksiądz Biskup ma jakiś prezent od niej?

Pytają mnie, czy mam jakieś relikwie. Nie staram się o to, bo może to być przeszkodą w ewentualnym procesie beatyfikacyjnym. Przed oficjalnym ogłoszeniem kogoś świętym czy błogosławionym nie może być publicznego kultu tej osoby. Na kult musi wyrazić zgodę Kościół.

Dowiedziałem się, że siostry zostawiły pokrwawione prześcieradło i – co dla mnie jest ogromnie ważne – kilka kropel krwi spadło na Biblię, którą Helenka tej nocy

czytała. Krew Helenki na Piśmie Świętym – czy może być wspanialsza pamiątka i relikwia?

Jeśli to się kiedyś stanie, że Helenka zostanie błogosławioną, to...?

Będzie to dobra nowina, ale i wyzwanie. Potrzebna jest prawda o jej dążeniu do świętości, o jej oddaniu Bogu i człowiekowi. Ona jest prawdziwym świadkiem, z którego można brać przykład. Nie tylko prosić o wsparcie, ale należy brać wzór z jej życia. Helenka, tak krótko żyjąc, tak wiele dała z siebie Panu Bogu i człowiekowi.

Co Księdza Biskupa uderzyło najbardziej w tym, co dzieje się po śmierci Heleny?

Myślę, że entuzjazm młodych ludzi, którzy byli zainteresowani jej osobą, którzy przyjeżdżają na jej grób, spotykają się z rodziną, włączają się masowo w Wolontariat Misyjny. Widać, że coś się rodzi wśród młodych ludzi, że chcą ją naśladować. Helenka jest taką zdrową gwiazdą, nie z reklamy, ale autentycznym świadkiem tego, w co wierzyła i co kochała. To jej apostołstwo jest autentyczne; stanowi świadectwo tego, że nie ma lepszej drogi, żeby pociągnąć drugiego człowieka do Chrystusa, jak własny przykład życia i gotowości dawania siebie bliźnim. Nie ma lepszej drogi do świętości.

Taka jest ta nasza Helenka. Powiem jej, że nasyła mi takich ludzi jak Wy.

Proszę jej dobrze o nas opowiedzieć.

Kraków, maj 2017

MICHAŁ SZUŚCIK

BOLIWIA BYŁA W PAKIECIE Z HELENKĄ

Sam o sobie?

W kontekście Helenki czy w ogóle?

W ogóle.

Kim ja jestem? Może bardziej: kim chciałbym być? Uwaga: będzie szczerze. Przede wszystkim chciałbym być chrześcijaninem. Chciałbym, aby ludzie widzieli we mnie chrześcijanina. Aktualnie w świecie różnie jest z tym postrzeganiem. Chciałbym być chrześcijaninem autentycznym. Kimś, kto nie tylko żyje tradycją, ale sięga do źródeł. Poza tym jestem informatykiem, świeżo po studiach. Pracuję. Mam też sporo zainteresowań. Gram, śpiewam, chodzę po górach. Jestem członkiem Akademickiego Klubu Turystycznego „Watra”.

„Watra”?

To organizacja, która zrzesza wariatów podobnych do mnie. Ludzi, którzy chcą robić coś więcej, a przy okazji aktywnie spędzać czas. Pokazujemy innym, że czasem, by zrobić dobro, wystarczy niewiele. Trochę chęci, otwartości na świat, no i odwagi.

Mówisz „wariaci”. Co jest szalonego w turystyce?

„Watra” to bardzo stary klub. Aktualnie mamy 56 lat. Działam tam od pięciu lat. A owo „szaleństwo”? Większość ludzi, jeśli idzie w góry, wybiera schronisko, pensjonat. My albo bierzemy namioty, albo jedziemy po prostu do

bacówek – małych, drewnianych klitek, w których nie ma nic, nie ma prądu, nie ma wody. Na miejscu okazuje się, że niczego nie potrzeba. Poza tym jest tanio i fajnie. Kiedy schodzimy z gór, nie ma mowy o zmęczeniu. Trzeba iść do lasu po drewno, znaleźć wodę.

To organizacja studencka?

Studenci są najbardziej aktywną grupą, ale zawsze mówimy, że w „Watrze” zostaje się na całe życie. Mamy kontakt z ludźmi, którzy w tej chwili są w okolicach siedemdziesiątki i tworzyli klub. Teraz działam w „Watrze” jako sympatyk. Poza tym dużo się wspinam, więc jeśli klub organizuje szkolenia z tego zakresu, chętnie się angażuję. W „Watrze” są osoby, które chodziły po siedmiotysięcznikach, eksplorowały miejsca, do których ludzie dotąd nie dotarli. Są takie! Byliśmy na każdym kontynencie. Dzielimy się swoim doświadczeniem.

O jakiej wspinaczce nam opowiadasz?

Wspinaczka sportowa przede wszystkim. Skałkowa. Nie wysokogórska. Po prostu: jedziesz na Jurę, z liną, wspinasz się na ścianę wysokości 10, 12, 20 metrów. W zależności, co tam znajdziesz.

Po co Ci „Watra” w życiu?

Kiedy myślę „Watra”, mam przed oczami grupę ludzi i wyzwania. Wyzwania związane nie tyle z chodzeniem po górach, ile z radzeniem sobie w trudnych sytuacjach. „Watra” to brud, zimno i śmiech. Brud i zimno też pozytywnie. Kiedy znajdujesz się z drugim człowiekiem w tej tzw. trudnej sytuacji, nagle wiele was łączy. „Watra” to bycie razem. To ognisko, przy którym siedzi 50 osób.

Jeśli sport, to co jest jeszcze ważne dla Ciebie?

Góry przede wszystkim. Chodzenie. Trochę też kajakarstwo.

Zawróćmy na moment. Studia. Skąd ten pomysł: informatyka?

Zawsze interesowałem się informatyką, ale nie studiowałem jej.

?

Studiowałem automatykę. Teoretycznie pokrewna dziedzina. Przynajmniej tak mi się wydawało. Po drodze okazało się jednak, że jeśli chcę być informatykiem, muszę się sam dokształcać. Od trzeciego roku studiów pracowałem.

Czy do Gliwic, na studia, przyjechałeś z okolic Raciborza?

Nie do końca. W Raciborzu się urodziłem. Potem, przez 10 lat z rodzicami mieszkaliśmy w Dąbrowie Górniczej. Stamtąd przeprowadziliśmy się do Gliwic. Od roku mieszkam sam.

Krok dalej: muzyka. Mówiłeś, że grasz i śpiewasz. Kształciłeś się w tych kierunkach?

Jestem samoukiem. Gram na gitarze klasycznej i gitarze basowej. Podpatrywałem u innych, w Internecie szukałem inspiracji, ale przede wszystkim szukałem grania z ludźmi. Dwa lata temu poszedłem do szkoły muzycznej, na wokal. Skończyło się po roku. Stwierdziłem, że się do tego nie nadaję. Bardzo racjonalnie podszedłem do własnej osoby. Gram dalej. Tak już od 11 lat. Całkiem sporo. Cieszy mnie to, że z tym całym swoim graniem i śpiewaniem mogę czasem się gdzieś przydać.

W tej chwili muzykujesz gdzieś na stałe?

W scholi duszpasterstwa akademickiego. Tu śpiewam już trzy lata. To jest ta sama schola, którą zakładała Helenka. Chociaż tamta schola bardzo różniła się od stanu, który jest obecnie. Śpiewamy w niedzielę o 20.00 na mszach akademickich w kościele św. Michała Archanioła w Gliwicach. Poza tym wyjeżdżamy na konkursy, śpiewamy na rekolekcjach, ślubach znajomych.

Jesteś zajęтым człowiekiem.

Nie wiem. Może trochę. Lubię, jak się dużo dzieje. Po to mam talenty, żeby z nich korzystać.

Powiedziałeś, że kiedy Helenka zakładała scholę, grupa wglądała inaczej. Co znaczy to „inaczej”?

De facto Helenka nie zakładała scholi. To nie było jej intencją. Znam tę historię z opowiadań. Przyszła kiedyś na mszę św. i okazało się, że nikt nie śpiewa i nie gra. Zapytała ks. Wojtkę, czy może przyjść z gitarą. Tak zaczęła grać i śpiewać na niedzielnej mszy św. Sama. Potem dołączała do niej inni. Grzesz Steć, Szymon, który aktualnie trzyma całość i który zaciągnięty przez Helenkę, poszedł do szkoły muzycznej. Okazało się, że to wszystko wychodzi mu bardzo dobrze. Do tego ma sporą wiedzę merytoryczną i dobre podejście lidarskie.

Ile osób w tej chwili liczy schola?

To są zmienne dane. W zeszłym roku na konkurs w Toruniu pojechało 17 osób.

Schola to dla Ciebie tylko śpiewanie czy coś więcej?

Pół roku temu zaczęło się coś więcej. Teraz tworzymy wspólnotę. Próby zazwyczaj odbywają się przed mszą św.

Po niej chcemy po prostu ze sobą побыć. Dobrze nam razem. Tyle.

Czy Helenkę poznałeś w scholi?

Tak.

[cisza]

A jak trafiłeś do scholi?

Trzy lata temu rekolekcje w duszpasterstwie akademickim w Gliwicach prowadził ojciec Szustak, o którym gdzieś tam kiedyś słyszałem. Przyszedłem, patrząc: schola. Pomyślałem: ciekawe, czy potrzebują kogoś. Zapytałem Szymona, czy mogą śpiewać. Zgodził się. Tak zostało.

Ile osób wtedy liczyła schola?

Osiem. Dwa miesiące po mnie dołączył znajomy, potem ktoś jeszcze i nagle schola zaczęła się rozrastać.

Na jakim etapie jest teraz Wasza grupa?

Rozwija się. Przychodzą nowi ludzie. Od śmierci Helenki przyszło kilka osób. Jakieś dwie dziewczyny śpiewały na mszy św. w jej intencji, potem zostały. Tak to się formuje.

Profesjonalizuje?

Nie. Chyba raczej chodzi o to, że jesteśmy grupą ludzi, która dobrze się ze sobą czuje.

Pamiętasz moment, w którym poznałeś Helenkę?

Helenka miała bardzo dużo zainteresowań. Ciągłe gdzieś biegła. Na nic nie miała czasu. Od początku pamiętam, że ona wpadała na msze św., śpiewała i wypadała. Tyle. Tak ją widziałem. Do czasu naszej wspólnotowej integracji w 2016

roku nie było żadnej okazji, żeby z nią porozmawiać, bo jak już mówiłem, ona wpadała...

[cisza]

Robiła swoje i...

...jechała dalej. Na próbach też zdarzało się jej bywać. Po prostu miała taki charakter pracy. Przychodziła czasem na mszę św. prosto z lotu, w tym swoim różowym mundurku.

Widzisz taką biegającą dziewczynę i co? Jakie myśli ona w Tobie zostawia? Zastanawiasz się, gdzie tak biegnie?

Wtedy intryguje mnie, tak jak wielu innych ludzi. Widzę, że jest zajęta, że nie ma czasu.

Że dobrze śpiewa?

Ona jest po szkole muzycznej, nie sposób tego nie zauważyć.

A może myślisz, że wcale nie śpiewa tak dobrze, jak chwalą ją inni?

Helenka kształciła się w wokalu klasycznym, ale nie był to najlepszy sposób, w jaki śpiewała. Najlepiej śpiewała „rozrywką”. Miała bardzo dobry głos, śpiewała niesamowicie czysto i naturalnie. W ogóle bardzo lubiła śpiewać.

Opowiedz o tym spotkaniu integracyjnym, na którym udało Wam się w końcu porozmawiać.

W lipcu 2016 roku wspólnota powiedziała głośno: jedziemy w góry. Zabraliśmy ze sobą ks. Wojtkę.

Musiałeś się dobrze odnaleźć w tym pomysłe „góry”. Może pojawiła się jakaś myśl: „No, Michał was tu teraz oprowadzi”.

W scholi jest więcej takich zapaleńców. Mamy człowieka, który jest glaciologiem, zwiedza lodowce.

Dokąd pojechaliście?

Do Brennej.

To był długi wyjazd?

Trzy dni. Choć Helenka, jak to Helenka, drugiego dnia wieczorem musiała wracać.

Zdążyłeś nam już powiedzieć, że udało Wam się porozmawiać.

Duch Święty kogoś natchnął i zostaliśmy przydzieleni do jednego samochodu.

Co wtedy w tym aucie usłyszałeś?

Dużo wiedziałem o niej. Wszyscy wokół mówili o misjach, o jej pracy. Wtedy w tym samochodzie, po raz pierwszy usłyszałem sporo tych historii od niej samej. Miałem okazję usłyszeć, co nią kieruje. Jednak trzeba to od razu zaznaczyć: Helenka nigdy nie mówiła o sobie dużo. Wtedy w tym samochodzie też nie. Nie była skryta, ale mówiła tyle, ile trzeba. Dowiedziałem się, że szkołę średnią skończyła w Anglii, było trochę o studiach, o Wolontariacie Misyjnym, o misjach. Pewnie tyle, ile można opowiedzieć przez ponad godzinę jazdy.

Ktoś z wami jeszcze jechał tym samochodem?

Artur – jeden z naszych basów, ale on spał.

Ty prowadziłeś?

Tak. Zresztą to był samochód Helenki.

Jaką osobą wydała Ci się wtedy Helenka?

Radosną! Ona nie umiała inaczej. Zdarzało jej się oczywiście, jak każdemu człowiekowi, mieć słabszy dzień, ale ona była... Dla mnie osobiście była najlepszą osobą, jaką w życiu znałem. Sposób, w jaki kochała, dotyczył wyższego poziomu, kochała inaczej niż większość ludzi. Nie miała w sobie egoizmu, przynajmniej nigdy go nie zauważyłem. To pozwalało jej ciągle być dla innych.

Co to znaczy, że nie miała w sobie egoizmu? Mówisz o bezinteresowności, braku zazdrości, pychy?

Hm. Muszę pomyśleć, jak to zdefiniować. Może tak: jeśli trzeba było coś zrobić, to ona nie zważała na nic. Jeśli miała wybór między tym, co dla niej, a tym, co dla innych, wybierała innych.

Może to nie jest dobre tak zapominać o sobie?

Nie, nie! Ona nie zapominała o sobie. Miała swoje marzenia, pragnienia i je spełniała. A to, że w tych marzeniach byli ludzie, to inna sprawa. Wszyscy dziś mówią o niej „święta” i to jest prawda, ale obok tego, że była święta, była też zwyczajną dziewczyną.

Na czym polegała ta zwyczajność?

Chociażby na tym, że pisała wieczorem na Facebooku: „Jutro wybrałabym się w góry. Kto chce jechać ze mną?”

To jest zwyczajne?

Tak.

Okej, przyjmijmy, że każdy może mieć inną definicję zwyczajności.

Dla mnie to normalne. Dobra, inny przykład. Chciała chodzić na hiszpański, chodziła. Chciała uczyć się tańczyć, tańczyła. Robiła to, co sprawiało jej radość. Miała przyjaciół. Wspiniała się. Chodzi o to, że nie była osobą w tym sensie świętą i niezwykłą, że umartwiała się i robiła wszystko dla ludzi kosztem siebie. Jeszcze raz: była w stanie realizować swoje marzenia i być z ludźmi. To było w niej niesamowite.

Powróćmy do Brennej. Jak spędzaliście tam czas?

Graliśmy na gitarach. Do nocy. Rano wstaliśmy. Poszliśmy w góry. Obiad. Helena pojechała. Tyle. W dużym skrócie tyle. Jedna z ciekawszych historii, która pokazuje, kim była Helenka. W połowie drogi na szczyt góry jedna z koleżanek mówi nagle, że nie da rady iść dalej. Pierwsza odzywa się Helen: dobra, schodzimy razem z powrotem. Mimo że Helena miała ogromną chęć, by pójść dalej, mimo że to było to dla niej wyzwanie, zrezygnowała, zesłała.

Czegoś nowego dowiedziałeś się wtedy o Helence?

To były fakty, o których wiedzieli wszyscy, ja również. I okazało się, że na poziomie tych faktów tak naprawdę nic o niej nie wiedziałem. Dopiero w momencie, kiedy sama zaczynała opowiadać... A jak wspominałem, ona o sobie nie lubiła mówić.

Pewnie dowiedziałeś się od Helenki, że uczyła się w Wielkiej Brytanii, że była wolontariuszką w Zambii. Czy to wywarło na Tobie wrażenie? Czy to Ci imponowało?

Bardzo dużo się o niej dowiedziałem. Prawdziwy natłok informacji. Z jednej strony zobaczyłem zwyczajną dziewczynę, ze swoją historią do opowiedzenia, z drugiej strony zaimponowało mi, że w wieku 25 lat zdążyła już tyle zrobić. Myślę tu przede wszystkim o misjach w Zambii. Okazało

się, że misje to nie jest sympatyczny wyjazd za granicę. Rozmawialiśmy też trochę o studiach. Trochę o muzyce.

Studia chemiczne. Ten epizod w życiorysie Helenki wygląda osobliwie.

Co mogę powiedzieć? Macie rację!

Co ona mówiła o studiach?

Że studiowała.

To znaczy?

Kiedy wróciła z Wielkiej Brytanii, chciała studiować w języku angielskim, by nie stracić tego, czego tam się nauczyła, no i matury! Do wyboru miała albo budownictwo, albo chemię. To były wówczas jedyne dwa kierunki w całości wykładane na Politechnice Śląskiej w języku angielskim.

Język zdeterminował wybór kierunku?

Trochę tak, ale też lubiła chemię. Dopiero w trakcie studiowania okazało się, że to nie dla niej. To było mniej więcej w połowie studiów, ale zdecydowała, że studia skończy i zamknie ten rozdział. To również pokazuje jej charakter. Poza tym ona miała naprawdę szerokie horyzonty. Potem pracowała dla linii lotniczych, jednocześnie robiła szkołę muzyczną i kończyła studia. To było wyzwanie.

I skończyła te „osobliwe” studia.

Zobowiązała się i skończyła to, co zaczęła. Taka była.

Jak ważny był dla Helenki czas studiów?

Nie wiem, od czego zacząć. Czas, który tu w Gliwicach spędziła, był czasem jej rozwoju. Przyjechała tu jako lekko zagubiona dziewczyna, przyjechała z zewnątrz, z Wielkiej

Brytanii. Czuła się obco. Miała jednak w sobie dużo odwagi. Zaczęła szukać dla siebie przestrzeni. Zaczęła śpiewać, pociągnęła do śpiewania innych, powstała schola. Po drodze trafiła do duszpasterstwa. Zdarzało się, że grała codziennie na mszach akademickich. Codziennie przychodziła z gitarą. Często sama.

Podobno razem z Grzesiem mobilizowali się, by zawsze ktoś z nich było obecne.

Tak, to prawda. To też robiło na mnie wrażenie, jej siła charakteru.

Czy miała swoje ulubione miejsca w Gliwicach?

Nigdy mi na ten temat nic nie mówiła. Bardziej identyfikowała się z ludźmi, a nie z miejscem. Kochała swoje życie, starała się robić to, co sprawiało jej radość. Talenty, którymi została obdarowana i tak w konsekwencji prowadziły ją do drugiego człowieka. Uczyla się niemieckiego, hiszpańskiego, świetnie знаła angielski. Czasami siedzieliśmy gdzieś wspólnie, a ona przewracała w rękach fiszki.

Jak wyglądały wasze relacje po powrocie z Brennej?

Helenka zaangażowała się w Światowe Dni Młodzieży, kontakt z nią stał się właściwie niemożliwy. Trudno to sobie było wyobrazić, ale miała jeszcze mniej czasu niż zazwyczaj. Nie było z nią kontaktu. Ja wyjechałem do Gruzji.

Do Gruzji?

Tak, polecam. Piękny kraj, dobrzy ludzie.

Turystycznie?

Tak. Po moim powrocie zaczęliśmy częściej gdzieś na siebie wpadać. Ona próbowała wspinaczki, a ja mogłem jej

kilka rzeczy w tym zakresie pokazać. Trzeba jednak pamiętać, że by umówić się z Helenką, trzeba było mocno się napracować. Ona miała mnóstwo znajomych i tyle samo zainteresowań, więc jak to wszystko połączyć razem? Nie było łatwo, sami rozumiecie. Do tego dochodziła praca w liniach lotniczych w godzinach co najmniej dziwnych, bo czasem o 5.00 rano, a następnego dnia o 14.00. Poza tym Helenka chciała mieć czas dla wszystkich i starała się temu sprostać.

Powiedziałeś, że w trakcie studiów Helenka zaczęła duchowo wzrastać. Jednocześnie, że komentarze w prasie, po jej śmierci, pt. „święta” są dla Ciebie zaskakujące. Wszyscy mówią, że Helena żyła blisko Boga. Jak Ty postrzegałeś tę strefę jej życia?

To jest temat rzeka. Po pierwsze, Helena miała ogromną ufność do Boga. Ufała Mu całkowicie i dostrzegała Jego obecność w swoim życiu na co dzień. Nigdy jednak nikomu Pana Boga nie narzucała. Przykład. Nigdy nie przekonywała mnie, że misje są dla mnie drogą, że są drogą dla wszystkich, że Wolontariat Misyjny to miejsce dla wszystkich. Sam trafiłem tam dopiero po jej śmierci. W towarzystwie nigdy nie wstydziła się swojej wiary, jednocześnie nie obnosiła się z nią. To było ciekawe w kontekście jej pracy w liniach lotniczych. To nie jest rozmodlone środowisko. Jednocześnie wiele razy słyszałem o sytuacjach, w których temat wiary był tam poruszany. Helen zawsze nosiła krzyżyk, misyjny zresztą. Chciała pokazać, że Pan Bóg jest dla niej ważny. Często była inicjatorem modlitwy. Jedyna rzecz, o którą mnie osobiście prosiła, dotyczyła tego, byśmy się modlili wspólnie. Bardzo jej na tym zależało. Bardzo. Sama modliła się sporo. Traktowała modlitwę jako coś bardzo intymnego, relacyjnego.

Jak wyglądało to „bardzo jej na tym zależało”?

Wiecie, kim była dla mnie Helenka?

Tak.

[cisza]

Mniej więcej tydzień później po tym, jak zaczęliśmy się spotykać, zapytałem ją: co ja mogę zrobić dla Ciebie? A ona odpowiedziała mi: „Wiesz co, my się razem nie modlimy”. To było bardzo z serca. Coś ważnego, głębokiego.

Krępowało Cię to?

Nie, nie. Tylko dla mnie do tej pory modlitwa była wyrazem osobistej relacji z Bogiem. Z Helenką weszliśmy razem na wspólny poziom intymności z Nim. Mnie osobiście to bardzo poruszyło i dało mi ogromną radość.

Mieliście wspólne intencje?

[cisza]

Czy przed wyjazdem do Boliwii modliliście się wspólnie?

Pamiętam swoje modlitwy z tamtego czasu. Prywatne. Z Helenką? Głównie „omadlaliśmy” naszą rzeczywistość, szczególnie przyjaciół.

Kiedy wasze relacje zaczęły się zmieniać? Kiedy znajomość przerodziła się w Wasze wspólne bycie ze sobą?

Wiadomo, jak to wygląda. Ludzie spotykają się ze sobą coraz częściej, ta relacja staje się bardziej intensywna. I u nas to zadziało się bardzo typowo. Po Brennej stawaliśmy się sobie coraz bliżsi, częściej się ze sobą spotykaliśmy, poznawaliśmy się.

Nie wiem, jak daleko mogę pójść z następnym pytaniem?

Pytaj, ja powiem, jak daleko.

Zadaliśmy Ci sporo pytań. To, czy ta rozmowa potoczy się dalej i jak będzie wyglądała, zależy od Ciebie. Chcemy zostać w pewnej uczciwości i szacunku do Ciebie i do czasu, który minął od śmierci Helenki, a właściwie nie minął.

[cisza]

Jeśli nie będę mógł odpowiedzieć na pytanie, powiem. Są takie przestrzenie w mojej relacji z Helenką, które na zawsze będą moje. Chcę jednak o niej opowiedzieć. O tym, jaka była, jak ją widziałem. Jak była niesamowita w swojej normalności. W relacji ze mną Helenka szukała czegoś bardzo na serio. Wiem, że szukacie obrazu Helenki, by o niej opowiedzieć...

Chcemy zostać z Tobą jednak w pełnej uczciwości.

Okej. Dziękuję.

To była Twoja inicjatywa?

Z czym?

Z intensyfikacją relacji.

Na początku tak. Potem, na szczęście, obie strony były bardzo zainteresowane. Helenka, widziałem to, nie szukała rozrywki, szukała czegoś na serio, relacji na serio.

W sieci odnalazłam zdjęcie. Dzień posłania Heleny i Anity na misję do Boliwii. Jesteś na jednej z fotografii. Smutny? Samotny? Wiesz, o które zdjęcie chodzi?

Wiem.

Mina chłopca obrażonego na cały świat?

Wbrew pozorom nie ma tam nic głębszego. Oto sytuacja. Helenka mówi: „Michał, stań tam. A ja: co tak sam? No dobrze”. Tyle.

Dorobiłam sobie konteksty?

Dorobiłaś, ale jeśli mamy dorabiać, to faktycznie – byłam smutny.

Ten moment pożegnania, posłania Heleny, był dla Ciebie trudny?

Modliliśmy się wspólnie za siebie. Była w tym ogromna ufność. Jakkolwiek to teraz zabrzmi. Wierzyliśmy, że wszystko będzie dobrze. Nie było we mnie strachu, że ona tam jedzie na pół roku, a ja tu zostaję. Oczywiście miałem momenty, że nie chciałem, żeby jechała, ale tylko tyle.

Dlaczego Helena chciała wyjechać na misję do Boliwii?

Osobiście i generalnie misji nie rozumiem. Parę razy mieliśmy z Helenką na ten temat poważne dyskusje. Uważam, że można zostać w Polsce i tu dawać świadectwo, tu pomagać. W jaki sposób ona na to patrzyła? Widziała przepaść cywilizacyjną między krajami, w których była, a Polską. To była też przepaść intelektualna, mentalna. Ludzie w Afryce są mało świadomi swoich możliwości, bezradni wobec swojego życia i w związku z tym kierowani przez innych. Helena chciała pomóc tym ludziom odnaleźć niezależność, świadomość siebie. Chciała pomagać dzieciom. Pokazać, w jaki inny sposób można żyć, kim jest Bóg. Chciała, by dzieci myślały samodzielnie, by mogły pokierować swoim życiem inaczej niż ich rodzice. Na moje argumenty, że można zostać w Polsce i pomagać, że jest u nas sporo ludzi, którzy w tej chwili odchodzą od wiary, ona mówiła: owszem, ale jak wrócę stamtąd, to być może moje świadectwo przemieni też tych, co są tutaj. Chciała opowiedzieć o miłości do Boga, miłości, która gotowa jest powodować takie rzeczy jak wyjazd na misje.

Różniliście się w tym sposobie patrzenia na misje. Czy w związku z tym próbowałeś ją przekonać, by nie jechała?

Nie. Zdecydowanie nie. Ona czuła, że chce jechać do Boliwii, że powinna. Nigdy jej od tego nie odwozili. Nawet z takiego czysto racjonalnego powodu: gdybym to zrobił, ona miałaby do mnie o to żal. I ja do siebie też. Nie można czegoś takiego robić drugiemu człowiekowi, a szczególnie wtedy, kiedy temu drugiemu tak bardzo na czymś zależy. Po drugie, wchodzić między nią a Pana Boga? Nie odważyłbym się. Wierzę, że miała tam pojechać. Wierzę mimo tego, co się wydarzyło. Wierzę, że jest jakiś ciąg dalszy tej historii.

Co to znaczy, że nie chciałeś wchodzić między nią a Pana Boga?

Co ja czułem? Kiedy ją poznałem, było to dla mnie niepojęte, że w ogóle można tak bardzo kochać Boga. Ona była pierwszą osobą, z którą faktycznie tak dużo rozmawiałem na ten temat, bo Helena pokładała w Nim całą ufność. Stąd też, z tej ufności właśnie, wynikała jej duża radość życia na co dzień. Nawet jeśli coś skręcało na boczne tory, nie działa się po naszej myśli, ona wiedziała, że Pan Bóg wyciągnie z tego dobro.

A Helena miała swoje boczne tory?

Każdy je ma.

Na przykład? Kiedy była smutna, bezradna, zdenerwowana?

Dwie rzeczy w tej chwili przychodzą mi do głowy. Jedna związana z jej posłaniem do Boliwii. Miałem zawieźć ją na lotnisko. Z Anitką. Dwa dni wcześniej zachorowałem dość poważnie, coś w rodzaju zapalenia płuc. Helenka miała

z tym duży problem. Była wrażliwa, więc zdarzało jej się płakać. Przyszła wtedy do ks. Wojtka, dzień przed posłaniem, cała zapłakana. To może jest odpowiedź na wasze pytanie. To jest smutek. Fajne było to, że modliliśmy się wspólnie: ja, Helena, ks. Wojtek i następnego dnia byłem kompletnie zdrowy. Zawiozłem ją do Trzebini. Kolejna rzecz. Ona była niezwykle wrażliwa na krzywdę drugiego. Kiedy komuś się coś działo, pierwsza gotowa była pomóc. I jeszcze jedno. Helena reagowała na złe opinie na temat wiary, Kościoła. Kiedyś na portalu społecznościowym wdała się w dyskusję z jakąś zacietrzewioną feministką. Kiedy tamta zablokowała wpisy Heleny i zaczęła je usuwać, Helena naprawdę się zirytowała.

Boliwia i co dalej? Jak to widziała Helenka?

To prosta odpowiedź. Chyba się domyślacie. To miała być jej ostatnia misja.

Ze względu na Was?

Na początku nasze relacje wyglądały tak: gdzieś się chodziło, dużo rozmawiało itd. Pewnego dnia mieliśmy rozmowę na temat szczęścia. Pytaliśmy siebie nawzajem o to, co daje szczęście. W pewnym momencie zwróciłem się do niej z pytaniem: czy ty jesteś szczęśliwa? Ona odpowiedziała, że tak, ale brakuje jej jeszcze czegoś. Wtedy rzuciłem następne pytanie: jeśli tak bardzo kochasz Pana Boga, dlaczego nie pójdziesz do zakonu? I ona odpowiedziała, że czuje, iż ma inne powołanie. Nie do życia zakonnego, ale do życia w rodzinie, do małżeństwa i macierzyństwa. To było największe jej marzenie. Marzenie niespełnione.

Co poczułeś, gdy usłyszałeś taką odpowiedź?

Ucieszyła mnie! Jak najbardziej. My pod wieloma względami byliśmy bardzo podobni. Dziś zostałem z tym samym marzeniem. Na razie niespełnionym.

Czy Helena wprost mówiła o tym, że to jej ostatnia misja?

Nie. Znam tę wersję z opowiadań Anitki. Wiem, że będąc już tam w Boliwii, rozmawiały na ten temat. Helenka wiedziała, iż nie da się pogodzić wyjazdów na misję z zakładaniem rodziny. Sam też to wiedziałem. Tyle.

Co Helenka mówiła o swoich planach na przyszłość?

Jeśli chcesz rozśmieszyć Pana Boga, to mu o nich opowiedz. Boliwia to była czwarta misja Helenki. Przeświadczenie, że powinna jechać, narodziło się w niej podczas rekolekcji ignacjańskich. Wcześniej gryzło ją to, co ma robić ze swoim życiem. Była już trzy razy na misjach, miała pracę... Nie wiedziała, co robić dalej ze swoim życiem. Kiedy miała już pewność, że ma jechać do Boliwii, poczuła spokój i radość. Wróciła z tych rekolekcji ignacjańskich cała w skowronkach i stwierdziła: jadę na misję!

Czy ona w jakiś sposób konsultowała z Tobą tę decyzję?

Nie. Ta decyzja, że tak powiem, była w pakiecie z Helenką. Wiedziałem, że ona jedzie. To nie podlegało dyskusjom, zmianom.

Czy mieliście wspólne plany?

Zależy, o co pytasz. Teraz nie chcę o tym mówić.

Czy pamiętasz, o czym rozmawialiście, kiedy ona była już tam, na miejscu, w Boliwii?

[cisza]

Rozmawiamy dalej?

Myślę, jak to opowiedzieć... Wydaje mi się ważne. Planowałem do niej pojechać. Prosiła, żebym tego nie robił, że nie będzie mogła się skupić na swoich obowiązkach, na tym, po co tam pojechała.

Czy ten argument Cię przekonał?

On był najważniejszy. Przekonał mnie. Kwestie finansowe i urlopowe mnie nie przekonywały. Jej misja to była misja dla Pana Boga. Tyle. A jeśli chodzi o nasze rozmowy, to kontaktowaliśmy się codziennie.

[cisza, wzruszenie]

Raz w tygodniu rozmawialiśmy na Skypie. Z trzysekundowym opóźnieniem, więc było wesoło.

O co ją pytałeś?

O to, czy jest szczęśliwa. Mogę powiedzieć, że była, że w stu procentach była. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak szczęśliwej. Była blisko Pana Boga, mogła Mu służyć, ja byłem w bliskiej perspektywie. Co tu mówić: najszczęśliwsza kobieta na świecie. Miała ciężką, fizyczną pracę, ale była wśród dobrych ludzi. Bardzo lubiła dzieci i nie mogła się doczekać, kiedy będzie się nimi zajmowała. Jeszcze raz: to wszystko dawało jej prawdziwe szczęście.

Jak tam, w Boliwii, wyglądała jej przyjaźń z Anitą?

One obie ogromnie cieszyły się na ten wyjazd. Ich przyjaźń w Boliwii stawała się czymś jeszcze głębszym, czymś szczególnym. Z relacji Helenki wiem, że w tym czasie bardzo się ze sobą zżyły. Pracowały razem, śmiały się, śpiewały. I obie były zaskoczone warunkami, które tam na nie czekały.

To znaczy?

Misje wielu z nas kojarzą się z pewnymi sytuacjami: „Ubrudź się, zmęcz i zamieszkaj w dziczy”. W Boliwii były naprawdę bardzo dobre warunki, choćby to, że każda z nich miała oddzielny pokój, wyremontowany, umeblowany. Helenka mówiła, że wręcz krępują ją tak dobre warunki.

Wróćmy do Anity.

Helena i Anita już wcześniej się przyjaźniły, ale tam, w Boliwii ta relacja nabrała szczególnego znaczenia. Była piękna. Anita do dziś mówi, że ten czas zawsze będzie jej się kojarzył z ogromną radością. One tam cały czas chodziły roześmiane. Dużo i ciężko pracowały.

Narzekały?

Na pracę? Absolutnie. Jedyne, co pamiętam, to jakąś sprawę z prysznicem, jakieś głupstwo. I robaki były, ale z tym sobie też radziły.

Czy Helenka była dumna z tego, że ich projekt dobiegał końca? Sale prawie pomalowane, zabawki zgromadzone.

Czy to duma? Helenka miała bardzo rozwinięte życie duchowe. W swojej pracy nie widziała powodów do dumy. Czowała się szczęśliwa, Zachwycała się też przestrzenią, kolorami. Najbardziej cieszyła się na możliwość kontaktu z dziećmi. Czekwała na nie.

Podarowałaś Helenie szczególny prezent na wyjazd. Opowiedz o tym.

Wraz z grupą przyjaciół przygotowaliśmy płytę, na której były nagrane Ewangelie ze wszystkich niedziel i świąt, na te kolejne pół roku. Zebraliśmy się w paru przyjaciół i nagrywaliśmy. Rodzice też się nagrali. Na koniec, kto chciał,

mógł przekazać życzenia. Schola do tej płyty dorzuciła swoje prezenty.

Czy przekazaliście sobie jakieś osobiste prezenty?

Zostawię to dla siebie.

W sensie duchowego testamentu: myśl, zdanie, przesłanie. Co zostawiła Ci Helenka?

Mam jej zdjęcie w portfelu, zdjęcie w telefonie. Ją samą cały czas gdzieś z tyłu głowy.

[cisza]

Pierwsze, co mi dała, to dużo, dużo wiary w Pana Boga. Kolejna rzecz to by żyć w stanie łaski uświęcającej. Dalej: radość ze wszystkiego jak leci – akurat tego muszę się nauczyć. Mam nadzieję, że ta umiejętność do mnie przyjdzie. Jednak przede wszystkim dała mi Pana Boga. A i ludzi. Aktualnie mam ich obok siebie dość sporo. Co do Pana Boga, zanim poznałem Helenkę, moja relacja z Nim była niedzielna. On gdzieś tam był zawsze, ale to była relacja na zasadzie: okej, wiem, że istniejesz, więc w niedzielę jestem w kościele. Helenka pokazała mi, kim Bóg naprawdę jest, jak może wyglądać relacja z Nim i co jest w życiu najważniejsze.

Czy wydarzenia z Boliwii nie zachwiały w Tobie tej nowo odkrytej relacji?

[cisza]

To jest moja deska ratunkowa... Choć przyznam, że jestem też na etapie, na którym się z Nim nie zgadzam, ale chcę Mu zaufać. Wierzę, naprawdę wierzę, że On to poukłada, że będą z tego owoce. Czasem widzę bardzo wyraźnie, że to się już dzieje. Choćby to, jak wielu ludzi po jej śmierci zaczyna inaczej patrzeć na własne życie, to jest coś duże-

go. Widzę, co się dzieje wśród moich znajomych. Nagle zaczynają na pewne rzeczy patrzeć inaczej. W Internecie po śmierci Heleny pojawiło się jej zdjęcie z gitarą i napis: „Podejmij wyzwanie”. To właściwie kolejna rzecz, którą ona mi zostawiła.

Co masz na myśli?

Mimo mojej działalności w „Watrze”, a także w innych obszarach, mimo mojego wydawałoby się działania, czasem brakowało mi odwagi. Helena miała ją zawsze i wszędzie. „Podejmij wyzwanie” – te słowa były jej mottem. To wyzwanie nie dotyczy tylko rzeczy wielkich, ale czasem prozy życia codziennego. Nigdy w życiu nie wyszedłbym w kościele na środek, by zaśpiewać psalm. Po jej śmierci wyszedłem.

Konkretne zamieszanie, prosto z nieba.

Dokładnie. Zamieszała. I to bardzo. W całym Kościele, w Wolontariacie.

Kiedy po raz ostatni rozmawialiście?

W niedzielę. W poniedziałek, przed śmiercią, Helena źle się czuła. Miała jakieś problemy żołądkowe. Nie miałem od niej żadnej informacji. A w niedzielę? Radosna jak zawsze. Przeszczęśliwa dziewczyna.

W jaki sposób dowiedziałeś się o śmierci Helenki?

Od jej rodziców. Przyszedł mail: „Nasza Helenka jest już w niebie. Została zamordowana o drugiej w nocy”.

Maila można dziś odczytać wszędzie. Gdzie zastała Cię ta wiadomość?

W drodze do mojego rodzinnego domu. Jechała ze mną mama. I to na pewno było Boże prowadzenie, bo normalnie nie jeżdżę z mamą. To nie była typowa sytuacja. Jechałem do domu. Musiałem zrobić pranie, coś takiego. Maila odczytałem już w pobliżu domu.

Mama była przy Tobie.

Tak. Normalnie powinienem wtedy siedzieć sam w pokoju, po pracy, a byłem wśród bliskich.

W mailu nie było napisane, co się wydarzyło.

Nie, nie było napisane. Wiedziałem, że została zamordowana. Tyle.

Ta wiadomość to ładunek emocji.

Gniewu dotąd nie było. Tylko smutek. Jak już mówiłem: jeśli chcesz rozśmieszyć Pana Boga, opowiedz Mu o swoich planach. Ja opowiedziałem i nagle moje życie zostało wywrócone do góry nogami, a piękne życie Helenki zostało zniszczone. Okazało się, że może to zrobić jeden człowiek w jednej chwili. Nagle wydarza się tyle zła. To była rzecz, która mną najbardziej wstrząsnęła. Skala zła, przerwane życie, nieobecność, odcięcie, to, że kogoś w jednej chwili nie ma...

Myślałeś o sprawcy?

Bywa, że zapominam, iż stał za tym jakiś konkretny człowiek. Moje myśli koncentrują się wokół zła, które się wydarzyło. Tam musiał działać Zły, bo tego normalny człowiek... Zresztą ten chłopak podobno nic nie pamięta.

Nie ma w Tobie złości na niego?

Nie.

Czy po śmierci Helenki kontaktowałeś się z Anitką?

Tak. Otoczyliśmy ją wszyscy dużą troską. Bardzo się o nią martwiliśmy. Baliśmy się o to, w jaki sposób Anitka sobie z tym poradzi, jak to przeżyje. Widziała swoją przyjaciółkę w kałużach krwi, w ostatnich chwilach jej życia, to musi zostawić ślad w człowieku. To jest ogromna trauma. Kiedy Anitka była w Boliwii, byliśmy cały czas w kontakcie. Czasem przez Skype'a modliliśmy się z nią, czasem wspólnie śpiewaliśmy. My po tej stronie, ona po tamtej. Opóźnienie trzy sekundy, więc to było ciekawe doświadczenie, ale staraliśmy się trzymać cały czas blisko niej. Aktualnie Anitka bardziej troszczy się o mnie niż ja o nią. To bardzo odważna dziewczyna. Bardzo.

Helenka połączyła teraz Wasze drogi.

Tak jak ze wszystkimi, z którymi teraz przeżywamy te wydarzenia, którzy ją znali. Teraz jesteśmy razem.

Opowiadasz, jak sobie z tym radzisz, a czy był moment, w którym sobie nie poradziłeś?

Był. Trzy tygodnie temu. Rzuciłem się w wir pracy, w wir zaangażowania. We wszystko się rzuciłem. Okazało się, że emocji nie można uciszyć. Nie mogłem ich stłumić. Po prostu jak to raz w człowieku pęknie... Pękło. Nikomu nie życzę przechodzić przez to, przez co ja przeszedłem. Mam za sobą bardzo trudny czas. Pewne rzeczy można sobie próbować poukładać, wytłumaczyć, można się zacząć z Panem Bogiem układać, ale zostaje coś bardzo ludzkiego...

Tęsknota?

Dokładnie. To mój stan.

[cisza]

Jak żyje się z pytaniem „dlaczego”?

Wiem, że tego, co się wydarzyło, nie pojmę. Pan Bóg nie zsyła śmierci, nie zsyła zła. To mnie rozbija, jak słyszę, że Pan Bóg tak chciał. To nie jest możliwe. Ja nie w takiego Pana Boga wierzę.

Czy masz kontakt z rodzicami Helenki?

Cudowni ludzie. Wcześniej mieliśmy dobry kontakt ze sobą, więc teraz to pewnie wiele ułatwia. Mama Helenki jest inżynierem budowlancem i katechetą. Ciekawe połączenie. Oboje z panem Janem mają w sobie dużo, dużo Pana Boga. Z Terenią, siostrą Helenki, czasem do siebie piszemy. Ona też mężnie to znosi. Pan Bóg daje czasem taką łaskę, że naprawdę jesteśmy w stanie żyć... Myślę, że to jest też bardzo ciekawe: każdy z nas opowiada teraz o innej Helence.

To znaczy?

Rodzice opowiadają o córce; przyjaciele o szalonej, młodej, zaangażowanej dziewczynie z ul. Lutyckiej. Dla mnie zawsze pozostanie kobietą, kimś bardzo świadomym swojej kobiecości. Nie chodzi tylko o relacje, które mnie z nią łączyły. Ona miała taki niesamowity dar, że nie odkrywała siebie całej do końca. Ona pozwalała się poznawać. Była w niej jakaś tajemnica. Każdy kolejny dzień z nią, każdy tydzień, to było coś bardzo dużego, coś na serio! Miała ogromny szacunek do samej siebie, co było widać chociażby w kwestii jej podejścia do czystości przedmałżeńskiej. Ta kobiecość przejawiała się nawet w chodzeniu w spódnicach. Naprawdę rzadko ją można było spotkać w spodniach! I nieważne, że jest minus 20°C na dworze, Helenka w rajstopkach i sukience. A że była piękna przy okazji, to inna historia. Historia, która mnie ogromnie cieszyła.

Kiedy słyszysz „święta”, co myślisz?

Powiem kolokwialnie: no spoko! Kiedyś świętość była dla mnie czymś abstrakcyjnym. Słyszałem, że trzeba brać przykład ze świętych, żyć tak jak oni, ale nic z tego nie rozumiałem. Teraz zmieniam zdanie. Naprawdę da się żyć „po świętemu”. Helenka przede wszystkim wykorzystywała swoje talenty dla sprawy drugiego człowieka i dla Boga. Pokazała, że można żyć z Bogiem i cieszyć się zwykłymi rzeczami, życiem, mieć swoje zainteresowania, pasje. Można wyjść na ściankę, pochodzić po górach, grać, śpiewać, robić dobro. Dla mnie Helen była świętą, zwyczajną dziewczyną. Nawet ja jestem tego potwierdzeniem: w końcu miała chłopaka! Ludzie powinni się o niej dowiedzieć. Powinni ją zobaczyć, poznać. Ona pięknie żyła. Pokazała, że można.

Wierzysz, że się jeszcze spotkacie?

Nie zastanawiałem się nad tym. Teraz trwa żałoba. Bywa ciężko. Wiem na pewno, że Helen chciałaby dla nas wszystkim, żebyśmy byli szczęśliwi, żyli, dalej szli do przodu.

Gliwice, marzec 2017

ANNA I MICHAŁ TEMPIŃSCY

NASZA CÓRECZKA
JULIA HELENA

Od 2010 roku są małżeństwem. Ania: z wykształcenia energetyk. Michał: architekt IARP. Razem prowadzą firmę projektową PROPAGITA, która działa w kilku segmentach: architektury, grafiki, modelowania 3D, designu.

Wasze spotkanie z Heleną...

Michał: Helenkę spotkałem na pieszej pielgrzymce do Częstochowy. Byłem jeszcze na studiach, a ona w liceum. Pełniliśmy wtedy posługę muzycznych: ona w grupie libiąskiej, a ja chrzanowskiej członu VII Krakowskiej Pielgrzymki. I to były coroczne okazje do naszych spotkań. Wtedy też dowiedziałem się, że Helenka uczy się za granicą. Jakie więc było moje zdziwienie, gdy jesienią 2009 roku zobaczyłem ją w katedrze gliwickiej św. Piotra i Pawła na mszy św. na początku roku akademickiego.

Udało Wam się wtedy porozmawiać?

Michał: Po mszy św. razem z moją narzeczoną Anią wyszliśmy bocznymi drzwiami – w tamtym kierunku Helenka odchodziła po Komunii św. Jednak tam jej nie było. Wtedy pomyśleliśmy: może stoi przed głównym wejściem? Szybko tam pobieглиśmy. Było bardzo zimno. Stała i czekała na nas, jak zwykle nieco zmarznięta. Wymieniliśmy kilka słów. Te dwa zdziwienia: i nasze, i jej były bardzo duże, ale jeszcze większa była radość. Helenka szybko zdradziła nam, że

właściwie nikogo tu nie zna. Od razu zaprosiliśmy ją do Ani do akademika na herbatę. Jednak tego wieczoru było już dość późno. Zaprosiliśmy więc Helenkę na obiad, herbatę, kolację – cokolwiek, w dogodnym dla niej terminie. Zaproszenie przyjęła i niebawem po raz pierwszy pojawiła się w Domu Studenckim Strzecha. Potem była już u nas stałym bywalcem.

Ania: Moje spotkanie... Po raz pierwszy spotkałam Helenkę na pieszej pielgrzymce do Częstochowy, kiedy to posługiwaliśmy jako muzyczni. Niestety za bardzo nie pamiętam Helenki z tamtego czasu. Wiele osób było wtedy dla mnie nowych.

Może jednak jakieś wspomnienie, migawka w pamięci?

Ania: Jedna. Była dziewczyna, która miała strasznie popękane palce od gry na gitarze, więc wszystkie były zabandażowane, a może oklejone plastrami, a ona nadal szła i grała, nie zważając na ból. Wiem, że to była właśnie Helenka. Tak naprawdę poznałyśmy się już w Gliwicach, gdy na wspomnianej mszy św. dostrzegłam nagle, że mój narzeczony Michał, który posługiwał księdzu z pateną przy Komunii św., ma dziwny wyraz twarzy. Zawiesił się, gdy stanęła naprzeciw niego jakaś dziewczyna. Po kilku sekundach ona odeszła, a on się otrząsnął. Czekałam, aż msza św. się skończy, by zapytać, kto to był. Michał mnie jednak uprzedził. Gdy wyszedł z zakrystii, chwycił mnie za rękę i pociągnął do bocznego wyjścia, bo w tamtym kierunku odchodziła Helenka. Zapytałam: jaka Helenka? Szybko wyjaśnił, że to ta znajoma muzyczna z pielgrzymek. Miał cały czas wymalowane zdziwienie na twarzy i jakby wypisane pytanie: „Skąd ona się tu wzięła? Przecież uczyła się za granicą, więc co tu robi w naszych Gliwicach?”. Ucieszyłam się, gdy

Helenka czekała na nas przed kościołem i gdy mogliśmy ją zaprosić do mnie. Jakoś tak od razu poczułam, że chcemy ją przygarnąć. Sama dobrze pamiętałam to uczucie, gdy nikogo nie znałam w Gliwicach. Tamten bardzo zimny dzień dał ciepły i radosny początek naszej znajomości.

Jak wyglądało Wasze studenckie, ale jednak już narzeżeńskie życie?

Ania: Mieszkaliśmy w akademikach, w miasteczku, a Helenka w centrum Gliwic, więc na uczelnię i do miasteczka akademickiego miała dość daleko. Jakoś tak naturalnie stała się u nas częstym bywalcem, zaglądała do nas w okienkach między zajęciami czy po zajęciach, a przed wieczorną mszą akademicką u św. Michała Archanioła. Widziałam, że cieszy się z tego naszego wspólnego czasu. Przychodziła do Strzechy sama. To była jesień, a Helenka zazwyczaj była za skromnie ubrana i zmarznięta. Cieszyłam się, że mogę czekać na nią z ciepłą herbatą i ciepłym swetrem.

Czym wypełnialiście ten wspólny czas z Helenką?

Ania: Jedliśmy coś wspólnie. Często były to naleśniki, wszyscy w trójkę je lubiliśmy, albo makarony – studencki wikt. Rozmawialiśmy o sprawach dnia codziennego, co u nas, co u niej. Szybko nawiązała się rozmowa o potrzebie posługi muzycznej na mszach św. w tygodniu. Będąc członkiem KZA [Katolicki Związek Akademicki – przyp. red.], raz w tygodniu wraz ze znajomymi Anią Nykiel i Markiem Szafrąncem tworzyliśmy oprawę muzyczną mszy św. Zapytałam, czy może Helenka chciałaby do nas dołączyć. „Chętnie” – odpowiedziała. Tego dnia zeszła ze mną na dół, do salki, na próbę. Tak zaczęło się nasze wspólne śpiewanie i jej granie na mszach, już nie tylko na jednej w tygodniu, a w większość dni. Pewnego dnia, po kilku dobrych tygo-

dniach, ks. Wojciech, nasz duszpasterz, czekał na nas po mszy i gdy chowałyśmy sprzęt grający i śpiewniki, podszedł i powiedział: „Fajnie, że wam się chce”. Czekał, by sprawdzić, czy to nie będzie słomiany zapał. W poprzednich latach bywało już tak, że początki były mocne i regularne, a potem powoli posługa muzycznych się kończyła. Tym razem było inaczej, ku naszej wspólnej radości. W tamtym czasie nauczyłam się wielu nowych pieśni i rozwinęłam, śpiewając wspólnie z Helenką. Ona w tym śpiewie była zawsze taka skromna, nie narzucała się, ale w jakiś piękny sposób pociągała za sobą.

Śpiewanie było przestrzenią, w której budowała się Wazsa przyjaźń?

Ania: Również. Pewnego dnia Helenka powiedziała mi, że chce iść na przesłuchanie do szkoły muzycznej, i zapytała, czy pójdę z nią. Oczywiście, że chciałam jej towarzyszyć. Byłam co prawda nieco zaskoczona, wiedząc, że już w wielu miejscach podjęła różne swoje działania, i martwiłam się, jak ona sobie poradzi czasowo, jak pogodzi to wszystko. Wiem też, że i ona miała jakieś obawy w tym zakresie, ale pragnienie było od nich większe. Chyba pierwszy raz widziałam ją tak zestresowaną. Obawiała się, że nie zdążyła się przygotować od strony teoretycznej, że miała sporą przerwę praktyczną. Była jakoś tak siebie niepewna. Gdy stałyśmy na korytarzu, czekając na jej kolej, i słuchałyśmy kolejnych osób, które wychodziły i dzieliły się tym, jakie były pytania, stwierdziłam, że idziemy stamtąd do jakiegoś spokojniejszego miejsca, bo napięcie było strasznie duże. Usiadłyśmy na schodach i czekałyśmy w spokoju. Podzieliła się wtedy ze mną swoimi wątpliwościami, a ja próbowałam dodać jej otuchy. Wierzyłam w nią. Wierzyłam, że sobie poradzi i że Duch Święty ją poprowadzi.

To zapewne był ważny moment dla Helenki...

Ania: Cieszę się, że byliśmy tam razem. Wspólnie spędziłyśmy kilka godzin, czekając na jej kolej. To nas bardzo zbliżyło do siebie. Gdy wyszła z egzaminu, odetchnęła. Pozostało nam czekać na wyniki, ale była spokojna. Poszliśmy na krótki spacer i rozeszliśmy się do swoich obowiązków. Gdy napisała SMS-a, że się udało i dostała się do szkoły – bardzo ucieszyliśmy się z Michałem, choć miałam świadomość, że odtąd będziemy widywać się z nią rzadziej.

Czy Helena była obecna na Waszym ślubie? Trudno nie zapytać, czy zaśpiewała?

Michał: Oczywiście było dla nas to, że poprosimy Helenkę, by zaśpiewała psalm na naszym ślubie. Miało to miejsce 17 kwietnia 2010 roku, czyli po pół roku naszego wspólnego studenckiego życia. Przez ten czas Helenka zdążyła się już wciągnąć w społeczność uczelnianą i wspólnotę duszpasterską, ale dla nas zawsze miała czas. Często po mszach akademickich spotykaliśmy się w grupie znajomych, czy to u nas w Strzesze, czy w Rzepisze, aby posiedzieć, pogadać. Spotykaliśmy się też na wieczorach filmowych w Centrum JP II. Potem odprowadzaliśmy się wzajemnie, aż na końcu chłopcy odprowadzali Helenkę, bo ona mieszkała najdalej. Spotykaliśmy się również przy okazji organizowania swoich urodzin. Grywalismy często w grę TABU. Helenka była w tej grze wyjątkowo dobra. Śmiechu było co niemiara i ogromna satysfakcja bycia z nią w drużynie – zazwyczaj wygrywającej.

Ania: Helenka współorganizowała też mój wieczór panieński, w Rzepisze. Razem z Agnieszką, Asią i Madzią stworzyły plażę, hawajskie stroje, kwiaty i namalowały palmę! Nieco wcześniej chłopcy zorganizowali w Centrum JP II

dla dziewczyn z naszej paczki Dzień Kobiet. Pamiętam, że choć był to wieczór wielkiego zaskoczenia dla nas – ponieważ zrobili to wszystko w głębokiej konspiracji – i wielkiej radości, Helenka była nieco smutna, przygaszona. Gdy przeglądam zdjęcia z tamtego czasu, widać na nich, że coś jest „nie tak”. Dziś wydaje mi się, że była samotna, że nie do końca jeszcze wtedy wiedziała, „kim jest i jaka jest jej droga”. Pamiętam ją z tamtego czasu dość zamyśloną, często smutną, poszukującą... Kiedy zaczęła odnajdywać swoje miejsce we wspólnocie, społecznościach, kiedy rozwijała swoje talenty – wtedy odnalazła sens i rozpromieniała się z tygodnia na tydzień!

Michał: Helenka na naszym ślubie śpiewała psalm, ale była podczas tego dnia chwila, z której będziemy pamiętać ją najbardziej. I cała sala gości również. Mniej więcej godzinę przed oczepinami wybiło nam na sali bezpieczniki. Na tyle poważnie, że ciemność i brak nagłośnienia towarzyszyły nam przez półtorej godziny. Mieliśmy gitarę przygotowaną na czas podziękowań dla rodziców, wpadliśmy więc na pomysł, by ją wykorzystać w tym bezprądnym czasie i od razu z tym pomysłem poszliśmy do Helenki. Zaczęła grać razem z Markiem Szafranem, najpierw naprzemiennie, a potem wspólnie – tzn. ona trzymała chwyty, a on wybijał rytm kolejnych piosenek. I tak przy blasku świec prawie przez godzinę prześpiewaliśmy wszystko, co nam przyszło na myśl. Mamy kilka zdjęć z tego czasu, najbardziej klimatycznych i wyjątkowych dla nas.

Ania: Do dziś wszyscy wspominamy te chwile jako najlepszy moment całego naszego wesela. Wszystko dzięki naszym przyjaciółom i całej młodzieży, która wypełniła salę śpiewem, klaskaniem i radością.

W tym czasie, kiedy zaczęliście przyjaźnić się z Helenką, w jej życiu pojawił się temat Wolontariatu Misyjnego. Co Helenka mówiła o misjach?

Ania: O tym, że Helenka należy do WMS-u, i o tym, czym jest ten Wolontariat, dowiedzieliśmy się chyba dopiero wtedy, gdy szykowała się do wyjazdu wakacyjnego na misje do Afryki. To była dla nas duża niespodzianka – a z drugiej strony kto miałby tam pojechać jak nie Helen! Z uwagi na to, że Helenka zaczynała studia wtedy, kiedy my je kończyliśmy, podtrzymywaliśmy nasz kontakt drogą mailową. Tak też było, kiedy wyjechała do Zambii. Obiecałyśmy sobie, że będziemy pisać, choć Helenka nie wiedziała, czy na miejscu będzie miała dostęp do Internetu. Ja jednak uznałam, że raz w tygodniu będę pisała, co u nas, by czuła, że tu o niej myślimy.

Zatem o czym w tych mailach opowiadała Helenka?

Ania: Helen pisała najpierw o tym, jak wyglądają jej obowiązki, jej życie na co dzień, o tym, jak szykuje materiały i szuka sposobów, by dotrzeć do chłopców, których ma uczyć. Pisała również o spędzaniu wolnego czasu, o popołudniach i wieczorach, kiedy nie licząc się z upływającym czasem – bo tam nikt nie ma zegarka – wspólnie śpiewali. Pisała, że chłopcy świetnie tańczą, brawurowo grają w piłkę nożną. Pamiętamy historie o polowaniach na szczury.

To jedna z wiadomości od niej: „Zgodnie z planem pojechaliśmy w trójkę na farmę i byliśmy tam ponad tydzień. Farma jest cudownym miejscem. Nie ma tam prądu i w nocy widać pięknie Drogę Mleczną rozciągniętą nad głową... Wokół jest busz, teraz w porze suchej w dużej części spalony, ale wciąż dziki i intrygujący. Jedną z ulubionych rozrywek chłopaków na farmie jest polowanie na szczury. Chodzą

z psami i z kopaczką do buszu, znajdują miejsca, w których są szczury (w zasadzie to takie dzikie myszki), i łapią je, po czym nabijają na drut, pieką i... zjadają. Podobno całkiem to smaczne, chociaż nie miałam okazji spróbować, ale może jeszcze mi się uda. Choć ja nie traktuję tego raczej jako wymarzony przysmak, bardziej jako coś z listy dziwnych i niesamowitych doświadczeń, które trzeba spróbować, jak się już ma taką okazję...”

Ania: Helenka zapewniała, że nadejdzie dzień, w którym i ona spróbuje tego ich przysmaku pieczonego na ognisku.

Michał: Była również opowieść o poszukiwaniu chłopców, którzy uciekli z farmy na ulicę, o tym, jak wolontariusze zapuszczali się w najbardziej niebezpieczne ulice miasta, by ich poszukiwać, i o tym, że Helenka czuła się bezpieczna w obstawie starszych chłopców z farmy – nazywała ich swoimi bodygardami. Może dlatego to pamiętam, bo się o nią martwiłem, a jednocześnie podziwiałem jej odwagę. Opowiadała, jak opatrywała chłopców znajdujących na ulicy – tych, którzy nie chcieli stamtąd odejść, którym tylko w ten sposób mogła pomóc – doraźnym działaniem. W nadziei, że kolejnym razem może zdecydują się pojechać z nią na farmę.

Ania: Helen była zachwycona Afryką, tamtejszymi ludźmi, tym, że wzajemnie poświęcają czas na to, co najważniejsze, czyli na budowanie relacji i więzi. Wiemy, że trudno było jej się rozstawać z ludźmi, gdy szykowała się do powrotu do Polski. Tam też zostawiła kawałek swojego serca.

Kolejna wiadomość od Helenki: „Z dnia na dzień, wydaje się, że czas mija tu bardzo wolno, bo nikt nigdzie się nie spieszy, na wszystko jest czas, ja rzadko w ogóle korzystam z zegarka.

Jednak teraz, z perspektywy już połowy wyjazdu, wydaje mi się, że przyjechałyśmy dopiero kilka dni temu. I tak samo, mimo że dzień powrotu wydaje się taki odległy, wiem, że te pozostałe 4 tygodnie upłyną równie szybko jak te pierwsze. Dlatego staram się korzystać z każdej chwili, która jest mi dana, spędzać jak najwięcej czasu z chłopakami, chłonąć to wszystko, co jest wspaniałe, wyjątkowe i na pewno pozostanie na zawsze w sercu :)”.

Potem była Boliwia. Jak wyglądało Wasze ostatnie spotkanie, tuż przed wyjazdem Heleny?

Ania: Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce w październiku, gdy Helenka odwiedziła nas z Michałem. Mieliśmy wtedy okazję poznać go bliżej i wspólnie porozmawiać, nacieszyć się sobą. Więcej czasu wspólnie udało nam się spędzić miesiąc wcześniej, we wrześniu, podczas naszej parapetówki połączonej z urodzinami, które są coroczną okazją do spotkań naszej paczki z duszpasterstwa. Było kilkanaście osób. Helenka przyjechała spóźniona, bo prosto z drogi. Nasi znajomi pojechali po nią do Sosnowca na dworzec PKP, by przyspieszyć jej przyjazd do nas. Gdy przyjechała, przywitała się ze wszystkimi i usiadła tuż obok mnie, tuląc się, a właściwie najbardziej to przytulała mój brzusek. Byłam wtedy w czwartym miesiącu ciąży, która dla nas i naszych najbliższych była wielką radością. Helenka miała swój szczególny udział duchowy w moim byciu przy nadziei.

To znaczy?

Ania: Zaprosiła nas na wspólną pielgrzymkę do Jerozolimy na Triduum Paschalne i Wielkanoc. Polecieliśmy w sześć osób, z wieloma intencjami, a my z Michałem z intencją o szczęśliwe poczęcie dzieciątka dla nas. Choć nie mieli-

śmy tego w planach pielgrzymki, udało nam się – za sprawą pewnego polskiego księdza i jego kilku znajomych (to były osoby świeckie), których tam poznaliśmy – pojechać w Wielką Sobotę do Betlejem. Tam, w Grocie Mlecznej, modliliśmy się szczególnie o dar rodzicielstwa dla nas. Pamiętam, jak Helenka tak mnie popychała delikatnie, bym poszła przed obraz Matki Bożej, bliżej... i bliżej... Mnie chyba brakowało wiary... Ale nasi znajomi, w tym Helenka, wierzyli i ufali za nas oboje. Niedawno dowiedziałam się, że po powrocie z Jerozolimy Helenka powiedziała do swoich bliskich, w kontekście naszej intencji, coś w stylu: „Będzie z tego dzidzia”.

Wracając do waszego wrześnieowego spotkania...

Ania: Pod koniec parapełówki, gdy musiała się już zbierać do Gliwic, przytuliła się i pobłogosławiła mój brzuszeczek, głaszcząc go jak zawsze czule i pozdrawiając znajdującą się tam dziecinę, mówiąc do niej w taki sposób: „Do zobaczenia, piękna Julio”.

Kiedy Helena była już w Boliwii, miałyście ze sobą jakiś kontakt?

Ania: Podobnie jak podczas misji w Zambii, tak i teraz obiecałyśmy go sobie.

To był telefon, mail, wiadomość na portalu społecznościowym?

Ania: Zdążyłam napisać do niej wiadomość z opowieścią, co u nas, a ona zdążyła odpisać nam na dwa dni przed śmiercią: napisała, jak jest im tam z Anitką w Boliwii. Pisała, że dopiero co wyjechały, a minęły już dwa tygodnie, że czas pędzi. Opisała, jak wygląda ich misyjna codzienność.

Czyli jak?

Ania: Że mieszkały niemalże jak w hotelu, jadły smacznie u sióstr, miały piękne widoki na góry, które były wokół... i uczyły się hiszpańskiego w trybie superprzyspieszonym na żywo. Wspomniała, jak mija im ten czas, że pracują fizycznie i przygotowują miejsce dla dzieci, które wkrótce miały się tam pojawić. Z maila od niej: „(...) naszym głównym zajęciem tutaj będzie pomoc w ochronce dla dzieci w wieku od półtora do pięciu lat, więc od takich, które ledwo mówią, do takich, które mówią dużo i pytają o wszystko. Dzieci będą tu jednak dopiero od początku lutego, bo na razie są wakacje. Jednak pracy nie brakuje! Budynek, w którym mieści się ochronka, jest świeżo wybudowany, więc pierwszy tydzień spędziłyśmy głównie na malowaniu ścian: w kwiatki, pszczołki itd. Po budowie, jak możecie sobie wyobrazić jako eksperci w dziedzinie, został ogromny bałagan i mnóstwo pyłu, więc poza malowaniem jest dużo sprzątanania. W tym tygodniu też segregowałyśmy zabawki (które wcześniej przyniosłyśmy w worach i pudłach z garażu od sióstr); są teraz poukładane w salach i dzięki temu widać już, że to miejsce dla dzieci”.

Nadszedł dzień 24 stycznia 2017 roku.

Michał: Pracowałem jak co dzień, normalnie... Wysyłając jakąś wiadomość do klienta, zobaczyłem mail od Moniki Kostki. Nie miał tytułu i to wydało mi się dziwne, ale zaczynał się słowami: „Mam dla was wiadomość o naszej Helence...”. Czym prędzej ją otworzyłem. Kilkakrotnie przeczytałem, zanim powiedziałem Ani, by podeszła do mnie, bo musi coś przeczytać. Pamiętam, że zawiesiłem się długo nad zdaniem „(...) która pomimo prób ratowania życia zmarła”. Nie mogłem w to uwierzyć.

Ania: Siedzieliśmy wieczorem, pracując przy komputerach. Mąż w pewnej chwili spojrział na mnie dziwnym wzrokiem. Powiedział: „Aniu, podejdź, musisz coś przeczytać, tylko spokojnie...”. Nie potrafił tego wykrztusić z siebie. Dziś wiem, że nie był w stanie. Podeszłam i usiadłam mu na kolanie. Zaczęłam czytać maila przesłanego do naszej paczki od Moniki Kostki z WMS-u. Nie doczytawszy do końca, spojrzałam na Michasia z oczami pełnymi łez. Nie mogłam w to uwierzyć. Przeczytałam jeszcze raz. Mąż spokojnie pomógł mi położyć się na łóżku, próbowałam zebrać myśli, musiałam coś zrobić. Próbowałam dzwonić do Moni, ale nie odbierała. Nie wiem, czy potrafiłabym z nią wtedy porozmawiać, ale musiałam to „usłyszeć” od kogoś, kogo znamy. To było ogromnie trudne. Przed oczami stanęła mi nasza rozmowa z Helenką, podczas której powiedziała, że nie będzie jej, gdy nasza córeczka się narodzi, ale zaraz po powrocie z Boliwii przyjedzie, by poznać Julię. Trudno było mi się pogodzić z tym, że to spotkanie się nie odbędzie... Z kilkoma osobami szczególnie łączyliśmy się w tym radosnym oczekiwaniu na narodziny córeczki, do nich należała również Helenka.

Aniu, byłaś w dziewiątym miesiącu ciąży... Razem z Michałem czekaliście nie tylko na córkę, ale i na pogrzeb przyjaciółki...

Michał: Chcieliśmy być wszędzie, gdzie odbywały się msze św. za Helenkę. Najpierw w Libiążu, potem w Gliwicach, w międzyczasie w Krakowie. Tam Ania należy do małej kobiecej wspólnoty Miriam. Czekaliśmy na wieści o terminie pogrzebu, który był przewidywany na połowę lutego, i dlatego wszyscy nam odradzali uczestnictwo w nim... Ani zostały do porodu trzy tygodnie...

Ania: Gdy znana już była data pogrzebu, ostatecznie postanowiliśmy, że pojedziemy na wieczorne czuwanie do Trzebini w sobotę, w niedzielę na mszę św., a na pogrzeb pojedzie tylko Michał. Na czuwaniu w Trzebini mogliśmy pożegnać się z Helenką, przesłać spojrzenie pełne bliskości jej rodzinie, zobaczyć i przytulić Anitkę, całą i zdrową, współodczuć z wieloma naszymi bliskimi żal i smutek z powodu tej straty. Jednak na pogrzeb już nie dotarliśmy...

Na świat postanowiła przyjść Julia...

Ania: W niedzielę rano wiedziałam, że to już, że zaczęło się... I w dniu, gdy wszyscy jechali na mszę św. pogrzebową Helenki, my jechaliśmy do szpitala na porodówkę. Córeczka urodziła się przed północą. Jak powiedziała nasza przyjaciółka: „Helenka dziś narodziła się dla nieba, Julia narodziła się dla świata”. Nastął dla nas ten wyjątkowy dzień, w którym czuliśmy obecność Helenki. I choć nasza córeczka miała mieć na imię Julia Wanda – po mojej babci – to stało się inaczej. Odczytując znaki czasu tego dnia i mając przeświadczenie, że choć Helence nie będzie dane Julii poznać, a Julia nie spotka cici, to mają ze sobą łączność duchową, zdecydowaliśmy, że nasza córka będzie miała na imię Julia Helena.

Obserwując naszą małą, widzimy, że ceni sobie poczucie wolności. To taka cecha, która zawsze kojarzy się nam z Helenką. Gdy Helen sobie coś postanowiła, chciała coś zrobić, nie miała ograniczeń, była wolna w swoich decyzjach. To może być nasza subiektywna obserwacja, a może to wspólna ich cecha: dopóty jestem wolna, dopóki służę Jezusowi.

Czy dziś Helenka jest w jakiś sposób obecna w waszym życiu duchowym?

Ania: Czasem czuję, jakbym nadal tkwiła w jakimś zawieszeniu, w oczekiwaniu na to obiecane nasze spotkanie... Rzadko myślę o Helenie jak o kimś nieżyjącym. Ona jest wśród nas blisko. Podczas mszy gregoriańskich wielokrotnie wracało do mnie jej świadectwo życia, w kontekście czytań z dnia. Jedno z nich zapamiętałam szczególnie, to o pannach roztropnych i nierozsądnych. Ona była panną roztropną. Ona była czujna, była cierpliwa, oczekiwała. Wzdycham do Helenki w takich moich zwyczajnych codziennych sprawach, szczególnie w chwilach, gdy brakuje mi cierpliwości i łagodności w opiece nad córeczką. Jedno z uczuć, które jest we mnie, gdy wspominam Helenkę, to poczucie akceptacji siebie, akceptuję siebie taką, jaka jestem. Właściwie to nawet więcej: przyjmuję siebie w całości bez oceniania. Chcę uzupełniać w sobie braki takiej bezwarunkowej miłości, jaką czułam się obdarowana przez Helenkę.

Michał: Są takie sytuacje, gdy proszę Helenkę o modlitwę, o wstawiennictwo. To nie jest nic spektakularnego. Raczej zwyczajne westchnienia w mniejszych codziennych sprawach. Wciąż bardziej modłę się za jej duszę. Jest pewien owoc mojej duchowej łączności z Helenką. Większość mszy gregoriańskich w jej intencji odprawiano rano. To zmusiło mnie – oczywiście w mojej wolności – do powrotu do regularnego uczestniczenia w porannej mszy św. I tak już od tamtego czasu zostało.

Zostaliście poproszeni o wykonanie projektu nagrobka Helenki. Jaka idea Wam przyświecała?

Michał: Gdy zaproponowano nam wzięcie udziału w przygotowaniu koncepcji pomnika, ucieszyliśmy się i przesłaliśmy swój pomysł i przemyślenia. Zaznaczyliśmy również, że jesteśmy gotowi pomóc przy koordynacji prac związanych

z wykonaniem pomnika. Po jakimś czasie skontaktowali się z nami rodzice Helenki, bo spośród różnych pomysłów, które do nich dotarły, wybrali pewne elementy i chcieliby to złożyć w całość. Od tamtego czasu jesteśmy w stałym kontakcie. Współpracujemy w zespole kilku osób, uzgadniając potrzebne kwestie i wspomagając wyobraźnię rodziców Helenki wizualizacjami projektu. To, na czym najbardziej nam wszystkim zależało, to trwałość, skromność i prostota. Ale nie mogło zabraknąć tej iskry i światła, jakie Helenka miała w sobie. Dlatego głównym elementem pomnika będzie witraż. Dla nas Helenka była jakby przeźroczysta – widać było przez nią Boga i Jego miłość. Witraż sprawi, że będziemy uczestniczyć w tej relacji, jaka zaistnieje pomiędzy oglądającym a źródłem światła.

Gdybyś namalowała portret Helenki, jak by wyglądał?

Ania: Zapewne miałyby ona oczy pełne radości i nadziei na przyszłość. Oczy widzące drugiego człowieka.

Głowę kolorową, pełną pomysłów, idei i inicjatyw, które sama wprowadzała w życie i innych nimi зараżała. Tak powstało i rozwijało się wiele społecznych inicjatyw, o niektórych na pewno nawet nie wiemy, że powstały z jej udziałem, bo nie chwaliła się nimi, nie opowiadała szczególnie o tym, do czego właśnie się śpieszy... Była skryta i wiele w sobie zatrzymywała, nie wiem, jak często zmagala się z przeciwnościami, ale zatrzymywała to w sobie, a to, czym się dzieliła, było czyste i budujące.

Uśmiech, którym witała nas zawsze – i w tym przypadku zawsze oznacza zawsze – zarówno na przywitanie, jak i na pożegnanie, zawsze, kiedy spotykały się nasze spojrzenia; uśmiech, który nie schodził z jej twarzy.

Ręce pełne Jezusowej troski dla wszystkich, których spotykała. Ręce pełne manualnych kreacji i twórczości,

talentów – które w sobie rozwijała z niespotykanym zaangażowaniem i oddaniem. Helenka po prostu kochała ludzi i chciała być wśród nich. W swojej prostocie darzyła nas miłością, pamięcią, drobnymi prezentami – często wykonywanymi ręcznie.

Ramiona chętne do obejmowania przyjaciół – do przytulania. Ramiona gotowe do dzielenia się ciepłem, które dzisiaj jest tak potrzebne w nastawionym na niezależność i dystans świecie.

Jadąc do Boliwii, cieszyła się, że będzie mogła pomagać dzieciom. Powtarzała, że nie zaznały miłości, więc chciała im ją okazać poprzez swoją pomoc.

Była jedną z najcieplejszych osób, jakie znamy, zawsze dobra, serdeczna. Nigdy nie narzekała.

Była niesamowicie pokorna, a jednocześnie bardzo radosna i za wszystko wdzięczna Bogu i ludziom.

Jej życie było tak aktywne i tak intensywnie przeżywane... Ile w nim było sensu!

Postawę wyprostowaną i pełną piękna płynącego z pokory, jaką w sobie miała. Nie lubiła, by ją chwalić, a już tym bardziej publicznie, więc w tej chwili pokiwałyby do nas palcem z niezadowoleniem. I to był jeden z objawów jej pokory, jej cichości, jej piękna. Mówiła cichutko, ale gdy śpiewała... drżały ściany w kościele. Mało kto się spodziewał, że taka kruszynka potrafi wydobyć z siebie potężny głos.

Na chwałę Bożą!

Nogi prowadzące ją daleko. Nogi, które są wciąż w drodze – bo dla niej świat to za mało. Nogi poszukujące sensu i celu we wszystkim, co robiła – dlatego przybywała do wielu miejsc w Polsce i na świecie, by niwelować nierówności i głosić, że inny świat jest możliwy: świat oparty na Ewangelii.

To, że była w ciągłym ruchu, że była wciąż „w drodze”, nie przeszkadzało jej tworzyć silnych i pięknych relacji.

Dziś nawet ci, którzy spotkali ją zaledwie kilka razy w życiu, zachowali silny i trwały jej obraz.

Jak to możliwe, że zostawiła w nas po sobie tak mocny ślad?

Może właśnie dlatego, że była tak zwyczajnie niezwykczajna?

Stopy chętne do wędrowania wszędzie tam, gdzie niezbędna jest praca dla Bożego królestwa. Gdziekolwiek Helenka przebywała, tam był jej dom – niewiele potrzebowała materialnie do szczęścia, bo dom to nie mury, ale ludzie.

Serce ufające Bogu, pełne chęci życia, pełne energii. To była dla nas wielka radość, gdy mogliśmy razem usiąść i porozmawiać, usiąść i się przytulić. Najczęściej wtedy opowiadała o tym, co będzie niebawem robić, za chwilę, jutro i w kontekście najbliższego wyjazdu misyjnego. Misje dzięki niej i dla nas stały się konkretną i obecną przestrzenią w naszym życiu – dzięki jej obecności tam, a po jej powrocie dzięki dzieleniu się tym, czego doświadczyła.

Miała plany na przyszłość – zostało to brutalnie przerwane. Szukała szczęścia i dała się prowadzić Bogu, bo „tak jest z tymi, którzy z Ducha narodzili się: nikt nie wie, dokąd pójdą za wolą Twą”.

Na krótko przed wyjazdem do Boliwii powiedziała: „Kiedy ktoś jest bardzo blisko Boga, to mógłby w każdej chwili tak po prostu zniknąć”. Helenka podjęła wyzwanie i dla niej misja w Boliwii to misja możliwa.

Jedna z koleżanek powiedziała o niej: „Niesamowicie ciepła i czuła. Uwielbiała się przytulać. Pamiętam, jak jesienią rozmawiałyśmy o „pięciu językach miłości”. Gdy usłyszała o tym związanym z okazywaniem ciepła, powiedziała:

„O, to na pewno mój!”. A ja wiem, że ona mówiła biegle we wszystkich tych językach.

Wszędzie, gdzie przebywała, dzieliła się sobą.

Przekazywała swoją miłość tym, że była. Często bez zbędnych słów.

W tych ostatnich dniach, od wtorku, wszystko, co mnie / nas – jej bliskich i przyjaciół – otacza stało się jakby nieważne. Problemy zminimalizowały się do niewidocznych rozmiarów, a refleksje nad własnym życiem pobudzamy, wspominając o niej od wtorku włącznie bez przerwy.

Ona była gotowa do wejścia w przestrzeń, która i dla nas jest celem – do wieczności, do świętości – wierzymy w to i ufamy. My jesteśmy jeszcze w drodze. Myśląc o Niej, nieprzerwanie mamy w głowach kilka pytań: czy mam dziś określony cel do osiągnięcia, tak by nie zmarnować tego dnia? Czy wierzę, że mam wszystko, co mi jest potrzebne, by wypełnić wolę Bożą w swoim życiu? Czy moja droga jest sensowna? Czy to, co robię, ma sens? Wspominając Helen, dziś widzę okazję do zrewidowania swoich życiowych celów.

Helenka była odważna – dla mnie była dzielną niewiastą, otwartą na słowo Boże, na poszukiwanie w Bogu odpowiedzi na swoje pytania.

Codziennie wiele nowych dróg przed nami, przed każdą nową drogą rodzą się obawy przed tym, co nieznanne, przed własnymi słabościami, bezsilnością, brakiem umiejętności.

Helenka tak wspominała jeden z momentów swojej posługi w miesiąc po powrocie z Zambii w 2013 roku: „Nie przerażała mnie inna kultura, inna mentalność, inny klimat. Miałam świadomość, że mogę zachorować. Dopiero kilka dni przed wyjazdem poczułam paniczny strach. Że będę tam i nie będę wiedziała, co robić. Bałam się bezradności. Tak naprawdę, co ja mogę zrobić? Nie zmienię

świata. W niedzielę przed wyjazdem byłam na mszy św. w katedrze: – Panie Boże, mnie to chyba przerasta. Może jednak to tylko mój pomysł, a nie Twoja wola, żebym pojechała? Wtedy stała się najbardziej niesamowita rzecz na świecie. W pierwszym czytaniu usłyszałam: «Polecenie to bowiem, które ja ci dzisiaj daję, nie przekracza twych możliwości i nie jest poza twoim zasięgiem. Nie jest w niebiosach, by można było powiedzieć: ‘Któż dla nas wstąpi do nieba i przyniesie je nam, a będziemy słuchać i wypełnimy je’. I nie jest za morzem, aby można było powiedzieć: ‘Któż dla nas uda się za morze i przyniesie je nam, a będziemy słuchać i wypełnimy je’. Słowo to bowiem jest bardzo blisko ciebie: w twych ustach i w twoim sercu, byś je mógł wypełnić» (Pwt 30,11-14)”.

Na moim portrecie będzie można zobaczyć kogoś wrażliwego, zdolnego do przebaczenia innym... i pokornego na tyle, aby przebaczyć sobie.

Kogoś na tyle wielkiego, aby otrzymać Boże obietnice... i na tyle małego, aby potrzebować Bożej opieki.

Zobaczysz dzielną niewiastę, wojowniczkę, dziecko, służbę i czciciela.

Zobaczysz kogoś, kto JEST dla mnie obecny cały czas i kogo Bóg kocha całym swoim sercem.

Trzebnica – Bielsko-Biała, grudzień 2017

MAGDALENA I FRANCISZEK KRUPA

ONA BYŁA PRZEZROCZYSTA

Magda i Franek Krupa. Za chwilę w tej opowieści okaże się, że ich małżeństwo to poniekąd zasługa Heleny. Jako prezent ślubny dostali ręcznie przez nią plecione różańce. Dwa. Do tego całkiem praktycznie – zestaw ręczników. Kolor idealnie pasował do ich łazienki. „Ona była wyjątkowa nawet w takich detalach. Dbала o drobne rzeczy” – wspomina Magda.

Magda studiowała inżynierię chemiczną. Tak poznała Helenę. Dziś pracuje w swoim zawodzie – jest konstruktorem aparatury chemicznej. Obecnie przebywa na urlopie macierzyńskim.

Franek – absolwent Wydziału Elektrycznego na Politechnice Śląskiej. Jest programistą w firmie z branży energetycznej.

Na rozmowę o Helenie przychodzi z roczną Marysią. Ona też poznała Helenę. Ma nawet od niej pamiątkę – prezent, który Helena dała dziewczynce zaraz po urodzeniu. W czasie naszego spotkania Marysia kilka razy konkretnie upomni się o zainteresowanie i uwagę. W jakiś niewyraźalny sposób przypomni o tym, że Helena bardzo kochała dzieci i to dla nich pojechała tam – do Boliwii.

Magda: Poznałam Helenkę na studiach, na pierwszym roku, byliśmy w jednej grupie. Poznałam wtedy wielu ludzi, ale to między nami akurat zaiskrzyło. Trzymałyśmy się razem, byliśmy blisko. Mogę się pokusić o stwierdzenie, że był czas, kiedy byliśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Co rzucało się w oczy w pierwszym kontakcie z Heleną?

Magda: Była bardzo nastawiona na innych.

To znaczy?

Magda: Nie szukała siebie w tym, co robiła. Po prostu służyła.

Franku, słyszałem, że poznałeś Helenę przez żonę...

Franek: Odwrotnie. Żonę poznałem przez Helenę. Na pierwszym roku wkręciłem się w gliwickie duszpasterstwo akademickie. Służyłem jako ministrant. Potem pojawiła się inicjatywa, by pomagać dzieciakom w odrabianiu lekcji w świetlicy Caritas. W DA poznałem Helenę. Razem poszliśmy do tej świetlicy. A pewnego dnia Helena przyprowadziła tam Magdę.

Jak zapamiętałeś Helenę z pierwszych spotkań?

Franek: Cicha dziewczyna – nie rzucała się w oczy, nie wychodziła przed szereg. Niczym się nie wyróżniała. Kiedy byłem w kościele, zawsze ją tam spotykałem. To pierwsze wspomnienia.

Magda: Ona nie lubiła błyszczeć.

Franek: To prawda, była cicha, ale zawsze obecna. Raczej nie miała duszy lidera.

Magda: Była jakby przezroczysta.

Franek: Kiedy zaczynaliśmy współpracę ze świetlicą i chciałem obgadać z kimś jakieś plany na następne zajęcia, nie musiałem się pytać Heleny, czy będzie. Wiedziałem, że tak.

Na czym polegała Wasza praca w świetlicy?

Franek: Przychodziliśmy tam dwa razy w tygodniu – w poniedziałki i środy na dwie godziny. Przez pierwszą godzinę pomagaliśmy dzieciom odrabiać lekcje albo tłumaczyliśmy im jakieś niezrozumiałe zagadnienia dotyczące przerabianego materiału. Drugą spędzaliśmy na zabawie. Z biegiem czasu ta druga godzina stała się na tyle ważna, że zaczęliśmy nawiązywać bliższe relacje z tymi dziećmi. Później nie chodziliśmy do świetlicy po to, by tylko pomagać im w nauce, ale by się z nimi po prostu spotkać.

Czy Helena w jakiś sposób zachęcała Was, studentów, do pracy w tej świetlicy?

Franek: Ona formalnie nie była za to odpowiedzialna, ale większość osób, która tam przyszła, przyszła za jej namową. Kiedy spotykało się w świetlicy kogoś nowego, szło się do Heleny i padało pytanie: kim jest ten człowiek? Na ogół wiedziała, bo to ona tę osobę przyprowadziła.

Magda: Ona miała całe rzesze znajomych i dobrze to wykorzystywała. Zachęcała ich do robienia dobra.

Magdo, zapytam Cię o same studia, bo to dość specyficzny kierunek...

Magda: To prawda, dużo chemicznych i technicznych rzeczy. Niestety Helena nie do końca się w tym odnalazła. Już wtedy, kiedy kończyliśmy naukę stopniem inżynierskim, wiedziała, że to nie jest dla niej. Stwierdziła jednak, że magistra też zrobi. Chciała zamknąć ten rozdział w swoim życiu. Już na studiach wiedziała, że nie będzie wiązała przyszłości z tym zawodem. Nie interesowało jej to zbytnio. Ale skoro zaczęła, chciała skończyć i to z najlepszym efektem. Potem pojawił się pomysł, że zostanie stewardesą.

Muszę jednak dodać, że choć nie studiowała wymarzonego kierunku, Helena była bardzo dobrą studentką.

Miała stypendium naukowe. Była bardzo zdolna. Przy tej ilości zajęć, które miała – szkoła muzyczna, duszpasterstwo, wolontariat – ja na pewno nie miałabym takich wyników. Była bardzo twórcza i zdolna.

Jak to możliwe, że potrafiła pogodzić ze sobą tyle działań?

Magda: Na pewno wiele robiła kosztem snu. Ja też uczyłam się dosyć dobrze, ale gdybym miała nas obie porównać, to ja musiałam ślepczyć nad tym wszystkim. Myślę, że Pan Bóg błogosławił jej, bo widział, jak wiele czasu poświęca na inną działalność. Dzięki temu z większą łatwością przychodziło jej uczenie się. To, nad czym ja siedziałabym dwie godziny, ona miała w głowie po 20 minutach.

Co na studiach najbardziej ją interesowało?

Magda: Helena bardziej zaangażowała się w chemię analityczną. Z tej dziedziny pisała swoje prace, najpierw inżynierską, potem magisterską. Interesowało ją to, jak mierzyć czy badać zjawiska chemiczne. Inżynierskie przedmioty, jak np. projektowanie wymienników ciepła, już tak bardzo jej nie interesowały.

To były studia w języku angielskim.

Magda: Tutaj Helena nie miała najmniejszych trudności, bo z nas wszystkich w grupie najlepiej władała angielskim, zupełnie swobodnie. Czasami poprawiała innych albo uczyła akcentu. My na ogół kombinowaliśmy na studiach, żeby iść po linii najmniejszego oporu i np. wybieraliśmy język, który już umieliśmy, a Helena na odwrót. Wybrała wtedy hiszpański, bo chciała nauczyć się czegoś nowego.

Życie studenckie?

Magda: Na pewno nie było szalonych imprez z alkoholem, ale Helena była bardzo towarzyska. Dużo się działo w mieszkaniu, które wynajmowała. Przez to mieszkanie przewijało się mnóstwo osób. Ja nie zawsze do końca w tych imprezach uczestniczyłam, bo mieszkając w Gliwicach, musiałam o przyzwoitej godzinie wracać do rodzinnego domu. U Heleny znajomi siedzieli do białego rana przy śpiewie albo przy jakimś dobrym filmie.

Franek: Tych imprez było dużo, ale one nie były planowane. Najczęściej wyglądało to tak: wychodziliśmy z mszy akademickiej i pytaliśmy: „Do kogo dziś idziemy?”. To były zawsze spontaniczne spotkania.

Jeśli chodzi o studia, pamiętam, że Helena często mówiła: „Nie zdążyłam się nauczyć, a jutro mam kolosa”. Wtedy zazwyczaj wielu studentów robi ściągę. Ona nigdy nie ściągała.

Magda: To muszę potwierdzić.

Franek: Studia nie do końca jej pasowały, dodatkowo uczyła się języków, ale nigdy nie ściągała.

Magda: Była po prostu uczciwą osobą.

Czy zdarzyło jej się nie zaliczyć jakiegoś kolokwium?

Magda: Czasem zdarzyło się, że miała coś do poprawienia, ale bardzo rzadko. Każdemu się czasem nie powiedzie. Biorąc jednak pod uwagę to, ile czasu mogła poświęcić na naukę, świetnie sobie ze wszystkim radziła.

Na mszach akademickich, o których wspominaliście, Helena często się pojawiała?

Franek: Poza niedzielą msze akademickie były też od poniedziałku do czwartku.

Magda: Jeśli tylko nie miała innych zajęć, np. w szkole muzycznej, to na ogół była na mszy akademickiej. A jeśli nie mogła w tym czasie tam przyjść, chodziła do katedry, tej w pobliżu świetlicy, w której pomagaliśmy dzieciakom. Spotykałam ją też czasami na porannej mszy św. w katedrze.

Franek: Gdy nie mogła być na mszy św., przychodziła po niej. Bywało, że wtedy w duszpasterstwie odbywały się różne spotkania, jak krąg biblijny czy spotkanie Katolickiego Związku Akademickiego.

Magda: Przychodziła wtedy, kiedy mogła.

Jeśli mówimy o tym częstym uczestnictwie w Eucharystii, to co można powiedzieć o relacji Heleny z Panem Bogiem? Co mogliście zaobserwować?

Franek: Na pewno wielką naturalność. Taka bliskość z Panem Bogiem wynika z wewnętrznej potrzeby. To nie było poczucie obowiązku. To było naturalne – jak oddychanie.

Czym ona żyła na co dzień? O czym rozmawialiście?

Magda: Mówiła o planach ewangelizacyjnych, np. w duszpasterstwie. Zdradzała swoje plany na przyszłość, mówiła o własnym rozwoju.

Jakiś konkretny pomysł ewangelizacyjny?

Magda: Na przykład organizowanie śniadań po mszach św. Trochę na wzór krakowskiej „Beczki” [duszpasterstwo akademickie dominikanów w Krakowie – przyp. red.].

Czy pomysł został zrealizowany?

Magda: Tak, takie śniadania się odbywały. Czasem były też jakieś imprezy, jak np. Andrzejki, dzięki którym budowano relacje w duszpasterstwie.

A osobiste plany?

Magda: Mówiła np., że chce się uczyć hiszpańskiego albo że chce złożyć egzamin CPE z języka angielskiego [egzamin CPE (Certificate of Proficiency in English) to najtrudniejszy z angielskich egzaminów językowych; wymaga biegłości w posługiwaniu się językiem na poziomie rodzimego użytkownika – przyp. red.]. Opowiadała też o tym, jak jej idzie w szkole muzycznej, o misji w Afryce, o problemach ze zdrowiem – o sprawach życia codziennego.

Problemy? Co możecie powiedzieć o trudnościach, z którymi mierzyła się Helena?

Magda: Problemy czasowe – to, że doba ma tylko 24 godziny. To był duży problem dla Heleny ze względu na naukę. Mierzyła się z tym kosztem snu i dzięki pracowitości. Po powrocie z Zambii miała problemy ze zdrowiem, to spowodowało komplikacje z egzaminami w szkole muzycznej. Po zabiegu – konieczna była ingerencja w klatkę piersiową – pogorszyła się jej wydolność oddechowa. Ona się jednak nie poddawała, bardzo dużo ćwiczyła i udało jej się dopiąć wszystko na czas.

Widziałaś, jak ćwiczy?

Magda: Nigdy nie byłam świadkiem, jak ćwiczy śpiew, ale ona bardzo dużo śpiewała poza nauką do szkoły muzycznej. Wykorzystywała wszystkie okazje, by śpiewać – np. gdy posługiwała z gitarą na mszach akademickich.

Bardzo lubiliśmy ją męczyć pytaniami o pracę stewardesy. Pytaliśmy o jakieś trudności, śmieszne sytuacje.

Pamiętacie coś?

Franek: Kiedyś opowiadała o tym – à propos Marysi – że dzieci w samolocie muszą być osobno zapięte. Często miała

z tym problem, bo niektóre mamy uważały, że to w gestii Heleny jest, żeby to dziecko upilnować i przypiąć. Jedna mama miała dziecko na kolanach i Helena zwróciła jej uwagę, żeby przypięła dziecko, bo zaraz będzie lądowanie. „To niech pani ją przypnie” – miała usłyszeć w odpowiedzi. Także trudne sytuacje się zdarzały.

Magda: A Helena jako stewardesa z przyklejonym uśmiechem musiała reagować na to wszystko bardzo spokojnie, by nikogo nie urazić. Myślę, że bardzo dobrze jej to wychodziło.

Ona lubiła tę pracę?

Magda: Bardzo lubiła podróżować i to było dobre połączenie tego, co lubiła, z tym, co przynosi pieniądze.

Franek: Poza tym dzięki takiej pracy poznawała wielu ludzi, a myślę, że to też było dla niej atrakcyjne.

Kilka osób w rozmowach podkreślało, że pod koniec studiów Helena się zmieniała, dojrzewiała. Z dziewczynki w przydługawym swetrze stała się dojrzałą kobietą.

Magda: Helena na początku studiów z ochotą podchodziła do wielu działań, ale – nie wiem, jak to powiedzieć – wydawało mi się to trochę dziecinne. Za dużo było tych planów, za dużo działania, za dużo w tym beztroski. Obserwowałam ją przez kolejne lata i wszystko nagle wydawało mi się coraz bardziej celowe. Mogę powiedzieć, że wraz z ukończeniem studiów wykształciła się w niej pewna dojrzałość.

Franek: Warto też zauważyć, że po studiach utrzymywała się sama. Można by pomyśleć, że ma tyle różnych pasji, robi wiele, by realizować swoje marzenia, więc jest taka beztrocka, ale ona nie pozostawała na utrzymaniu rodziców, tylko sama zarabiała.

Magda: Kupiła sobie auto.

Franek: Podchodziła do tego bardzo odpowiedzialnie. Oczywiście mogła liczyć na pomoc rodziców, ale nie chciała na tym bazować. Chciała zacząć odpowiedzialne, dorosłe życie. Wydaje mi się to wyjątkowo trudne, żeby połączyć tyle różnych pasji i pełnoetatową pracę i to w tak ograniczonym czasie.

Marysia zmęczona małą przestrzenią pokoju, w którym toczą się poważne i pewnie dla niej mało ciekawe rozmowy dorosłych, domaga się uwagi. Zostajemy z Magdą. Franek i Marysia wybierają spacer.

Magdo, wspomniałaś, że jednym z tematów, którym żyła, były misje.

Magda: Zawsze było w niej dużo zapału, gdy o tym mówiła. Wyjazd do Zambii przysporzył jej trochę trudności, bo przed wyjazdem nie dopięła na studiach wszystkiego tak, jakby chciała. W Afryce się przecież nie uczyła. Musiała nadrabiać zaległości po powrocie, a wtedy pojawiły się wspomniane już problemy ze zdrowiem. Jakimś cudem wszystko ogarnęła.

Miałyście okazję rozmawiać o jej motywacjach do wyjazdów misyjnych?

Magda: Nie, ale z moich obserwacji wynika, że była to po prostu potrzeba serca. Helena nie robiłaby czegoś, gdyby nie czuła tego w środku. Nie była cierpiętnicą. Czerpała z życia pełnymi garściami.

Po studiach utrzymywałyście kontakt?

Magda: Te relacje nie były już takie jak na studiach. Ja zaangażowałam się w pracę zawodową i życie rodzinne.

Helena też miała pracę i to w bardzo nietypowych godzinach. W takich okolicznościach trudno było o spotkanie. Ale starałyśmy się spotkać dwa razy w roku. Najczęściej w adwencie, a potem na wiosnę. Spotykałyśmy się jeszcze z jedną koleżanką. Na adwentowe spotkanie często coś piekłyśmy, jakieś pierniczki. Gdy Helenie udało się upiec babeczki, cieszyła się, że znalazła na to chwilę.

A wiedziałaś o jej wyjeździe do Boliwii?

Magda: Tak, spotkałyśmy się tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. Mąż wtedy zadał jej pytanie, czy się nie boi. Odpowiedziała, że w Polsce na ulicy też można zginąć.

To było Wasze ostatnie spotkanie?

Magda: Tak. Nie korzystam z mediów społecznościowych, więc nie śledziłam już później jej losów w Boliwii.

A jak dotarła do Ciebie informacja o jej śmierci?

Magda: Dostałam SMS-a od znajomej, ale ta znajoma nie wiedziała, że znam Helenę. To był SMS z prośbą o modlitwę za jej duszę. W SMS-ie było podane imię i że zmarła na misji. SMS odebrałam rano. Zapytałam tylko: „Kmieć?”. Koleżanka potwierdziła, że chodzi o Helenę Kmieć. Podchodzę z rezerwą do takich informacji, więc musiałam się upewnić. Wtedy był to dla mnie szok.

Jakie były Twoje pierwsze myśli po tej informacji?

Magda: Że mamy świętą.
[wzruszenie]

A z czego wynika takie myślenie, że Helena jest świętą?

Magda: Przede wszystkim z tego, jak żyła, ale także z tego, jak to życie zostało zwieńczone.
[wzruszenie]

Zawsze mi się wydawało, że ta aktywność Heleny wynikała z tego, że coś ją przez życie gnało. Nawet tak powiedziałam mężowi: „Patrz, coś ją gnało przez życie i zagnało tam”. To nie było przypadkowe. W moim odczuciu całe jej życie zmierzało do tego. Nie mówię, że to musiała być taka śmierć. Ale mam na myśli ofiarę z siebie.

[wzruszenie]

A gdyby za parę lat została błogosławioną?

Magda: Jestem za. Tak naprawdę czekam na to. Dla mnie byłaby to ogromna radość. Jako osoba wierząca cieszyłabym się, że niemal dotykałam tej świętości.

Czego jako święta mogłaby być wzorem?

Magda: Gdy wydaje ci się, że twoje marzenia są trochę niedorzeczne, to kiedy idziesz naprzód i zawierzasz Panu Bogu, wszystko układa się w jakąś logiczną całość. Niby nietrafione studia, potem praca stewardesy, a jednak to wszystko jakoś się połączyło.

Czy te wydarzenia z Boliwii pozostawiły w Tobie jakieś pytania?

Magda: Pojawiła się refleksja nad śmiercią. Jako mama na macierzyńskim dużą uwagę przywiązywałam do bardzo przyziemnych spraw, czasem błahych, jak np. porządek w domu. Za bardzo mnie to wszystko zajmowało. Z mężem wspólnie zastanawialiśmy się, czy to było ważne. Można się zapytać: czy Helena w swoim pokoiku w Boliwii miała porządek? Najważniejsze było to, jaką miała duszę.

[wzruszenie]

Najważniejsze jest to, jaki jesteś i co robisz dla innych.

Helena zapraszała wielu znajomych do siebie, a nie zastanawiała się, czy ma super wysprzątane. Była towarzyska, otwarta. Miała w sobie dużo miłości.

Wchodząc tutaj, powiedzieliście, że Marysia też poznała Helenę. W jakich okolicznościach?

Magda: Marysia urodziła się w kwietniu ubiegłego roku. W maju lub czerwcu Helena i ta druga koleżanka ze studiów, Basia, przyjechały do nas, żeby poznać Marysię. Wtedy Marysia dostała od nich prezent, który Helena przywiozła z Anglii, bo latała też do Londynu. Kupiła markowe ubranka i dwa śliniaczki.

To zostało w Waszym domu?

Magda: Tak. To jest nasza pamiątka.

Co oprócz tego zostało w Twojej pamięci?

Magda: Są przeżycia, które były bardzo osobiste. Myślę, że tylko my dwie je rozumiałyśmy. Ale chciałabym, żeby ludzie wiedzieli – zwłaszcza, gdy widzę, jak wiele osób bardzo negatywnie się o niej wypowiada, nie znając jej – że ona wszystko robiła dobrowolnie, z dużą radością, cieszyła się z tego. Helena umiała cieszyć się nawet w przeciwnościach.

Marysia z tatą wracają ze spaceru. Zmiana. Dziewczynką zajmuje się mama.

Franku, jak Ty pamiętasz Helenę z duszpasterstwa akademickiego?

Franek: Jako bardzo aktywną, ale równocześnie cichą osobę. Już po tych wydarzeniach w Boliwii miałem takie przemyślenia, że gdyby ktoś mnie zapytał, kto w naszym duszpasterstwie może być święty, to nie wiem, czy wskazałbym na nią. Bo wtedy wielu rzeczy o Helenie nie widziałem, ale też, jak się okazało – wielu rzeczy nie dostrzegalem.

Czego na przykład nie wiedzieliście?

Magda: W „Wiadomościach” TVP zobaczyliśmy, jak śpiewa na dworcu we Wrocławiu. Wiedząc, czym Helena zajmuje się u nas, byliśmy zaskoczeni, skąd miała na to wszystko czas. Nagle, po jej śmierci, okazało się, że robiła trzy razy więcej, niż myśleliśmy.

Franek: Podziwiałem ją, bo gdy spotykaliśmy się w duszpa-sterstwie akademickim, widać było, że każdy miał mnóstwo roboty na studiach, a ona nagle wyskakiwała jeszcze z in-formacją: „Wiecie co? Zapisałam się do szkoły muzycznej”. Wydawało się, że ma czas w stu procentach wypełniony, ale nie – wyszukiwała sobie jeszcze nowe zajęcia...

Wiedziałeś o jej zaangażowaniu misyjnym?

Franek: Tak. Wiedziałem, że była w Afryce i że wybiera się do Boliwii. Ale ona w czasie spotkań nigdy nie opowiadała o sobie. Trzeba było z niej wręcz wyciągać informacje, czym się zajmuje. Bardziej pytała, niż odpowiadała.

W ogóle na początku, gdy dowiedziałem się o jej zaan-żowaniu w misje, byłem sceptycznie do nich nastawiony. Zastanawiałem się, jaki to ma sens, po co tam wyjeżdża, co takiego może tam zrobić. Potem Helena zaczęła mi opo-wiadać o opuszczonych chłopcach, którymi zajmowała się w Afryce. Widziałem, że w tej sprawie nie ma „ludzkiego sensu”, że ona nie uratuje świata od głodu, ale miałem we-wnętrzne przekonanie, że przynajmniej w niektórych ludzi włąła trochę nadziei...

O wyjeździe do Boliwii dowiedziałeś się, gdy odwiedziła Was w grudniu?

Franek: Trochę wcześniej. Słyszałem, że stara się o bez-płatny urlop w pracy. Nie wiedziała, czy dostanie zgodę – był to dla niej poważny problem. Z kolei dwa tygodnie

przed jej wizytą u nas dowiedzieliśmy się, że ma chłopaka. Było to dla mnie prawie niedorzeczne: jak w takich okolicznościach mogła go zostawić i wyjechać na pół roku? Pytałem, czy będzie miała tam Internet i jak będą się kontaktować. Ona powiedziała, że zdaje sobie sprawę z tego, po co tam jedzie, więc nie chciałyby, żeby było tak, że będzie tam i równocześnie będzie tęskniła za Polską. Czas miał być przeznaczony dla dzieci w Boliwii i nie chciała go przesiedzieć na WhatsAppie z Michałem. Bardzo to mną wstrząsnęło – świeża miłość, taki najbardziej iskrzący okres w związku, a ona wyjeżdża i chce się od tego odciąć. Gdy mi to wytłumaczyła, powiedziała, dlaczego to robi, byłem pod wrażeniem.

Magda: W życiu Heleny było wcześniej kilka nieudanych związków. Dowiedzieliśmy się, że Helena z Michałem mieli się zaręczyć po jej powrocie z Boliwii. Moim zdaniem to była pewna próba – jeśli to przetrwa, to będzie miłość na całe życie.

Spotkałam ich raz w kościele. Widziałam po niej, że to coś innego niż poprzednie związki. Po jej zachowaniu, po sposobie, w jaki go przedstawiła, wiedziałam, że jest dla niej kimś wyjątkowym.

W jaki sposób dowiedziałeś się o jej śmierci?

Franek: Od Magdy. W tamtej chwili przypomniałem sobie to, o czym rozmawialiśmy u nas w grudniu. Zazartowałem wtedy: „Helena, gdzie ty się wybierasz? Do Boliwii!? Tam są kartele narkotykowe. Nie boisz się, że zginiesz?”. Odpowiedziała, że w Polsce też można zginąć.

Pierwsze myśli?

Franek: Na początku był szok. Nie do końca chciałem w to uwierzyć. Cały dzień siedziałem, przeglądając Internet

i sprawdzając, czy o tym wydarzeniu informują poważne portale. Uwierzyłem dopiero, gdy Wolontariat wydał komunikat. Wtedy zaczęła nas zalewać fala informacji na temat tego, czym Helena się jeszcze zajmowała. Na nowo odkrywaliśmy jej osobę. Uświadamialiśmy sobie, że znaliśmy ją tylko w małym kawałeczku.

Ta śmierć zostawiła w Tobie jakieś pytania?

Franek: Zastanawiałem się, co było naprawdę ważne w życiu Heleny. I z czym przeszła przez śmierć, co jej zostało. Okazało się, że studia, praca nie były celem samym w sobie, tylko to miało ją do czegoś prowadzić. Praca, wszystkie inne zajęcia są ważne, ale należy się zastanawiać nad tym, z czym staniemy przed Panem Bogiem, co będziemy trzymali w rękach w momencie śmierci.

A jak reagujesz, gdy ktoś mówi o jej procesie beatyfikacyjnym?

Franek: Jestem jak najbardziej za. Cała ta sytuacja uświadomiła mi, że świętość jest na wyciągnięcie ręki. Nie jest czymś nadzwyczajnym. Gdy Helena żyła, owszem, wiele osób ją doceniało, ale wiele osób nie dostrzegało tego, co robiła, bo wydawało im się to takie zwykłe. Okazuje się, że przez takie zwykłe życie, które nie jest ukierunkowane na siebie, tylko na innego, można dojść do świętości. To wcale nie jest trudna sprawa, ale trzeba iść z Panem Bogiem. To może się udać.

Komu mogłaby patronować Helena jako błogosławiona?

Franek: Na pewno misjom. Powinna też patronować studentom, duszpasterstwom akademickim, bo jest dobrym przykładem, jak pogodzić studia, zaangażowanie w duszpasterstwo, inne pasje, wierność Panu Bogu.

Marysia z mamą siadają spokojnie na krześle. Rozmowa dobiega końca.

Magda: Przypomniała mi się taka rozmowa. Kiedy już wiedziałam, że będę wychodzić za mąż, i rozmawialiśmy o macierzyństwie, to pamiętam jak Helena powiedziała: „Jak ja urodzę dziecko, będę chyba całą noc się w nie wpatrywać i płakać ze szczęścia”. Kiełkowała w niej myśl o rodzinie. Druga sprawa – bardzo przyziemna. Kiedy Helena decydowała się na misję w Boliwii, starała się o bezpłatny urlop. Teraz rynek jest nieprzychylny. Wiele osób w jej sytuacji martwiłoby się o to, że utraci pracę, że taka prośba o półroczny urlop może zostać przez pracodawcę źle odebrana – sama miałam takie myśli, gdy decydowałam się na roczny urlop wychowawczy. Helena miała dużo wolności w swoim działaniu. Nie przejmowała się tym, co ludzie powiedzą.

Franek: A ta praca nie trafiła się jej jak ślepej kurze ziarno. To była wieloetapowa rekrutacja. Bardzo trudno było się tam dostać. Helena była już dojrzałą kobietą. Jej ostatni wyjazd to nie było dziewczęce, studenckie marzenie o wycieczce, to była poważna misja.

Magda: Tak, to nie była wycieczka do ciepłych krajów. Wielu internautów fałszywie ją oskarża, że na koszt Kościoła pojechała zwiedzać świat. W jej wypadku tak nie było. To była ofiara z jej strony.

Franek: Myślę jeszcze o jej relacji z Michałem. Musiała być bardzo dojrzała. Oni nie pokłócili się o ten wyjazd, ale świadomie razem się do niego przygotowali. To nie mogła być jakaś młodzieńcza fascynacja, skoro wspólnie zdecydowali się na coś takiego.

Dla mnie najpiękniejsze jest to, że Helena była taką zwykłą dziewczyną. Nie brylowała, nie była zawsze najlepsza. Nikt wcześniej się nią nie zachwycił. Była zwyczajną osobą, a taką dobrą. Taka codzienna świętość. Nie robiła wielkich rzeczy, ale tych pozornie niewielkich i nieważnych nabierało się tyle, że jest co podziwiać. Nie trzeba przenosić gór, a można zostać świętym. Można być blisko Pana Boga w drobnych rzeczach. Misje nie były szaleńczym pomysłem, a konsekwencją tych drobnych spraw. Helena tak właśnie budowała relację z Panem Bogiem – i to był naturalny, kolejny krok w jej wierze. Całe swoje życie układała tak, by się przygotować na tę ostatnią misję.

Gliwice, marzec 2017

ALDONA I RAFAŁ PODŻORSKY
LUTYCKA. ŻYŁYŚMY
W OGARNIĘTYM CHAOSIE

Aldona i Rafał Podżorscy w 2015 roku powiedzieli sobie „tak” na zawsze.

Aldona studiowała na kierunku maszyny górnicze, budowlane i drogowe. W trakcie studiów rozpoczęła drugi kierunek – mechatronikę. Dziś jest inżynierem, po wydziale mechanicznym technologicznym, i magistrem, po kierunku górniczym. Pracuje jako konstruktor. Rafał z wykształcenia etnolog, obecnie zawodowo związany z branżą stolarską.

Znajomość Aldony i Helenki to przede wszystkim wspólne mieszkanie przy ul. Lutyckiej. To barwna i wielowątkowa historia. W trakcie jej opowiadania na kartce z zeszytu w kratkę rysowaliśmy pokój, zaznaczaliśmy, gdzie stała szafa, gdzie biurko. Próbowaliśmy ustalić, kto z kim mieszkał i kiedy. W pewnym momencie zrozumieliśmy, że wydarzenia na Lutyckiej to opowieść, która zasługuje na osobną książkę.

Aldona: Helenkę poznałam w duszpasterstwie, w KZA [Katolicki Związek Akademicki – przyp. red.]. A może to było ciut wcześniej? Może rok wcześniej, kiedy chodziłam na spotkania oazy. Tam odprawiano nieszpory śpiewane. Wtedy chyba po raz pierwszy usłyszałam, jak Helenka śpiewa. Inne wspomnienie związane z Helenką i KZA to urodziny Grzesia Stecia. Nie pamiętam takiej oficjalnej części: „Hej, jestem Helena” – „Hej, Aldona”. Ale wtedy, na urodzinach Grzesia, mogła rozpocząć się moja przyjaźń z Helenką.

Potem wspólnie angażowałyśmy się w różne projekty, np. w śniadania.

Śniadania?

Aldona: W środę spotykaliśmy się o godz. 7.00 rano w Centrum Kultury Studenckiej „Mrowisko” i jedliśmy wspólne śniadanie. Helenka była osobą, która mocno nas motywowała, by rano wstawać. Powiedzmy sobie szczerze: nikomu się nie chciało. Ona rozsyłała SMS-y mobilizująco-przypominające. Pamiętam, że raz na urodziny kupiliśmy jej budzik. Wszyscy się na nim podpisaliśmy.

To tylko wspólne jedzenie czy coś więcej? Modlitwa?

Aldona: Zaczynaliśmy jutrznią, a potem śniadanie. Po nim kto musiał, siedł na uczelnię, kto mógł, zostawał, rozmawiał i na koniec – sprzątał.

Było wielu chętnych na takie śniadania?

Aldona: Różnie. Czasami pięć, czasami dziesięć osób. W dobrych czasach naście. Przez chwilę ktoś miał pomysł, by wcześniej – przed śniadaniami – śpiewać godzinki. Parę razy śpiewaliśmy. Tyle. Później, za każdym razem, kiedy udało nam się zebrać, było już „po godzinkach”. Takie to były właśnie śniadania...

Rafał: Poza tym w KZA angażowaliśmy się w działalność Caritasu i organizację różnych wydarzeń, typu: imprezy karnawałowe, andrzejki; organizowaliśmy także spotkania z różnymi ciekawymi ludźmi. Ponadto po wielkopostnych rekolekcjach akademickich zawsze była droga krzyżowa w miasteczku akademickim. Coś pominąłem?

Aldona: Często w czwartki była i chyba nadal jest msza św. w kościele akademickim w Gliwicach i adoracja. W KZA

były też wieczory filmowe, a teraz – z tego, co wiem – zrobiło się tam bardziej sportowo.

Aldono, opowiedz historię o tym, jak zamieszkałaś z Helenką.

Aldona: Odwrotnie. To Helenka zamieszkała ze mną... Ale po kolei. Przyjechałam na studia. Wujek mojej koleżanki Agnieszki miał do wynajęcia mieszkanie. Mieszkałam tam pięć lat z Agnieszką. Przez całe swoje studia.

Dlaczego zaproponowałaś pokój Helenie?

Aldona: Już wtedy znałyśmy się bardzo dobrze. Pamiętam, jak Helenka przyszła na Lutycką i opowiadała o Forum Młodych, o tym, jak śpiewała na dworcu, oraz o spotkaniu WMS-u. Potem była na misjach na Węgrzech. Znałyśmy się także z KZA. Szukała mieszkania, pomyślałam: super.

Rafał: Mieszkanie, o którym rozmawiamy, było pewnego rodzaju miejscem spotkań. Właściwie zawsze po jakimś wydarzeniu, po mszy św., po jakimś innym spotkaniu wszyscy gromadzili się na Lutyckiej. Przychodzili, bo wiedzieli, że tam zawsze ktoś będzie i można przyjść, posiedzieć, pogadać albo w coś pograć. Właściwie później to już nikt nawet nie pytał, czy może przyjść, tylko przychodził.

Aldona: O każdej porze dnia i nocy. Przychodziły też i Helenka, i Monia Kostka. Te spotkania były coraz częstsze, a nasze znajomości coraz bardziej zażyłe. Nagle pokój się zwolnił. W 2012 roku jedna nasza współlokatorka pojechała do Holandii. Zaczęłyśmy szukać kogoś na jej miejsce. Wtedy zaproponowałam wspólne mieszkanie Helence. Ona chciała zamieszkać z Moniką w akademiku. Nawet już były konkretnie dogadane. Wszystko odkręciły i postanowiły: „Dobra, przeprowadzamy się”. I tak zamieszkały razem na Lutyckiej.

**Spróbujmy sobie wyobrazić to mieszkanie na Lutyckiej.
Ile miało pokoi?**

Aldona: Trzy. Osobną kuchnię, dużą, przedpokój i łazienkę.

W momencie, gdy ci wszyscy ludzie, o których rozmawiamy, przychodzili, to gdzie najczęściej siedzieli?

Aldona: Tam, gdzie było wolne, lub tam, gdzie w tej chwili nikt się nie uczył. Z reguły u mnie. Miałam stół i składaną kanapę, to pomagało w organizacji miejsca.

Posiadanie stolika i kanapy było ryzykowne?

Aldona: Ten mój pokój był największy. W drugim mieszkała Agnieszka. W trzecim, zanim się wprowadziły Helena z Moniką, mieszkała inna dziewczyna, która była z zewnątrz. Nie знаła nas, trzymała się trochę na dystans.

Rafał: W tym mieszkaniu są dwa pokoje podobnej wielkości, większe, i trzeci, bardzo mały, dla jednej osoby. Na początku każda z dziewczyn miała swój pokój. Potem, gdy wyprowadziła się jedna z nich, w jej pokoju zamieszkały Monia z Helenką. Aldona nadal miała swój pokój i Agnieszka również. W pewnym momencie wyprowadziła się Monika, a potem Agnieszka i w miejsce Agnieszki wprowadziła się Monia Dziura.

Jak widzicie, Lutycka to temat rzeka...

Aldona: To prawda, w pewnym momencie byliśmy we dwie z Helenką. Ciągłe zmiany.

Trudno nad tym zapanować. Potrzebna byłaby wielka oś czasu i długa lista nazwisk.

Aldona: Tak, to prawda! Agnieszka poszła na inne studia... i się wyprowadziła. Został nam jeden wolny pokój. Monika Kostka wyprowadziła się do swojego mieszkania. Zosta-

łyśmy same z Helenką, we dwie. Czas nas gonił. Właściciel powiedział, że albo my znajdziemy kogoś do jednego pokoju, albo on nam proponuje doktoranta, ale my nie chcieliśmy chłopaka w naszym mieszkaniu... Niestety jedyna znana nam osoba, która w tamtym momencie szukała lokum, też była płci męskiej. Mimo że to był nasz bardzo dobry znajomy, to nam nie odpowiadał, bo chcieliśmy czuć się swobodnie w naszym mieszkaniu i zależało nam, by wprowadziła się dziewczyna.

Wygląda to jak casting.

Aldona: Dokładnie! Powiedzmy, że właściciel dał nam czas do niedzieli. Poszliśmy do naszego kolegi i uczciwie mówimy z Helenką, że go nie bierzemy. W międzyczasie Helenka znalazła książkę... Jaki tytuł miała ta książka? Nie pamiętam. W każdym razie była o franciszkanach z Brooklynu. Jest w niej modlitwa do Maryi. Bardzo krótka. Nie pamiętam dokładnie, ale – jeśli się ją odmówi ileś tam razy, to Maryja nie odmawia pomocy... No to my z Helenką na kolana i modlimy się o dziewczynę. Na drugi, może trzeci dzień, przez znajomych Helenki, zgłosiła się do nas dziewczyna. To było w połowie semestru, wtedy bardzo trudno znaleźć kogoś normalnego do mieszkania, ale ona się znalazła. Zamieszkała z nami Monika Dziura. To była zaśluga Maryi.

Jak wyglądała przestrzeń Heleny w mieszkaniu? Już wiemy, że najpierw dzieliła pokój z Moniką, potem przez chwilę mieszkała sama.

Aldona: Helenka była człowiekiem, który nie mógł być sam, więc ten czas, kiedy mieszkała sama w pokoju, był naprawdę krótki.

A zatem w pokoju z Moniką każda miała swój własny kąt, kawałek biurka, ściany, na której coś wisiało...

Rafał: Mogę narysować?

Rysuj.

Rafał: Tu jest korytarz, pierwszy pokój. Zaraz obok drugi pokój, w którym spała Helenka, tu łazienka, a tu była duża kuchnia. Ten pokój, o tu, był mniejszy. W nim spała Monika Dziura, w następnym spała Aldona, później dołączyła do nich Milenka.

Milenka? Poddaję się.

Aldona: No tak, nasza Lutycka to jest wielka telenowela. Była też Bożenka.

Rafał: Nasz kolega Grzegorz Legierski, który też często tam bywał i amatorsko nagrywa piosenki, nagrał piosenkę o Lutyckiej ze świetnym teledyskiem.

Można gdzieś to zobaczyć?

Rafał: Oczywiście. YouTube. Wystarczy wpisać: „Kikula – Lutycka Crew”. Tam powinni być wszyscy. Dosłownie, a jest sporo ludzi na tych zdjęciach! Do dziś się przyjaźnimy, często jak są jakieś wypadki, urodziny to wszyscy się spotykamy, robimy sobie małe wigilie, wyjeżdżamy w góry. To jest niesamowite, to fenomen. Wszyscy żyjemy podobnymi wartościami i wiarą.

Rysujesz dalej?

Rafał: Pokój Helenki. Szafa, stolik, łóżko połączone ze starego typu meblościanką. Kiedyś zrobiliśmy Helence prezent i zawiesiliśmy zdjęcia wszystkich przyjaciół na tej szafce.

À propos zdjęć. Ktoś nam pokazał zdjęcie zrobione po obronie dyplomu w szkole muzycznej. Mały pokój. Zapewne ten. Tłum ludzi i Helenka, która leży na szafie, bo nie zmieściła się już w kadrze!

Aldona: Tak, to tutaj. Tu stał stolik, przy nim mnóstwo krzeseł, bo na czymś ci wszyscy ludzie, którzy przychodzili, musieli siedzieć. Tu Helenka miała półeczkę. Na niej, to się rzeczywiście rzucało w oczy, dużo pamiątek z Afryki. Helenka już wtedy była po Zambii. Leżał też brewiarz, Pismo Święte w języku angielskim. Dużo ciekawych książek. Nie pamiętam tytułów... A, i pełno prezentów od ludzi, z którymi się przyjaźniła.

Wspominasz pamiątki Heleny z Zambii. Czy w wolontariat misyjny zaangażowałaś się z inspiracji Heleny?

Aldona: Tak. Helena zaprosiła mnie na spotkanie WMS-u.

Czy masz za sobą jakieś misyjne wyjazdy?

Aldona: Tak. Na Ukrainę, do Gruzji, a potem na Węgry.

Wracając do Lutyckiej... Jaką Helenę Ty widziałas?

Aldona: Mieszkanie z Helenką było bezproblemowe. Przede wszystkim Helena była bezkonfliktowa. Bardzo zabiegana, zaangażowana w wiele spraw. Miała mało czasu wolnego. Ciągle gdzieś się spieszyła. Pamiętam szczególnie tę jej szkołę muzyczną popołudniami. Nie przypominam sobie, by jakoś specjalnie gotowała, ale kiedy miała chwilę, chętnie piekła jakieś ciasteczka.

Żyła w pedantycznym porządku czy w chaosie?

Aldona: Nie miała bałaganu, ale porządkiem tego nazwać też nie można. Powiedzmy, że żyła w ogarniętym chaosie. Obie nie piłyśmy kawy. Często żartowałyśmy, która z nas

teraz robi kawę. Zawsze się śmiałyśmy, że dla nas taką podwójną albo tylko sypaną... Do zagryzienia.

Siedziała do późna?

Aldona: Tak, ale jednocześnie wstawiała bardzo wcześnie. Wieczorem wszystkie kładłyśmy się spać, a Helenka jeszcze odpisywała na SMS-y i nadrabiała to, czego nie zdążyła zrobić w ciągu dnia. Czytała rano. Wieczorami była zbyt zmęczona. Było z nią tak normalnie, zawsze radośnie. W ogóle Lutycką mocno kojarzę z Helenką. Zawsze wprowadzała życie, dużo śmiechu. Siedziałyśmy długo, gadałyśmy, wymyślałyśmy różne projekty. Helena lubiła się przytulać... Podchodziła do człowieka i przytulała się. Dużo żartowałyśmy. Helenka była w nieustannym ruchu. Pamiętam też, że obserwowałam, jak jej życie się zmienia. Szczególnym czasem był moment, gdy zaczęła pracę jako stewardesa. Jej życie całkowicie się zmieniło. Niby miała więcej czasu, bo szkoła muzyczna już się skończyła, ale nowa praca wprowadziła inny chaos w jej życie.

Opowiedziałaś, że wymyślałyście wspólne projekty, na przykład jakie?

Aldona: Paczkę dla Ukrainy. Projekt nazywał się: „Szlachetna paczka pełna dobroci” lub „Wielkanocna paczka pełna dobroci”. Dokładnie nie pamiętam. Projekt związany był z Wolontariatem. Kiedy byłam na Ukrainie, poznałam ks. Damiana Pankowiaka. Rok po moim wyjeździe na Ukrainę wybuchła w tym kraju wojna. Pytałam, jak możemy pomóc? Wpadliśmy na pomysł, by organizować paczki dla dzieci. To był 2015 rok. Ponieważ obie z Helenką byłyśmy w Gliwicach, tu było nam najłatwiej przeprowadzić projekt. Umówiłyśmy się, że ja angażuję się z ramienia KZA, Helenka działa pod szyldem WMS-u i tak połączyłyśmy siły.

Co zbierałyście do paczek?

Aldona: Wszystko – i słodczyce, i zabawki. Każda osoba lub grupa osób mogła przygotować jedną paczkę dla jednego dziecka. Znałyśmy tylko imię i wiek dziecka. W pewnym momencie okazało się, że brakuje nam dzieci... Ludzi, którzy chcieli pomóc, było więcej niż dzieci. Wtedy zapytałyśmy, czy może ktoś jeszcze potrzebuje pomocy. Zgłosiły się siostry w Medenicach. Tam poszło kolejne 40 paczek, w sumie wszystkich było ok. 100.

Jak wyglądało zaangażowanie Helenki?

Aldona: Świetnie koordynowała całą akcję, miała mnóstwo znajomych. Mam wrażenie, że cała Polska brała w tym udział, bo pamiętam, że ktoś przysłał paczkę znad morza. Angażowały się dzieci w szkołach. Wszystko przetransportowaliśmy busem, wypożyczonym od WMS-u. Helenka była taka, że jeśli coś się działo, wiedzieliśmy, że ona nam pomoże, że można na nią liczyć. I do wszystkiego podchodziła z ogromnym entuzjazmem. Zawsze dużo dobra. Proszona o pomoc, nigdy nie odmówiła, nigdy... Zawsze miałam świadomość, że Helena jest i mogę na nią liczyć. Wszyscy mieli taką świadomość. Ludzie chcieli do niej przychodzić, z nią przebywać.

W Twojej opowieści o Helenie jest dużo entuzjazmu, radości, zaangażowania, ale mieszkalyście razem, więc być może widziałaś jej gorsze dni?

Aldona: Były takie chwile. Helenka była osobą poszukującą... Boga, sensu, swojej życiowej drogi.

To znaczy?

Aldona: Skończyła studia chemiczne, ale słyszałam, jak mówiła, że ona tej chemii nawet nie lubi. Na pewno chemia

nie była tym, co ją bardzo interesowało. Zmagiała się z pytaniem, co ma dalej robić? To ją czasem męczyło. Nie była też w stałym związku, a odczuwała pragnienie poznania kogoś, z kim można zbudować bliską relację. Jednocześnie muszę powiedzieć, że Helenka cieszyła się ogromnym zainteresowaniem ze strony mężczyzn, ale szukała głębszej relacji, nie zależało jej na powierzchownych związkach.

Czy Helena myślała o powołaniu do życia zakonnego?

Aldona: Nigdy nic na ten temat nie słyszałam.

Czy widziała się w roli mamy, żony?

Aldona: Zdecydowanie tak. Dostyc często o tym mówiła. Były też chwile, że gdzieś po cichu płakała...

Z jakiego powodu?

Aldona: Tego wewnętrznego zamętu, co ma robić, którą drogą iść. Pamiętam, jakoś przed Boliwią pojechała na rekolacje ignacjańskie. Chciała wszystko przemyśleć. Wróciła uśmiechnięta, rozpromieniona: „Już wiem. Jadę znowu na misje!”. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że będzie to Boliwia, ale że misje w ogóle.

Kiedy dla Helenki nadszedł koniec Lutyckiej?

Aldona: Mieszkanie na Lutyckiej skończyło się w czerwcu 2015. Ja kończyłam studia, więc się wyprowadziłam. We wrześniu wysłam za męża za Rafała. Helenka może i chciała zostać na Lutyckiej, ale dziewczyny już nie chciały. Wszyscy powoli wkraczali w inny etap życia.

Gdzie Helenka potem mieszkała?

Aldona: Nadal w Gliwicach, ale przy ul. Zubrzyckiego. Wracając jednak do Lutyckiej... Nie wiem, czy w jeden dzień

byłabym w stanie opowiedzieć, co tam się naprawdę działo. Tyle dobra! Pamiętam, jak razem się modliłyśmy...

Kto odwiedzał Helenę na Lutyckiej. Rodzice? Siostra? Znajomi?

Aldona: Rodzice byli może dwa razy. Helenka miała dobre relacje z rodzicami. Ale rzadko jeździła do domu – miała naprawdę mało czasu. Teresa, jej siostra, była u nas też może dwa lub trzy razy. Częściej spotykały się w domu rodzinnym, ale Helenka często dzwoniła do Tereski. Poza tym do Helenki przyjeżdżali wszyscy, cały WMS. Raz na Lutyckiej mieliśmy nawet mszę św. Odprawiał ks. Paweł Fiącek SDS.

Mówiłaś, że często modliłyście się na Lutyckiej razem. Jak to wyglądało? Rano, wieczorem? Helena puka do Ciebie i mówi: „Aldona, pomodlimy się?”

Aldona: Dokładnie tak było. Często brewiarz. Była też nasza „dziesiątka o dziesiątej”, czyli jedna dziesiątka różańca o 22.00. Zdarzało się też, że razem chodziliśmy na mszę św.

Wspomnialiśmy już o obronie pracy dyplomowej w szkole muzycznej, a inne spotkania, imprezy na Lutyckiej?

Aldona: Całe mnóstwo. Możemy wyróżnić np. imprezy spontaniczne. Wszyscy schodzimy się nagle, nie wiadomo skąd, siedzimy i po prostu gramy w planszówki. Były też urodziny każdego po kolei, całe mnóstwo urodzin. Zawsze świętowaliśmy w niestandardowy sposób. Kogoś porwaliśmy, gdzieś wywieźliśmy, albo pamiętam... Dopiero co wprowadziła się nowa koleżanka, Milenka...

Tak, Milenka już się pojawiła w naszej opowieści.

Aldona: Jej chłopak powiedział nam, że Milenka ma urodziny, dzisiaj. Będzie w domu za dwie godziny. I ja z Helenką wsiadłyśmy na rowery. Pojechałyśmy do centrum handlowego, łamiąc po drodze wszystkie przepisy drogowe. W pewnej chwili jechałyśmy nawet pod prąd. W międzyczasie dzwoniłyśmy do różnych ludzi, że mają przyjść, bo Milenka ma urodziny. Kupiłyśmy jej zegar, taki zegar matematyczny, bo ona studiowała matematykę. Do teraz go ma. Dopisałyśmy słowa Koheleta, że „Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem”. Każdy się podpisał. Przyszła Milenka i musiała szukać nas wszystkich. W szafie, gdzieś pod umywalką; było naprawdę fajnie. To było takie spontaniczne. Każde urodziny musiały być tak świętowane.

A urodziny Heleny?

Aldona: Akurat Helenki urodziny były w lutym, wtedy mieliśmy karnawałowe imprezy. Czasem świętowaliśmy jej urodziny przez dwa, trzy dni, włącznie z poprawinami.

Poprawiny urodzin?

Aldona: Tak. Pewnego roku urodziny Helenka miała w poniedziałek. W niedzielę zrobiliśmy imprezę dla wszystkich, a w poniedziałek dla naszego, mniejszego grona. Wtedy, pamiętam, Helenka włożyła taką piękną sukienkę, do ziemi. Ona w ogóle uwielbiała sukienki. Tę sukienkę z urodzin miała na dyplomie w szkole muzycznej i rozpaczała, że włożyła ją tylko raz, więc wpadliśmy na pomysł, że zrobimy jej urodziny w stylu eleganckim. Chłopaki – garnitury, dziewczyny – sukienki, wystawny obiad z wystawnym deserem. Imprezę przygotowaliśmy u Kamila, chłopaka Milenki. Helenka niczego się nie spodziewała. Poszła na mszę św. My z nią, w sumie dziesięć osób, ale ona jakoś

nie powięzwała faktów. Potem pojechaliśmy z Helenką do Kamila. W reklamówce mieliśmy dla niej wspomnianą już sukienkę i eleganckie buty. Kazaliśmy się jej przebrać. Była szczęśliwa. Jeden z naszych kolegów przebrał się nawet za kelnera i podawał nam do stołu.

Gdy skończyła się Lutycka, jak wyglądał Wasz kontakt?

Aldona: Zamieszkałyśmy z Helenką osobno, ale miałyśmy do siebie tylko trzy minuty drogi. Pół roku później wprowadziliśmy się z mężem z Gliwic. Kontakt z Helenką utrzymywaliśmy nadal, ale już słabszy. Helenka miała mało czasu, zaczęły się przygotowania do Boliwii. W jej życiu pojawił się Michał.

Ostatnie wasze spotkanie?

Aldona: Był grudzień, miesiąc przed Boliwią. Z grupą przyjaciół zrobiliśmy sobie małą wigilię. Ja nie mogę o tym opowiadać...

Rafał: Zaprosiliśmy znajomych do naszego mieszkania w Wodzisławiu. Przyjechało ok. 20 osób. Był Michał, Helenka. Do dziś mamy bardzo dobry kontakt z Michałem. Wśród tych osób była również Anita.

Chcieliście pożegnać dziewczyny przed wyjazdem?

Aldona: To było coś innego niż spotkanie na posłaniu w Trzebini. W naszym domu spotkaliśmy się, żeby... się z nimi poprzytulać.

Kiedy dziś słyszycie, że może się rozpocząć proces w sprawie beatyfikacji Heleny, to jakie uczucia się w Was pojawiają?

Rafał: Helenka dążyła do świętości w swojej codzienności, jednocześnie była wyjątkowa. I to jest niepodważalne. Poza tym była piękną kobietą. Rozmawialiśmy kiedyś z Aldoną o tym, kim jest święty. Doszliśmy do wniosku, że to osoba zwyczajna, ale musi być też ponadprzeciętna, musi być o poziom wyżej niż inni, jak Helenka. Ona zawsze bardziej kochała, była bardziej zaangażowana. Helenka była normalną dziewczyną, ale – nie wiem, czy można tak powiedzieć – ona nas wszystkich wyprzedzała, była o ten poziom wyżej.

Aldona: Czasami pojawia się temat męczeństwa Helenki... Wolałabym, żebyśmy popatrzyli na to, jak żyła, a nie na to, jak zginęła...

To wy jesteście świadkami jej życia... Czujesz odpowiedzialność za to, co powiecie?

Aldona: Ogromną. Boję się, że nie damy rady opowiedzieć o tym, że była niezwykła w swojej zwyczajności i że tak pięknie żyła... Nie zawsze są słowa, które...

...oddadzą obraz, który w sobie nosisz?

Aldona: Ona naprawdę była ponadprzeciętna. Była bardzo inteligentna. Cały czas w coś zaangażowana i zawsze chciała czegoś ciut więcej, czegoś bardziej...

Jeśli między świętością a miłością postawimy znak równości, to trzeba powiedzieć, że Helena była ponadprzeciętna w wyrażaniu miłości do drugiego człowieka. Potrafiła kochać bardziej.

Czy nie ma w Tobie buntu i złości wobec tego, co się wydarzyło?

Aldona: Nie. Jest mi smutno, niewyobrażalnie smutno i ogromnie tęsknię. To, co się wydarzyło, było złe, ale nie chcę tego roztrząsać... Oddaję to Panu Bogu.

Co Helena pozostawiła w Waszych sercach?

Aldona: Wszystko, co się teraz dzieje, pokazuje, że Pan Bóg nawet z największej tragedii potrafi wyciągnąć dobro. Przykład życia Heleny ciągle mnie inspiruje do tego, by być bardziej, by czegoś więcej chcieć. Ona żyła odważnie. Miała wiele talentów i potrafiła je wykorzystać. Każdy talent, który miała, pomnażała i służyła nim innym. To było niesamowite. Helena nic nie zatrzymywała dla siebie.

Dla mnie przykład jej życia to teraz taki motor napędowy. Nie mogę biernie stać. Nie mogę dla siebie zachowywać tego, co otrzymałam. Ograniczenia, które mam w sobie, muszę pokonywać. Pomimo że się boję, że ktoś może mnie wyśmiać; to nie ma znaczenia. Helenka potrafiła. Dała radę, to dlaczego my mielibyśmy nie potrafić iść jej śladami? Dlaczego nie możemy postępować podobnie?

Rafał: Aldona opowiedziała o talentach. Czasami jest w nas takie zagrożenie, że lubimy się nimi chwalić, wkrada się w nasze życie arogancja. Nigdy nie zauważyłem tego u Helenki. Ona świetnie śpiewała, o czym wszyscy doskonale wiedzą, ale nigdy się tym nie chwaliła. Dzieliała się tym śpiewem z innymi. Pamiętam, że Helenka bardzo lubiła chodzić na pielgrzymki. Potem praca już jej na to nie pozwalała, ale jeśli miała dwa dni wolnego, dojeżdżała, zostawiała samochód, szła z pielgrzymką, a dopiero później się zastanawiała, co z tym samochodem zrobić. Zawsze znalazło się jakieś rozwiązanie.

Mówisz czasami w sercu: „Heleno, pomóż”?

Aldona: Czasami tak... Ona jest dziś z Panem Bogiem, ale jak mi ciężko, to myślę, że jest i przy mnie.

Rafał: Mam w sobie mnóstwo wspomnień. W tej chwili najtrudniej mi, gdy spotykamy się razem z przyjaciółmi, bo Helena zawsze wśród nas była, a teraz jej nie ma... Nawet ostatnio, kiedy już pracowała w liniach lotniczych, zawsze gdzieś się pojawiała, wcześniej wychodziła, później przyjeżdżała, ale była. Ten brak mi teraz ciąży... Nie miałem z nią tak bliskiej relacji jak Aldonka, ale zawsze, gdy prosiłem ją o pomoc, ona nigdy mi jej nie odmówiła.

Kiedy myślę o Helenie, myślę o tym, czym jest czysta dobroć...

Przybiegała do nas, często było widać na jej twarzy ogromne zmęczenie. Była po całym dniu pracy, ale zawsze siadała uśmiechnięta. Czasami widziałem, że chętnie poszłaby spać, ale nie – zostawała z nami.

Gliwice, marzec 2017

JOANNA I KAMIL BŁYSZCZAKOWIE

PODESZŁA DO MNIE I DAŁA MI KOMPAS

Asia przychodzi z zeszytem. Gruby, w kratkę. Są w nim zapisane wspomnienia o Helenie i wszystko to, co wymyśliła głowa i wymyśliło serce Asi po śmierci przyjaciółki.

Asia: Boję się, że coś mi umknie, że czas zacznę robić swoje i pozaciera ślady... A całe moje studia to Helenka. Wraz z innymi ludźmi współtworzyliśmy dość specyficzną grupę – kryzysowo-różańcowo-imprezową. Dosłownie: do tańca, do różańca, do opłakiwania i do wspierania się nawzajem.

Pamiętasz pierwsze spotkanie z Helenką?

Asia: Oczywiście! W poniedziałki odbywały się spotkania oazowe. I właśnie w taki jeden poniedziałek przyszła Helena. Pamiętam, jak stała w zakrystii. Była ubrana w błękitną kurteczkę, jeansowe spodnie i czarne, wysokie kozaki. Taka lekko drżąca. Wielu z nas na początku kojarzyło ją jako nieśmiałą dziewczynę, która zaciąga rękawy swetra. Zmarznięta, mówiąca cichutkim głosikiem. Nie miałam wtedy pojęcia, że pięknie śpiewa. I długo mogłabym o tym nie wiedzieć, bo Helenka nigdy się nie chwaliła. Nie zdradzała się ze swoim talentem.

Kamil: To prawda, ale nadszedł moment, w którym ktoś musiał przejąć scholę...

Asia: Tak. To był przełom 2009 i 2010 roku. Najliczniejszy rocznik w naszej wspólnocie skończył studia. Wiele osób

odeszło. Pojawiła się Helenka, a rok później młodzi ludzie z jej rocznika. Pod koniec 2010 roku Schola Albertinum weszła w nowy etap. Jej główny trzon od tego momentu stanowili: Helenka, Grzesiu Steć i Szymon Szymik.

Kamil: Ja poznałem Helen nieco później. Wtedy już skończyłem studia i zakochałem się w Asi. Podróżowałem w tę i z powrotem między Bielskiem, Tychami a Gliwicami, by się z nią spotkać. Moje życie wkraczało już w inny etap. Helen była dużo młodsza ode mnie. Poznałem ją na jakimś spotkaniu we wspólnym gronie, być może był to Dzień Kobiet.

Asia: A nie przypadkiem na andrzejkach?

Asia kartkuje zeszyt.

Kamil: Poznałem Helen na imprezie z okazji Dnia Kobiet, którą zorganizowaliśmy wspólnie z chłopakami z duszpasterstwa dla naszych dziewczyn. Co pamiętam z tego spotkania? Młoda, przestraszona, dużo młodsza ode mnie. Skończyłem studia, ona była na pierwszym roku. W polskich warunkach byłaby właściwie w klasie maturalnej... I ten jej delikatny głosik, wtedy ledwo słyszalny.

Oboje podkreślacie pewien rodzaj cichości, który zauważyliście u Heleny. Dlaczego to dla Was takie ważne?

Asia: Ponieważ Helen bardzo się zmieniła w trakcie studiów. Właściwie nie tyle zmieniła, co po prostu rozkwitła. Zresztą to pierwsze wrażenie okazywało się mylne już chwilę później, kiedy zaczęliśmy z nią przebywać, przyjaźnić się. Nagle okazało się, że, owszem, może i ona jest cichutka, skromna, pokorna, ale – ma ogromne zdolności organizacyjne, jest świetnym liderem, do tego nie gwiazdorzy, jest bardzo odważna, ufna.

Ze wspólnych początków pamiętam pewną historię. Spotkania w naszej grupie przyjaciół często się przeciągały do późnych godzin wieczornych. Helen na koniec po prostu wstawała i wychodziła. W pewnym momencie chłopcy zorientowali się, że ona ma daleko do swojego mieszkania. Najpierw dostała reprimendę pt. „Dlaczego nic o tym nie mówi?”, a potem powstały eskorty odprowadzające Helen.

Kamil: To ważne, by mieć świadomość, że duszpasterstwo akademickie dało nam w wielu przypadkach takie relacje, przyjaźnie, które trwają do dziś, mimo że kończyłem studia 10 lat temu.

Asia: O mojej relacji z Helenką też mówię: przyjaźń. Wspólnota związana ze scholą czy oazą to było coś przy okazji, gdzie się czasem spotykałyśmy dodatkowo. Poza tym przez chwilę mieszkałam nawet z Helen w akademiku. To był taki epizod wakacyjny.

W akademiku? Mam przy sobie kartkę z rozrysowanym układem mieszkania na Lutyckiej. Przez 10 minut Aldona próbowała nam wytłumaczyć, kto, kiedy i z kim mieszkał w pokoju. Podałam się.

Kamil: Tak, to prawda. Lutycka to temat na osobną książkę.

Asia: Poza tym Lutycka to jednak opowieść, która rozgrywa się dużo później na osi czasu życia Helenki. W naszej opowieści jesteśmy na początku studiów Helen.

Kamil: W 2010 roku jechaliśmy autem. Kolega ściął dość mocno zakręt. Helenka chwyciła mnie za kolano. Nie daliśmy jej potem żyć. Ciągle z niej żartowaliśmy. Jednocześnie mieliśmy do niej ogromny szacunek. Wielu z nas zdawało sobie sprawę z tego, że ona jedna robi więcej dobrego niż my wszyscy razem. Ale dopiero po jej śmierci wszyscy się

zastanowili, pozbierali do kupy fakty i nagle stwierdzili: żyliśmy obok świętej dziewczyny!

I to dotyczyło nas wszystkich. Ludzi z różnych środowisk.

Helena i studia. Co Wam wiadomo na ten temat? Helena i chemia?

Asia: To dobre pytanie: Helena i chemia? Co ciekawe, ona naprawdę dobrze się uczyła, chociaż od razu gdzieś tam w rozmowach zaznaczała, że nie będzie pracowała w zawodzie.

Kamil: Helen spotykało się zawsze w biegu. Nie jadła, nie spała. Regularnie dowiadywaliśmy się, że ma coś do zdania, do zaliczenia. Sęk w tym, że nie poświęcała na naukę zbyt wiele czasu, a wyniki miała bardzo dobre.

Asia: Bardzo. Maciek i Madzia Krupa byli prymusami. Chociaż czasami widziałam, jak Maciek pomagał Helen, jak wspólnie rozwiązywali zadania, to ona nie miała najmniejszych problemów z nauką i jednocześnie nie przywiązywała wagi do rzeczy takich jak kariera naukowa. Helen chciała czegoś innego... Być z ludźmi. Miała w sobie pewnego rodzaju kompas.

Kompas?

Kamil: Ważniejsi byli dla niej ludzie. Helena miała azymut na drugiego człowieka.

Asia i Kamil powołują się na pewną ankietę. To ta sama ankieta, która była cytowana na pogrzebie Helenki i w której na pytanie o cele długoterminowe padła odpowiedź: świętość. Obok tego, że chce być zbawiona, Helenka dopisała jeszcze: „Być bardziej dla innych”.

Sprawa z ankietą wymaga wyjaśnienia. Na pogrzebie podano, że Helenka wypełniła ją na potrzeby rekrutacji w liniach lotniczych. Wszystko dlatego, że ankieta została odnaleziona w torbie służbowej Helen, ale już wiemy, że pochodzi ona z pewnego kursu.

Asia: To był kurs o nazwie „Przełamywanie barier”, prowadzony przez pana Jerzego Kołodzieja. Jest to biznesmen o międzynarodowym doświadczeniu zawodowym. Warsztaty mają na celu skierowanie naszych działań twórczych w odpowiednią stronę. Nie da się opisać ich jednym zdaniem, bo dotyczą wielu sfer, m.in. skuteczności działania, relacji z ludźmi i postawy wdzięcznej, umiejętności wykorzystywania własnych porażek.

Organizujemy je w Bielsku. Opowiedzieliśmy o nich Helence i ekipie z Lutyckiej, w tym Monice Kostce, która zdecydowała się na zorganizowanie ich w Katowicach. Tak znalazła się na nich Helenka.

Na początku warsztatów wypełnia się ankietę dotyczącą celów i problemów, jakie dostrzega się w różnych sferach swojego życia. Jako organizatorka wypełniałam tę ankietę 16 razy i moje krótkie cele były zawsze bardzo rzeczowe, dotyczyły konkretnych dzieł. Celem ostatecznym również było zbawienie jak u Helen, ale to, co mnie najbardziej poruszyło w tym, co napisała, to zdanie: „Być bardziej dla innych”.

I co jest najciekawsze, ona rzeczywiście zrealizowała ten cel. Była bardziej dla innych.

To nie była ankieta dla Wizz Air. Helenka nie manifestowała wiary publicznie. Ona działała z wycuciem. Postanowienia z ankiety musiały być dla niej ważne, skoro tak długo nosiła tę kartkę w podróźnej torbie. Ponad rok!

Kiedy myślałam o niej i o tym celu, o którym napisała, zastanawiałam się: ale jak? Jak można być jeszcze bardziej dla innych, niż ona jest? Niż ona była...

Kamil: Kiedyś zapytałem: Helen, co cię podkusiło, by po skończeniu studiów zostać stewardesą? Odpowiedziała, że gdyby się zamknęła w laboratorium, to by umarła. Ona musi być wśród ludzi.

Asia: Pisała wierszyki, animowała zabawy z dziećmi. Miała bardzo wiele różnych talentów, które świetnie by się sprawdziły w pracy z dziećmi. Cechowała ją żywotność, otwartość, niesamowita kreatywność. Często pomagała w świetlicy środowiskowej w Gliwicach, naprzeciwko katedry. Tam się spełniała.

Kamil: W tej naszej wspomnianej grupie duszpasterskiej, kiedy odbywały się śluby (lub inne uroczystości, jak świętowanie obrony pracy magisterskiej), mieliśmy zwyczaj, że na ludową nutę wymyślaliśmy przyśpiewki opowiadające historie o młodej parze. Helen była w tym nie do przebiccia. Poza tym była absolutnie najlepsza, jeśli chodzi o gry towarzyskie, np. była naszą lokalną mistrzynią w Taboo.

Asia: Normalnie, w czasie jednej minutowej rundy drużyna osoby prowadzącej odgaduje cztery hasła. Jak ktoś jest dobry, potrafi tak to poprowadzić. Helena, kiedy doszła do wprawy, w trakcie tej minutowej rundy przedstawiała 9, czasem 11 haseł.

Kamil: Inne wspomnienie. Helen z Anią Tempińską i z Asią zrobiły kiedyś fajny prezent dla Grzesia. Namalowały mu grafikę na ścianie sypialni.

Asia: Każdy z nas, kto brał ślub, dostawał od Helenki coś szczególnego. Takie śluby wiązały się z wielkim działaniem. Ktoś projektował zaproszenie, ktoś prowadził imprezę, ktoś organizował jakieś dekoracje. Tempińscy projektowali zaproszenia dla Grzesia. Nie wszystkie grafiki wykorzystano

w tych zaproszeniach, więc Grześ Steć z żoną Krysią stwierdzili, że musimy wszystkie pomysły uwiecznić na ścianie. Ów projekt zrealizowaliśmy w kwietniu 2016 roku.

Helenka i nam towarzyszyła, gdy zawieraliśmy sakrament małżeństwa w 2013 roku. Przyjechała do nas dzień przed rozpoczęciem uroczystości razem z grupą siedmiu osób, by pomóc nam w przygotowaniach. Gdyby nie oni, nie wiem, jak wyglądałaby cała celebracja. Posprzątałi kościół, udekorowali go, ogarnęli cały dom. Zachowały się zdjęcia, jak Helenka pomagała mi ubierać się do ślubu w suknię ślubną.

Na kilka tygodni przed uroczystością również razem z Helenką wybierałyśmy pieśni na liturgię. Chcieliśmy, żeby mężczyźni wzięli służbę liturgiczną, psalm i czytania. Szkoda mi było nie wykorzystać jej talentu, a wiem, że sama by się nie wychyliła, dlatego poprosiłam ją, by np. na uwielbienie zaśpiewała solo. Zaproponowała mi pieśń: *Uwielbiam Cię*. Zgodziłam się, bo ten utwór bardzo mi się podobała.

Dwie osoby miały kamerki amatorskie i kolega nagrał solówkę Heleny. Zaśpiewała tak pięknie, że oczywiście żaden sprzęt tego nie odda – tyle w tym było jej serca i zaangażowania.

Nawet mężczyźni w kościele popłakali się ze wzruszenia. Na nagraniu widać, jak uśmiecha się do nas. Dawałam jej znaki spod ołtarza, że śpiew był fenomenalny. Dzięki temu nagraniu mamy po niej niesamowitą pamiątkę...

Nieco później brała ślub moja koleżanka, która nie знаła Helenki. Powiedziała, że choćby miała ściągnąć Helenkę z końca Polski, zrobi to, żeby i na jej ślubie zaśpiewała pieśń. Odpowiedziałam, że niestety, ale będzie musiała Helen ściągnąć z Zambii.

Skoro mówimy o Zambii... Czy podczas spotkań w gronie przyjaciół, znajomych Helena opowiadała o Wolontariacie Misyjnym, o wyjazdach na misje?

Asia: Bardzo dużo.

Kamil: Szczególnie po Zambii. Pamiętam, że kiedy stamtąd wróciła, miała duże problemy ze zdrowiem. Zresztą, już wcześniej zdarzało się, że widzieliśmy, jak Helenka mdłała.

Mdłała? W jakich okolicznościach?

Kamil: Dyskretnie, bez sensacji, ale się zdarzało. Ania Tempińska systematycznie zajmowała się dożywianiem Heleny. Na spotkania przynosiła swetry dla niej, bo wiedziała, że Helena będzie marzła.

Asia: A pamiętasz, jak Helen wróciła z Zambii i odwiedziliśmy ją w szpitalu w Zabrze? Kiedy dojechaliliśmy, okazało się, że mamy dziesięć minut na wizytę. A tam, w sali u niej, kolega ze studiów, Maciek. Machamy do niego, pukamy w szybę. On chyba myślał, że my nadal mieszkamy w Gliwicach, a my z Bielska gnaliśmy na to spotkanie... W końcu, kiedy mogliśmy wejść, okazało się, że mamy jakieś trzy minuty.

Kamil: Ale i tak trochę się zasiedzieliśmy.

Asia: Bo Helenka nagle zaczęła wszystko po kolei opowiadać, jak to było z tą Zambią, jej chorobą, chociaż już wcześniej o wszystkim od niej wiedzieliśmy. Podpięta do miliona ćwierkających urządzeń mówiła i mówiła... taki słowotok. Ledwo widziała na oczy. Śmiesznie trochę wyglądała, bo jedno oko nie do końca jej się otwierało.

Kamil: Mówiła niby z sensem...

Asia: Tak, z sensem. Tylko potem okazało się, że nie bardzo pamiętała nasze odwiedziny.

Kamil: Czasem miałem wrażenie, że tylko przez grzeczność mówi, że pamięta.

Czy Helena przejęła się tym, co spotkało ją po powrocie z Zambii? Zły stan zdrowia, diagnoza, operacja.

Kamil: Nie. Ona się nie przejmowała swoim zdrowiem, jedzeniem i tym, czy jest jej ciepło. Dopóki mogła gdzieś być, nie interesowały jej zbytnio okoliczności.

Asia: Zresztą, jak ona opowiadała o tym, co w tej Zambii robiła...

Kamil: ...to wyjazd do Boliwii wydawał się bardzo bezpieczny.

Co macie na myśli?

Kamil: Helena w Zambii opiekowała się dziećmi ulicy. Tylko to nie były małe dzieci.

Asia: To byli kilkuletni i nastoletni chłopcy biorący narkotyki, którzy uciekali z domu, mieszkali na ulicy. To nimi zajmowały się wolontariuszki.

Kamil: Z opowieści Helen wiem, że czasem dziewczyny chodziły w takie miejsca, w których biali w ogóle nie powinni się pojawiać.

Asia: Tym bardziej kobiety. Znamy historię chłopaka, który był pod wpływem silnych narkotyków, wpadł do ogniska, miał poparzone nogi, kość na wierzchu. Helen próbowała sprowadzić go do ośrodka. Szła i po drodze opatrywała mu ranę, która się cały czas sączyła no... i nie pachniała zbyt pięknie.

Chłopcy często wracali z powrotem na ulicę. Nie zniechęcało jej to?

Kamil: Raczej zachęcało do dalszych działań.

Asia: Po powrocie do Polski na jednej z imprez opowiadała o Zambii, również o powtarzalności pewnych sytuacji: nauka w szkole, uciekanie, szukanie, nauka w szkole, uciekanie, szukanie... przyprawdzanie. Pamiętam, że wtedy podsumowałam to wszystko stwierdzeniem: „szyfowa praca”. Miałam jednak na myśli pewną powtarzalność czynności, a nie brak sensu niesienia pomocy. Sama chciałabym pracować dla innych. Helenka się wtedy zasmuciła. Opowiedziała, że wiele osób tak to postrzega i ona czuje się nierozumiana. Stwierdziła też, że sama wiele się nauczyła od spotkanych tam osób. Szczególnie tego, jak ważna jest obecność drugiego człowieka. Jak cenna.

A druga kwestia po pobycie w Zambii, która nagle stała się dla Heleny ważna, to bieda. Powiedziała, że my wszyscy tutaj pławimy się w luksusach... Wtedy też Helen przyjęła jeszcze większą postawę dziękczynną niż do tej pory.

Poza tym i nas zaraziła trochę misjami. Już wcześniej sami prosiliśmy: „Helenka, chcielibyśmy przyjść do Wollontariatu”. Wspieraliśmy też z Kamilem jedną misję, stąd, z Polski – w sumie już od kilku lat ją wspieramy. Poznaliśmy ks. Pawła Fiacka SDS. W maju 2016 roku mieliśmy wziąć udział w ogólnopolskim spotkaniu WMS-u. W tym czasie byliśmy jednak zaangażowani w Światowe Dni Młodzieży. Zresztą na ŚDM spotkaliśmy się też z Helenką. W Brzegach. Dowodziła grupą z Libiąża. Ratowała chyba wszystkich z potrzasku w obrębie trzech województw. Pamiętam, że kiedy się spotkaliśmy, było wtedy tyle radości... Gdzieś o godz. 3.00 rano usiedliśmy na kampusie na ławeczce, a Helen opowiadała i opowiadała. Usłyszeliśmy m.in. hi-

storię o tym, jak przez chwilę była w domu, chciała się przespać, ale o 2.00 w nocy zadzwonił jakiś Włoch. Wylądował x kilometrów dalej, wsiadł nie do tego pociągu, co trzeba. A Helena jeździła i ściągała takich jak on. Dzwonili do niej z problemami o 2.00, 3.00 w nocy. Helena miała czas dla wszystkich. Zastanawiałam się, ile spała w ciągu tego tygodnia, bo z obliczeń wychodziło mi, że może jedną, dwie godziny dziennie.

Dom rodzinny Helenki. Co o nim opowiadała?

Kamil: Z jej opowieści wiedziałem, że miała fenomenalną relację z tatą. Zawsze o nim mówiła: „tatuś”, „tatulek”. Kiedy spotkałem jej tatę na jakiejś imprezie w domu Helen, był cichy, spokojny. Stanowili podręcznikowy przykład: ukochana córeczka i jej dobrotliwy, spokojny tato. Wydaje mi się, że akceptował wszystko, co Helen wymyśliła. Wspierał ją, jeździli razem na rowerach. Zresztą, jak ostatnio zaczął miewać problemy ze wzrokiem, Helen stwierdziła, że trzeba dla niego przygotować psalterz w formie audiobooka. Rozesłała informację po znajomych. Każdy miał przeczytać jeden psalm i nagrać.

Asia: Pamiętam, że nagrywałam Psalm 107.

Kamil: Ja nagrałem trzy psalmy na wszelki wypadek, gdyby zabrakło chętnych. Jednak i ten projekt pokazuje, że dla Helen znalezienie 150 znajomych, którzy by coś wspólnie zrobili, nie stanowiło żadnego problemu.

Asia: W czwartek lub w piątek rozpoczęła akcję. Powiedziałem jej, że gdyby miała jakiś problem, żeby się do mnie odezwała. Pracuję w chrześcijańskim biurze projektowym, więc ode mnie z biura i szefowie, i cała ekipa na pewno chętnie by się włączyli. Nawet już napisałam do nich maila

w tej sprawie – odpisali zainteresowani i chętni do działania. W poniedziałek przyszedłem do pracy, sprawdzam pocztę i okazuje się, że wszystkie psalmy zajęte! Mówię: „Chłopaki, przepraszam, ale akcja zakończona”.

Kamil: Helen i tak miała jeszcze sporo roboty z nagraniami. Słysząc było trzaski, wyłączanie urządzeń. Trzeba było cały materiał zgrać, pociąć, zmontować.

Asia: Pamiętam, jak wracaliśmy z Taize w sierpniu 2010 roku. Helen dostała informację, że jej tato miał wypadek samochodowy. Bardzo się tym przejęła. Płakała. Tacie nic się wtedy wielkiego nie stało, zresztą rodzina nie zadzwoniła od razu, bo nie chcieli, by Helenka przerywała rekolekcje we Francji. Mimo wszystko ona się bardzo martwiła.

Kamil: Wszyscy lubili Helen. Gdy się gdzieś pojawiała, od razu była zauważona, coś zaczynało się dziać, coś dobrego! I co ciekawe, nigdy nie była liderem, który siebie stawia w centrum uwagi. Pamiętam, że kiedyś byliśmy na urodzinach naszego kolegi. Nie wszyscy znali Helen. Próbowaliśmy ją przedstawić, coś o niej opowiedzieć. Było wesoło, bo ilu znamy magistrów z Anglii, studiujących chemię, śpiewających operowo, pracujących jako stewardesa i to bez matury? Helen nie miała matury. Zdała egzamin na koniec pobytu w Anglii (odpowiednik polskiej matury), który nie za bardzo liczył się w Polsce, ale i tak przyjęto ją na studia.

Asia: Helena była cicha, skromna, ale miała mnóstwo przyjaciół.

Czy byliście obecni w Trzebini na posłaniu Heleny i Anity do Boliwii?

Asia: Niestety nie. Prosiłam Helenkę, żeby koniecznie dała mi znać, kiedy ma posłanie. Dostałam od niej zaproszenie

niestety na Facebooku, z którego rzadko korzystam. Przegapiłam... Bardzo żałuję.

Czy Helena dzieliła się z Wami jakimiś wątpliwościami na temat wyjazdu? W jej życiu pojawił się już wtedy Michał.

Asia: Helena decyzję o wyjeździe podjęła, zanim poznała Michała. Kiedy poznałam Michała, pomyślałam: „O, to jest gość dla Helen”. Wcześniej wielu facetów za nią biegało.

Kamil: Tabuny za nią latały. Ona była za dobra, żeby ich zbywać. Jak to Helen, była dla wszystkich miła. Zdarzały się takie sytuacje, że jakiś chłopak mówi nagle, że on chodzi z Helen. W sensie „spotyka się”. Myślałem wtedy: no, jasne, tylko, że ona nic na ten temat nie wie. Zresztą nieraz było tak, że Helen nawet nie dostrzegała w tym męskim zainteresowaniu prawdziwych intencji. Była po prostu miła. Tylko temu chłopakowi się czasem wydawało coś więcej... Jako facet muszę to powiedzieć, Helen miała w sobie wiele kobiecego wdzięku. Jednocześnie potrafiła się wszystkimi zaopiekować i miała w sobie tę dziewczęcą delikatność i otwartość na męską opiekę.

Asia: Kiedy poznałam Michała, pomyślałam, że nie tylko pasuje do niej, ale też i do nas, tzn. do całej grupy naszych przyjaciół.

Kamil: Idealny chłopak dla niej. Miły, sympatyczny, trochę cichy. Nawet śpiewa i muzykuje!

Asia: Michał to człowiek z charakterem. Niby jest spokojny, ale konkretnie wie, czego chce. Przede wszystkim żyje blisko Pana Boga. Pamiętam, że wspólnie z Helen chodzili po górach. Pewnego razu Helenka nie przyjechała na urodziny do Grzesia Stecia i jego synka, bo zaplanowała wcześ-

niej wyjazd w góry z Michałem. Jednak i tak po drodze odwiedziła Grzesia. Gorce to były czy Tatry? W każdym razie jechała przez Bielsko, chociaż zupełnie było jej nie po drodze. Wracając, przejeżdżała przez Jaworzno. I my tam pojechaliśmy, żeby się z nią spotkać! Spotkaliśmy się z nią, z Michałem, z Tempińskimi. To było nasze ostatnie spotkanie.

Pamiętam jak dziś. Weszłam do mieszkania, patrzę, siedzi Michał, obok Helenka. I Helenka znowu ubrana na niebiesko, znowu zmarznięta, taka drżąca... Wglądała tak, jak wtedy, gdy zobaczyłam ją pierwszy raz. Naciągnięte rękawy, błękitna sukieneczka, bo już zdążyła się przebrać po zejściu z gór. I te błękitne oczy, takie migdały. Było widać, że jest bardzo rozpromieniona. Szczęśliwa. Było widać, że czuje się bezpiecznie przy Michale. To było bardzo krótkie spotkanie. Pamiętam, jak się żegnaliśmy. Ania Tempińska już w zaawansowanej ciąży. Helenka zrobiła jej znak krzyża na brzuchu. I powiedziała, że pierwsze, co zrobi, jak wróci z Boliwii w czerwcu, to przyjedzie, żeby się zapoznać z Julią.

Kamil: Julia urodziła się w dzień pogrzebu Helenki.

Asia: Miała być Julia Wanda, ale jest Julia Helena. Pamiętam, że wtedy, podczas pożegnania staliśmy w korytarzu, rozmawialiśmy, robiliśmy sobie krzyżyki na czole z Helenką...

Kamil: Jak zawsze...

Asia: Jak zawsze.

Kamil: Zawsze też mówiła do mnie „staruszkę”, ja do niej „młoda”.

Asia: A, i prosiliśmy, żeby jakiś magnesik stamtąd przywiozła.

Kamil: Zawsze nam przywoziła. Z Zambii nie przywiozła, bo stwierdziła, że były tandetne, więc przywiozła z Dubaju, tam się przesiadała.

Asia: Sama nie pamiętam początków z tymi magnesikami. Zaczęliśmy je zbierać w 2012 roku. Helen kiedyś to zauważyła i zaczęła nam je przywozić. Zawsze pamiętała, choćbyśmy się nie wiem jak długo nie widzieli. Ostatni magnesik, jaki nam dała, był z Medjugorje. Była tam razem z grupą znajomych, m.in. z Aldonką. Byli w Chorwacji, a wracali przez Medjugorje. Z Chorwacji dostaliśmy magnesik w kształcie łódki, a z Medjugorje mały kamienny krzyżyk. Dała nam oba we wrześniu, na urodzinach Ani i Michała Tempieńskich.

Kamil: Przypomniało mi się jeszcze coś o Michale. Kiedyś siedziałem na lotnisku w Warszawie. Miałem przesiadkę, długi czas oczekiwania na następny lot. Zagadałem SMS-em do Helen. Chwilę rozmawialiśmy. Ona wtedy napisała, że „(...) piecze ciasteczka dla ukochanego”, czyli dla Michała. Pomyślałem: „Oho! Wzięło ją”. Choć oficjalnie nic nie padło, to o planach zaręczyn wiemy z rozmów kularowych.

Asia: Dla mnie to niesamowite, że Helena z Michałem już planowali wspólne życie. Była przecież mowa o zaręczynach. I w tym wszystkim Helen jednak nie zmieniła swojej decyzji o wyjeździe...

Kamil: To jest właśnie ten jej kompas, o którym już mówiliśmy. Helena wiedziała, że ma tam pojechać nie dla przygody, zabawy, tylko by służyć innym. To, że się zakochała, myślała o ślubie, nie wpłynęło na jej plany. Wiedziała, że dzieciaki tam są i jej potrzebują.

Jasne, że pytaliśmy ją, czy się boi. Chociaż przyznam, że wydawało nam się, że nic bardziej niebezpiecznego niż w Zambii, nie może jej tam spotkać. Helen wprost odpowiadała na nasze pytania, ale też patrzyła na nas, jakbyśmy nic nie rozumieli. Zdawała sobie sprawę z zagrożenia i z niebezpieczeństwa, ale to nie było istotne.

Czy Helena kontaktowała się z Wami z Boliwii?

Asia: Nie. Dzięki Tempińskim wiedzieliśmy, co u niej. Ania z nią korespondowała. Ostatnią wiadomość od niej mam z niedzieli, przed tą nocą z poniedziałku na wtorek 23-24 stycznia.

Co było w tej wiadomości?

Asia: Opisywała, co robią i co jeszcze mają do zrobienia, jak się czują itd.

Gdy słyszycie, że Helena może być błogosławiona, to co myślicie?

Asia: Nie zdziwiłabym się, gdyby doszło do procesu beatyfikacyjnego. Wręcz oczekuję go z niecierpliwością. Tylko faktycznie nie z tytułu śmierci męczeńskiej, bo to będzie trudno udowodnić, ale z tytułu heroiczności cnót i świętości życia.

Kamil: Przyszła sobie taka dziewczyna... Do dziś w naszym męskim towarzystwie duszpasterskim, gdy rozmawiamy o trudnościach życia i o tym, jak trząść światem w poszukiwaniu świętości, wspominamy: przyszła taka mała smarkuła i wszystkich nas zawstydziła sposobem swojego bycia, życia...

Asia: Sposobem podejmowania decyzji.

Kamil: Byliśmy od niej starsi, ale jeżeli chodzi o wiarę... Jeżeli ktoś z nas ma trafić do nieba i być świętym, to ona idzie w pierwszej kolejności. Nie jestem zwolennikiem głoszenia: „O, patrzcie, św. Helena”. Nie jestem też zwolennikiem ogłaszania jej męczennicą, ale dla nas, którzy ją znaleźliśmy i widzieliśmy jej podejście do ludzi i do Boga, ona jest święta.

Asia: Helenka była bardzo wrażliwa i miała w sobie mnóstwo empatii. Pamiętam taką sytuację, kiedy dowiedzieliśmy się, że nasi przyjaciele stracili nienarodzone dziecko. Pojechaliśmy do nich w kilka osób, zrobiliśmy wspólny obiad. Zaczęliśmy rozmawiać. Atmosfera trudna, ale jednak pełna nadziei. Helenka płakała z płaczącymi. Kiedy ktoś z naszej paczki przeżywał jakieś bóle i trudności, pamiętam, że ona często potrafiła płakać razem z osobą przeżywającą trudności.

Helenka nie udzielała rad. Myślę, że to świadczy o pokorze. Gdy przeżywaliśmy jakieś trudności, ona po prostu była, słuchała, towarzyszyła i właśnie: cieszyła się albo płakała razem z nami.

Napisałam w zeszycie taką moją opowieść o Helenie. Widzę u niej kilka cech, które kojarzą mi się z trójką innych świętych, z matką Teresą z Kalkuty, z s. Faustyną Kowalską i z Janem Pawłem II, bo...

Siostra Faustyna była niesamowicie skryta. O jej historii i życiu dowiadujemy się właściwie z *Dzienniczka*. Kiedy żyła, niewiele było o niej wiadomo. Jezus mówił do Faustyny, że gdy się dzieje wszelka niesprawiedliwość, by przychodziła z tym do Niego, by zachowywała to w sobie, by nie walczyła o swoje, by przebaczała.

I Helenka właśnie taka była. Nie zabiegała, żeby być pierwsza. Była skłonna do ustępstw. Prowadziła skryte życie duchowe. Była pokorna. Faustyna umierała w cichości,

a Bóg ją wywyższył. Ostatnio mieliśmy ŚDM pod jej wezwaniem. Nasza Helena też żyła w takiej cichości, chociaż wszyscy widzieli, jakie ma talenty... Po śmierci poruszyła cały świat... Bóg już ją wywyższył. Pokazał, że jest tak jak napisane w Piśmie Świętym: „Wywyższa pokornych”... [wzruszenie], jest również napisane: „Błogosławieni cisi”. I to się stało na moich oczach... To mnie wprawia w zdumienie, że Ewangelia rozegrała się na moich oczach.

Kiedyś koledzy (Grześ i Szymon ze scholi), dowiadując się od innych osób (ode mnie, nie od Helen) o pewnych faktach z jej życia, postanowili zrobić jej laurkę na Dzień Kobiet – było na niej hasło: „Helenka – Komnata tajemnic”, a na środku narysowane drzwi do komnaty.

I to hasło oddawało prawdę o niej.

Potem – matka Teresa z Kalkuty. Helena miała wewnętrzny kompas i była skuteczna w działaniu. Karierę, trofea zawodowe odkładała na bok, chociaż wszystko było w zasięgu jej możliwości. Jednak priorytetem była dla niej służba, bycie dla innych. I takimi decyzjami: „Nie chcę Oksfordu (rzeczywiście miała możliwość studiowania tam), chcę duszpasterstwo”, pokazała, że ona ma ten kompas – wybiera wartości. Wartości duchowe, a nie materialne. To się ujawniło, kiedy podejmowała decyzję o Boliwii. Wiedziała, że dzieci tam potrzebują miłości, chciała im ją przekazać, chociaż w perspektywie miała swoje szczęście. Potrafiła je jednak odłożyć na później, wybrała pomoc innym. I skuteczność. Matka Teresa z Kalkuty nie mówiła dużo, ale dużo robiła. Helenka miała to samo. Z nią nie toczyło się rozmów mainstreamowych, tak jak to często dzieje się w środowisku kościelnym, np. na temat aborcji itp. Wszyscy jednak wiedzieli, jakimi wartościami żyje Helena. Wszyscy wiedzieli, że to jest piękna, dobra, czysta dziewczyna, że ma te wszystkie wartości poukładane jak mała kto.

I Jan Paweł II. Z nim kojarzy mi się taki termin jak „integracja”. „Człowiek zintegrowany” to człowiek czysty, który odnalazł swoją tożsamość, zrozumiał, w jaki sposób został stworzony przez Boga. Poznał swoje możliwości, talenty, poznał swoje „oprogramowanie”, jakie mu Pan Bóg dał. Teraz tym, co ma, dzieli się z innymi. Jest w tym punkcie, w którym Pan Bóg by go najlepiej widział. I taka była Helena. Miała talent muzyczny, to się nim dzieliła, miała talent do opieki nad dziećmi, to się nimi opiekowała. Helena była zintegrowana. Było widać, że ona nie marnuje czasu.

Wracając znowu do wspomnianych warsztatów z panem Jerzym Kołodziejem, trzecie, najważniejsze spotkanie nosiło tytuł: „Problem, czyli szansa”. Pojawiło się na nim takie zdanie: „Wszelkie problemy i trudności są najcenniejsze”. Z podkreśleniem słów: „wszelkie” i „najcenniejsze”. W tym czasie oboje przeżywaliśmy odejścia czterech bliskich osób z naszej rodziny, choroby... W ciągu zaledwie dwóch lat... Ćwiczyliśmy się w tym, żeby dziękować... Że cokolwiek przyjdzie... Cokolwiek... Jakikolwiek prezent z góry dostaniemy... [wzruszenie]. Jakikolwiek, to żeby... dziękować.

W Twoim zeszycie odnajdziemy też zdanie: „Świat dziś do nas mówi, że czas to pieniądz, a Helena pokazała swoim życiem, że czas to miłość”...

Asia: Piątą bliską nam osobą, która odeszła w czasie trwania warsztatów, była Helenka. To niesłychanie trudne doświadczenie. Byliśmy w tym czasie w Gliwicach, ale nie zajrzeliśmy do kościoła akademickiego na mszę o 19.30. W duszpasterstwie już wiedziano. Ja również dostałam wcześniej wiadomość o tym, co się stało, ale znowu... odczytałam ją dopiero w Bielsku po powrocie i... zamarliśmy. Pamiętam ten moment dziś, jakby wydarzył się wczoraj. I tak naprawdę choć przyjęłam to, płacząc i dziękując rów-

nocześnie, to do dziś trudno mi pogodzić się z faktem, że w tym życiu już Helenki nie zobaczę.

Przed jej śmiercią próbowaliśmy się zdzwonić, ale ciągle każda z nas była zajęta. Ja pochłonięta mnóstwem zadań, pracą, nie miałam czasu na budowanie relacji, m.in. na spotkanie z Helenką... Po jej śmierci pojawiła się u mnie taka mnie myśl: jakie znaczenie mają te wszystkie projekty? Jakie znaczenie ma praca, kariera, jeśli brakuje w tym wszystkim odniesienia do konkretnej służby? Po co to wszystko robić? Helenka przestawiła priorytety w moim życiu... Relacje są ważniejsze niż wszelkie działania, nawet te charytatywne.

Zawsze garnęła się do ludzi i potrafiła dla nich znaleźć czas. Świat dziś do nas mówi, że czas to pieniądz, a Helena pokazała swoim życiem, że czas to miłość.

Kiedy przygotowywaliśmy się do pogrzebu Helenki, kolega, Marek Szafraniec, zaproponował, żeby zrobić wieniec z kwiatów – w taki sposób, żeby dało się go rozebrać. I tak jak Helen rozdawała siebie innym, żeby każdy mógł zabrać kwiatek ze sobą. Do kwiatów były przyklejone bileciki ze słowem Bożym. Było ich ponad 700, ale wszystkie się rozeszły. Widać, jak Duch Święty w tym działał. Po czasie wiele osób mówiło mi, że dostali fragment, który bardzo poruszył ich i wydał owoce.

Tempińscy również wzięli udział w tym dziele. Choć było im trudno, bo Ania była w zaawansowanej ciąży. Z tej przyczyny nie mogli poświęcić na to wiele czasu.

Ania jest zawsze niezwykle chętna do pomocy, podobnie jak była Helenka.

A jako że nie mogła być na koniec przy składaniu wieńca, zadzwoniła, żeby nam w taki sposób towarzyszyć. Jak się okazało, tego dnia nad ranem rozpoczęły się skurcze, więc my też towarzyszyliśmy zdalnie Ani w rozpoczynającej się akcji

porodowej. Zaczęło się to dokładnie po tym, jak zdecydowała, że ten dzień spędzi w domu, mimo wielkiego pragnienia pożegnania Heleny. Świadomie wybrała między możliwością zrealizowania swojego pragnienia a realizacją swojego powołania do macierzyństwa – tak trochę na wzór Helenki. Jeszcze wieczorem modliła się z nami w Trzebini, a na drugi dzień, przed terminem, przyszyła na świat Julia Helena.

Kiedy informowałam na cmentarzu naszych przyjaciół i znajomych, co się dzieje, dwie osoby, patrząc w niebo, skwitowały to zdarzenie tak samo: „Życie za życie!”. I byli to: ks. Paweł Fiącek i Michał Szuścik.

Z zeszytu Asi:

„Dostałam niesamowicie piękną, ale i tragicznie trudną lekcję życia. Piękną, bo życie osoby, o której za chwile napiszę, było do końca piękne, i trudną, bo serce mi po prostu pęka”.

„Przez pewien czas mieszkałam z Helenką. To było na wakacjach, po obronie mojej pracy inżynierskiej w 2011 roku. Trwało miesiąc. W tym czasie miałam wrażenie, że Helenka nic nie je. Nigdy nie widziałam jej jedzącej. Powiedziałam do Kamila, że mam takie wrażenie. A Kamil? Kiedyś nas odwiedził i bez ogródek wystartował do Helenki: «Helen, czemu ty nic nie jesz?»”.

„Planowałyśmy razem iść na Camino de Santiago de Compostela. Nawet zachowała się korespondencja na ten temat z 2013 roku na moim Facebooku. Tylko, że jakoś od 2010 roku nie mogłyśmy znaleźć na to wspólnego czasu. W końcu wybrałam się z mę-

żem w 2014 roku. Pozbieraliśmy od przyjaciół różne intencje. Było ich ponad 20, a na każdą dziennie przypadała jedna dziesiątka różańca, który podczas drogi odmawialiśmy w całości. Ze względu na liczbę intencji dołożyliśmy dodatkowe dziesiątki. Helenka poprosiła nas wtedy o modlitwę za jej pracę magisterską i dyplom w szkole muzycznej. Modliliśmy się też o zdrowie dla niej, bo to był czas operacji, które przechodziła – najpierw na sercu, a potem, po komplikacjach, wycięto jej fragment płuca.

Do dziś zachował się sms w moim starym telefonie z jej intencją i życzeniami urodzinowymi, które mi wysłała. A w drodze modliłam się na różańcu, który zrobiły dla mnie z Moniką rok wcześniej, na urodziny”.

„Pamiętam, jak gdzieś pod koniec 2011 roku przeprowadziła się do Gliwic Monika Kostka. Dołączyła po pewnym czasie do duszpasterstwa, ale do Betanii (wspólnota charyzmatyczna), która nie była z nami związana. Opowiadałam jej często o Helenie, a ona nie mogła zapamiętać jej imienia. Ciągłe przekreślała na „Halina”. Aż w końcu poznały się w 2012 roku u nas w pokoju, jakoś wiosną–latem. Wymieniły wiadomości o WMS-ie, do którego należała siostra Moniki – Gosia”.

„Mam jeszcze takie wspomnienie o niej: kiedy już wyprowadziłam się z Gliwic, zdarzało się, że jeszcze coś zostało mi do załatwienia na Śląsku. Wtedy nocowałam u niej. Odstępowała mi swoje łóżko, a kiedy było zimno w nocy, to jeszcze swój żółty kocyk w kwiatki. Do dziś pamiętam ten kocyk.

Miała też sporo maskotek, a wśród nich swoją ulubioną małpę, Felka. W ogóle lubiła pluszowe małpki”.

„Tamtej nocy, mam wrażenie, starło się ze sobą dobro i zło. Po ludzku, po świecku patrząc – dobro, jak się zdaje, przegrało. Jednak po tamtym zdarzeniu widzę, ile miłości wylało się na świat dookoła. Do ilu ludzi dzięki niej dotarła Ewangelia. Patrząc na owoce tej sytuacji, rozumiem, że dokonała się, można powiedzieć, pewna ofiara. Niesamowite jest, jak pośród takiego ogromu nienawiści miłość jednego człowieka zmienia świat”.

„Przed ślubem Grzesia i Krysi zjechaliśmy z Anią i Michałem na Litwę, dzień przed uroczystością. W nocy przyjechała reszta ekipy – Kostki, Helen, Szymiki, Piotrek G. z Bożenką, Szymon S., Ania z Helenką, jak zwykle, wzajemnie się czesały i kogo się dało. Helenka zrobiła mi kokardę z moich własnych włosów. Jakoś pozawijała je w taki sposób, że fryzura trzymała się cały wieczór”.

„À propos piękności. Czasem, jak dzwoniłam do niej, witałyśmy się przez telefon: «Witaj, piękna Joanno», na co odpowiadałam: «Witaj, piękna Heleno»... Pamiętam, że Helence podobały się dwie rzeczy z mojej garderoby – tunika i chusta. Chusta była bardzo cienka i lekka, zrobiona z jedwabiu. Wręcz unosiła się na wietrze. Bardzo ją lubiła... Gdy oglądam jej zdjęcia na Facebooku i widzę taką ilość jej zdjęć z chustą pod wiatr, już rozumiem, dlaczego tak ją lubiła...”

„Miałam w ciągu ostatnich dni taki sen. Właściwie to chyba mi się przyśniło podczas stanu przejściowego – zaraz na początku snu albo na końcu.

Śniło mi się, że Helenka podeszła do mnie i dała mi kompas. Taki niebiesko-czarny z czerwoną wskazówką. Nic nie powiedziała, ale zrozumiałam, żeby iść za nią, za tymi wartościami, którymi żyła... Zrozumiałam, że najważniejsze jest miłować.

Zabawne to było, bo rozmawialiśmy z Kamilem i z panem Jerzym o tym właśnie, że Helen nie miała zbioru punktów – zasad, którymi żyła. Ona miała kompas, za którym szła, jakby intuicyjnie. Ta czerwona strzałka wskazywała miłość – wypełnioną w Jezusie Chrystusie. No i poszła za nią aż do samego nieba”.

Gliwice, marzec 2017

PAWEŁ KUŚ

WIDZIAŁA MOŻLIWOŚCI, A NIE PROBLEMY

Paweł jest inżynierem. Na Politechnice Śląskiej kontynuuje studia magisterskie z automatyki i robotyki o specjalności: przetwarzanie informacji i sterowanie w biotechnologii. Pod koniec technikum dołączył do Wolontariatu Misyjnego Salvator. Tam poznał Helenę.

Pochodzi z Ligoty, koło Bielska-Białej, gdzie od czasu szkoły podstawowej był ministrantem. Związany z salwatorianami.

Wychowałem się na książkach przygodowych typu *Winnetau*. Zawsze marzyłem o podróżach, poznaniu innych ludzi i kultur. Były wakacje, 2011 rok. Znajoma, Klaudia, która przyjaźniła się z Helenką, napisała do mnie, że jest na Słowacji w ramach Wolontariatu Misyjnego Salvator. Wtedy o WMS-ie usłyszałem po raz pierwszy. Po raz drugi na rajdzie górskim zorganizowanym przez Salwatoriański Ośrodek Powołań. Na pielgrzymce po raz trzeci. Za każdym razem idea podobała mi się coraz bardziej. Z jednej strony służba Kościołowi, służba innym ludziom, a z drugiej strony to, o czym zawsze marzyłem – podróże. Skończyły się wakacje. Klaudia zaprosiła mnie na listopadowe rekolekcje WMS-u.

Listopad 2011 roku. Zakrzów. Jesteś na swoim pierwszym ogólnopolskim spotkaniu Wolontariatu. Co tam się takiego wydarza, że zostajesz we wspólnocie?

Otwartość innych ludzi, gotowość na relacje, uśmiech. To była pierwsza grupa, w której – mimo że byłem nowy – od razu rewelacyjnie się czułem. Ci ludzie bardzo często mi imponowali. Byli nieraz ambitniejsi niż ja, od życia też chcieli więcej niż ja. Studiowali po dwa kierunki, czasem też uczyli się w szkole muzycznej, czasem pracowali. Niektórzy mieli na swoim koncie już jakieś wyjazdy, niekoniecznie misyjne. Dla mnie to było takie WOW! Wtedy byłem jeszcze spokojnym chłopakiem, który nie miał w życiu dużych ambicji, który myślał, że pójdzie gdzieś na studia, ale nie do końca wiedział jakie i gdzie. Nagle znalazłem się wśród ludzi pełnych życia, radości, marzeń, otwartych na relacje z innymi. To wspólnota sprawiła, że zostałem.

Mówisz: „Byłem spokojnym chłopakiem”. Jak to się zmieniło?

To przykład ludzi z WMS-u sprawił, że studiuję w Gliwicach. W ogóle nie miałem takich ambicji. Oczywiście, miałem marzenia, ale one zawsze stały na półce „nie do zrealizowania”. Wizją na najbliższą przyszłość były ewentualnie studia zaoczne i praca na jakimś niskim stanowisku w fabryce. Przykład ludzi z WMS-u zmobilizował mnie do stawiania sobie w życiu celów, do tego, by nie poprzestawać na „jakichś studiach”, tylko pójść na studia, które naprawdę mogę nazwać ambitnymi, które są ciekawe, które w jakiś sposób wiążą się z tym, co mi się kiedyś zamarzyło. To ludzie z WMS-u zmobilizowali mnie do wyjazdów, chodzenia po górach. Otworzyłem się na innych.

Paweł po raz pierwszy spotkał Helenkę na regionalnym spotkaniu WMS-u. Wówczas ten region WMS-u znajdował się w Bielsku-Białej. Był marzec 2012 roku. Paweł kojarzył kilka osób ze spotkania ogólnopolskiego. Helenka wtedy pierw-

szy raz pojawiła się w WMS-ie. Poprosili ją o przedstawienie się.

Marzec 2012. Na regionalne spotkanie WMS-u w Bielsku-Białej przychodzi Helena. Zostaje poproszona, by opowiedzieć o sobie kilka zdań. Co mówi?

Zacząła mówić o tym, że studiuje inżynierię chemiczną i procesową w Gliwicach na Politechnice, że są to studia w języku angielskim, że uczy się w szkole muzycznej śpiewu operowego, że właśnie wróciła po całonocnym czuwaniu na Jasnej Górze. Nie pamiętam, o czym było spotkanie, ale wiem, że właśnie wtedy poznałem Helenę, i nie ukrywam, że zaimponowała mi wszystkim: studiami po angielsku, szkołą muzyczną, wyjazdami, czuwaniem, zaangażowaniem w milion spraw.

Wakacje 2012 roku. Paweł wyjeżdża w ramach WMS-u do Albanii, a Helenka na Węgry. Spotkali się w drodze powrotnej. Grupa wracająca z Albanii miała postój w Galgahévíz, gdzie wtedy była Helena. Do Polski wracali już wspólnie. Przez kolejne lata Paweł, Helena i Klaudia byli jednymi z aktywniejszych członków WMS-u.

Pamiętasz początki Waszego wspólnego zaangażowania w WMS-ie?

Myślę, że to się mogło zacząć od spotkania majowego, potem ważne okazało się Forum Młodych w Dobroszycach. Byliśmy w grupie prowadzącej warsztaty misyjne, zakończone ewangelizacją na dworcu we Wrocławiu. Na pewno widziałeś nagrania... Śpiewaliśmy *Słuchaj, Izraelu*. Helena dzieliła nas na głosy i ćwiczyła z nami. Śpiewaliśmy też inne piosenki w różnych językach.

Na Forum Młodych nie raz zdarzało nam się siedzieć i rozmawiać do późnych godzin nocnych. A Helena bardzo lubiła rano śpiewać *Godzinki do Najświętszej Maryi Panny*. Bywało więc tak, że szliśmy spać chyba jako ostatni, a wstawaliśmy 20 minut wcześniej przed obowiązkową pobudką i biegliśmy do kaplicy odśpiewać godzinki. Już wtedy mieliśmy bliższą relację.

Gdy spotkaliśmy się na Węgrzech, pamiętam, że Helenka specjalnie dla nas ugotowała leczo. Siedzieliśmy chyba do trzeciej w nocy i rozmawialiśmy o tym, jak wyglądały nasze wyjazdy – mój i Klaudii w Albanii, Heleny na Węgrzech.

W tym czasie Paweł zostaje liderem śląskiego regionu WMS-u. Wkrótce potem Helenka zostaje wiceliderką. Będzie tak do momentu, kiedy Paweł zostanie wybrany szefem Katolickiego Związku Akademickiego (KZA) w gliwickim duszpasterstwie akademickim. Wtedy poprosi Helenkę, która będzie już po studiach, by to ona samodzielnie odpowiadała za ten region WMS-u.

Wolontariat w tym czasie przeżywa prawdziwy rozkwit. Działa kilka sekcji – muzyczna, animacyjna, warsztatowa, transportowa. Poza tym wolontariusze wspólnie plotą różańce, projektują afrykańskie świece. Rękodzieło sprzedają na różnych kiermaszach, by tak sfinansować wakacyjne wyjazdy misyjne. Spotkania niekiedy odbywają się w czasie wypadów w góry.

Lider regionu to osoba odpowiedzialna głównie za sprawy organizacyjne – spotkania, kiermasze, wyjazdy wolontariuszy, zbiórki pieniędzy. Lider służy pomocą i wszelką informacją, zwłaszcza nowym osobom, które chcą dołączyć do wspólnoty.

Helena miała wpływ na to, że trafiłeś do gliwickiego DA?

Jeszcze zanim rozpocząłem studia, byłem na tanecznej zabawie karnawałowej w Gliwicach. Zaproszenie dostałem od Heleny. Tam po raz pierwszy spotkałem znaczną część naszego gliwickiego towarzystwa. Później, od pierwszych dni studiów, często się widywaliśmy – często u dziewczyn w mieszkaniu. Graliśmy w planszówki, oglądaliśmy filmy. Można powiedzieć, że nie miałem wyboru w kwestii duszpasterstwa akademickiego – to było moje towarzystwo, jeszcze zanim rozpocząłem studia.

W ramach gliwickiego duszpasterstwa akademickiego funkcjonowały m.in.: grupa Odnowy w Duchu Świętym „Beta-nia”, oaza, krąg biblijny czy schola akademicka. Głównym zadaniem Katolickiego Związku Akademickiego była integracja środowiska studenckiego.

Staraliśmy się, by osoby z różnych duszpasterstw lub zaangażowane w różne wspólnoty miały możliwość spotykać się w ramach jakichś wspólnych działań w Gliwicach.

To na jednym z takich spotkań: wyjściu na siatkówkę – organizowanym przez KZA – pojawiła się Anita. Tak zaprzyjaźniła się z gliwickim DA, a później z Helenką.

KZA był odpowiedzialny za czwartkowe msze św. akademickie. Tam często Helenka grała na gitarze. Po Eucharystii na ogół odbywały się nieformalne spotkania KZA.

To nie tylko czwartki. Zdarzało nam się spotykać też w inne dni, wspólnie biegliśmy na mszę św. Chodziliśmy np. do Barbary na godz. 17.30. Potem wieczorem szliśmy np. na squash albo siedzieliśmy całą grupą przy planszówkach. Kiedy kończyliśmy jakieś spotkania, nawet nieoficjalne, najczęściej w mieszkaniu dziewczyn na Lutyckiej, odmawialiśmy nieszpory.

Siedzicie przy planszówkach, pijecie herbatę, za chwilę macie się rozejść i nagle ktoś proponuje: „Odmówmy nieszpory”?

Dokładnie tak to wyglądało. Kilka osób miało brewiarze – otwieraliśmy je i wspólnie się modliliśmy. Bywało, że nieszpory łączyliśmy od razu z dziesiątkiem różańca, który jest taką naszą stałą modlitwą w Wolontariacie.

Często bywałeś na Lutyckiej?

Tak. Wszyscy tam bywaliśmy. To było miejsce spotkań, bo reszta z nas mieszkała głównie w różnych akademikach. Wychodząc z akademika po 23.00, płacisz tak, jakbyś tam nocował, a u dziewczyn można było siedzieć – sąsiedzi nigdy się nie skarżyli na śpiewy późnym wieczorem.

Gitara?

Gitara, czasem karaoke. To było pierwsze miejsce, gdzie spotkałem się z muzyką. Wcześniej bałem się i wstydzilem się śpiewać. A tam po prostu musiałem. W karaoke na każdego przychodziła kolej. To były bardzo fajne wieczory. Mieszkanie dziewczyn na Lutyckiej stało się centrum naszej wspólnoty. Każdy był mile widziany, każdy znał kod do drzwi, mógł wejść, posiedzieć, porozmawiać.

Zwyczajne spotkania. A świętowanie?

Przy Lutyckiej odbywały się przede wszystkim imprezy – niespodzianki urodzinowe albo te po obronach inżynierskich czy magisterskich. Była np. taka impreza po dyplomie Heleny w szkole muzycznej. Helena miała do wykonania serię zadań – ostatnie trzeba było zrealizować w piwnicy, gdzie schowali się wszyscy goście. Gdy Helena nas wszystkich znalazła, poszliśmy do mieszkania. Był tort, wspólne układanie piosenek, oglądanie filmów; mieliśmy też swój ulubiony serial.

Jaki?

Chuck – komedia szpiegowska.

Helena oglądała go z wami?

Oczywiście.

W 2013 roku Paweł i Helena zgłosili się na wyjazd wolontaryjny do Charkowa. Z jakiegoś powodu na ten wyjazd ograniczono liczbę osób. Paweł pojechał ponownie do Albanii, a Helena do... Zambii.

Później Paweł był jeszcze w Gruzji, ale w kolejnych latach bardziej angażował się w działalność w KZA niż w WMS-ie. W 2016 roku miał dwa tygodnie spędzić na Białorusi. Przez kłopoty z paszportem wyjechał tylko na tydzień.

Wtedy poczułem, że brakuje mi bycia ze wspólnotą. W całej Polsce jako Wolontariat jesteśmy dużą wspólnotą, ale w czasie wyjazdów, gdzie jest nas czworo czy sześcioro, zawiązują się znacznie bliższe relacje. Przez miesiąc, czasem dłużej, wspólnie coś robimy, organizujemy zajęcia dla dzieci czy pomagamy w inny sposób, razem się modlimy. To wymiar rekolekcji, mimo że nie ma konferencji. Na Białorusi poczułem, że mi tego brakuje. Poza tym ostatnie wydarzenia zmotywowały mnie do wyjazdu...

W lipcu 2017 roku Paweł wyjechał na Syberię.

Helena kończy studia. Zaczyna pracę. Czy nadal angażuje się w działalność wolontariatu i duszpasterstwa?

W WMS-ie była bardziej zaangażowana. Kiedy spotkania nie kolidowały z jej pracą, zawsze na nich była. Jeśli chodzi o KZA, to trudno oceniać, czy mniej się angażowała. My po prostu byliśmy wspólnotą. Ona bardzo lubiła spędzać

czas z nami. Gdy miała wolny wieczór, nie oglądała filmu sama, tylko pisała: „Wpadnijcie na film”. Albo pytała, czy idziemy na squasha lub rowery. Innym razem umawialiśmy się na wspólny obiad.

Gotowaliście na Lutyckiej?

Najczęściej tak.

Co Helenie najlepiej wychodziło w kuchni?

Mnie nauczyła gotować zupę dyniową. To jest jedyna zupa, jaką do dzisiaj gotujemy w akademiku, oczywiście jak jest sezon na dynie, czyli październik–listopad.

Zdradź przepis.

Trzeba podsmażyć dynię. Potem dusić ją z cebulką i przyprawami. Jak wszystko zmięknie, zmiksować blenderem. Do tego ryż i śmietana. Gotowe.

Jak zareagowałeś, kiedy dowiedziałeś się, że Helena planuje wyjazd do Boliwii?

Już wtedy długie wyjazdy były dla mnie czymś normalnym. Miałem wielu znajomych, którzy byli na długoterminowym wolontariacie albo go planowali. Sam też zacząłem o tym myśleć, ale jak na razie nie znalazłem dla siebie odpowiedniej placówki – jestem już inżynierem i chciałbym wykorzystać swoją wiedzę i umiejętności, a niekoniecznie opiekować się dziećmi. Chyba nawet jej mówiłem, żeby jeszcze rok poczekała, to pojedziemy razem...

Paweł śledzi przygotowania dziewczyn do wyjazdu na misje do Boliwii. Nieraz dopytuje, jak im idzie zbiórka pieniędzy. Sam też stara się tę zbiórkę nagłaśniać. Niektórzy znajomi dają mu pieniądze: „Przekaż dziewczynom – niech jadą”.

W jakich okolicznościach dostałeś informację o śmierci Heleny?

Siedziałem na łóżku. Uczyłem się hiszpańskiego. Przed wyjazdem dostałem od Heleny fiszki. Dała mi je, bo wcześniej przez rok chodziliśmy wspólnie na hiszpański.

Mój współlokator powiedział: „Paweł, wejdź na Facebooka – Kaczka [Magda Kaczor – przyp. red.] wrzuciła coś do aktualności, przeczytaj”. Wszedłem. Przeczytałem. Ubrałem się i wyszedłem na spacer. Miałem przekonanie, że ona jest w niebie. Była na misjach, więc na pewno była na to przygotowana. Trudno nazwać to, co wtedy czułem. Sama świadomość jej śmierci najbardziej mnie chyba uderzyła... Chwilę później dostałem tę samą wiadomość od Michała. Potem spotkaliśmy się w parę osób na mszy św. Poszedłem do spowiedzi, podzieliłem się też tą informacją z księdzem.

Księdzem Wojtkiem?

Nie, z ks. Robertem. Księdza Wojtka wtedy nie było. Powiedziałem to ks. Robertowi, który natychmiast wstał, wyszedł z konfesjonału. Wtedy musiałem mu jeszcze raz to powiedzieć, bo nie zrozumiał. Było po nim widać, że jest wstrząśnięty.

Kiedy w czasie mszy św. ksiądz z ambony poprosił o modlitwę za Helenę, która została zamordowana, wszystko zaczęło wydawać mi się nierealne.

Kiedy to usłyszałeś?

Tak, to była przerażająca chwila, chociaż ksiądz tak naprawdę przekazał informację, którą miał ode mnie.

Jakie myśli poza niedowierzaniem Ci towarzyszyły?

Zastanawiałem się, co by było, gdybym pojechał z nią... Wtedy nie znaliśmy jeszcze żadnych szczegółów, więc nie myślałem o tym, jak to wszystko wyglądało. Po raz pierwszy modliłem się za jej wstawiennictwem – już w tym momencie było we mnie przeświadczenie, że ona musi być w niebie. I taka modlitwa: „Tobie już tam jest lepiej, ale wstawiaj się za nami tutaj”.

Rozumiem, że fiszki, z których uczyłeś się hiszpańskiego, a które dostałeś od Heleny, zostawiłeś na pamiątkę. Masz jeszcze jakieś inne pamiątki po niej?

Dobrze, że o to pytasz. Chciałem kiedyś dostać płytę kapucyńskiego zespołu Broders. Dostałem ją od Heleny na urodziny w 2014 roku. Z taką karteczką...

*Nie bój się!
Chrystus zwyciężył świat!
I Ty także jesteś powołany
do zwycięstwa,
więc wstań
– wstawaj i walcz!
Do Ciebie należy dzień.*

*(„Westerplatte”, Broders)
~ mojemu Braciszкови ~ Helenka :)
22.10.2014*

Westerplatte to moja ulubiona piosenka. Na pewno jej o tym kiedyś mówiłem. „Nie bój się (...) jesteś powołany do zwycięstwa”. Wybrała najlepszy fragment z całej płyty.

A co z takiego duchowego testamentu zostaje w Tobie po Helenie?

Na pewno była jedną z osób, które motywowały mnie do odważniejszego życia. Pokazała, że nasze marzenia rzeczywiście można realizować. Trudno powiedzieć, czy to miało związek z WMS-em, czy ze znajomością z nią, ale to był okres w moim życiu, kiedy zacząłem spełniać swoje marzenia, podróżować, jeździć autostopem, chodzić po górach. To czas, kiedy stwierdziłem: nie chcę, żeby moja praca zawodowa była tylko zarabianiem pieniędzy, chcę, żeby komuś niosła pomoc – albo indywidualnie, albo w jakiś sposób zmieniała świat na lepszy. Chcę zostawić po sobie jakiś ślad. Nie chcę życia po prostu przeżyć, ale chcę je czemuś poświęcić. Nie chcę robić wyłącznie czegoś dla siebie, ale coś dla świata, dla innych ludzi. Na takie myślenie miały decydujący wpływ: Wolontariat i znajomość z nią. To Helena nauczyła mnie zaangażowania na rzecz innych, poświęcania czasu innym. Nauczyła mnie też nawiązywania głębszych relacji z ludźmi – wcześniej nie spędzałem połowy nocy na rozmowach. Wiem, że przez tych pięć lat bardzo się zmieniłem. Czasem się nawet zastanawiałem, co ona pięć lat temu zobaczyła w tym nieśmiałym chłopaku, z którym się zaprzyjaźniła...

Ty się zmieniłeś, a ona?

Na pewno też. Wydaje mi się, że jej wiara i podejście do misji, do Wolontariatu, przez ten czas bardzo dojrzały. Traktowała to coraz poważniej. W jej życiu Wolontariat prawdziwą formę przybrał dopiero na tym ostatnim etapie. Wydaje mi się, że z większością osób jest tak, że przychodzą do Wolontariatu z myślą o przygodzie, a dopiero potem dostrzegają to, czym naprawdę wolontariat jest – a jest służbą.

Udało mi się częściej Helenę wyciągać w góry. Oboje lubiliśmy chodzić, ale to raczej ja miałem takie zapędy, żeby

było bardziej ekstremalnie, dalej, dłużej, bliżej przyrody. Tym ją zarażałem. Kiedyś i we mnie i w niej pojawiło się marzenie: wejście na Rysy. Ona w tym roku je zdobyła. Ja ciągle jeszcze nie...

Helena była osobą, która częściej widziała możliwości niż problemy. To było dobre. Ja mam podobnie. Kiedyś stwierdziliśmy, że chcemy pojechać na rowerach na Górę Świętej Anny. Z Gliwic i z powrotem to mniej więcej 100 kilometrów. Weekendy odpadały, bo wracałem do domu. Musieliśmy to zrobić w tygodniu, po naszych zajęciach. Wyjechaliśmy dopiero wczesnym popołudniem. Wydaje mi się, że jest dużo osób, które stwierdziłyby: „Nie ma już czasu, to jest wyprawa na cały dzień”. Ani ja, ani ona nie mieliśmy oporów, by po prostu sprawdzić, czy to się uda. Udało się. Wróciliśmy do Gliwic przed północą. Pamiętam tylko, jak mówiła, że nie lubi jeździć nocą przez las, ale poza tym oboje mieliśmy dobre wspomnienia z tej wyprawy.

To było coś, co lubiliśmy – wyzwania. Podobnie ścianka wspinaczkowa, na którą wprowadzie – ze względu na koszty – nie chodziliśmy regularnie. Myślę, że w kontekście tego, co mi po niej zostało, warto zaznaczyć – podejmowanie wyzwań.

Świętość to też wyzwanie? Jak słyszysz, że oficjalnie może być ogłoszona świętą, co myślisz?

Trochę zazdroszczę. Ma to już za sobą. My się musimy starać.

Dla mnie przekonanie o tym, że ona jest w niebie, nie jest niczym niezwykłym. Osobiście jestem o tym przekonany. Czasem mi trochę głupio na myśl, że świętą zostanie osoba, z którą się nie raz kłóciłem i z którą może do dzisiaj w niektórych kwestiach bym się nie zgodził... Ucieszyłbym się, gdyby się tak stało, gdyby została świętą, bo o ile ma się

przeświadczenie, że ktoś jest dobrym człowiekiem, o tyle rzadko myśli się o tym, że zostanie ogłoszony świętym.

A jeśli tak by się zdarzyło, to komu albo jakim sprawom patronowałyby Helena? W czym byłyby najlepszą orędowniczką?

Myślę, że na pewno patronowałyby młodzieży. Młodzieży szukającej swojej drogi. Do tego wyjazdu na misje zawiodła ją długa droga; to był proces szukania – zastanawiała się: jechać?, gdzie? Ale to było dojrzewanie w bardzo świadomej wierze. Kiedyś rozmawiałem z nią o wątpliwościach, bo ja mam ich sporo, takich w stylu: czy coś jest naprawdę, czy może mi się wydaje. Powiedziała mi, że ona po prostu wierzy. Przychodzą wątpliwości, ale to nie zmienia faktu, że ona twardo wierzy. W moich oczach byłyby patronką osób szukających takiej wiary – ona, która ją znalazła i jednocześnie pozostała zwykłą dziewczyną, uwielbiała umawiać się do kina, na filmy; uprawiała sport, można było ugotować z nią obiad, a równocześnie była wierząca do tego stopnia, że potrafiła wszystko zaryzykować...

Powiedziałeś, że byłoby Ci głupio, gdyby świętą została osoba, z którą się kłóciłeś. O co się spieraliście?

To zostanie dla mnie...

Te tragiczne wydarzenia z Boliwii zrodziły w Tobie jakieś pytania dotyczące Twojego życia?

Te pytania dotyczą chyba takiego większego zaufania Bogu. Naprawdę jestem pod wrażeniem jej wiary.

W czym, według Ciebie, przejawiała się ta wiara?

W gotowości do podejmowania decyzji. Także takich jak wyjazd na misje. Taki wyjazd wiąże się też z ewangelizacją.

Ona jechała do Boliwii, bo chciała mówić o swojej miłości do Jezusa. Osobiście nie mam problemu z poświęcaniem czegoś dla innych osób, uwielbiam pomagać innym, myślę, że nawet byłbym w stanie ryzykować w sprawach, w które naprawdę wierzę, ale nie wiem, czy byłbym zdolny do takiego wyjazdu, żeby zrobić to tylko dla Jezusa. Moja wiara nie jest taka silna.

Ona mi pokazała, że aby zaufać Bogu, aby nie bać się wierzyć, trzeba uwierzyć w to, że Bóg nie chce nam niczego zabrać, że On zawsze więcej nam daje, niż zabiera. Chciałbym więcej popracować nad swoją osobistą relacją z Bogiem.

Poza tym odżyła we mnie idea wolontariatu. Od wielu lat jestem zaangażowany, ale zacząłem chcieć tego jeszcze bardziej.

Jest też we mnie taka motywacja, by się wziąć za siebie – pod kątem ćwiczeń fizycznych, przygotowania się do różnych sytuacji.

Masz na myśli sytuacje, w których jako facet powinienes być gotowy do obrony innych?

Tak. Naprawdę myślałem, że być może kiedyś z nią pojedę. To, co spotkało ją w Boliwii, to może być sytuacja, wobec której i ja mogę kiedyś stanąć.

Chciałbyś być na to gotowy.

Tak.

Gliwice, kwiecień 2017

MONIKA KOSTKA

MOGŁABY ZOSTAĆ ŚWIĘTĄ OD CHCENIA

Dobry duch tej książki. Dzwoni, dopytuje. Nie tylko o kolejne strony, ale i o to, co u nas. Pomaga, kiedy może i jak może. Organizuje numer telefonu, krzesło, stół, kawę. Mimo bliskiej relacji z Heleną, sama mówi o niej gdzieś między opowieściami innych. Znały się z Heleną kilka dobrych lat. Mieszkały w jednym pokoju w trakcie studiów. Tę przyjaźń teraz trudno zamknąć w ramach jednej rozmowy.

Moniko, od śmierci Helenki minęło kilka miesięcy. Czy w tym czasie odwiedzałaś jej grób?

Tak, kilkakrotnie.

To było miejsce mojej konfrontacji z prawdą o jej śmierci. Do czerwca, wtedy Helenka miała wracać do Polski, żyłam w pewnego rodzaju zawieszeniu. I wizyty przy jej grobie stawiały mnie mocno na ziemi. Początkowo bardzo boleśnie. Trudniejszy był chyba tylko moment, gdy zobaczyłam trumnę z ciałem Helenki w czasie czuwania w Trzebini, tabliczkę z jej imieniem i nazwiskiem. Kiedy dotarło do mnie, że to się dzieje naprawdę.

Czekałaś na jej powrót do Polski?

Tak. Jej śmierć przyszła nagle, w dalekiej Boliwii. To była dla mnie tak odległa perspektywa, że aż nierealna, niemożliwa do przyjęcia. Helenka obiecała nam, że po powrocie odwiedzi nas w nowym mieszkaniu. Gdyby wróciła, pewnie

wspólnie z nami śpiewałaby w lipcu na ślubie naszych przyjaciół ze scholi. Zaczęłam mocno za nią tęsknić od chwili, gdy usłyszałam, co się stało.

W jaki sposób się do niej zwracasz? Modlisz się w jej intencji?

Modłę się w jej intencji. A zwracam się tak po prostu, jak zwracałam się, kiedy była obok. Bywa, że zastanawiam się, jak by postąpiła w danej sytuacji. I odpowiedź jest prosta – z miłością i w miłości do drugiego człowieka. Helenkę cechowała czystość intencji i pokora. Ona szczerze chciała dobrze dla drugiego człowieka, co mi bardzo ułatwia zadanie, gdy zadaję sobie takie pytania.

Masz jakieś szczególnie ważne pamiątki po Helenie?

Raczej nie mam pamiątek po Helence, choć jeszcze do końca nie rozpakowaliśmy pudeł po przeprowadzce i remoncie.

Za to mam zachowany prezent od Helenki. Po obronie mojej pracy magisterskiej Helenka zorganizowała małe przyjęcie niespodziankę dla mnie na Lutyckiej. I szczerze, była to niespodzianka! Niczego się nie spodziewałam i to był wielki sukces Helenki, bo jestem dość dociekliwą osobą. W ramach prezentu dostałam m.in. mnóstwo ołówków. Ołówek od niej jest w żółte uśmiechnięte buźki, z podpisem „Twoja córeczka Helenka :*”.

To Ty wypytywałaś ją o sweterki. Sprawdzałaś, czy jest ciepło ubrana...

Sprawdzałam też, czy już jadła obiad. Było to trochę przekorne z mojej strony. Helenka śmiała się z tych moich pytań, czasami przytakiwała ze śmiechem. Poznałam ją jako skromną dziewczynkę z cichutkim głosikiem. Myślę, że pobudziło

to we mnie matczyne instynkty i chciałam się nią opiekować. Zgodziła się, choć tego w gruncie rzeczy nie potrzebowała.

Jaka jest różnica wieku między wami?

Jestem cztery lata starsza.

Może masz jakieś zdjęcie Helenki, do którego teraz wracasz?

Jest takie zdjęcie, które sama zrobiłam Helence. Gdy rozpoczynała pracę w Wizz Air, potrzebowała zdjęcia do legitymacji. Wpadła na szalony pomysł, że ja je zrobię. Długo jej powtarzałam, żeby poszła do fotografa i zrobiła profesjonalne zdjęcia. Mówiłam, że nie mam tak dobrego sprzętu, nie znam się tak dobrze na oświetleniu, a zrobione zdjęcie będzie pewnie mało profesjonalne i nie będzie się nadawało do legitymacji. Długo z tym zwlekałam, ale Helenka była uparta. W końcu się zgodziłam. Miała anielską cierpliwość, bo to trwało chyba z godzinę. Siedziała wyprostowana jak struna. Poprawiałam ją, przesuwałam, o centymetr w tę stronę, o centymetr w tamtą stronę. Chciałam, żeby wyszło jak najlepiej. Jest cała seria tych zdjęć. Wśród nich legitymacyjne, ale i takie, które osobiście najbardziej mi się podoba, na którym Helenka po prostu się uśmiecha.

W jakich okolicznościach dotarła do Ciebie informacja o jej śmierci?

Pierwszą wiadomość otrzymałam wieczorem od Michała Szuścika. Pamiętam, że będąc w szoku, aż wykrzyczałam tę informację. Kolejna wiadomość, ze słowami wsparcia, przyszła od Magdy Kaczor. Pamiętam to ogromne niedowierzanie i szok. I myśl: „To nie mogło się stać”...

Nie dowierzałaś tym informacjom, ale one się potwierdzały w kolejnych wiadomościach.

Jeszcze tego samego wieczoru otrzymaliśmy – dotyczy to zamkniętej grupy wolontariuszy – na Facebooku informacje od duszpasterzy WMS-u. Oficjalne informacje w mediach zaczęły ukazywać się od następnego dnia. We mnie było ciągle niedowierzanie i takie pragnienie, żeby to był tylko zły sen, z którego zaraz się wybudzę. Być może zabrzmiało to dziwnie, ale dla mnie informacja o śmierci Helenki wiarygodności nabrała dopiero po oficjalnym potwierdzeniu przez polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Pierwsze myśli, uczucia?

Niedowierzanie. Staranie, aby nic nie czuć. Uciekłam w działania, angażowałam się w sprawy związane z Helenką i wolontariatem. Czułam wielką złość wobec jej mordercy. Potrzebowałam trochę czasu, aby zacząć się za niego modlić, o jego nawrócenie i dla mnie o łaskę przebaczenia. To wszystko przeplatało się z ogromnym smutkiem, którego nie potrafię ubrać w jakiegokolwiek słowa.

Po śmierci Heleny w mediach pojawiało się wiele informacji o jej aktywności na różnych polach. Dowiedziałaś się czegoś nowego o niej?

O wielu jej zaangażowaniach wiedziałam, aczkolwiek nie wiedziałam do końca o skali tych działań. Przykładem są Światowe Dni Młodzieży. Wiedziałam, że koordynuje działania w rodzinnej parafii. Czułam, że pewnie na niej spoczywa duży ciężar odpowiedzialności, ale ona zawsze stwierdzała skromnie: „To przecież nic takiego”. Taka właśnie była – robiła tyle rzeczy, a wieści o tym docierały do nas po fakcie. Przyznam, że znajomość różnych informacji o Helence wynikała z tego, że byłam trochę wścibska... Na

początku naszego wspólnego mieszkania, podczas rozmów, niektóre historie po prostu z niej wyciągałam, dopytywałam o wiele rzeczy... Z niej ciężko było cokolwiek wyciągnąć, zwłaszcza gdy miała coś dobrego powiedzieć o sobie. Helenka była bardzo skromną dziewczyną. Nie czuła potrzeby, by się chwalić.

W jakich okolicznościach razem zamieszkałyście?

Z Helenką poznałyśmy się w Duszpasterstwie Akademickim „Albertinum”, na moim pierwszym roku studiów magisterskich. Razem działałyśmy w Katolickim Związku Akademickim. Helenka zaciągnęła mnie także do scholi, której była założycielką, bo raz jej wspomniałam, że może bym pośpiewała... To był mój ostatni semestr studiów. Mieszkałam wtedy w akademiku. Na Lutyckiej zwolnił się pokój. Ona spytała niezobowiązująco, czy nie zamieszkałybyśmy razem. To był największy pokój w tym mieszkaniu. Gdy go zobaczyłam, powiedziałam: „Helena, zapomnij”. Ze względu na charakter moich studiów i mojej pracy dyplomowej potrzebowałam miejsca na komputer, duże biurko i sporo przestrzeni. A do tego jestem dość pedantyczna i zależy mi, by otoczenie, w którym żyję, było ładne...

Ktoś powiedział o tym mieszkaniu: „nora”...

To była taka norka. Gdy rano wychodziło się z pokoju, nie trzeba było pić kawy – podłoga w przedpokoju była tak zimna, że ochota na sen sama odchodziła. Było też kilka innych dokuczliwych elementów, które z perspektywy czasu jednak wspominam z uśmiechem.

To co Cię skłoniło, żeby jednak tam zamieszkać?

Myślę, że przyjaźń z Helenką i ludzie, dla których Lutycka była także miejscem spotkań. Nie oddałabym tego czasu.

Nie mieszkaliśmy razem długo, bo to był dosłownie semestr – od lutego do czerwca. Helena była wtedy dla mnie bardzo wyrozumiała. Dość intensywnie pracowałam nad dyplomem, także w nocy – Helena często musiała zasypiać przy zapalanej lampce. Nigdy nie usłyszałam ani nie odczułam jakiegokolwiek wyrzutu z jej strony.

Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, że jak ona zostanie ogłoszona błogosławioną, to Ty będziesz pewnie jedną z niewielu osób, które mieszkały z błogosławioną w jednym pokoju?

Przyznam, że nie myślałam o tym wcześniej.

Czy w tym wspólnym mieszkaniu było coś, co zahaczało o jakąś niezwykłość?

To nasze wspólne mieszkanie było niezwykle zwykłe. Było dobre. Ja w ogóle lubiłam z nią przebywać. Helenka między zajęciami przybiegała na chwilę do mieszkania i odrywała mnie od projektu. Piłyśmy herbatę bądź jadłyśmy zupę i biegła na kolejne wykłady. Kursowała między uczelnią a szkołą muzyczną, kursem językowym... Wieczorami, kiedy byliśmy razem w mieszkaniu, było dużo śmiechu, ale i rozmowy. O naszych doświadczeniach, uczuciach, także problemach. Mogłyśmy rozmawiać na różne tematy. Były wspólne Eucharystie, ale i wspólny kurs salsy. W niedzielne popołudnia, przed próbami śpiewu scholi Helenka czesała moje włosy. Ona była ciekawa mnie i mojego życia.

Obserwując ją, widziałam, że żyła intensywnie i bardzo się z tego cieszyła. Nie narzekała. Mogłam na niej polegać. Przy wspólnych działaniach czułam się bezpiecznie, bo wiedziałam, że jeżeli do czegoś Helena się zobowiąże, zrobi to najlepiej, jak potrafi. Była bardzo pracowita.

Gdy kończyła szkołę muzyczną, po jej występie dyplomowym spotkaliśmy się wszyscy na Lutyckiej. Przyszło wiele osób. Nie wiem, jak myśmy się tam pomieścili... Każdy skrawek podłogi był zajęty... Gdy robiliśmy zdjęcie, Helenka wylądowała na szafie!

Widzieliśmy to zdjęcie.

Ona przyciągała ludzi do siebie. A owo wydarzenie tylko to potwierdzało. Jej się chciało i zarażała tym innych ludzi, także mnie. Nie przez słowa, ale poprzez to, jak żyła.

Wspominałaś o tym, że jako współlokatorka mogłaś nie być łatwa, bo na przykład jesteś pedantyczna. A czy w zachowaniu Heleny coś mogło przeszkadzać?

Czy mi przeszkadzało coś w jej zachowaniu...? Nie, nie przypominam sobie nic takiego.

Mieszkając w jednym pokoju, nie miałyście sytuacji konfliktowych, jakiegoś cichego dnia?

Bywały trudniejsze chwile, ale to jest akurat normalne w relacjach. Każda z nas doświadczała zmęczenia i trudności. Choć to raczej Helenka mi ustępowała. Robiła miejsce. Czasami byłam zazdrosna, z jaką łatwością np. zdawała egzaminy, choć jak sama wcześniej twierdziła, obawiała się, że nie pójdzie jej dobrze.

Ona faktycznie nie wierzyła w to, że pójdzie jej tak dobrze, czy to był rodzaj takiej studenckiej kokieterii?

To nie była kokieteria. Ona miała w sobie dużo pokory i pragnienie, aby robić wszystko jak najlepiej. Myślę, że to powodowało jej obawy. Przykład może prozaiczny i dotyczący innych umiejętności – zdarzało się, że zaraz po uczesaniu moich włosów rozplątywała je, bo było trochę... krzywo.

Pamiętam z naszych wcześniejszych rozmów, jak wspominałaś, że „matkowałam” Helenie. To wynikało z Twojego charakteru czy na tym etapie waszej znajomości Helena tego potrzebowała?

Nie wiem. Nigdy jej o to nie zapytałam... Nie pamiętam już, w jakich okolicznościach zostałam jej matką wariatką. Mnie było z tym bardzo dobrze. Helenka wybuchała śmiechem na moje szalone pomysły i wtedy też rzucała: „Co za matka wariatka”. Uwielbiała się przytulać. I bywało, że rozładowywała moją nerwowość, podchodząc do mnie i przytulając się.

Moniko, a w jakim momencie Twojego życia pojawiły się misje?

W Wolontariacie była wcześniej moja młodsza siostra, Małgosia Koziółek. Trzy miesiące spędziła w Charkowie na Ukrainie, posługując wśród bezdomnych i w domu samotnej matki. Ja się temu przyglądałam. Przeze mnie Gosia przekazywała także informacje dla reszty rodziny. Widziałam, jak ten czas zmienił Gosię.

Na pierwszym roku studiów przyszedł moment, że ja także zapragnęłam pomagać. I wtedy pojawiła się Helenka. Znałyśmy się z duszpasterstwa, ale o tym, że Helenka udziela się w Wolontariacie, dowiedziałam się od Asi Błyszczak. Była akurat po swoim pierwszym wyjeździe na Węgry. Zaproponowała, żebym pojechała w lutym na ogólnopolskie spotkanie WMS-u do Trzebini. Podchwyciłam i tak zaczęła się moja przygoda z WMS-em.

Pojechałaś w to samo miejsce, gdzie Helena?

Tak. Sporo mi opowiedziała i pomogła mi w ten sposób przygotować się do wyjazdu.

Jak myślisz, jaką powinni poznać ją ludzie, którzy w ogóle jej nie znali? Co w jej życiu było najważniejsze?

Znałam jedną Helenkę – ona nikogo nie udawała, zawsze była sobą. Chciałabym, żeby ludzie, którzy będą ją poznać, mieli świadomość, jak ważna jest jej autentyczność. I normalność. Radość z życia.

Obserwując jej życie, myślę, że najważniejsza była dla niej relacja z Bogiem i drugim człowiekiem. Bycie tu i teraz dla drugiego człowieka. Prawda. Miłość.

W czym można ją naśladować? Do czego może inspirować?

Do życia w pełni.

Do bycia w relacji z Bogiem i innymi ludźmi, we wspólnocie. To, w ilu grupach i kręgach się pojawiała, ilu ludzi spotkała i z iloma nawiązała relację, może świadczyć o tym, że potrafiła przyciągać i być z innymi. Helena pokazywała, jak w relacji nie być nachalną, ale być świadomie, prawdziwie i w wolności. Czyli może nas inspirować do bycia w relacji.

Może nas inspirować do życia sakramentami, do dbałości o życie w łasce uświęcającej. Dla mnie to była bardzo ważna lekcja. Do stawania w prawdzie i dbania o prawdę w swoim życiu. Ona wiedziała, kto jest w jej życiu najważniejszy i jaki jest cel jej życia.

Myślę, że może nas inspirować także do bycia sobą. Do odkrywania tego, co Bóg złożył konkretnie w nas. Jak nas pięknie i na naszą miarę uposażył. Ona ciągle odkrywała coś nowego i wiedziała, co z tym zrobić – oddawała to światu.

Ona nam zostawiła pokaźny pakiet inspiracji w prezencie!

I myślę, że mogłaby zostać świętą od chcenia. Moglibyśmy się wtedy modlić za jej wstawiennictwem, żeby nam się chciało tak, jak nam się nie chce, bo jej się zawsze chciało!

I tak na koniec chciałabym dodać, że przez jej śmierć doświadczyłam realności nieba, bo nie wyobrażam sobie innego miejsca dla niej.

Trzebnica – Gliwice, październik 2017

KS. WOJCIECH MICHALCZUK

DZIEWCZYNA O KOLOROWYM SERCU

Coś Wam pokażę. Tak dla wyjaśnienia.

Z drugiego pokoju ks. Wojtek przynosi fotografię.

Mam tu takie ulubione zdjęcie. Z moich urodzin. Sprzed kilku lat. Nie wszystko pewnie da się opisać...

Jak ważna była Helenka?

Znaliśmy się blisko osiem lat... To dość długi czas. Wiele rozmów, spotkań w duszpasterstwie i poza nim. Myślę, że nie tylko ja mogę to powiedzieć... wiele zawdzięczamy Helenie w naszym duszpasterstwie akademickim i ja osobiście – również wiele jej zawdzięczam. Więc była... jest (!) ważna.

Czy Ksiądz był dla niej przewodnikiem duchowym?

Sam o sobie tak nie mówię, ale z pewnością od początku jej studiów, czyli prawie całe dorosłe życie Helenki w Gliwicach, byłem obok niej.

Wasze pierwsze spotkanie?

Na sto procent nie pamiętam. Podejrzewam, że to były rekolekcje akademickie, które głosiłem w październiku. Helenka brała w nich udział. Z tego, co pamiętam, płakała, siedząc w ławce. Usiadłem obok, żeby się za nią pomodlić. Ta modlitwa skończyła się spotkaniem za dzień czy dwa, przy herbacie. Później ta herbata stała się naszym cichym zwyczajem.

Myślę, że obok obrazu, który pojawił się we wspomnieniach po jej śmierci – osoby zawsze radosnej, uśmiechniętej, otwartej – Helenka była równocześnie dość skryta. Aby opowiedzieć o sobie coś ważnego, potrzebowała dużo czasu.

Czy nosi Książd w sobie wspomnienia, które mogą dziś dopełnić obrazu Heleny?

Myślę, że tak. Już po części dopełniłem go rodzicom.

Wiele razy za życia Helenki byłem zapraszany do domu Helenki – i przez nią samą, i przez jej rodziców. Nigdy się jednak z nimi nie spotkałem. Albo ja nie miałem czasu, albo Helenka miała kolejny lot czy wyjazd. Rodzice mnie znali z opowiadań. Nigdy mnie z bliska nie widzieli. Pierwszy raz spotkaliśmy się na pożegnaniu Helenki w Trzebini. Wtedy też przekazałem rodzicom list od biskupa gliwickiego Jana Kopca. Później okazało się, że można to zrobić publicznie, przed kamerami, w czasie pogrzebu. W tym przypadku nie było to potrzebne. To był list do rodziców. Nie musieli go słyszeć wszyscy.

Już po śmierci Heleny, w czasie spotkania z rodzicami, ks. Wojciech wysłuchał opowieści o dzieciństwie Helenki. Niewiele o nim wiedział. On z kolei opowiadał rodzicom o Helence, która mieszkała w Gliwicach. Tu miała swoich przyjaciół, studia, życie, które wprowadzało ją nieuchronnie w dorosłość.

Helenka miała zawsze dobre relacje z rodzicami, ale rzeczywiście od czasu studiów więcej czasu spędzała w Gliwicach niż w domu. Tutaj szykowała prezenty na urodziny dla mamy, na imieniny dla taty. Jeszcze w tamtym roku nagrywaliśmy w Gliwicach całą Księgę Psalmów – prezent dla

pana Jana, taty Helenki. Miałem swój udział w tym dziele. Z tego, co pamiętam, czytałem Psalm 104.

Z Psalmu 104: „Póki mego życia, chcę śpiewać Panu i grać mojemu Bogu, póki mi życia starczy”.

Kilka miesięcy później, w podobnym gronie, nagrali dla Helenki i Anity Ewangelie na wszystkie niedziele ich pobytu w Boliwii – aż do czerwca. To była inicjatywa Michała. Ksiądz Wojciech czytał Ewangelię na Niedzielę Palmową, fragment: „A oto zasłona przybytku rozdarła się na dwoje z góry na dół; ziemia zadrżała i skały zaczęły pękać. Groby się otworzyły i wiele ciał świętych, którzy umarli, powstało. I wyszedłszy z grobów po Jego zmartwychwstaniu, weszli do Miasta Świętego i ukazali się wielu”.

Jaki obraz Helenki z dzieciństwa wyłonił się Księdzu z rozmów z rodzicami? Co Księdza zaskoczyło?

Pomyślałem, że znałem prawdziwą Helenkę. Rodzice potwierdzili pewne moje przeczucia. Z Helenką spędziliśmy w duszpasterstwie sporo czasu. O wielu rzeczach rozmawialiśmy i wiele razem robiliśmy. Jeśli chodzi o jej dzieciństwo, niewiele o nim wiedziałem. Tyle, ile sama chciała opowiedzieć.

Wszyscy znaliśmy ją jako osobę bardzo aktywną i często czymś zajęłą. Wiele czasu poświęcała pracy w naszym DA, działała m.in. w Katolickim Związku Akademickim, kręgu biblijnym, pomagała dzieciom w świetlicy Caritas, często posługiwała muzycznie...

Wiedziałem, że jest również w Wolontariacie [Wolontariat Misyjny Salvator – przyp. red.], że ją to bardzo angażuje, natomiast szczegółów na temat tego, co ona dokładnie robi, nie znałem. Na to wszystko było po prostu za mało

czasu. W ogóle 24-godzinna doba została źle przewidziana, jeśli chodzi o potrzeby Helenki. Nie tak łatwo było się z nią spotkać i rozmawiać. Za zaszczyt poczytywałem sobie, kiedy przychodziła do mnie „na audiencję”. „To Ty mi jej udzielasz” – żartowałem. Sam na ogół miałem wiele zajęć, ale ona czasu miała jeszcze mniej. Jak już udało się umówić i spotkanie w ostatnim momencie nie zostało odwołane albo przesunięte, albo nie było SMS-a z lotniska z drugiego końca Europy: „Spóźnię się cztery godziny”, to tak, rozmawialiśmy.

Zawsze umawialiśmy się na konkretną godzinę. W razie spóźnienia miała dać znać.

Przywołał Ksiądz pierwsze rekolekcje, na których w duszpasterstwie pojawiła się Helenka. Nikt do tej pory we wspomnieniach nie mówił, że Helenka płakała.

Helenka była osobą o dużej wrażliwości i otwartym sercu. Zdarzało się, że w kościele Helence popłynęły łzy. Ale w innych okolicznościach raczej nie była skora, żeby mówić o sobie, zwłaszcza o swoich problemach. Ja też tak traktuję swoje łzy – jeśli przy kimś płaczę, jest to najwyższy dowód zaufania.

Walczymy o pokazanie Helenki jako zupełnie normalnej dziewczyny, która miała swoje marzenia, pragnienia, niespożytą energię, tysiące planów i była w tym wszystkim blisko świętości. Jednak bardzo się zdziwiłem, gdy z ust jednej z jej przyjaciółek padły słowa, że Helenka chciała umrzeć dla Pana Boga (możliwe, że słowa te zostały źle zinterpretowane przez dziennikarza). Rodzice też byli nimi zaskoczeni.

Osobiście nie znam nikogo, kto bardziej kochałby życie niż Helenka. Rozumiem, że do końca chciała służyć Panu Bogu. Rozumiem, że chciała umrzeć w jedności z Bogiem.

Tak się zresztą stało. Wiele świadectw potwierdza, że na pierwszym miejscu w swoim życiu stawiała Jego i świętość. Tak, ona kochała życie i nie bała się umrzeć, ale to co innego.

Helenka, jak tylko mogła, codziennie była na mszy św. Często na naszych mszach akademickich. A kiedy nie mogła z powodu innych zajęć, to bywała w gliwickiej katedrze o godz. 7.00 rano albo w kościele św. Barbary o 16.30.

Pragnienie służenia Panu Bogu w każdy możliwy sposób było w życiu Heleny oczywiste. Wiele osób może to potwierdzić.

Co było częstym tematem Waszych rozmów?

Szukanie woli Bożej. Był taki czas, kiedy ona o to pytała. O słuchanie Ducha Świętego. O rozeznawanie. O to, skąd wiedzieć, czego Pan Bóg ode mnie chce.

Chodzi o kwestię życiowego powołania? Czy ma być żoną, mamą?

Też. Ale chodziło o wszystko. Myślę, że najważniejsze kwestie Helenka miała już poukładane. Przynajmniej tak mówiła, kiedy rozmawialiśmy o odpowiedzialności za życie. „W tych najważniejszych kwestiach już wiem, czego chcę: Pan Bóg, świętość, rodzina”. To już nie podlegało żadnej dyskusji. Dalej: praca, codzienność i służenie w niej drugiemu człowiekowi.

Jednocześnie miała w sobie dużo poczucia wolności. By pojechać do Boliwii, musiała wziąć półroczny bezpłatny urlop. Był z tym pewien problem. Urlop przesunięto jej o pół roku.

Pytam:

- Co zrobisz, jeśli ci w ogóle nie dadzą urlopu?
- Zwolnię się – odpowiadała. – To tylko praca.

Helenka miała swoje priorytety. A kiedy dochodziła do tego wewnętrzna pewność, że Pan Bóg za nimi stoi, bardzo trudno byłoby ją zatrzymać.

Praca też była taką kwestią do rozeznania?

Byłem chyba jedną z niewielu osób, która od początku zareagowała pozytywnie na pomysł pracy w liniach lotniczych. Bliscy z pewnym lękiem przyjęli tę informację.

Helenka była wcześniej w sprawie pracy na kilku rozmowach w różnych firmach, ale nie znalazła niczego odpowiedniego dla siebie. Przyszła kiedyś do mnie i mówi, że ma taki pomysł. Nigdy nie znałem żadnej stewardesy. Nie miałem zielonego pojęcia, jak wygląda praca i życie stewardesy. Myślałem trochę stereotypowo: ma dobrze wyglądać, ładnie się uśmiechać i dobrze mówić po angielsku. „Jak na moje oko spełniasz wszystkie warunki” – mówiłem.

Na „casting” pojechała trochę dla przygody. Potem okazało się, że przeszła wszystkie cztery etapy. Egzaminowały wymagały różnorodnych umiejętności, odpowiedniego reagowania w sytuacjach kryzysowych i przez całą rekrutację ani słowa po polsku. Z tego, co mówiła Helenka, zgłosiło się 57 osób. Wybrano 11. Były cztery etapy rekrutacji. A potem były jeszcze egzaminacje w Budapeszcie i Warszawie.

Wiem, że odbyła się później rozmowa o tym, że gdyby przestała być już stewardesą, to istnieje możliwość podjęcia bardzo odpowiedzialnej pracy w kontroli lotów. Potem, w rozmowie z jej rodzicami usłyszałem, że przełożeni nawet wstępnie sugerowali, że Helena już tyle umiała, że mogłaby być pilotem.

To znaczy, że ona w takich zawodowych kwestiach przychodziła się radzić do duszpasterza?

Rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Kiedy pojawiła się potrzeba, również o zawodowych. Znaliśmy się długo i Helenka miała do mnie zaufanie.

Czy Ksiądz był jej spowiednikiem?

Może raz się u mnie spowiadała, może dwa. Nie chciała się u mnie spowiadać. Kiedyś, w jednej z rozmów, tak pół żartem, pół serio stwierdziła, że jestem dla niej za łagodny.

Trudno mi mówić o jej motywacjach. Może przeszkadzało jej to, żeśmy się dość dobrze znali? W każdym razie szanowałem jej decyzję i nie przeszkadzało nam to w rozmowach o ważnych dla niej sprawach. Często zdarzało mi się za nią modlić wstawienniczo, co, jak wiem, przynosiło jej ulgę w różnych duchowych zmaganiach.

Ksiądz Wojciech posługuje modlitwą wstawienniczą. Jest związany m.in. z grupą Odnowy w Duchu Świętym „Betania”, która funkcjonuje w ramach duszpasterstwa akademickiego.

Helenka miała ogromny szacunek do kapłaństwa. Wyniosła to z domu rodzinnego. Ten dystans trzeba było czasami skrócić, żeby dało się normalnie rozmawiać. W duszpasterstwie – przynajmniej na początku - wszyscy „boją się” ks. Wojtka. Budzę respekt, ale po bliższym poznaniu większości to mija. Helenka nigdy się mnie nie bała. Od początku nasze relacje były dobre. Miały ojcowski charakter.

A jak do Księdza dotarła informacja o śmierci Helenki?

Michał dowiedział się od taty Heleny. Zostawił mi wiadomość na Messengerze. Nie zdążyłem jej odebrać. W międzyczasie zadzwonił do mnie ks. Robert Chudoba – drugi duszpasterz, któremu Paweł Kuś przekazał tę informację

przed samą mszą św. To był wtorek. Normalnie sam odprawiam msze św. we wtorki, ale to był okres ferii w szkole, więc poprosiłem ks. Roberta o zastępstwo i zrobiłem sobie tydzień wolnego. Byłem w domu, w Opolu. U mamy. Dowiedziałem się przez telefon. Nie chciałem wierzyć. Czy jesteście pewni? Czy to nie jest plotka? Uwierzyłem, gdy mi powiedzieli, że ta wiadomość przyszła od taty Helenki. To był wtorek o godz. 19.30. Jakies 12 godzin po zdarzeniu. Potem wiedzieliśmy więcej, bo byliśmy już w kontakcie z Anitą. Niestety, wszystko okazywało się prawdą.

Pierwsze myśli?

Nie wiem. Nie pamiętam. Byłem w szoku. Zaskoczony. To dopiero teraz zaczyna do mnie docierać. Każdego dnia odczuwam po prostu duży brak. Duży.

Bunt? Poczucie gniewu?

Raczej nie.

Stawiał Ksiądz pytania Panu Bogu?

Nie było momentu, żebym zwracał się przeciw Panu Bogu. Nie bronię tutaj swojego dobrego imienia – rzeczywiście tak nie było. Nie umiem tego wszystkiego jeszcze do końca ponazywać. Na pewno buntu nie było. Na pewno też odczuwam teraz brak. Nie tylko jej brak tutaj, w duszpasterstwie. Widzę, że np. schola nie brzmi tak samo, jak kiedyś brzmiała, że nie ma jej tu czy tam, bo wiele robiła, ale też brakuje mi jej osobiście.

Po prostu brakuje jej obecności.

Śmiałem się, że pół roku w Boliwii brzmi jak wieczność. Nie wyobrażałem sobie tego długiego czasu, który dziewczyny miały tam spędzić. Nie wyobrażałem sobie, że ich tutaj nie będzie. Jednak tam był telefon, dostęp do Inter-

netu, jakiś sporadyczny kontakt co parę dni, na parę minut. Teraz przekuwamy to w wiarę w świętych obcowanie. Wierzę, że jeśli jakieś relacje, tu, na ziemi, są prawdziwe, to one trwają. To nie jest coś, co się kończy, chociaż to jest trudny moment, trudny przeskok.

Co Ksiądz czuje, gdy słyszy, że dziewczyna stąd, z Waszego duszpasterstwa, może zostać świętą?

Rozmawiałem z Helenką kilkanaście godzin przed śmiercią. Pisaliśmy na Messengerze:

– Byłem po kolędzie w Asystencie [Dom Asystenta Politechniki Śląskiej w Gliwicach – akademik, w którym mieszkał Michał – przyp. red.]. Zostawiłem ci obrazek.

– Dzięki. Odbiorę w czerwcu.

Żartowaliśmy. To była nasza ostatnia rozmowa. W poniedziałek wieczór. Wszystko wydarzyło się przecież chwilę później, we wtorek rano polskiego czasu. Rozumiem starania wielu osób w kwestii świętości, martwi mnie jednak ten pośpiech. Bliscy nadal potrzebują czasu, by pogodzić się z trudną sytuacją, która przecież po ludzku nam wszystkim złała serce.

Co dokładnie Księdzu przeszkadzało w tym, że zaraz po jej śmierci zaczął mówić, że to była święta osoba i że może w przyszłości uruchomiony zostanie proces beatyfikacyjny? To kwestia zgrzytu między radością, z którą kojarzona jest świętość, a nieprzeżytą jeszcze żałobą?

Najbardziej przeszkadzało mi to, że zabrali się do tego ludzie, wśród których byli tacy, którzy nigdy osobiście nie spotkali się z Helenką. To był odruch serca. Poczucie, że ktoś – mówiąc brzydko – zaczyna jakoś wykorzystywać tę sytuację. Jakby w tym momencie Helenka stała się „dobrym materiałem medialnym”. A to jest konkretna osoba, którą

my znamy, kochamy, której nam brakuje; jesteśmy tym wszystkim jeszcze zszokowani, w Polsce nie ma ciągle jej ciała, nie wiemy, kiedy będzie pogrzeb. Mówię o odczuciach, nie stawiam zarzutów.

Poza tym jest troska o prawdę. Na razie brzmi to jakoś pomnikowo; jak coś zrobione z brązu czy ze złota, a nie coś naturalnego. Na początku nie wiedzieliśmy nawet, co się stało. Wszystko, co do nas docierało, to były informacje medialne. Jak do tego doszło? Kto to zrobił? Osobiście wiele rzeczy zacząłem widzieć inaczej w momencie, kiedy Anita wróciła do Polski i opowiedziała, jak wyglądało ich życie tam przez dwa tygodnie. Jakie one były szczęśliwe. To było spełnienie marzenia Helenki. Anita potwierdzała, że Helenka przez ten czas w Boliwii była bardzo szczęśliwa.

Poznanie faktów, prawdy o zdarzeniu. Dlaczego to było dla Księdza takie ważne?

Duszpasterstwo akademickie tworzy atmosferę wspólnoty i więzi między duszpasterzami a młodymi ludźmi. Również Helenkę traktowałem jak bliską osobę. Co mogę powiedzieć? Dla mnie to była osobista tragedia. Wiedza, którą zdobywałem o wydarzeniach w Boliwii, pomagała mi zrozumieć, co się stało, a potem pożegnać się z Helenką.

Dla mnie to wszystko jest po ludzku niepojęte.

Co Ksiądz myśli o tym wydarzeniu w perspektywie wiary?

Powtórzę, po ludzku to jest niezrozumiałe. Ten człowiek, z tego, co wiadomo dzisiaj, najprawdopodobniej był pod wpływem narkotyków. To młody, 21-letni mężczyzna, który już siedział za jakieś złe czyny. Rodzina wykupiła go z więzienia. Nie sądzę, żeby on się łatwo i szybko nawrócił,

ale przeprosił kilkakrotnie, gdy dowiedział się, że rodzice Helenki mu wybaczyli. Co będzie z nim dalej? Ten człowiek jest w więzieniu bez środków do życia, bo rodzina nie chce na niego łożyć, a pamiętajmy, że w tym kraju to rodzina musi utrzymywać więźnia. Tak naprawdę on nie ma się w co ubrać. Dostaje jakąś lichą strawę. Chcą mu pomóc siostry z ochronki, w której zginęła Helena.

To dobrze?

Oczywiście, że dobrze. Sam też musiałem jakoś na modlitwie przebaczyć temu człowiekowi. To nie było łatwe. W takim sensie rozumowym nie było problemu, bo ja często innych tego uczę, często głoszę o przebaczeniu, o jego konieczności. Jednak jak już doszło do modlitwy, dużo mnie to emocjonalnie kosztowało, bardzo dużo.

Perspektywa wiary otwiera nas na rzeczywistość nieba, tego, czego „ani oko nie widziało, ani uch nie słyszało...”, na tajemnicę świętych obcowania. Jesteśmy jednym Kościołem także z tymi, którzy są już u Pana.

We wtorek przyszła wiadomość o śmierci. W niedzielę na mszy św. akademickiej modliliśmy się m.in. za tego sprawcę. Eucharystii przewodniczył biskup gliwicki Jan Kopiec. Głosiłem kazanie. To też było wyzwanie. Kościół pełen ludzi. Zwykle o godz. 20.00 i tak jest tłum, ok. 300-400 osób. Tym razem było 500 osób albo więcej. Wiele osób nie zmieściło się w kościele. Zjechali się ci, którzy znali ją jeszcze z początku studiów i wszyscy inni zainteresowani wspólnym spotkaniem i modlitwą. Kilka osób prosiłem w tym czasie o modlitwę w mojej intencji, żebym emocjonalnie wytrzymał. Czułem, że jak się rozryczę na ambonie, będzie po wszystkim... Gdy mówiłem o niej, udało mi się sprawić, że niektórzy ludzie nawet kilka razy się uśmiechnęli.

Co Ksiądz powiedział?

Pierwszą rzeczą, którą powiedziałem, było to, że gdyby Helenka się dowiedziała, że ją będę zaraz chwalił, nie byłaby z tego zadowolona. Ona bardzo tego nie lubiła. Wtedy mówiłem również o szczęściu, bo czytaliśmy Ewangelię o ośmiu błogosławieństwach. Błogosławieni, czyli szczęśliwi. Taki paradoks. Ubodzy, szukający sprawiedliwości, czystego serca itd. Całą homilię mówiłem do niedzielnych czytań. Na końcu dodałem coś o Helence.

O dziewczynie o kolorowym sercu?

Rzeczywiście tak o niej mówiłem. W tym sensie, że ona bardzo chciała być szczęśliwa w życiu i szukała szczęścia w Bogu. Po ludzku też, ale nigdy wbrew Panu Bogu, nigdy obok Niego. Szukając szczęścia, powinniśmy się do Boga zbliżać, bo to On w nas to pragnienie złożył.

Nie daje mi spokoju pytanie, które zadaliście mi o rekolekcje, na których poznałem Helenkę. Głosiłem kiedyś rekolekcje o pragnieniach ludzkiego serca. O tym, że Pan Bóg włożył w nasze serca pewne pragnienia po to, żebyśmy Go szukali. Pragnienie sprawiania komuś radości, kochania kogoś, ofiarowania siebie, służenia Panu Bogu. Takie głębokie pragnienia, które człowiek w sobie nosi. Gdy je próbujemy zaspokoić na skróty, po ludzku, to często wpadamy w grzechy. Pragnienia same w sobie nie są złe, bo prowadzą do Pana Boga. Nie wiem, czy to nie były te rekolekcje i to kazanie.

Kolorowe serce odnosi się właśnie do tego, że Helenka miała w sobie wszystkie dobre pragnienia – bycia szczęśliwą, ale też głębokie pragnienie, żeby jej życie mogło się podobać Panu Bogu. Myślę, że w którymś momencie poczuła też pewne ograniczenie, że jest tylu ludzi, z którymi ona chciałaby być w dobrym kontakcie, ale po prostu brakuje

jej na to czasu. Nawet śmiałem się z tego, że gdyby chciała odpowiedzieć na wszystkie wiadomości i pozdrowienia, będąc tam w Boliwii, to doba okazałaby się na to za krótka. Czułem się wyróżniony, że dostawałem od niej choć pięć zdań, raz na trzy dni.

We wspomnieniu do „Salwatora” napisał Ksiądz, że Helena miała głębokie życie duchowe. To znaczy jakie?

Na pewno bardzo ważna była dla Heleny Eucharystia, o której już mówiłem. Po niej był zawsze czas na dziękczynienie, czas zamyślenia. Helenka była bardzo skromna, nie robiła niczego na pokaz. Pewnych rzeczy się sam domyślałem, pewne wychodziły w trakcie rozmów. Wiedziałem o jej poście, ograniczała jedzenie słodczy – jadła je tylko w niedzielę i święta. Okazało się, że stoi za tym konkretny powód, konkretna intencja.

Nigdy nie udało mi się niczym jej poczęstować, bo nigdy nie była u mnie w niedzielę. Nie wiem, od kiedy trwał ten post.

Z pewnością wiele czasu poświęcała rozważaniu słowa Bożego. Na spotkaniach kręgu biblijnego dzieliła się swoimi refleksjami i przemyśleniami. Często była inicjatorką adoracji Najświętszego Sakramentu po mszach akademickich w czwartki, które animowała z innymi studentami. Uczestniczyła w różnych pielgrzymkach, rekolekcjach, ekstremalnych drogach krzyżowych, wyjeżdżała na Światowe Dni Młodzieży. To różne zaangażowania, ale w moim przekonaniu wszystkie płynęły z potrzeby serca i były świadectwem głębokiego życia wiarą i modlitwą. Osobiście wiem, że wspierała mnie zawsze w modlitwie. Ufam, że nadal to robi.

Czy był jakiś szczególny moment w życiu duchowym Helenki w ostatnich latach?

Wiem, że dość istotnym przełomem był w jej życiu dwumiesięczny wyjazd do Zambii, na misje. Myślę, że ta historia nas też trochę zbliżyła.

Helenka wróciła z Zambii z gorączką. Miała ok. 40 stopni. Coś podejrzewano, ale nic nie znaleziono. Dostałem od niej SMS-a, jak już była w szpitalu w Krakowie, na oddziale chorób tropikalnych:

- Mam ponad 40 stopni gorączki.
- Będziemy się modlić! – odpowiedziałem.

Następnego dnia:

- Proszę księdza, gorączki już nie ma. Zastanawiam się, po co tutaj jestem. Robią mi badania.

Gorączka tak jak się pojawiła, tak odeszła. Na wypisie ze szpitala było skierowanie do kardiologa. Ujawniły się kłopoty kardiologiczne i konieczny był zabieg operacyjny. Nawet nie wiem, czy ktoś z duszpasterstwa wiedział. Taka była Helenka. Nie chciała, by takie informacje się rozchodziły, by kogoś martwiły. Nie lubiła bez potrzeby skupiać uwagi na sobie.

Owa niby przypadkowa gorączka po powrocie z Zambii okazała się opatrznościowa. Gdyby z tą dolegliwością starała się o zatrudnienie w liniach lotniczych, nie przeszłaby badań, nie dostałaby tej pracy. Potem stało się jasne, że dzięki temu, iż operacja została zrobiona na czas, że Helenka przeszła rekonwalescencję, że minął już rok i wszystko było dobrze, mogła odebrać od pani doktor w Zabrze zaświadczenie, że nie ma przeszkód, by pracowała w lotnictwie. Inaczej przy intensywności pracy, jaką mają stewardesy – ok. stu godzin lotów w miesiącu – mógłby to być poważny problem zdrowotny.

Po powrocie z Zambii w inny sposób myślała o życiu. Zmieniła sposób patrzenia na ludzi. Sam nigdy nie zarzucałbym jej egoizmu, ale ona często go sobie zarzucała. Natomiast Zambia otworzyła jej oczy, jak wiele dobrego może zrobić dla innych. Że warto się odważnie zaangażować, bo ten świat potrzebuje Boga i Jego miłości. Wydaje się, że ten czas dodał jej odwagi i pewności siebie.

Ksiądz Wojciech uczy w technikum budowlanym. W ramach rekolekcji szkolnych zaprosił Helenkę z Pawłem Kusiem. Paweł opowiadał o Gruzji, Helenka pokazywała materiał filmowy z Zambii. Opowiadała młodzieży o swojej posłudze misyjnej.

W zeszłym roku, w październiku poprosił Ksiądz Helenkę o pomoc przy rekolekcjach dla studentów – „Na dobry początek”. O czym opowiadała?

Poprosiłem ją o świadectwo. Rekolekcje były o Słowie, o słuchaniu Słowa. Czytaliśmy przypowieść o siewcy. Pierwszy dzień o ziarnie. Drugi o ziemi, czyli o nas. A trzeci dzień o owocach, czyli o ewangelizacji i dzieleniu się Słowem. Helenka składała świadectwo z pobytu w Zambii i dzieliła się pragnieniem wyjazdu do Boliwii. Już wtedy zbieraliśmy na ten cel pieniądze. Pomagaliśmy dziewczynom w organizacji. Mówiła, że nie trzeba wcale jechać do Boliwii, ale musimy mieć odwagę przyznawać się do Pana Jezusa.

Muszę powiedzieć, że na początku nie chciała się zgodzić. W końcu przyjęła moją propozycję, choć nie było jej łatwo stanąć na ambonie i złożyć świadectwo wobec młodzieży akademickiej.

Ona bardzo często była na naszych mszach. Brała udział w wielu rekolekcjach akademickich przez osiem lat. Słowo Boże cały czas w niej pracowało. My jesteśmy skupieni na

ewangelizowaniu, czyli przyprowadzaniu ludzi do Jezusa, a Helenka chciała już zrobić coś dalej. Na spotkaniach Wolontariatu przeszła konkretną formację. Bardzo chciała iść krok dalej, zrobić coś konkretnego. Szukała takich możliwości też u nas. Praca w świetlicy czy paczki robione razem z Aldoną na Ukrainę. Zawsze byłem otwarty na tego typu akcje. Spotkania Wolontariatu kilka razy odbywały się u nas. Kilka razy też razem z ks. Pawłem Fiąckiem SDS odprawiałem z tej okazji dla nich msze św. Potem były prezentacje, albo też sprzedawali pamiątki misyjne, zbierając pieniądze na swoje wyjazdy. Myślałem, że to dobry sposób, by naszych studentów uwrażliwić na potrzebę dzielenia się wiarą i miłością z innymi, na odwagę ewangelizowania słowem i dobrocią.

W czasie przygotowań do wyjazdu do Boliwii pomagaliśmy dziewczynom zebrać pieniądze konieczne, by opłacić ich podróż. Zapytałem kiedyś o to, co jej osobiście by się przydało. W swojej skromności zwykle mówiła, że wszystko ma. Ten jeden raz zapytała, czy nie mam Pisma Świętego po hiszpańsku. Obiecałem, że sprawdzę, bo mam sporo egzemplarzy w różnych językach, ale okazało się, że hiszpańskiej wersji nie mam. Zacząłem szukać, najpierw w Internecie. Potem przypomniałem sobie, że pewna osoba z naszego DA wyszła za mąż w Hiszpanii i mieszka w Madrycie. Skontaktowałem się z nią i w czasie odwiedzin świątecznych w Polsce mogła mi przekazać Pismo Święte w języku hiszpańskim.

W ten sposób prosto z Hiszpanii przyleciało do ks. Wojciecha Pismo Święte, które zaraz po świętach przekazał Helence. „Dawno nie widziałem jej tak szczęśliwej”. Tego samego dnia Helena widziała się też z Anitą, która potwierdziła: „Helenka była cała w skowronkach z powodu prezentu”.

Co się z nim stało?

To Pismo Święte niestety zostało u sióstr w Boliwii. Jest poplamione krwią i nie pozwolono go jak dotąd przywieźć do Polski. Siostry przechowują je w klasztorze. Obok słownika hiszpańsko-polskiego jest to dla nich swoista relikwia.

Czy Helenka miała w swoim życiu taki czas, że nie słyszała Pana Boga?

Myślę, że nie dłuższy niż inni. Szukanie Pana, słuchanie Ducha Świętego zawsze wiąże się z pewnym wysiłkiem i trudem. To kwestia szukania woli Bożej. Miała takie pragnienie. W jej sercu było to napięcie – podejmowała wysiłek, by wolę Bożą odnaleźć. Z wieloma rzeczami próbowała poradzić sobie sama, ale na pewno odczuwała słabość. Pamiętam, że rozmawialiśmy o słuchaniu Pana Boga i szukaniu Jego woli. Helenka, chyba jak większość z nas, rozmawiała o swoich problemach z pewnym trudem. Jednak chętnie przyjmowała wsparcie i była wdzięczna za modlitwę w jej intencji.

Wola Boża. Czego dotyczy to szukanie? W jakim punkcie Helenka miała wątpliwości?

Na początku te poszukiwania dotyczyły rzeczy podstawowych. To były poszukiwania młodej dziewczyny, która tęskniła za miłością, za bliskością. Pewnie się nad tym zastanawiała (nigdy nie słyszałem pytania o życie zakonne). Tu na pewno był jakiś wysiłek. Nie mogę o wszystkim mówić, ale to był dla niej czas budowania różnych relacji. Tutaj, w Gliwicach, i nie tylko. Miała też w tej dziedzinie pewne trudne doświadczenia.

Jej duchowe poszukiwania dotyczyły tego, czy jej życie i decyzje aby na pewno się Bogu podobają. Czy to, co robi, jest dobre, czy nie marnuje czasu w życiu. Rozmawiali-

śmy też o tym, że szukanie woli Bożej, tego, kim mam być w życiu, zaczyna się od pytania, jakie mamy pragnienia w sercu. Mam głębokie przekonanie, że to Pan Bóg te pragnienia w nas wkłada. Jeśli potrafimy odczytać, co nam przyniesie szczęście, co nam sprawia radość, co jest dla nas ważne, co porusza naszą wrażliwość, to znajdziemy po części odpowiedź na pytanie, co mamy w życiu robić, kim być, czym się zająć. Myślę, że ona już miała odpowiedź – że chce być żoną i matką. Nawet kiedy były już w Boliwii, pytałem je:

- Co wy tam będziecie robić?
- Będziemy zajmować się dziećmi. Mamy ich dziewięćdziesiątkę.
- Aż tyle planujecie? – żartowałem.
- Nie, raczej kilkoro. Jeśli jednak poradzimy sobie z dziewięćdziesiątką, to i później z kilkorgiem, jeśli Bóg pozwoli.

Helenka miała bardzo konkretne pragnienie życia w małżeństwie i rodzinie. Natomiast to na pewno nie było wszystko. Myślę, że wolę Bożą odkrywała też w pomaganiu innym. To nie ulega wątpliwości. Ona była gotowa na różne wyzwania, także tutaj w Gliwicach. Zawsze można było na nią liczyć. Monika Kostka, już po jej śmierci, miała jakieś rzeczy do zorganizowania i zastanawiała się, do kogo może tutaj, w Gliwicach, zadzwonić. Pierwsza na myśl przyszła jej Helenka. Pomagała, komu tylko mogła. A z pewnym trudem – może nie z trudem, bo to nie wynikało z jej pychy, ale pewnej skromności – z wielką powściągliwością przyjmowała pomoc od innych.

To dzięki Helence powstała schola?

Tak, to prawda. Moją troską były msze św. o godz. 20.00. Często brakowało kogoś, kto zająłby się oprawą muzyczną i musiałem radzić sobie sam. W czasie któregoś spotkania

Helenka zaproponowała, że może przyjść z gitarą. Wtedy mnie pierwszy raz zaskoczyła. Przyniosła „dwunastkę” – dwunastostrunową gitarę. Od 38 lat gram na gitarze. Przez pierwsze 20 grałem na „dwunastce”, która niestety już się rozleciała. O tym, że Helenka śpiewa, wiedziałem, ale gdy usłyszałem nastrojoną „dwunastkę”... To jest naprawdę wyzwanie, nawet dla muzyka. Ona nastroiła ją bez żadnych stroików elektronicznych. Usłyszałem „dwunastkę”. „To brzmi” – pomyślałem. Był szok. A później ta dziewczyna zaczęła na niej jeszcze tak rytmicznie grać, że aż ludzie głośniejsz zaśpiewali w kościele.

W kolejne niedziele więcej osób animowało śpiew z Helenką. Rozpoczęły się próby, spotkania i dziś mamy pięknie śpiewającą czterogłosową scholę.

Jakieś inne inicjatywy?

Z Moniką Dziurą wymyśliły nocne czuwanie na Górze św. Anny. Gdy doszło do finalizacji projektu, okazało się, że Monika leży chora w domu, a Helenka ma nocny lot... Zorganizowały wszystko dla duszpasterstwa, a same w tym nie wzięły udziału. Pamiętam, że wysłałem jej MMS-a ze zbliżeniem na Najświętszy Sakrament i wiadomością, że modlimy się także za nie.

Czasami to ks. Wojciech radził się Helenki: „Zbliżają się re-kolekcje. Helenko, o czym mają być?”. Bywało, że podrzuciła jakiś pomysł. „Mogę kupić?” – pytał wówczas ks. Wojciech. „Proszę bardzo” – odpowiadała. A kapłan notował w zeszy-cie. Przyznaje, że nigdy nie były to jakieś szczegółowe kon-ciepcje, ale niejedną konferencję czy homilię zainspirowała myśl Helenki.

Zdarzało się, że ks. Wojciech już po mszy św. pytał o opi-nię na temat kazania. „Jak tam dzisiaj? Było bardzo nudno?”.

„Przepraszam, ale połowę przespałam” – niekiedy odpowiadała lekko zawstydzona.

Czasami z Grzesiem Steciem grywali i śpiewali na śródowych mszach św., po których zostawali na spotkaniu kręgu biblijnego. Helenka bywała bardzo zmęczona po pracy, siedziała na tym kręgu na *stand-by*. My czytamy i rozważamy. Ona niby jest, niby jej nie ma. Co ciekawe, gdy przychodzi czas dzielenia, to Helenka otwiera oczy i świetnie odnajduje się w temacie. Konkretnie – punkt po punkcie.

Helenka chciała być w wielu miejscach, ale czasami jej brakowało sił. Bez wątpienia czuła się współodpowiedzialna za to, co się tu dzieje.

Jej mama nie była jej biologiczną mamą.

Dowiedziałem się o tym dopiero po śmierci Helenki.

Zastanawiamy się, czy była w niej tęsknota za mamą biologiczną.

Była. Znalazłem taki jej tekst, miała chyba z 15 lat, pisała na Wszystkich Świętych o mamie, że tęskni, bo: „Umarłaś, a właściwie przeszłaś z życia do Życia”. Mnie to też pomogło w myśleniu o Helence, że miała bardzo konkretną wiarę w zmartwychwstanie. I w tym króciutkim tekście pisała o tym, że chciałyby się przytulić, że na pewno kiedyś to się stanie.

Jak teraz wygląda Księdza życie, w momencie gdy po bliskim człowieku zostały tylko wspomnienia?

Nie minęły dwa lata od śmierci mojego taty. Tamta żałoba przygotowała mnie na to, co przeżywam po śmierci Helenki. To, co mi pomagało wtedy, pomaga mi teraz. W pierwszej kolejności modlitwa, w drugiej – dobre wspomnienia. Młodzień z duszpasterstwa mówi, że mi zazdrości, bo zna-

łem Helenkę najdłużej z nich wszystkich. To prawda, mam dużo wspomnień. Coraz częściej się uśmiecham, gdy o niej myślę. Mam też głębokie przekonanie, że ona jest z Panem Jezusem, bo żyła w łasce uświęcającej. To nie jest wyjawianie tajemnicy, ale ja nie pamiętam ani jednego razu, przez osiem lat, żeby Helenka, będąc na mszy św., nie przystąpiła do Komunii św. To też o czymś świadczy. Nigdy nie słyszałem, by pozwoliła, aby w jej obecności ktoś źle mówił o Kościele, o księżach.

Co Helenka mówiła innym o ks. Wojtku?

Kiedyś pytałem Helenkę, jak mnie odbiera. Jak się czuje w mojej obecności. Odpowiedziała mi zdjęciem. Rodzice, gdy to zobaczyli, znacząco pokiwali głową. To było bardzo zabawne i wiele mówiące. Odbieram to tak: „Budzi zaufanie innych osób”.

Tu ks. Wojciech pokazuje w telefonie zdjęcie... niedźwiedzia, który delikatnie tuli do siebie niemowlę.

Czasem mówiła, że się do czegoś nie nadaje, że jest za dużą egoistką. Dziś to budzi uśmiech, bo jak się komuś powie, że Helenka była egoistką, to nikt w to nie uwierzy. Natomiast ona zawsze chciała więcej i lepiej.

Miała wiele pomysłów. Nie wszystkie zostały zrealizowane. Kiedy była już stewardesą, miała nieplanowane urlopy po kilka dni. Ponieważ przysługiwały jej jakieś zniżki, to zabierała przyjaciół i znajomych. Jedną z takich wypraw była ta do Ziemi Świętej na Triduum Paschalne. Byłem jedną z osób, które usłyszały o tym pomysle. Dostałem zaproszenie, ale nie mogłem z niego skorzystać.

Niedawno miałem urodziny. To kolorowe pudełko dostałem od scholi. Od czerwca, w poniedziałki rano dosta-

wali SMS-a: „W niedzielę, w kazaniu, ks. Wojtek powiedział, że...”. W SMS-ie mieli opisać, co było w kazaniu. Jedna osoba to wszystko zbierała. Na urodziny dostałem zbiór informacji o tym, co oni zrozumieli z moich kazań.

Są tu też teksty, które Helenka pisała. Jest np. taka niedziela, po której czytam różne SMS-y, że na kazaniu było o tym i o tamtym. Jest też SMS od Helenki: „Byłam w Barcelonie”. I uśmiech. Nie napisała nic o kazaniu, bo jej nie było.

Myślę, że wiele osób dobrze wyczuwało atmosferę między nami – dużą życzliwość i ciepło. Natomiast nigdy się o tym nie mówiło. Zupełnie nie o to chodziło. Śmieję się, że to było jak w komputerze, taka trochę „praca w tle”. W głównym nurcie wydarzeń z życia raczej nie byłem widoczny.

Czego Helenka szukała w życiu?

Zdrowego obrazu samej siebie. Moją rolą jako duszpasterza jest niesienie pomocy młodym ludziom, by odnaleźli swoje miejsce w życiu i w Kościele. Myślę, że Helenka dokładnie na takie pytania szukała odpowiedzi. Kim mam być – czy mam być z kimś, czy mam być sama, i szukała tej właściwej osoby, by móc służyć Bogu, łączyć pewne pasje.

Jeśli pytacie o Michała, to w wielu kwestiach mieli wspólne pasje. Myślę, że każda młoda osoba, jeśli już decyduje, że chce być żoną czy mężem, w miarę możliwości szuka kogoś. Ona przecież miała prawie 26 lat, więc to nie było młodzieńcze szaleństwo, a raczej już bardzo dojrzałe i konkretne szukanie kogoś. Ona, jak od kogoś usłyszałem, nie szukała chłopaka – ona szukała męża.

Co łączy tych, którzy znali Helenkę?

Myślę, że nas wszystkich połączyła miłość do niej. Chociaż każdy z nas kochał ją inaczej, na innym poziomie – Anita

jako bliska przyjaciółka, Michał inaczej, ja bardziej jako „ojcowski przyjaciel”. W tym gronie jest pewnie więcej osób. Chodzi o bliskich, przy których ona nie bała się mówić o uczuciach. Wierzę, że znałem prawdziwą Helenkę.

Ksiądz w swoich wspomnieniach podkreślał kobiecość Helenki. „Młoda kobieta, chrześcijanka”.

Ona dorastała w akceptowaniu siebie samej. To dla niej był ważny temat. Odkrywała, kim jest w Bożych oczach. To jej pomagało później w relacjach w ludzi. Delikatnie mówiąc, czasem trochę nie wierzyła we własne siły.

Przykład?

Przed rekrutacją do pracy w liniach lotniczych mówiła:

– Czy ja się nadaję na stewardesę? Te wszystkie dziewczyny są takie śliczne i modne.

– Jeśli chodzi o śliczność, to niczego ci nie brakuje, nie ma dyskusji. A czy jesteś modna? Nie wiem. Nie znam się, ale pewnie tego można się nauczyć – mówiłem.

Z doświadczenia modlitwy za nią mogę powiedzieć o jej niezwyklej wewnętrznej prawości, czystości. Mogę powiedzieć, że mnie to czasami onieśmiało.

A doświadczenie duchowe z modlitwy jest takie, że była bardzo otwarta na Pana Boga, że to, co Pan Bóg przynosił, wchłaniała jak gąbka. To trudno opisać – to są moje subiektywne odczucia.

Nie mam nic przeciwko jej świętości, ale patrzę na to jeszcze przez inny pryzmat. W Kościele ogłoszenie kogoś świętym poprzedza długi, skrupulatny i trudny dla wszystkich bliskich proces.

A jak Ksiądz słyszy o tym, że taki proces w tym przypadku jest całkiem możliwy, to co Ksiądz myśli?

Że będzie trzeba stanąć na wysokości zadania i złożyć świadectwo. Czy to się wydarzy, czy nie, czuję się zaszczycony, że miałem szczęście prawie jedną trzecią jej życia być blisko – na tyle, na ile potrzebowała, na ile chciała, zawsze odbywało się to w wolności, na zasadzie:

– Czy wiesz, że możesz na mnie liczyć?

– Tak, wiem, dziękuję!

Mama Helenki powiedziała, że ona życie przeżywała z niezwykłą lekkością bytu. Zazdrościłem jej energii życiowej, planów, odwagi ruszania w różne miejsca. Zbieram teraz różne pamiątki. Przywiozła mi m.in. ornat z Madrytu ze Światowych Dni Młodzieży w 2011 roku.

Czasem zostaje w nas po śmierci kogoś bliskiego myśl, że z czymś nie zdążyliśmy...

Jedyny grzech, jaki popełniłem wobec Helenki, to taki, że nie zdążyłem przyjechać na jej dyplom w szkole muzycznej. Mam go na płycie – dostałem od niej. Pytałem później:

– Czy ty mi to wybaczysz?

– Nawet dobrze, że księdza nie było. Czułabym większy stres.

Kiedy Helenka przyjeżdżała do domu, rodzice mówili:

– Zostałabyś na weekend.

– Nie mogę. Msza jest o 20.00.

I zmykała z domu po południu, żeby na 20.00 zdążyć do Gliwic.

Nie raz ją widziano tutaj w różowym płaszczyku linii lotniczych i pełnym makijażu, z fryzurką i na szpilkach, kiedy za minutę dwudziestą wpadała, żeby śpiewać w scholi. Dlatego dziś czasami widzę ją jeszcze w tym tłumie na mszy akademickiej. Z drugiej strony mam przekonanie, że jest w niebie.

Spotkał się Ksiądz z rodzicami Helenki po jej śmierci, w jej domu?

Tak. Dla mnie to było niesłychanie ważne – poznać jej rodziców, być w jej domu, w jej pokoju. Poczuć atmosferę domu. Rodzice mi w tym pomogli. Zdarzyło się też wtedy – chociaż to nie było planowane – że na kolację było to, co Helenka po raz ostatni jadła w domu. Helenka bardzo lubiła krokiety. Do tego sok pomidorowy na ciepło. Rodzice wyrazili wtedy nadzieję, że nie jestem u nich ostatni raz.

Helenka zawsze mówiła ciepło o domu. Z kolei ja zawsze prosiłem, żeby pozdrawiała rodziców. „Rodzice pozdrawiają i zapraszają – odpowiadała. W końcu chcieliby księdza poznać!” Po jej śmierci miałem okazję poznać kawałek świata, w którym żyła.

Dziękuję Bogu za obecność Helenki między nami. Za jej ciepło, życzliwość i wszystko inne, co trudno wyrazić słowami. Jej życie było i pozostanie darem dla nas i dla mnie osobiście.

Gliwice, marzec 2017

KATARZYNA KRAJCEK
MIAŁA TO COŚ
W GŁOSIE

Katarzyna Krajcer studiuje wokalistykę na Akademii Muzycznej w Katowicach. Pracuje w Gliwicach – na razie nie w zawodzie, ale chciałaby, żeby jej pasja stała się jej pracą. Śpiewa w jednym z chórów kościelnych. Należy do wspólnoty Przymierza Rodzin „Mamre”.

Gdy zaczęła szkołę muzyczną, była w liceum. Rano szła do liceum, a po południu do szkoły muzycznej.

Szkołę muzyczną nazywaliśmy „naszym drugim domem”. To tu rozdziły się relacje, które trwają do dziś. Otwieraliśmy się na innych, dzieliliśmy się swoimi prywatnymi sprawami. W klasie szkoły muzycznej ludzie są na różnych etapach życia – ja chodziłam do liceum, jedna dziewczyna kończyła gimnazjum, inne studiowały i pracowały.

Kasia spotkała się z Heleną w szkole muzycznej, w klasie wokalu.

Helenka była cichutka, ale cały czas uśmiechnięta. Pamiętam, że sama z siebie nie zagadywała, ale była od niej otwartość. Po pierwszym tygodniu miałam wrażenie, że znamy się kopę lat. Całą klasą byliśmy dobrze zgrani. Po pewnym czasie zaczęli nas nazywać „tą słynną klasą wokalną”. Mieliśmy też kilku rozrabiaków, więc i z tego powodu byliśmy „słynni”, ale to właśnie Helenka stawiała nas do pionu.

Potrafiła być stanowcza, ale zawsze ze swoim duchem miłości.

Po tym tragicznym wydarzeniu kontaktowałam się z koleżankami ze szkoły muzycznej. Dzwoniłyśmy do siebie codziennie. Nie potrafiłyśmy w to uwierzyć. Wtedy też wspólnie stwierdziłyśmy, że ona nigdy nie podnosiła głosu, na nikogo nie krzyczała. Niewyobrażalne było dla nas to, co się stało; ona, taka kruszynka, w tym wszystkim...

Po jej śmierci wszyscy zwracali uwagę na to, że Helenka była wiecznie uśmiechnięta. Mogłoby się здаwać, że nie miała żadnych problemów. A przecież miała, bo nie raz rozmawiałyśmy na ten temat. Jednak gdy był jakiś problem, to nie smuciła się, nigdy się nie popłakała, najwyżej milczała. Zawsze miała nadzieję w sercu na pomyślne rozwiązanie sprawy. Nigdy nie była negatywnie nastawiona – zawsze był optymizm.

Pamiętam, że raz bardzo nie chciało się nam iść na lekcje. Namawiałam dziewczyny na węgry. Helenka nie poszła z nami. Spotkałyśmy się wtedy na ostatnich zajęciach z włoskiego. Spojrzała na nas wymownie.

Helenka zawsze była przygotowana do lekcji. Była najlepszą uczennicą.

Na czym polega przygotowanie do lekcji w szkole muzycznej?

W szkole muzycznej mieliśmy różne przedmioty. Najważniejszy był oczywiście śpiew i fortepian. Były też: kształcenie słuchu, historia muzyki, rytmika, czytanie mowy głosem, język włoski, zasady muzyki. Na przykład na zajęciach z historii muzyki trzeba było znać po kolei wszystkich najważniejszych kompozytorów. Tutaj Helenka po prostu wymiatała – egzamin zdała najlepiej.

To czysta teoria. A coś z praktyki?

Jeśli chodzi o kształcenie słuchu, mieliśmy solfeże, czyli książki z nutami na pięciolinii, i rytmy do wystukiwania albo jakieś melodyjki do zaśpiewania. Poznawaliśmy różne zjawiska muzyczne. Dostawaliśmy zadania. Helenka zawsze przodowała – miała bardzo dobry słuch muzyczny.

Jeżeli chodzi o fortepian, to poza znajomością nut profesor oceniał nasze umiejętności i do nich dostosowywał program. Na półrocze i na koniec roku były egzaminy. Wymagały tego, by siedzieć w domu i ćwiczyć.

Myślisz, że Helena była taka zdolna, że jej to łatwo przychodziło? Czy musiała dużo ćwiczyć?

Myślę, że każdy wiedział, że ona ma bardzo trudne studia i godzi je ze szkołą muzyczną. Nie mogła na naukę śpiewu czy gry poświęcać zbyt wiele czasu. Ale to nie znaczy, że w ogóle nie ćwiczyła. Zawsze była przygotowana. Pamiętam, że czasami na przerwach szliśmy do którejś z sal, Helenka nam przygrywała i ćwiczyliśmy śpiew. Musiała ćwiczyć, bo widać było u niej progres. Gdy zaczynałyśmy szkołę, miała słabiutki głosik. A jak śpiewała już do dyplomu, to każdy był zaskoczony. Miała też to coś w głosie, że po prostu chciało się na nią patrzeć.

Wiązała zawodową przyszłość ze śpiewem?

Raczej nie myślała o karierze diwy operowej, ale szkoła muzyczna daje uprawnienia zawodowe. Wystarczy zrobić studium pedagogiczne i można być nauczycielem muzyki. Poza tym wiele umiejętności można wykorzystać gdzie indziej – ja np. do dziś korzystam z zajęć z rytmiki w pracy z dziećmi.

Co możesz powiedzieć o jej głosie?

Był bardzo subtelny. Nie był to mocny głos, raczej delikatny, taki słodki. Ona mogłaby śpiewać kołysanki dla dzieci. Można było siedzieć i godzinami jej słuchać.

Jej głos był też niesamowicie biegły, mogła śpiewać tzw. koloratury, to znaczy, że szybko operowała głosem. Miała też bardzo długi oddech – mnie po jednej frazie brakowało powietrza, a ona mogła dalej śpiewać.

Śpiewałyście razem?

Czasami profesorowie zestawiali nas razem z uwagi na to, że ja miałam taki „ciemny” i duży głos, a ona taki subtelny, którym mogła wypełniać moje luki. Pamiętam, że niesamowicie dobrze się z nią śpiewało i współpracowało.

Dążyła też do profesjonalizmu. Gdy nie mogłam czegoś zaśpiewać, mówiła: „Chodź, zobaczysz, że ci się uda; zrobiemy to razem”. Naprawdę ćwiczyła ze mną. Efekty były super.

Znalazłem takie zdjęcie, na którym Helena śpiewa w kwartecie, a Ty jesteś solistką. Ona podpisała to zdjęcie słowami: „W kwartecie z najlepszą solistką”.

To był koncert muzyki filmowej w kościele w Gliwicach.

Jaką muzykę lubiła Helena?

Fascynowała ją muzyka gospel. Swego czasu chciała nawet coś więcej w tym kierunku robić. A my wszyscy pytaliśmy się: „Jak ty to robisz?”. Ja po lekcjach w liceum i szkole muzycznej miałam wszystkiego dość, a Helena studiowała i jej studia do najłatwiejszych nie należały. Każdy podziwiał też jej angielski. Zawsze mi pomagała, gdy miałam z czymś problem – nigdy nie robiła za mnie zadań, ale zawsze starała się wytłumaczyć to, czego nie rozumiałam.

Kiedyś powiedziała: „Chodźcie, zrobimy coś; jakiś zespół mi się marzy”. I faktycznie przez pewien czas spotyka-

liśmy się wieczorami w szkole muzycznej. Przyprowadziła kilka osób. Było kilka prób. Ostatecznie to nie wypaliło. Ale w Helenie cały czas była chęć budowania czegoś więcej.

Wspomniałaś o muzyce gospel. Helena śpiewała w scholi duszpasterstwa akademickiego, grała na mszach akademickich. Z muzyką religijną nie było problemu w szkole?

Co ciekawe, na naszym roku były osoby, które dojrzewały w środowisku kościelnym, więc dla nikogo nie stanowiło to problemu.

Wspomniałaś wcześniej, że zwierzałyście się sobie ze swoich problemów.

Żaliła się np., że nie wyszło jej z jakimś chłopakiem, z którym się spotykała. Miała normalne problemy, można powiedzieć – babskie. Pamiętam, że raz była smutna. Dopytywałam, o co chodzi. Mówiła, że cały czas nie ma tego jedyne faceta. Nawzajem się pocieszałyśmy i kończyłyśmy obustronnym zapewnieniem, że kiedyś przyjdzie na to czas. Czasami doskwierał jej brak bliskości tej drugiej osoby. Na pewno nie była samotna, bo miała dużo ludzi wokół siebie, ale mimo wszystko szukała miłości i bliskości mężczyzny jak każda normalna dziewczyna.

Czasami panują takie stereotypy, że jak dziewczyna jest blisko związana z Kościołem, to zaraz będzie zakonnica. Nigdy tak o niej nie pomyślałam. Ale że będzie misjonarką świecką – to już tak. To kochała i o tym mówiła. Nieraz potrafiłyśmy przegadać całe godziny, bo tak nas zafascynowały jej historie misyjne. Pamiętam, jak przychodziła po szczepionkach do szkoły i mówiła, że przygotowuje się do wyjazdu.

Czasami też było jej ciężko na studiach. Nieraz powtarzaliśmy, żeby trochę zwolniła, ale ona ciągle chciała więcej

i ciągle opowiadała – i zawsze z największą satysfakcją – o tych misjach.

Jak odbierałaś jej zaangażowanie misyjne?

Jak powiedziała, że leci do Afryki, to stwierdziłam, że jest nienormalna. Mówię: „Jesteś niemądra, ja cię nigdzie nie puszczę”. Był we mnie strach o nią. Taka krucha istota, a ma taką odwagę. Z drugiej strony podziwiałam ją, bo ja bym tam nie poleciała – owszem, mogłabym pomagać dzieciakom, ale w Polsce, a nie gdzieś w Afryce... Mówiłam jej: „Podziwiam cię, będę się za ciebie modlić, ale nie jedź tam”.

Ona jednak nam to wyjaśniała. Pamiętam, że to był też okres mojego głębszego nawrócenia po rekolekcjach ewangelizacyjnych. Mówiłam głośno o tym, że działanie Pana Boga przemienia moje życie. I ona w swoim misyjnym powołaniu też widziała osobiste wezwanie Pana Boga.

Czy po szkole muzycznej utrzymywałyście kontakt?

To było trudne – poszłam na studia do Katowic, a Helenka była stewardesą. Spotkałyśmy się kilka razy na jakiejś imprezie. Różne gliwickie wspólnoty coś organizowały i wpadłyśmy na siebie. Gdy się zobaczyłyśmy, rzuciłyśmy się sobie w ramiona. „Co tam u ciebie? A co tam u ciebie? Długo się nie widziałyśmy. Musimy się w końcu spotkać”. To było ciągle upominanie się o spotkanie. Czasami do siebie coś pisałyśmy.

Facebook pomagał w śledzeniu jej misji. Mówiła, że gdzieś leci. Odpowiadałam wtedy: „Dobra, jestem z tobą; modlę się, ale uważaj na siebie”. Cały czas było wzajemne wsparcie. To była taka relacja, że potrafiłyśmy się nie widzieć bardzo długo, ale jak się spotkałyśmy, nie mogłyśmy się nagadać – potrafiłyśmy godzinami rozmawiać o tym, co było, i o tym, co jest.

Ostatnie spotkanie?

W listopadzie 2016 roku. Śpiewała ze scholą akademicką w którymś z kościołów. Akurat tam byłam. Podeszłam, porozmawiałyśmy. Nasza koleżanka ze szkoły muzycznej w sierpniu miała brać ślub i poprosiła mnie, żebym zebrała ludzi ze szkoły, by zaśpiewać.

Wtedy Helenka mi powiedziała, że ona leci. Do Boliwii. Pomyślałam, że to już w ogóle jest jakiś kosmos i naprawdę byłam przerażona. Ale co miałam jej powiedzieć, skoro wiedziałam, że i tak poleci? Obiecałam, że będę się modlić. Pamiętam, że zapytałam, czy się nie boi. Powiedziała, że lęk jest zawsze, że boi się, ale co ma do stracenia? Mówiłam, aby wrzucała fotki na Facebooka, żebym wiedziała, co się u niej dzieje. A jak wróci, by koniecznie dała znać, to przygotujemy repertuar na ślub Beatki.

Helena nie wróciła...

Z informacją o jej śmierci zadzwoniła do mnie inna nasza koleżanka ze szkoły muzycznej. Zareagowałam: „To chyba jakiś żart”. W ogóle to do mnie nie docierało. Byłam w akademiku. Siedziałam ze znajomymi. Przez cały wieczór po tej informacji byłam nieobecna duchem. Następnego dnia zadzwoniłam do Beaty, na której ślubie mieliśmy śpiewać. Wtedy uświadomiłam sobie, że Helenki nie będzie. Wybuchłam. Był płacz. Zobaczyłam jakiś materiał o niej w mediach. Niesamowicie to we mnie uderzało. Cały tydzień był wyjęty z rzeczywistości. Nie mogłam się pozbierać. Dziewczyny z pracy wyganiały mnie do domu, bo nie mogłam normalnie funkcjonować.

Jak już wspomniałam, kiedy skończyliśmy szkołę muzyczną, trudno było się nam spotkać. Po tej tragedii cały nasz rok spotkał się na mszy św. za Helenkę. Wtedy poczułam się też w obowiązku, by przygotować jakąś oprawę

muzyczną na pogrzeb. Chciałam zrobić wszystko, by to była najpiękniejsza uroczystość pod słońcem. Po prostu dla niej. W hołdzie.

Skontaktowałam się z siostrą Helenki. Postawiłam na nogi całą szkołę muzyczną. Profesorkę Helenki też to mocno dotknęło. Była z nami – bardzo się zaangażowała.

Minął jakiś czas od śmierci Heleny. Widzisz w tych wydarzeniach z Boliwii jakiś sens?

Nie rozumiem tego i pewnie długo nie zrozumieję. Dlaczego akurat ona? Dlaczego osoba, która tak bardzo walczyła o życie i dawała to życie innym? Dawała uśmiech, wносиła radość, robiła wielkie rzeczy. Nie rozumiem... Przyjmuję, że taka po prostu była wola Pana Boga. Może właśnie po to, by dać świadectwo? Tak to odbieram – Helena swoim życiem dała świadectwo. Zwłaszcza ludziom młodym, swoim rówieśnikom. Pokazała, że jak się chce, to się da. Może w pewnym sensie ofiara jej życia miała być takim impulsem dla młodych, by inaczej spojrzeli na swoje problemy. Staram się to sobie tłumaczyć. Myślę jednak, że długo nie pogodzę się z tym, że jej nie ma.

Mówisz, że to może być wezwanie dla młodych, by inaczej spojrzeli na życie. Dla Ciebie było to takie wezwanie?

Jak rozmawiałam z dziewczynami ze szkoły muzycznej, to od razu pojawiła się myśl: „Spójrzcie, jakie kruche jest życie, a my się użalamy nad sobą, nad swoimi małymi problemami”. Nasze codzienne problemy stają się śmieszne w obliczu takiej tragedii.

Miałyśmy tyle spraw na głowie, że przed śmiercią Helenki nie potrafiłyśmy się na dłużej spotkać. A jednak to relacje i więzi między ludźmi są najważniejsze – relacje z Panem Bogiem i drugim człowiekiem. Relacje z przyjaciółmi to są

relacje, o które naprawdę trzeba dbać. W jednym momencie potrafiłyśmy odłożyć wszystko i się spotkać.

Jak patrzę na tę naszą Helenkę, ile ona robiła, to stwierdzam, że jest dla mnie wzorem. Muszę się wziąć za siebie, obrać sobie cele i dążyć do nich, wykorzystując wszystkie siły i możliwości, które mam. No i nie zapominać o bliskich i znajomych, tylko dbać o relacje.

Co zostanie Ci w pamięci po Helence?

Cały czas pamiętam jej uśmiech. To mi właśnie zostanie – jej pogoda ducha. To był taki nasz aniołek. Myślę, że można się też od niej uczyć pokory.

To była naprawdę niesłychanie zdolna dziewczyna. Podziwiałam ją za studia, za znajomość angielskiego, za bycie stewardesą... Jest dla mnie wzorem, jej postawa przekonuje, że warto dążyć do większych celów, że nie warto przywiązywać się do małych problemów i tego, co tutaj na ziemi, ale troszczyć się o to, co będzie dalej, i o te sprawy, które prowadzą nas ku świętości.

Gdy ktoś mówi: „Helenka”, to od razu widzę jej uśmiech, takiego aniołka... Zawsze była pomocna, nigdy nic złego nie powiedziała, chociaż potrafiła wyrazić swoje zdanie dosyć jasno, ale nigdy nie krzykiem. To był anioł, który nie potrafił krzyknąć.

Gliwice, marzec 2017

JOANNA WOJNOWSKA.
PROFESOR OD MUZYKI

WIELE SIĘ OD HELENY NAUCZYŁAM

Kształcenie w szkole muzycznej polega przede wszystkim na indywidualnych zajęciach z instrumentu. „Śpiew solowy też jest instrumentem w naszym rozumieniu” – podkreśla Joanna Wojnowska, która w szkole pracuje od osiemnastu lat, a od sześciu jest kierownikiem sekcji wokalne. Państwowa Szkoła Muzyczna im. Ludomira Różyckiego w Gliwicach kształci w dwóch kierunkach – instrumentalistyka i wokalistyka. Nauka w szkole muzycznej II stopnia – szkole średniej – trwa cztery lata. W rozumieniu prawa jest to szkoła zawodowa, co znaczy, że po jej zakończeniu otrzymuje się dyplom zawodowego muzyka – instrumentalisty lub wokalisty na poziomie średnim. Klasę stanowią uczniowie danego rocznika kształcący się w zakresie gry na tym samym instrumencie – w przypadku Heleny był to śpiew solowy. Poza tym na danym roczniku uczniowie tworzą też większą, kilkunoosobową grupę, w której zdobywają ogólne wykształcenie muzyczne, uczą się np. historii muzyki, kształcenia słuchu itp. Na zajęciach indywidualnych każdy uczeń obok nauki na swoim „pierwszym” instrumencie, uczy się także gry na fortepianie.

Helena oprócz śpiewu grała także na fortepianie?

Tak. Zresztą szkołę muzyczną I stopnia skończyła właśnie w klasie fortepianu. Podobnie jak jej siostra. Wiem, że kiedy Helena zaczęła u mnie śpiewać pierwsze proste arie,

to w tym czasie występowała już razem z siostrą. Siostra jej akompaniowała.

Pierwsze spotkanie Joanny Wojnowskiej z Heleną nie zostało wyraźnego śladu w pamięci nauczycielki. Z pewnością po raz pierwszy spotkały się we wrześniu, gdy Helena rozpoczynała naukę.

Gdy uczeń jest przyjmowany do szkoły muzycznej, pyta się go o motywację?

Tak, choć często to wychodzi samo, w czasie lekcji. Trzeba przyznać, że szkoły muzyczne są chyba jedynym takim typem placówki, gdzie nauka odbywa się na zasadzie mistrz-uczeń, jeden na jeden. Często nasi uczniowie nie wiążą swojej przyszłości z zawodem muzyka. Wiele czynników musi się na to złożyć, by zrobić tzw. karierę. Większość – podobnie było z Heleną – chce się po prostu rozwijać.

Na wokalistykę w szkole II stopnia przyjmujemy młodzież w wieku od 15 do 23 lat. Helena przyszła do naszej szkoły jako studentka. Zresztą bliskość Politechniki Śląskiej sprawia, że mamy wielu uczniów właśnie stamtąd.

Jak uczniowie godzą zajęcia w szkole muzycznej z tradycyjną szkołą czy studiami?

To bardzo trudne. Szkoła II stopnia oznacza, że nie ma pionu ogólnokształcącego. Kiedy o godz. 15.00 kończą zajęcia w swojej szkole, to ich koledzy idą do domu, a oni przychodzą tu. Sama się tak uczyłam i wiem, że to możliwe. Wychodzi się z domu o godz. 7.00, a wraca po 21.00. Trzeba być bardzo dobrze zorganizowanym, ale też zmotywowanym. Z tym nie ma problemu. Poza tym na ogół to właśnie nasza młodzież ma poodrabiane lekcje, a nie ci, którzy skończyli zajęcia o 15.00 i usiedli przy komputerze... Trzeba chcieć.

Czasami nie da się tego pogodzić, zwłaszcza na studiach, kiedy zajęcia się na siebie nakładają. Niektórzy rezygnują. Zdarza się, że potrzeba sporo ekwilibrystyki i wielu się udaje. To jest tylko dla orłów.

[śmiech]

Rozumiem, że to szkoła charakteru...

My tego tak nie nazywamy, ale nawet jeśli nasi uczniowie nie zostaną w przyszłości zawodowymi muzykami, umiejętności dyscyplinowania się, organizacji, współpracy czy występów publicznych wykorzystają w innych miejscach. W swoim życiu prywatnym, w pracy zawodowej.

Czy Helena miała problem z łączeniem szkoły muzycznej ze studiami?

Nawet jeśli on był, to taki jak u innych – organizacyjny, ale ona dała radę wszystko pogodzić. U Heleny, poza studiami, dochodził jeszcze przecież wolontariat. W ostatnim roku, kiedy nasi uczniowie przygotowują recital dyplomowy, Helena wyjechała do Zambii. Po powrocie pojawiły się problemy zdrowotne. Helenka pokazała jednak, że i takie trudności można pokonać.

Proszę powiedzieć, jak wygląda nauka śpiewu? Wystarczy to, co uczeń robi tu, na lekcjach?

Nie. Musi jeszcze ćwiczyć poza lekcjami. Oczywiście nie tyle, ile instrumentalisci. My uczymy śpiewu klasycznego, tzw. śpiewu operowego, który wymaga ćwiczenia. W początkowej fazie ćwiczy się tylko w szkole i tylko pod okiem pedagoga, by nauczyć się dobrej techniki. Z czasem wymaga to indywidualnej pracy i ćwiczeń. To pokazuje, że nasza młodzież poza normalną szkołą i zajęciami w naszej szkole, musi znaleźć jeszcze dodatkowy czas – by ćwiczyć.

Czy Helena opowiadała może o tym, gdzie ćwiczy?

Nie. Wiem o słynnym mieszkaniu przy Lutyckiej, gdzie Helena miała bardzo dobre relacje z współlokatorkami, ale ćwiczyć mogła też u nas w szkole. Zajęcia zaczynamy o godz. 14.00. Do tego czasu, jeśli ktoś znajdzie chwilę, może przyjść i śpiewać. Są tacy, którzy przychodzą o 7.00, na godzinę ćwiczeń, by o 8.00 pójść do szkoły. Czasami trudno ćwiczyć w domu. To może przeszkadzać rodzinie czy współlokatorom.

Co Pani może powiedzieć o jej głosie?

To może nie być to, czego się Pan spodziewa... Helena nie była wybitną wokalistką. Może proszę tego nie pisać...

Dlaczego? Wiele osób zwraca uwagę na głos Heleny, ale Pani wypowiada się jako ekspert.

Wszyscy o tym mówią, że Helenka pięknie śpiewała. I słusznie mówią.

Coś panu pokażę. To jest taka nasza klasowa „tablica pamięci” – dyplomy moich uczniów z ostatnich kilku lat, którzy brali udział w ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach. Nie znajdzie pan tutaj dyplomu Helenki, mimo że była bardzo zdolną dziewczyną. Była w tej grupie uczniów, która nie sięga po najwyższe trofea i laury. W naszej branży śpiewa się w sposób niewzmocniony mikrofonem – klasyczny śpiew polega na nauczaniu się takiego wykorzystywania rezonatorów, które mamy w ciele, że potrafimy śpiewać – teraz bardzo upraszczam – głośno bez mikrofonu. Bardzo wiele możemy wykształcić, natomiast nic nie da się zrobić z instrumentem, z którym się urodziliśmy – my go po prostu mamy. Głosu nie da się kupić za żadne pieniądze. Inaczej niż w przypadku np. skrzypka, który może sobie kupić lepszy instrument. Helenka miała

śliczny głos, była bardzo muzykalna, była osobą świetnie słyszącą, co ma ogromne znaczenie – ona tym wygrywała z kolegami. Była bardzo inteligentna, ale jej głos jako instrument nie był ponadprzeciętny.

Czy to znaczy, że ona lepiej realizowałaby się w innej stylistyce muzycznej?

Być może. Gdyby jednak teraz stanęła między nami i gdyby Pan ją teraz usłyszał, z pewnością spodobałby się Panu jej głos, tak jak i wielu innym. Ja jednak mówię o pewnych aspektach z perspektywy zawodowej. Z naturalnych przyczyn Helenka nie była predestynowana do udziału w klasycznych konkursach śpiewaczych. To kwestia trudna mentalnie dla wielu młodych ludzi – w naszych szkołach jedni po prostu są lepsi od drugich, którzy czasami wkładają w naukę więcej pracy i wysiłku. Helena doskonale sobie z tym radziła. Nigdy nie usłyszałam od niej słowa skargi, nie mówiła: „Mnie nie wychodzi tak, jak innym”. Helenka na wszystko odpowiadała uśmiechem i starała się wszystko, co robi, robić najlepiej. Nawet wtedy, gdy nie wychodziło, nie narzekała. Mogę powiedzieć, że Helenka pod tym względem była wyjątkowa.

Była świadoma swoich możliwości?

Tak, doskonale wiedziała, że koleżanki ją wyprzedzają, ale nie miała wygórowanych ambicji zawodowych i nic w tym niezwykłego. Mam wielu uczniów, którzy przychodzą do szkoły muzycznej, by swój talent – bo to jest talent – rozwinąć i zrobić coś więcej, ale nie myślą o swojej przyszłości zawodowej w kontekście muzycznym. Helena nie planowała studiów na Akademii Muzycznej. Miała świadomość, że są lepsi. Mogę powiedzieć, że według mnie sprawiała wrażenie, że jej to nie przeszkadza, że sobie z tym radzi. Znała

swoją wartość – wiedziała, w czym jest dobra, w czym słabsza. Nie robiła z tego żadnego problemu.

Nauka w naszej szkole kończy się recitalem dyplomowym, który Helena bardzo dobrze zaśpiewała. Wszystko się udało, mimo problemów zdrowotnych, które pojawiły się na ostatnim etapie. Helena wróciła chora po misji w Zambii. Jakiś czas spędziła w szpitalu. Powrót do pracy ciałem, do oddychania, które jest nieodzownym elementem w śpiewie klasycznym, nie jest rzeczą łatwą po przebytych zabiegu operacyjnym. Już nie wspomnę, że to musiała być rzecz bolesna dla Helenki, ale i tu nigdy nie słyszałam słowa skargi z jej strony. Zawsze tylko wzruszała ramionami, uśmiechała się i mówiła: „Ćwiczymy”.

Helena uczyła się cztery lata w szkole muzycznej. Mając na uwadze, że tu prowadzi się przede wszystkim lekcje indywidualne, spędziła z nią Pani sporo czasu.

Nasi nauczyciele lepiej znają się z uczniami niż nauczyciel, który ma trzydziestoosobową klasę. Wiadomo, że przed czy po lekcji zawsze jest okazja do rozmowy o naszym prywatnym życiu – o nauce, o pracy, o pasjach. Helena była osobą, która nie chwaliła się, która nie narzekała, która po prostu pewne rzeczy oznajmiała, nawet jeśli one były z kategorii: „Wyjeżdżam na misje do Zambii”.

Wielu moich uczniów to młodzież wierząca. Na Facebooku, który jest miejscem kontaktu między nami, możemy odnaleźć dużo wyrazów pobożności w stylu: „Zaproś Jezusa na wigilię” itp. Rozumie Pan, o co mi chodzi...

...że to dość płytkie, infantylne?

Może to jest świadectwo tych ludzi, ale w ogóle nie w stylu Heleny. Ona do Internetu wrzucała informację, że pojechała z rodzicami na rower... Helena nie była osobą, która

komuś coś tłumaczyła, kogoś nawracała – ona po prostu żyła tym, co robiła. Opowiadała o tym, ale nigdy na pokaz. Była bardzo aktywna – przy swojej szczupłej posturze i późniejszych problemach zdrowotnych była dziewczyną, która wykazywała się niespożytą energią. Wnosiła zawsze dobrego ducha do grupy koleżanek; dziewczyny niby się wszystkie przyjaźniły, ale wiadomo, że zawsze pojawiają się jakieś zgrzyty. Ona nawet w żartach nigdy na nikogo nie powiedziała złego słowa. Kiedy ktoś np. po raz kolejny się spóźnił albo znowu w czymś nawalił, to tylko wzruszała ramionami i się uśmiechała.

Po śmierci Heleny miałam w sobie dużo emocji. Fakt, że po szkole utrzymywałyśmy kontakt – co nie jest zasadą – sprawił, iż czułam, że dobrze ją znałam. Wtedy pomyślałam, że chciałabym umieć być taka jak ona. Człowiek tyle narzeka, a ona zawsze miała pozytywną perspektywę. To jest coś, co mi najbardziej zostało w pamięci po Helenie i co widzę coraz wyraźniej.

Helena nie wyróżniała się na tle swojego otoczenia. To nie była święta z aureolą. Ona była normalną dziewczyną – pełną energii, pomysłów. Zaangażowaną. Ale... no właśnie, kiedy nawet była zmęczona i było to po niej widać, nigdy o tym nie mówiła. To była osoba niezwykle pogodna.

Joanna Wojnowska jest nieco skrępowana, gdy relacje uczniów szkoły muzycznej z nauczycielami określa jako relację uczeń–mistrz. Chodzi tu przede wszystkim o podkreślenie wyjątkowości tego typu kształcenia, którego w tej chwili raczej nie ma w żadnym innym zawodzie, gdzie występuje relacja jeden na jeden.

To oczywiście różnie się układa, ale w takiej relacji konieczne jest zaufanie. Uczeń musi robić to, co nauczyciel

mówi, że należy zacząć robić. Czasami uczeń polemizuje i szukamy innej drogi dojścia do rozwiązania problemu. W naszej relacji ja byłam dla niej „panią profesor”. Staralam się z instrumentu, który ma, z którym przyszła do szkoły, wyciągnąć jak najwięcej.

Po recitalu dyplomowym w mieszkaniu na Lutyckiej odbyła się mała impreza. Pod zdjęciem z tej imprezy była lista osób, którym Helena jest wdzięczna, które przyczyniły się do szczęśliwego zakończenia jej edukacji w szkole muzycznej. Było tam też nazwisko Joanny Wojnowskiej.

Czy Helena miała jakieś autorytety muzyczne?

Z pewnością miała, ale ja o tym nic nie wiem. W dzisiejszych czasach istnieje możliwość odsłuchania w Internecie wykonania np. jakiejś ćwiczonej przez ucznia arii w kilku różnych wersjach. I oczywiście ona wskazywała na takie wykonania, które jej się bardziej podobały. W bieżącej pracy nad materiałem też pojawiali się artyści, na których warto byłoby się wzorować, wykonać coś podobnie, ale nie nazwałabym ich autorytetami muzycznymi.

Czy może Pani wymienić utwory, które lubiła bardziej?

Recital dyplomowy Helenki był dość nietypowy, bo w jednej części akompaniowała jej lutnia. Na ogół jest to fortepian. Przygotowywała renesansowe pieśni Dowlanda, więc pomyślałyśmy, że dobrze byłoby, gdyby towarzyszył im oryginalny instrument z epoki. U nas w szkole nie ma lutnisty, więc realizacja pomysłu wymagała nieco zachodu. Udało się jednak znaleźć lutnistkę w Akademii Muzycznej w Katowicach. Helena się z nią skontaktowała i umówiły się na próbę.

Zawsze na recital dyplomowy staram się wybrać utwory, które uczniowie lubią najbardziej, które im się podobają. Helena bardzo dobrze się czuła, zresztą jej głos też był do tego bardziej predestynowany, właśnie wykonując muzykę dawną – renesansową i barokową.

Poda Pani jakieś przykłady?

Na przykład Aria Almireny *Lascia ch'io pianga* z opery *Rinaldo* Georga Friedricha Haendla. To była chyba pierwsza aria, którą śpiewała razem ze swoją siostrą bodaj w Libiążu. Barokowe utwory Helenka bardzo lubiła, ale nie tylko, bo recital kończyła utworem musicalowym z musicalu *Sweeney Todd*. Bardzo się z tego cieszyła.

Jakie miała oceny w szkole?

Świetne – od góry do dołu same piątki, tylko ze śpiewu czasem czwórki. Ale instrument [głos] kończyła z oceną bardzo dobrą.

Czy widziała Pani nagrania z dworca we Wrocławiu, gdzie Helena śpiewa?

Są super! O większości takich rzeczy dowiaduję się dopiero teraz. Wszyscy, którzy ją znaliśmy, teraz widzimy, ile ona rzeczy robiła w tym samym czasie. Nie wiem, jak to było fizycznie możliwe, bo już łączenie studiów i szkoły muzycznej nie jest łatwe. Helena właśnie w ten sposób wykorzystywała swój talent, swoje zdolności, które pomnażała. Gdyby nie zaczęła się kształcić, też z pewnością ciągle by śpiewała, ale takim słabym i cichutkim głosikiem, a ona po prostu rozwinęła to, co miała, i pewnie gdyby chciała, mogłaby rozwijać dalej.

Wspominała Pani, że Helenka nie chwaliła się swoimi wyjazdami misyjnymi, ale o nich informowała.

Wyjaśniała, dlaczego jej nie będzie – „Bo jedzie do Zambii”.

Jak Pani na to reagowała?

Byłam bardzo ciekawa. To dla mnie niesamowite, ale mieści się w granicach mojej wyobraźni. W pierwszej kolejności myślałam: „Wow, szkoda, że nie było takich możliwości, kiedy byłam młoda”.

[śmiech]

Rozmawialiśmy o tym, jak się tam będzie porozumiewać, jak będzie wyglądała jej praca. Bardzo się cieszyłam, że przeżyje taką historię.

Wspominała Pani, że utrzymywałyście kontakt po skończeniu szkoły.

Mam zachowane konwersacje z Facebooka. Ostatnia z października 2016 roku. Wcześniej spotkałyśmy się kilka razy, np. wtedy, gdy odbierała dyplom w szkole. Mówiła m.in. o swojej pracy: „Gdyby Pani leciała kiedyś Wizz Airem, proszę dać znać, może też będę lecieć”. I w tej sprawie kontaktowałam się z nią właśnie w październiku. Zapytałam, co u niej słyhać, i powiedziałam, gdzie i kiedy lecę. Spytałam, czy będzie miała wtedy dyżur. Nie miała, ale powiedziała, że postara się z kimś zamienić. Było jednak za mało czasu, nie udało się.

A wiedziała Pani o jej wyjeździe do Boliwii?

Tak. Też z Facebooka. Wiedziałam o akcji, dzięki której z koleżanką zbierały pieniądze na wyjazd. Teraz żałuję, że zebrały. Nie należą do osób, które uważają, że „tak musiało być”, że to „takie świadectwo”. Mam wiele żalu do osób, któ-

re to organizowały. Zastanawiam się, czy wszystko zostało zrobione, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Rozumiem, że Pani nie widzi sensu w tym, co się wydarzyło?

W jej śmierci? Proszę wybaczyć, że to powiem, ale nie. Jestem osobą wierzącą, ale nie wiem, może nie do tego stopnia... Przepraszam, ale jaki jest sens w tym, że zamordowano młodą dziewczynę, która była u progu życia? Z informacji, które mam, wynika, że było to pospolite przestępstwo. Wiem, że w Boliwii to się zdarza dość powszechnie, stopień przestępczości jest tam bardzo wysoki – zainteresowałam się tym krajem po jej śmierci. Myślę, że my – by nie zwariować – dorabiamy do tych wydarzeń teorie o świętości itd. Proszę wybaczyć, ale myślę, że sensowniej byłoby, gdyby Helena wciąż żyła.

W jaki sposób informacja o śmierci Heleny dotarła do Pani?

To były ferie zimowe. Wróciłam do domu, byłam z dziećmi w górach. Potem miało być jeszcze parę spokojnych dni ferii. Zadzwonił do mnie Szymon Szymik [utalentowany absolwent Szkoły Muzycznej w Gliwicach, który przyszedł do szkoły za namową Heleny; prowadził scholę w duszpaństwie akademickim w Gliwicach, gdy śpiewała w niej Helena – przyp. red.]. Już słysząc jego głos, zrozumiałam, że coś się stało. Zapytał, czy już wiem. Nie wiedziałam. Powiedział, że Helena już nie wróci z Boliwii...

Jak Pani zareagowała?

Najpierw powiedziałam, że muszę sobie usiąść. To pamiętam. Później były łzy, szok, telefony, bo wszyscy, którzy znali Helenkę, zaczęli się o tym wzajemnie informować.

Wtedy nie była to jeszcze wiadomość publiczna. W oczekiwaniu na sprowadzenie jej ciała do Polski zaczęliśmy w grupie na Facebooku dyskutować o oprawie muzycznej na pogrzeb – zajęliśmy się tym chyba dlatego, żeby nie myśleć o czymś innym.

Na pogrzeb pojechała delegacja ze szkoły muzycznej – nauczyciele, absolwenci i uczniowie. Koleżanka Heleny z klasy w tej szkole Katarzyna Krajcer zaczęła organizować grupę osób ze środowisk muzycznych, z którymi związana była Helena, żeby przygotować oprawę muzyczną na jej pogrzeb.

Czy wydarzenia w Boliwii sprawiły, że pojawiły się w Pani jakieś refleksje o życiu?

Tak, zdecydowanie tak. Oczywiście pojawiły się bunt i złość, że może nie musiało się tak stać. Poza takimi oczywistymi refleksjami, które rodzą się na ogół w takich sytuacjach, że życie jest krótkie, uświadomiłam sobie to, co było charakterystyczne dla Heleny i co najbardziej u niej zapamiętałam: można być człowiekiem zawsze pogodnym! Pomyślałam, że jeśli w tych wydarzeniach mam odnaleźć jakikolwiek sens, to muszę przynajmniej czasem próbować zachowywać się tak jak Helena. Ona nigdy nie narzekała!

W tej relacji to ja byłam mistrzem, ale muszę przyznać, że wiele od Heleny się nauczyłam, zresztą jak i od innych moich uczniów.

Jest Pani mamą.

Jestem mamą. Mam córkę i syna, który lubi samotnie podróżować. Sama też to lubię. Bliskie mi było to, że Helena nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Wiem, że mama Helenki nie chciała, by ona na te misje jeździła i że bardzo się o nią bała. Wiem to od Helenki. Gdy wróciła z malarią z Zambii,

przy okazji pobytu w szpitalu wykryto u niej wadę serca. Helenka opowiadała o reakcji mamy, jej mama powiedziała: „Przynajmniej na coś się przydał ten wyjazd do Afryki”.

Druga myśl, gdy dowiedziałam się o śmierci Heleny, dotyczyła jej rodziców. Nie wyobrażam sobie tego, co oni czują...

Mówi się coraz głośniej o możliwości rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego Heleny. Co Pani o tym myśli?

Znałam Helenę – abstrahując od tego, w jakich okolicznościach zginęła, mogę powiedzieć, że była święta. To była normalnie funkcjonująca, żyjąca pełnią życia młoda dziewczyna, która robiła same dobre rzeczy – to jest dla mnie świętość. Byłaby również świętą, gdyby nie zginęła. I tak byłoby lepiej. Mogłaby wielu osobom uczynić dużo dobra. Na pewno byłaby też fantastyczną matką, gdyby stworzyła rodzinę, a wiem, że tego chciała. Chciała się spełniać zawodowo. Wtedy też byłaby świętą.

Na czym opiera Pani twierdzenie, że byłaby fantastyczną mamą?

Bo to była świetna dziewczyna – otwarta na ludzi, życzliwa, kochała dzieci. Była świetną koleżanką i przyjaciółką. Na sto procent byłaby świetną mamą.

Gliwice, kwiecień 2017

KS. JAKUB TRZÓPEK SDS

TO BYŁA MISJA WIARY

Jakiś czas temu salwatorianie ze Studia Katolik poprosili o pomoc w przygotowaniu reporterskiego materiału z ogólnopolskiego spotkania Wolontariatu Misyjnego Salvator. Miejscem spotkania była Trzebinia. Gdy chciałem, by ktoś opowiedział o idei i początkach WMS-u, wszyscy odsyłali mnie do jednego kleroika. Tak poznałem Kubę Trzópka – dziś ks. Jakuba Trzópka SDS, który po święceniach kapłańskich przez cztery lata pracował w Meksyku, a teraz posługuje na Filipinach.

Byłeś w Wolontariacie Misyjnym Salvator od samego początku. Skąd w Tobie to misyjne pragnienie?

Muszę powiedzieć, że pragnienie i idea misji były we mnie obecne od zawsze. Od dawna też myślałem, by wyjechać na misje jako świecki wolontariusz albo nawet jako misjonarz. Chciałem w wymierny sposób poświęcić się drugiemu człowiekowi. Z tego powodu początkowo myślałem o studiowaniu medycyny albo budownictwa. Zresztą, przez dwa semestry studiowałem na Politechnice Krakowskiej. Na tym etapie to moje pragnienie było jeszcze pozbawione szkieletu, jakim jest wiara i duchowość. One wszystko wypełniły później.

Jak zatem rodził się pomysł na Wolontariat?

Gdy wstąpiłem do salwatorianów, idea misji była ciągle we mnie obecna i prowadziła mnie przez wszystkie kolejne lata. Od początku formacji seminaryjnej wiedziałem też,

że misjonarzom potrzebne jest pewne zaplecze – zarówno modlitewne, jak i osobista pomoc. Chodziło o możliwość czynnego realizowania swojej wiary – najzwyczajniej mówiąc – o danie świadectwa. Stąd zrodziła się idea wolontariatu, czyli przeżywania wspólnie z młodymi powołania, które sam odkryłem.

Jak wyglądały początki Wolontariatu?

W 2009 roku, w ramach kleryckich wyjazdów w tygodniu misyjnym, w różnych parafiach promowaliśmy ideę misji, ale także mówiliśmy o możliwości zaangażowania się w pomoc misjonarzom. To jest dobrze opisane w książce *Wy płynąć na głębie*, którą wydał ks. Paweł Fiącek SDS. On nadał kształt idei wolontariatu. A wracając do naszych podróży po parafiach. Spotykaliśmy się z młodymi ludźmi i nagle wielu z nich zaczęło pytać: „U was coś takiego działa?”. Chodziło im o możliwość zaangażowania osób świeckich w dzieła misyjne prowadzone na całym świecie przez salwatorianów. Z tych pytających osób spontanicznie powstała pierwsza grupa z Dębicy. Kontakt utrzymywaliśmy mailowo. Formacją zajął się ks. Fiącek, który wówczas studiował na KUL-u. W wakacje 2010 roku pierwsi wolontariusze wyjechali do Albanii. To miał być jednorazowy wyjazd. Takie sprawdzenie siebie.

Później, w rozmowie z ks. Wojciechem Poradą SDS z Albanii, a także z współbraćmi w Polsce, zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie zacząć organizować jakichś struktur, czegoś, co działałoby bardziej formalnie niż spontanicznie.

W następnym roku kolejni księża i klerycy z grupami młodzieży wyjechali na europejskie placówki salwatorianów. Zrodził się Wolontariat Misyjny Salvator. Opiekę nad nim objął ks. Fiącek. Eksplozja entuzjazmu i radości była tak wielka, że szybko stało się to wielkim dziełem w naszej

provincji zakonnej. Po siedmiu latach rozwinęło się na skalę, którą dziś możemy obserwować. To też pokazuje, jaki jest potencjał w młodym człowieku. WMS od początku uświadamiał nam, że w młódzieży jest wielkie pragnienie wspólnego bycia ze sobą, modlitwy, konkretnego zaangażowania – chodzi o wiarę, która nie sprowadza się do banałów, ale jest czymś, co angażuje, ubogaca i wypełnia pustkę, którą czasami staramy się zapełnić czymś innym.

W jaki sposób weryfikowaliście, czy młodzi „nie wykorzystują” WMS-u do atrakcyjnego wyjazdu turystycznego?

To była nasza troska od początku. Zależało nam, by idea wolontariatu misyjnego była dobrze rozumiana. Wyjaśnialiśmy to zarówno na spotkaniach ogólnopolskich, jak i regionalnych. Kładliśmy mocny akcent na fakt, że to nie jest wyjazd turystyczny. To prawda, pewnie przeżyjemy przygodę w innym kraju, pewnie poznamy nowych ludzi, nową kulturę, ale to ma być wyjazd z najczystsza motywacją, jaką jest misja wiary. W tym kontekście nie można też zapomnieć o rozwoju własnej osoby. Od początku kładliśmy duży nacisk na formację, na życie modlitwą, zgłębianie tożsamości misjonarza – kim on jest i w jakim celu tam jedzie.

Odwróć to pytanie: po czym poznać, że młodzi jadą tam z misją?

Po ich zaangażowaniu. Ostatnie cztery lata spędziłem w Meksyku, więc nie miałem okazji do bezpośredniego kontaktu z Wolontariatem. Jednak byłem w stałej łączności z moimi współbraćmi czy niektórymi wolontariuszami, m.in. z Helenką. Stąd wiem, że młodzi mocno angażują się w przygotowania do wyjazdów – poprzez uczestnictwo w spotkaniach WMS-u, naukę języka, promocję swoich misji i zbiórkę funduszy na wyjazd. Gdy śledzę ich wpisy

i komentarze na Facebooku, widzę dojrzałość tych rozmów. Pokazują, że te wyjazdy są dla nich ważne, że nie traktują ich jak zabawy. Poza tym ranga tych misji jest wysoka, zwłaszcza misji długoterminowych – nie każdy ot tak może wyjechać. W tym wypadku długi czas przygotowania stwarza duszpasterzom możliwość weryfikacji motywacji, jakimi kierują się poszczególni wolontariusze.

Na spotkaniach WMS-u czas na różne aktywności i modlitwę przewidziany jest najpóźniej do godz. 22.00, a i tak na ogół spotkania kończą się grubo po północy. To wspólne przesiadywanie nie jest wymuszone, ale wynika z naturalnej potrzeby, z autentycznego pragnienia dobrego przygotowania się do wyjazdu – umocnienia serca na to, do czego przygotowywali się wolontariusze. Te spotkania porównałbym do nocnych spotkań Nikodema z Panem Jezusem.

Wspomniałeś o swoim czteroletnim pobycie w Meksyku. W tym czasie gościłeś tam wolontariuszy?

Przez pół roku mieliśmy bardzo dzielną wolontariuszkę Magdę Kaczor. Byłem odpowiedzialny za przygotowanie jej wyjazdu i pobyt w Meksyku. Początkowo miały przyjechać dwie osoby, ale jedna się wycofała. Pojawiły się wątpliwości, czy Magda powinna przyjeżdżać w pojedynkę, ale myślę, że ostatecznie jej pobyt był bardzo udany i głęboko zapadł w serca Meksykanów. Do dzisiaj ją wspominają: „Magdita loca”, czyli „zwariowana Magda”, ale w bardzo pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Wtedy też bardzo dobrze widziałem jej przygotowanie od strony formacyjnej – praktycznie codziennie była na mszy św., a także uczestniczyła w różnych zajęciach, które przynosiły młodzieży radość i rozrywkę. Sumienie wykonywała swoje obowiązki wolontariusza – uczyła

angielskiego, prowadziła zajęcia z dramy stosowanej czy kursy dla katechetów. Magda jest stypendystką Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia. Zarówno tam, jak i później w WMS-ie, odebrała solidną formację, co było bardzo widoczne na misjach.

Helenka. Pamiętasz Wasze pierwsze spotkanie?

Pierwsze nasze osobiste spotkanie, które bardzo dobrze pamiętam, nastąpiło na moich święceniach diakonatu w maju 2012 roku. Miała różę. W prostych i serdecznych słowach dziękowała za dar moich święceń i życzyła wytrwałości. Na tej uroczystości nie miałem wielu gości. Z jej strony to było bardzo subtelne podkreślenie tego, kim jestem. Dla mnie to był niezwykle gest.

Możliwe też, że spotkałem się z nią na sympozjum misyjnym w Bagnie, które odbywało się w kwietniu 2012 roku. Wtedy jednak nie mieliśmy okazji rozmawiać. Początkowo wydawało mi się, że znamy się z Helenką już dłużej. To najpewniej zawdzięczam współbraciom – ks. Pawłowi Radziejewskiemu SDS, a szczególnie ks. Kamilowi Leszczyńskiemu SDS. Po ogólnopolskim spotkaniu WMS-u w lutym 2012 roku w Krakowie (w którym nie brałem udziału) dzielili się dosyć obszernie doświadczeniami z tego spotkania. Pamiętam, że Kamil mówił wówczas o nowej wolontariuszce, która ma przepiękny głos. Wracał do tego kilka razy. Utrzymywał z wolontariuszami kontakt i to on zaprosił ich na święcenia współbraci szczególnie zaangażowanych w Wolontariat. To stąd obecność Helenki i innych wolontariuszy na moich święceniach diakonatu. Później spotkaliśmy się na Forum Młodych w Dobroszycach.

To wtedy, gdy Helenka ewangelizowała na dworcu we Wrocławiu?

Tak. Jako klerycy byliśmy zaangażowani w przygotowanie tego typu spotkań jak Forum. Później widywaliśmy się na pielgrzymkach.

Co zapamiętałeś z tego pierwszego wspólnego Forum?

Tam odbywały się wówczas warsztaty misyjne. Pamiętam jej wielką odwagę i pewność siebie.

Masz na myśli uliczną ewangelizację?

Tak. Ta idea warsztatów ewoluowała stopniowo – od nacisku na samą świadomość odpowiedzialności za misje po wyjście na ulice z Ewangelią. Warsztaty były czasem teoretycznego poznawania misji, technicznych przygotowań, ale był też moment, w którym trzeba było dać świadectwo. Helenka była odpowiedzialna za słynny *flash mob* na dworcu.

A pielgrzymki?

Byłem odpowiedzialny za grupę muzyczną, w której również posługiwała Helenka. Wówczas w grupie muzycznej panowała bardzo dobra i radosna atmosfera, chociaż talent Helenki był dominujący. Pamiętam, że pierwsze, co rzuciło mi się wtedy w oczy, to fakt, że ona podchodziła do osób, które były gdzieś na uboczu. Przez rozmowę, kontakt, chciała każdego wprowadzić do grupy. Miałem nawet wrażenie, że spotkanie z drugim człowiekiem było dla niej tylko pretekstem. Tak naprawdę chodziło jej o doprowadzenie kogoś na spotkanie z Panem Bogiem. To później się wielokrotnie powtarzało, także na spotkaniach WMS-u. Ona swoją cichą obecnością motywowała albo nawet prowokowała innych, by byli bliżej Boga.

Masz jakieś osobiste wspomnienia o Helence?

Ze wszystkimi z grupy muzycznej byłem po imieniu. Powiedziałem też Helence, że będzie mi bardzo miło, jeśli będzie się do mnie zwracała po imieniu. To wywołało w niej jakieś zmieszanie. Ostatecznie mówiła do mnie po imieniu, ale zawsze z formą „bracie”. Zobaczyłem wtedy, jak z wielkim szacunkiem umiała i chciała podkreślić, że jestem kimś innym niż kolegą ze szkolnej ławki. Jej postawa bez słów przypominała mi: „Ty jesteś poświęcony Panu Bogu”.

Wróćmy do pielgrzymki...

Pamiętam, jak z prostotą przychodziła, żeby poczęstować jakimś ciastkiem. Sama też przyjmowała słodycze. W czasie rozmów lubiła poruszać tematy niebanalne. Były oczywiście też takie, by się pośmiać, ale na ogół dotyczyły jakichś głębszych spraw. W Meksyku nauczyłem się, że gdy ludzie żyją tylko na poziomie zmysłowym, rozmawiają o jedzeniu albo o pogodzie, ale gdy jest w nich pragnienie życia duchem, rozmowy dotyczą planów na przyszłość i innych ważnych kwestii życiowych. Ci, którzy żyją mocno duchem, blisko Pana Boga, rozmawiają o ideach, o tym, co naszemu życiu nadaje sens. Helenka należała do osób, które te wszystkie sfery w czasie rozmów potrafią połączyć.

Pamiętasz, o czym wtedy rozmawialiście?

Podczas pielgrzymki, z racji współpracy w grupie muzycznej, siadaliśmy często razem na postojach, aby wspólnie ustalić, jakie pieśni czy piosenki zaśpiewamy na Eucharystii, w czasie modlitwy czy w chwili zabawy i integracji. Czasami, tak z przekory, mówiłem Helence, że musi więcej jeść, bo zniknie, na co ona odpowiadała, że ma się dobrze.

Czy masz jakieś wspomnienia z innego okresu?

Zachowałem otwartego Messengera ze stycznia 2013 roku. Złożyła mi ciekawe życzenia noworoczne: abym każdą z tych 8747 godzin, które zostały do zakończenia tego roku, wykorzystał na maksa, aby ani jedna z tych godzin nie była zmarnowana, żeby w tym wszystkim Pan Bóg błogosławił. Fajne życzenia. Z jednej strony to tylko szczegół, z drugiej pozostaje w pamięci.

Dwa razy, gdy spotkania WMS-u odbywały się w Krakowie, zapraszałem wolontariuszy w moje rodzinne okolice na wypad w góry. Pamiętam, że moje rodzeństwo zwróciło wówczas uwagę na jej piękny głos i piękną dumę, która nikogo nie poniża. Gdy pokazała swój talent, nikt nie czuł się tym zawstydzony, a wręcz przeciwnie – czuł się przez nią doceniony.

Trzy dni przed swoją śmiercią napisała do mnie. Pytała, jak się mają sprawy w Meksyku. Napisała tak prosto, że cieszy się, iż jesteśmy teraz sąsiadami i że będzie tak przez najbliższe pół roku. To też dowód na to, jak bardzo myślała o ludziach, którzy byli gdzieś w pobliżu. Z pewnością miała wielu znajomych ze swoich licznych wyjazdów, niemniej jednak pamiętała również o ludziach poznanych dużo wcześniej.

Ksiądz Jakub zaproponował wówczas Helence pomoc w postaci materiałów katechetycznych dla dzieci. Odpowiedziała, że są z Anitą przygotowane, poza tym szybko im idzie nauka hiszpańskiego, ale... oczywiście dobrych pomocy dydaktycznych nigdy za wiele. W tej ofercie miały się znaleźć także piosenki – niektóre bardzo proste. Ksiądz Jakub tłumaczył je z języka polskiego na hiszpański albo na oryginałach uczył Meksykanów polskiego. Helena prosiła przynajmniej o jedną z nich, bo słyszała, jak ks. Jakub wykonywał ją na pewnym spotkaniu WMS-u w Trzebnicy. [Zakonnik przyjechał na

nie w czasie swojego urlopowego pobytu w Polsce, gdy już pracował w Meksyku]. Obiecanych materiałów ks. Jakub nie zdążył Helenie przekazać.

Śledziłeś jej pobyty misyjne?

Przeglądałem relacje na stronie WMS-u. Najbardziej podobały mi się zdjęcia z Zambii. Na nich uśmiechnięta i szczęśliwa Helenka.

Wiedziałeś, że wyjeżdża do Boliwii?

Tak. Wprawdzie nie znałem Anitki, ale miałem informacje od Magdy Kaczor, że będzie kolejna misja w Ameryce Południowej. No i śledziłem ich fanpage na Facebooku.

Co myślałeś o tym, że kolejni wolontariusze wyjeżdżają do Ameryki Południowej, która nie była raczej głównym punktem zainteresowania WMS-u?

Nie była z powodów oczywistych – w tej części świata pracuje niewielu członków Polskiej Prowincji Salwatorianów. Wiem, że jeden salwatorianin z naszej prowincji pracuje w Brazylii. Tyle. Jednak, jak widać, promocja Wolontariatu była dość szeroka, skoro przekroczyła ramy naszego zgromadzenia zakonnego i naszymi wolontariuszami zainteresowało się inne zgromadzenie. Dębica i siostry służebniczki były gdzieś blisko WMS-u, bo właśnie tam, jako klerycy, zaczynaliśmy pierwsze spotkania dotyczące misji, a wielu młodych z Dębicy wstąpiło później do rodzącego się Wolontariatu.

Czy zakładając WMS, braliście pod uwagę, że to może być z jednej strony niebezpieczne, a z drugiej może wymagać tak dużo od wolontariuszy? Czy wyjeżdżając na misje, miałeś świadomość, że może Cię to kosztować życie?

Nigdy o tym otwarcie nie dyskutowaliśmy. Ale od tamtego czasu Wolontariat bardzo dojrzał – zresztą formują go sami wolontariusze. O tym też świadczy to, co wydarzyło się po śmierci Helenki. Gdyby to była niedojrzała instytucja, pewnie zostałaby zamknięta po takiej tragedii. A wydarzyło się coś innego – po śmierci Helenki krakowski region z 20 wolontariuszy zwiększył się do 60.

Niemniej jednak każdy, kto wyjeżdża na misje, liczy się z każdą ewentualnością...

W jaki sposób dowiedziałeś się o śmierci Helenki?

We wtorek, tego dnia, kiedy została zamordowana, dostałem SMS-a z Polski, od Magdy Kaczor: „Czy już wiesz, że nasza Helenka została zamordowana; Anita jest w szoku. Nie dowierzam”. Ja też nie mogłem w to uwierzyć. Od razu zapytałem, czy to informacja potwierdzona, czy to czasami nie jest jakiś głupi żart. Nogi się pode mną ugięły. Poszedłem do kaplicy pomodlić się w intencji Helenki. Ten szok towarzyszył mi przez cały dzień. Uzewnętrznilem to w kontaktach z ludźmi. Odwołałem jedno ze spotkań. Nie miałem siły, by cokolwiek robić.

A po szoku? Jakie były myśli?

Następnego dnia pisałem do Magdy i moich współpracowników w Polsce, pewnie kompletnie bez wyczucia, że trzeba promować jej świętość. Byłem przekonany, że okoliczności, w których zginęła, wskazują na śmierć męczeńską i musimy to podkreślać. Ból bardzo szybko przerodził się w myślenie o tym, że jej życie już wydaje owoce. Przystopowano moje działania, zwracając uwagę, że trzeba zostawić czas na żałobę, zwłaszcza dla rodziny i najbliższych, że czas na promowanie jej heroicznego życia i mówienie, kim była Helenka, jeszcze nadejdzie. Ale następnego dnia w mediach

już pojawiły się pewne spekulacje na ten temat. Wtedy WMS wydał komunikat – uważam, że słuszny – w którym proszono o zachowanie spokoju i informowano, że wszelkie wiadomości będą ukazywały się na stronach WMS-u. Wolontariat apelował, żeby nie mówić o Helenie jako o męczenniczce za wiarę, ale czekać w tej sprawie na oficjalne stanowisko Kościoła. Słuchałem wypowiedzi naszych księży i wolontariuszy, a sam starałem się nie zabierać głosu. Dopiero 9 lutego, z okazji 26. urodzin Helenki, opublikowałem na swoim facebookowym profilu wiersz:

W DNIU URODZIN...

*Bogu za Twoje życie,
Tobie za pierwsze niezwykle spotkanie,
Za wspólne z „białą” pielgrzymowanie,
Za anielski śpiew, który zachwycał,
Za radość dziecka i gotowość stałą,
Za misyjny zapał, odwagę, siłę woli i ducha,
Za majowy dzień trzebińskiej niespodzianki,
Za pamięć nawet z odległości,
Za życie normalne, święte i z pasją,
Za śmierć niezastępowaną, męczeńską...
dziękuję Helenko...*

To było niesamowite, ale ta śmierć wywołała wiele wzruszenia wśród Meksykanów, z którymi pracowałem, a którzy przecież jej nie znali. Mnie jako salwatorianinowi przekazywali wyrazy współczucia.

Po publikacji informacji o śmierci Helenki na hiszpańskiej Aletei wiele osób udostępniało ten artykuł. Widziałem smutek w ich oczach. Zwłaszcza u tych osób, które myślały także o wyjeździe misyjnym. Ta sytuacja pokazała im, że to jest bardzo poważna decyzja.

Wycofały się?

Nie, ale uświadomiły sobie, jakie ewentualności muszą wziąć pod uwagę, gdy zdecydują się na wyjazd. Widziałem, jak wczytywali się w informacje na temat Helenki. Tłumaczyli sobie nawet teksty z języka polskiego.

Wspomniałeś, że na drugi dzień po śmierci Helenki myślałeś o promowaniu jej jako świętej, chciałeś podkreślać, że zginęła śmiercią męczeńską. Dlaczego? Jakie motywy Tobą kierowały?

Chciałem podkreślić, kim była Helenka. Trochę ją znałem – zależało mi, żeby pokazać innym, jaka była odważna, jak poświęciła część swojego życia, swojej młodości, by być świadkiem, by być osobą, dla której priorytetem są wartości odnoszące się do wiary, życiowej pasji, do tego, co nas wewnętrznie napędza; w przeciwieństwie do tego, co jest przyziemne, czyli przywiązania do dóbr materialnych. Śmierć na misjach to nie jest codzienność. To była misja wiary.

Dlaczego chciałem to promować? Myślę, że było w tym też poczucie dumy, że w Wolontariacie mieliśmy taką osobę. Pan Bóg pozwolił jej wzrastać właśnie w WMS-ie i ona też się z nami utożsamiała.

Co oznaczają wydarzenia w Boliwii i co będą oznaczać dla WMS-u?

To jest wielka lekcja życia. Dzieł, które rodzą się w sposób spontaniczny pod wpływem działania Ducha Świętego, nigdy nie należy lekceważyć. Te dzieła potrafią zaskakiwać i trzeba się liczyć ze wszystkimi, także negatywnymi, konsekwencjami związanymi z tą działalnością.

Co masz na myśli?

Atak medialny, nieprzychylnie reakcje bliskich, którzy mogliby mieć pretensje o śmierć swojej córki, siostry, przyjaciółki. W tym konkretnym przypadku widać niezwykłą dojrzałość rodziców i osób, które były blisko niej. Wiedziały, że ta tragedia nie jest wynikiem czyjegokolwiek zaniedbania. Wydaje mi się, że było to zrządzenie losu z przyzwoleniem Pana Boga, ale nie po to, żeby coś rozbić czy ograniczyć, ale po to, żeby zasiane kilka lat temu ziarno, które dojrzało w Helence, teraz w pełni się odrodziło.

Widzę niesamowity odzew młodych ludzi – zarówno w komentarzach, jak i w zaangażowaniu w Wolontariat. To był wstrząs. Każda śmierć powoduje wstrząs, zwłaszcza śmierć osoby, która miała bardzo czyste intencje swojego działania i była wzorem dla innych. To jest coś, co dodaje skrzydeł Wolontariatowi i wolontariuszom do codziennych działań. W te skrzydła trzeba łapać wiatr. Bardzo się cieszę, że powstają różne publikacje, jak ta książka właśnie. Dzięki temu ten wiatr pomaga wznosić się wolontariuszom, wydobywa to, co może być najpiękniejsze, nawet z tak trudnych wydarzeń jak śmierć Helenki. Odwaga, która pokonuje ludzką słabość, obawy, ograniczenia. Życie, które odradza się na nowo i wychodzi poza ludzkie kalkulacje wtedy, kiedy jest przeżywane z pasją i w duchu wiary oraz poświęceniu się Panu Bogu. Myślę, że ta śmierć, mimo że jest bolesna, zostawia ważny ślad, jest też czymś, co zobowiązuje, czymś, co staje się niezwykłą motywacją, aby jeszcze więcej sił poświęcić np. na dobre przygotowanie wolontariuszy, uświadomienie im tego, na co się decydują, przekazanie tych informacji także rodzicom. Jeśli ktoś w pełni świadomie podejmuje taką decyzję, liczy się z najwyższą ceną, jaką może za nią zapłacić. Ale przy tym wszystkim, na przykładzie Helenki, trzeba im pokazywać wartość takiego życia. To jest życie w pełni.

Co dla Ciebie osobiście znaczy ta śmierć? Dla Twojego życia duchowego, kapłańskiego, misjonarskiego?

To bardzo osobiste pytanie.

[cisza]

Bardzo dużo przemyśleń. Usłyszałem, że Pan Bóg długo nie czeka na ludzi świętych, ale że to ci najwięksi grzesznicy muszą się męczyć całe życie. Zwieńczenie życia w łasce Pana Boga i w bliskości z drugim człowiekiem jest błogosławieństwem. Tak było w przypadku śmierci wielu świętych, którzy zmarli młodo – jak św. Tereska od Dzieciątka Jezus, bł. Karolina Kózkówna czy bł. Pier Giorgio Frassati. Dzisiaj podawani są jako przykłady osób, które żyły w pełni. Śmierć Helenki jest dla mnie ukazaniem błogosławieństwa Pana Boga poprzez danie palmy zwycięstwa już w tak młodym wieku. Ona była tego godna, była przygotowana, dlatego Pan Bóg to dopuścił. Po ludzku patrząc, Helenka była osobą bardzo religijną, pobożną, z zachowaniem takiej zwyczajnej normalności. Ona miała niezwykle zaufanie do Pana Boga. Jeśli taka była Jego prośba, ona z pewnością odpowiedziała: ufam. Helenka potwierdzała całym swoim życiem oddanie Panu Bogu.

Druga rzecz to wdzięczność Panu Bogu, że od początku mogłem towarzyszyć dziełu, które teraz będzie miało swoją patronkę – na razie w sposób nieoficjalny, a jak Pan Bóg pozwoli, jak upłynie czas kanoniczny, to także za aprobatą Kościoła. To jest poczucie dumy i radości, że Pan Bóg dał nam taką osobę, że mogła wzrastać z nami, w Wolontariacie Misyjnym. To pokazuje, że te korzenie, te struktury sprzyjają młodemu człowiekowi w dojrzewaniu do takiej wiary – aż po wydarzenie z jednej strony tragiczne, ale z drugiej błogosławione.

Dla mnie to również motywacja, aby przygotowując się do kolejnych misyjnych wyjazdów, zawsze być pojednanym

z Panem Bogiem, żyć w łasce i być gotowym na wszystko. Myślę, że tego właśnie dotyczą te życzenia od Helenki, żeby tych 8747 godzin w roku dobrze wykorzystać – to był jej apel, by po prostu nie marnować czasu na to, co nas zabija, co oddala od powołania. Masz talent? To mimo słabości, defektów, ograniczeń – walcz o niego! To jest taki duchowy dopalacz. To jest bardzo motywujące.

Czwarta rzecz dotyczy świadomości, że w wypadku powołania misyjnego, za które Bogu dziękuję, muszę praktycznie każdego dnia liczyć się ze śmiercią. Z jednej strony ta świadomość rodzi obawy, a z drugiej sprawia, że jestem z tym pogodzony i gotowy na śmierć.

Moja 95-letnia babcia od jakichś 15 lat ciągle mi powtarza: „Kubuś, ja już będę umierać”. Gdy spotkałem się z nią po śmierci Helenki, znowu mówiła o umieraniu. Wtedy odpowiedziałem jej:

– Babciu, ja sam jestem ciekawy, jak jest tam, po drugiej stronie.

– Ja też – przyznała.

Kilka refleksji po śmierci Helenki pozwoliło mi ze spokojem oczekiwać na własną śmierć. Oczywiście lęk jest przed cierpieniem, ale radość towarzyszy nadziei życia wiecznego i myślę, że też ona prowadziła przez życie Helenkę. U osób, które żyją wiarą w sposób autentyczny, ta radość jest znacznie większa niż wszelki strach i lęk.

Kraków, kwiecień 2017

KAROLINA KUŚNIERZ

MAM SAME JEJ ZDJĘCIA Z GŁUPIMI MINAMI

Karolina Kuśnierz studiuje psychologię. Chciałaby być psychologiem dziecięcym.

Skąd w Twoim życiu WMS?

Gdy zaczynałam pierwszy rok studiów, kolega spytał mnie, czy chcę wyjechać na misje do Afryki. Jeśli chcę, zaprasza na spotkanie. Przyszłam. I tak zostałam w WMS-ie.

Od razu nie wyjechałam do Afryki. Najpierw pojechałam do Rumunii. Zakochałam się w niej, więc pojechałam tam po raz drugi. Dopiero później była Afryka.

Na początku nie wiedziałam, czego chcę. Po roku formacji stwierdziłam, że to jest dobre miejsce dla mnie. Dopiero wtedy podjęłam świadomą decyzję.

A co przyciągnęło Cię na to pierwsze spotkanie? Chęć wyjazdu do Afryki?

Misje. Chęć wyjazdu do innego kraju. I pewne kwestie formalne. Wyjazd mógł odbyć się w czasie wakacji, czyli był dostępny dla studentów. To nie musiały być misje na rok czy na całe życie. Wtedy priorytetem były dla mnie studia. Chciałam je skończyć, by wykorzystywać swoją wiedzę w pracy na misjach.

Co pociągało Cię w misjach?

Inni ludzie. Na misjach o wiele więcej się dostaje, niż daje. Jedziemy tam z założeniem, że chcemy coś zrobić i dać coś

od siebie. Sama miałam takie wyobrażenia. Jak już tego doświadczyłam, okazało się, że to misje ułożyły moje dalsze życie. To bardzo zmienia.

Dlaczego misje? Bo jest drugi człowiek, a ja bardzo lubię ludzi.

Misje ułożyły Twoje życie? Co masz na myśli?

Przed wyjazdem myślałam, że dzieci mnie nie lubią. Nie miałam dobrego kontaktu z dziećmi. Nie mogłam się przełamać. W trakcie misji okazało się, że jednak mnie lubią, a ja chcę z nimi pracować.

Jak wyglądał Twój pierwszy etap w WMS-ie?

Na początku brałam udział w spotkaniach bardziej ze względu na samą chęć wyjazdu niż ze względu na formację i wspólnotę. Tego ostatniego nie czułam. Ale wszystko się zmieniło w kolejnym roku. Był maj 2013. Wtedy podjęłam też świadomą decyzję, że chcę zostać w Wolontariacie. Kiedy spędza się z innymi wolontariuszami dużo czasu, to tak naprawdę oni tworzą wszystko. Wyjazd staje się wisienką na torcie. Nagle zmieniły mi się priorytety. Priorytetem nie był już sam wyjazd, ale ludzie. Wiedziałam, że jest coś poza wyjazdem, że jest też misja tu i teraz, taka formacyjna.

Co się stało, że to się zmieniło?

Decydujący był kontakt z innymi ludźmi. Otworzyłam się na nich, a oni okazali się bardzo przyjaźni. Pamiętam, że gdy kończyło się spotkanie, płakałam – żałowałam, że musimy się rozstać. Wtedy Helenka mnie przytuliła i powiedziała, że przecież będą jeszcze kolejne. Na majowym spotkaniu WMS-u pracuje się dużo w grupach wyjazdowych. Miałam okazję poznać ludzi, z którymi pojedę na misję do Rumu-

nii. W tym czasie byłam nowa i oni dla mnie byli nowi. To była okazja, by zawiązać wspólnotę. To był intensywny czas. Mimo że to są tylko trzy dni, ludzie stają się bardzo otwarci i można zaczerpnąć dla siebie bardzo dużo energii.

Dlaczego zdecydowałaś się jechać do Rumunii?

Znałam w WMS-ie tylko jedną koleżankę i chciałam jechać z nią. Jej pasował tylko termin wyjazdu do Rumunii, więc na to przystałam. To nie była żadna wzniosła motywacja. Na nią przyszedł czas później.

Dlaczego postanowiłaś zostać w Wolontariacie?

Na tym wyjeździe panowała super atmosfera. I te dzieci... Wiedziałam, że na następny wyjazd też chcę jechać, by podjąć pracę z nimi.

Wspomniałaś o spotkaniu z Helenką...

Pamiętam ją ze spotkania majowego, ale prawdopodobnie spotkałyśmy się wcześniej. Potem ona wyjeżdżała do Zambii. Po powrocie, w październiku, opowiadała o swojej misji. Byłam zachwycona Rumunią, ale jak posłuchałam jej, to wiedziałam, że chcę pojechać do Afryki. Ona płakała podczas tej prezentacji. To zrobiło na mnie duże wrażenie.

Na spotkaniu majowym poznajemy swoje grupy wyjazdowe. Najczęściej ogólnopolskie spotkania WMS-u oparte są na świadectwach wolontariuszy, którzy opowiadają np. o konkretnych trudnościach, z jakimi się spotkali na misjach. To pozwala nam realnie przygotować się do wyjazdu. Odbywają się też konferencje formacyjne, a później wszystko zależy od pracy nad sobą – jeśli sami tego nie zrobimy, to niezależnie od tego na ile spotkań byśmy nie przyszli, nic się nie zmieni.

Praca nad sobą?

Wiele osób ma przeświadczenie, że jedzie zbawiać świat. A to tak nie jest. Chodzi o pokorę. Może nie uda mi się tam zrobić nie wiadomo czego, może wystarczy, żebym pomógł jednej osobie, może wystarczy, że wywołam uśmiech na czyjeś twarzy. To nie będzie taka *stricte* ewangelizacja, ale właśnie o to chodzi. Dlatego trzeba przestawić swój sposób myślenia o misjach.

Skoro wspominasz o ewangelizacji... Czy fakt, że WMS jest instytucją działającą przy zgromadzeniu zakonnym, a nie czysto humanitarnym wolontariatem, miał dla Ciebie znaczenie?

Gdy szłam do WMS-u, nie wiedziałam o istnieniu salwatorianów. Ale teraz nie wyobrażam sobie świeckich misji. Nie wyobrażam sobie misji bez księdza czy siostry zakonnej. Jestem z katolickiej rodziny i misje łączę z Kościołem.

Co robiłaś na swoim pierwszym wyjeździe misyjnym?

Byliśmy przez dwa tygodnie w rumuńskiej Timisoarze, przy granicy węgierskiej. Dzieci przychodziły do tamtejszych salwatorianów na półkolonie – my organizowaliśmy im czas. Na boisku. Malowaliśmy z nimi różne obrazki. W drugim tygodniu jeździliśmy do położonej w pobliżu wioski, gdzie pomagałyśmy młodszym dzieciom w domu dziecka. Starsze dzieci na ogół znają angielski, więc komunikacja z nimi jest ułatwiona. Z młodszymi porozumiewamy się na migi.

Jak wygląda tam wasz dzień?

O godz. 7.00 jest msza św. z jutrznią po rumuńsku, niemiecku albo węgiersku. Potem jest śniadanie, po którym mamy czas na przygotowanie się do zajęć z dziećmi. Przy-

chodzą koło 10.00. Zostają do 16.00-17.00. W tym czasie mamy też przerwę na obiad. Później czas wolny – albo przygotowujemy zajęcia na następny dzień, albo wszyscy wychodzimy gdzieś na miasto i mamy czas na lepsze poznanie siebie. W czasie drugiego wyjazdu wypożyczyliśmy nawet rowery. Pisti [István Barazsuly, salwatorianin pracujący w Timisoarze – przyp. red.] – gospodarz tego miejsca, zajmował się nami i oprowadzał po okolicy.

Jesteśmy wtedy wszyscy razem, ale dzielimy się obowiązkami – ktoś maluje, ktoś jest na boisku, ktoś inny sprząta po obiedzie. Wieczorem zawsze chodzimy do kaplicy. Klasycznie – dziesiątek o dziesiątej i brewiarz.

Po dwóch tygodniach powrót do Polski.

Znowu płakałam, że trzeba wyjeżdżać. Te dzieci były cudowne.

W następnym roku, 2014, po raz kolejny zdecydowałam się na wyjazd do Rumunii. Wtedy była z Tobą Helena.

Byłam liderką tego wyjazdu i pamiętam, że ksiądz zadzwonił do mnie bardzo późno i zapytał, czy to nie będzie problem, gdyby Helenka pojechała.

Podobno w ostatniej chwili zwolniło się miejsce. Helenka była wieczorem przed Waszym wyjazdem w Trzebini i zapytała ks. Fiącka, czy nie mogłaby pojechać. Dostała zgodę.

To całkiem możliwe.

Całkiem możliwe? Bo ona taka była?

Tak.

Na początku się zestresowałam, bo nie wiedziałam, jak zareaguje na to grupa. Z drugiej strony jesteśmy wolontaria-

tem i wielką wspólnotą, więc to logiczne, że się wzajemnie przyjmujemy. I było super. Wszystko zagrało. Nie było żadnej zbędnej osoby – każdy miał swoją rolę, wszyscy się dobrze dogadywaliśmy i uzupełnialiśmy.

Jak zapamiętałaś Helenę z tego czasu?

Wtedy widziałam ją jako radosną osobę, jako jajcarza. Na wszystkich zdjęciach, jakie mam, robi śmieszne miny. Wiem, że ona była uduchowiona, bo to biło od niej na każdym kroku. Teraz mam wrażenie, że to się bardzo podkreśla, a zapomina się o tym, że ona po prostu była radosna; wspólnie też robiłyśmy kawały innym. Była bardzo chętna, by podejmować każdą aktywność tam na miejscu, uczestniczyła we wszystkich zabawach, a wieczorami wspólnie przygotowywałyśmy materiały do zajęć. Gdy przeglądałam zdjęcia z tego wyjazdu, okazało się, że to głównie ona je robiła. Skojarzyło mi się to z postawą pokory. Robienie zdjęć sprawiało jej radość. Dodatkowo szła wszędzie tam, gdzie można było zrobić coś z muzyką. Raz udawaliśmy, że gramy na jakichś instrumentach. Nagrywała nasze wygłupy. Było przy tym dużo śmiechu.

Były tam jakieś instrumenty?

Był fortepian. I ona na nim grała, ale tego nie pamiętam. Przypomniał to kolega, który był wtedy z nami. Po śmierci Helenki wrzucił na Facebooka zdjęcie. Mówił, że ona grała, a my wszyscy usnęliśmy na dywanie przy pianinie. Możliwe, że dlatego tego nie pamiętam, bo mogłam być tak zmęczona, że po prostu zasnęłam...

Była gitara. Pamiętam, martwiliśmy się, kto nam będzie wieczorami przygrywał w kaplicy, jak Helenka wróciła do Polski.

Helena ze względu na to, że zdecydowała się w ostatniej chwili na wyjazd do Rumunii, nie mogła zostać tam przez pełne dwa tygodnie.

Sama musiała przedostać się do Polski przez kilka krajów. Najpierw z Timisoary do Budapesztu – na Facebooku wrzuciła info, że chodzi sobie po Budapeszcie i zwiedza – stamtąd do Polski.

Często robiliście kawały?

Kiedyś chodziliśmy po mieście, spadł deszcz i kompletnie przemokliśmy. Zamieniła się z kolegą ubraniami. Przebieranek było więcej. Mam np. zdjęcie Helenki w bardzo grubych okularach – stylizuje się na belfra.

Innym razem zaklejaliśmy klerykowi drzwi od pokoju.

Coś jeszcze?

Było dużo integracji z Rumunami, którzy gościli u naszego gospodarza. Helenka była bardzo otwarta, bo bardzo dobrze mówiła po angielsku. Oni nas oprowadzali po mieście. Graliśmy razem w karty. Raz oglądaliśmy mecz mistrzostw świata.

Po jej śmierci jeden z tych kumpli napisał do mnie z pytaniem, czy to prawda, że Helenka nie żyje. Przyjechali na pogrzeb Helenki razem z Pistim.

Jeszcze w Rumunii całą grupą, jako „świetni pedagodzy”, śmiałyśmy się z niektórych dzieci, gdy próbowały do nas mówić po rumuńsku z angielskim akcentem. To było uroczne. Helenka była cierpliwa. Przy dzieciach zawsze trzeba mieć cierpliwość.

Czy odnajdywała się w tej pracy?

Na swojej pierwszej misji na Węgrzech Helenka też pracowała z dziećmi. Gdyby tego typu praca jej się nie podobała, to nie zdecydowałaby się na wyjazd.

Mówiła to, co myślała. Nie bała się tego, co ktoś sobie pomyśli. To wynikało z jej bezpośredniości. Z miejscowymi Rumunami stykała się zaledwie przez tydzień, a zdążyła z nimi wejść w relację i wiedziała, w jakim stopniu wobec nich może pozwolić sobie na żart, jakąś aluzję.

Tam wszystko kręciło się wokół wzajemnej pomocy i wsparcia, ale z radością i uśmiechem.

Podasz jakieś przykłady?

Nie przypomnę sobie nic konkretnego. Ale pamiętam, że na ŚDM do Polski przyjechali też poznani przez nas Rumuni. Przynajmniej jeden z nich i Helenka nawzajem sobie dogryzali. Cudownie było na to patrzeć. Pewnie nadawali na tych samych falach, dlatego pomimo czasowej przerwy swobodnie rozmawiali.

To było w czasie dni w diecezjach, które poprzedzają wydarzenia centralne ŚDM. Salwatorianie zgromadzili młodzież związaną z ich dziełami w Trzebnicy na Dolnym Śląsku. Historia, którą opowiada Karolina, dotyczy wyjazdu w Góry Stołowe.

Helenka była odpowiedzialna za grupę hiszpańskojęzyczną, ale stwierdziła, że dawno się nie widzieliśmy i na czas podróży autobusem dołączy do nas. Czuła się w tym wszystkim wolna. Nie wiem, o czym z nim rozmawiała, ale to było zabawne.

W następnym roku Karolina pojechała do Zambii. Do Mamy Carol – tam, gdzie rok wcześniej była Helenka.

Mówiła, żebym pozdrowiła chłopców.

A tam na miejscu ktoś ją wspominał?

Tak, tak – „Helen, Helen”. Chłopcy pamiętali, jak najbardziej.

Co sprawiło, że ją zapamiętali?

Wydaje mi się, że ona miała bliską relację z tymi dziećmi. Mnie osobiście nie udało się takiej nawiązać – w przeciwieństwie do relacji, jaką nawiązałam z dziećmi w Rumunii. Nie wiem, z czego to wynika. Wydaje mi się, że Helenka się tam całkiem odnalazła. Może dlatego, że spędzała z nimi czas bezpośrednio w buszu – ja tam nie byłam. Oni są tam zdani sami na siebie. Chodzą na polowania na szczury, zdobywają wodę. Wolontariusze poznają ich styl życia, a przez to mają większą możliwość, by nawiązać z nimi bliższe relacje.

Co zwróciło Twoją uwagę w czasie prezentacji?

Kiedy dziewczyny patrzyły na zdjęcia tych dzieci, to w ich oczach było widać miłość do nich. Dla nich to nie było tylko dziecko, ale aż dziecko, które miało konkretną historię za sobą. One dobrze je poznały... Na podstawie zdjęć stamtąd Agata zrobiła kalendarz dla WMS-u. Opisano w nim historie poszczególnych dzieci. Tak więc na pewno one musiały rozmawiać z tymi dziećmi. Żadne dziecko nie było dla nich anonimowe. Z opowiadaniem tych trudnych historii na pewno wiązały się bardzo silne emocje.

Zambia była Twoim ostatnim wyjazdem?

Tak. Nie miałam już potem tyle czasu, postawiłam na studia. Planowałam zrezygnować z Wolontariatu, ale ze

względu na atmosferę, na ludzi przyjeżdżałam nadal na ogólnopolskie spotkania.

Zmieniły się Twoje priorytety?

Mam dużo pracy na studiach. WMS bardzo mocno się rozwinął. Jeśli chciałabym wyjechać i jednocześnie mieć czyste sumienie, musiałabym angażować się w pracę w regionie, a ja niestety nie mam na to czasu. To byłoby nie fair, gdybym zabierała miejsce komuś, kto może się zaangażować na co dzień.

Karolina o wyjeździe Heleny do Boliwii dowiedziała się z Facebooka.

Byłam zaskoczona, że zna hiszpański. Może dlatego na ŚDM chciała być w grupie z Meksykanami. Ich wyjazd pokazał, że dla chcącego nie ma nic trudnego, bo przecież Boliwii nie uwzględniono w tabelce wyjazdowej WMS-u, a jednak znalazły placówkę. To świadectwo, że WMS docenia własną inicjatywę.

O śmierci Heleny Karolina też dowiedziała się z Facebooka.

Ta informacja w ogóle do mnie nie docierała. Pomyślałam, że do Boliwii poleciały jakieś dwie Helenki i post nie dotyczy tej, którą znam. Dopiero, gdy zobaczyłam oficjalny mail od księży z WMS-u, to zaczęło do mnie docierać, co się naprawdę stało. Byłam w szoku. Zadzwoiłam do chłopaka, który jest w WMS-ie. Znowu się popłakałam. Miałam potrzebę kontaktu z kimś.

A później? Jakie myśli przyszły Ci do głowy?

Przede wszystkim: co się stało, że nie dało się jej uratować?

Kiedy następnego dnia w Internecie pojawiły się już informacje o śmierci Helenki, nie wiedziałam, co robić, czy udostępniać te posty – niech świat się dowie (mogło to być takie oddanie czci Helence), czy raczej nie upubliczniać. Nie byłam pewna, czy to nie zostanie źle odebrane przez rodzinę. To była delikatna sprawa, miałam mieszane uczucia. Dopiero gdy inni wolontariusze zaczęli udostępniać informacje z takim przesłaniem: niech świat dowie się o jej życiu, włączyłam się w to.

Byłaś zdziwiona tym, co działo się po tych wydarzeniach? Na przykład w mediach?

Tak. Chociaż nie oglądałam tv i nie słuchałam radia, ale dzwoniła do mnie rodzina i dopytywała, bo usłyszeli o wolontariacie misyjnym. Skojarzyli, że ja do niego należę.

Nie podobało mi się to, co się działo w mediach. Mam na myśli komentarze, które nie tylko we mnie, ale w wielu z nas budziły złość. Nie dało się tego czytać. Ja się denerwowałam, więc nie trudno się domyślić, jak reagowałaby najbliższa rodzina, gdyby to czytała.

Jakie komentarze masz na myśli?

Że pojechała tam nieprzygotowana. Że się wpakowała. Podważano też w ogóle sensowność misji i wyjazdów misyjnych. Snuto domysły o tym, jak zginęła – zupełnie nieuprawnione i nie na miejscu.

Po tych wydarzeniach zmieniło się Twoje patrzenie na misje?

Na pewno się zmieniło. Uświadomiłam sobie, że moi rodzice okazali wielkie zaufanie, że puścili mnie do Afryki. Poza tym zdałam sobie sprawę, że to, co spotkało Helenkę, mogłoby spotkać każdego z nas. Uświadomiłam sobie nagle,

że misje to nie jest sielanka, ale to może być coś naprawdę niebezpiecznego. Nie musi, ale może. To nie ma związku z brakiem świadomości wolontariuszy. U nas nie ma ludzi niepewnych, nieprzygotowanych – każdy wie, czego chce.

Gdyby wydarzenie w Boliwii miało miejsce przed którymś z Twoich wyjazdów, pojechałabyś?

Na pewno bardziej wzięłabym pod uwagę zdanie moich rodziców, bo wcześniej stawiałam ich przed faktem dokonanym. Teraz bardziej bym się nimi zaopiekowała, porozmawiała na temat takiego wyjazdu. Ale myślę, że nie powstrzymałoby mnie to przed wyjazdem. Im więcej słyszysz głosów, że to nie ma sensu, tym bardziej chcesz to zrobić.

Jaki sens tych wydarzeń widzisz z perspektywy czasu?

Łatwiej dostrzec go osobie wierzącej. Było to widać na spotkaniu ogólnopolskim WMS-u po śmierci Helenki. Wszyscy się dobrze trzymali. Były uśmiechy mimo tego, co się stało. Łatwiej jest dostrzec sens, gdy widzi się coś poza ziemskim życiem, gdy widzi się niebo. Pomaga też myślenie, że to wszystko nie poszło na marne.

To było brutalne i wstrząsające, ale nam, tutaj na ziemi, te wydarzenia pozwalają się głębiej zastanowić; z jednej strony wszystko jest ulotne, a z drugiej pojawia się pytanie: czy ja byłabym gotowa dzisiaj umrzeć? A ona na pewno była. Poza tym to może się przydarzyć każdego dnia każdemu z nas – wtedy docenia się wszystkie relacje w swoim życiu. I to też zbliża do Boga... Łatwiej modlić się, gdy wydarzy się coś bardzo trudnego albo coś bardzo pozytywnego – najgorzej jest wtedy, gdy jest taki środek, taka normalność. Może to nie jest właściwe, że jak trwoga to do Boga... Może On chciał nam przez to coś powiedzieć... Chciał, żebyśmy się otrząsnęli...

Ty byłąbyś gotowa dziś umrzeć?

Wydaje mi się, że nie. Zadawałam sobie wtedy pytania, czy moja dusza jest na to gotowa. Muszę chyba jeszcze trochę popracować nad moją relacją z Bogiem.

Jakieś postanowienia?

Nie wiedziałam, że Helenka miała chłopaka. Dotknęło mnie to bardzo, bo pomyślałam wtedy o swoim chłopaku. Nie wyobrażałam sobie, że coś takiego mogłoby się wydarzyć w naszym życiu. I zaczęłam się o niego martwić. To chyba wyraz zwyczajnej troski.

Postanowiłam też brać pod uwagę zdanie innych osób, bo nagle uświadomiłam sobie, że moje decyzje dotyczą nie tylko mnie, że swoimi wyborami, podejmowanymi w dobrej wierze (jak np. wyjazd na misje) mogę nieświadomie ranić innych. Moja mama bardzo przeżyła tę tragedię. Odniosła ją do mnie, do tego, że mogłoby się to mnie przydarzyć. Podobnie mój chłopak i przyjaciółka. Uświadomiłam sobie, że wtedy ten ogromny ból spotkałby ich. Pod takim kątem emocjonalnym bardzo mnie to zbliżyło do moich bliskich.

Co myślisz o możliwości rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego Helenki?

Życie Helenki to żywe świadectwo wiary. Czasami jednak mam wrażenie, że „święta” przed imieniem będzie ją oddalało od tego, co ludzkie, co dotyczy nas tu i teraz. Świętość tak, ale w szerszym rozumieniu.

Jak się objawiała jej wiara?

Na pewno nie wstydziła się swojej wiary i umiała ją po ludzku wyrażać. Helenka była ugruntowana w wierze. Wiedziała, że to, co robi, jest dobre.

Jej wyjazdy odbywały się pod znakiem WMS-u. Opo-
wiadając o nich, nigdy nie wstydziła się tego kontekstu. Pa-
miętała codziennie o wieczornej modlitwie. To się rzucało
w oczy, bo to jest rzadkie w dzisiejszych czasach.

Kraków, kwiecień 2017

DOROTA KLABACHA

POWINNA BYĆ ŚWIĘTĄ OD SPRAW BEZNADZIEJNYCH. TAKICH JAK MOJA

W swoim liceum zobaczyła plakat z informacją o Saletyńskim Spotkaniu Młodych w Dębowcu. Pojechała. Pewien misjonarz głosił konferencję. Pomyślała, że w przyszłości i ona mogłaby w taki sposób pomagać innym. Był rok 2006. Sześć lat później rozpoczęła swoją przygodę z wolontariatem misyjnym.

W 2011 roku Dorota Klabacha przyjechała na studia do Krakowa. Wybrała studia matematyczno-przyrodnicze i neurobiologię. Na początku nie mogła się odnaleźć. Po pierwszym tygodniu dostała łatkę „religijna”. Gdy koledzy pytali ją, po co chodzi do kościoła, odpowiadała, że wierzy i że tego potrzebuje. Wakacje. Ferie. Przerwy świąteczne. Dorota odwiedzała rodzinne strony. Po tych odwiedzinach powroty do Krakowa stawały się coraz trudniejsze. W końcu, jak sama mówi, przyzwyczaiła się. Wiarę w ludzi przywrócił jej Wolontariat.

Dorota jest związana z WMS-em od października 2012 roku. Mimo iż od roku studiowała w Krakowie, wcześniej nie słyszała o nim ani słowa. Musiała dopiero odwiedzić rodzinną Dębicę, by tam spotkać się ze znajomym, który zaintrygował ją opowieścią o wspólnotcie.

*Pomogło jeszcze jedno. Liderką regionu krakowskiego była wówczas Ula Skotny, którą Dorota знаła z innych prze-
strzeni.*

Pierwsze, co zobaczyłam na spotkaniu, to wielu fajnych, otwartych ludzi. Połowa z nich to byli moi znajomi z Dębicy. Wcześniej nie miałam pojęcia, że są w WMS-ie.

W miasteczku studenckim, gdzie mieszkałam, słyszałam sporo ateistycznych deklaracji. Dla niewielu piątek był dniem postu, a niedziela – świętem – raczej dniem, w którym odsypiało się kaca.

Szukałam ludzi, którzy wierzą w Boga, którzy mają w życiu jakieś priorytety. Dobrych ludzi znalazłam w WMS-ie. Byli blisko Boga. Nie bali się o Nim mówić. Stali się dla mnie źródłem motywacji. Pokazali, że istnieje inny studencki świat niż ten, którego doświadczyłam na początku, po przyjeździe do Krakowa. Zaczęłam wyczekiwać na kolejne spotkania. Wydawało mi się, że raz na miesiąc to za mało.

Wspólne śpiewy, modlitwa, msza św., rozważanie Pisma Świętego, konferencje – tego mi brakowało.

Wolontariusze nie spotykają się tylko na ogólnopolskich czy regionalnych spotkaniach, ale tworzą grupę dobrych znajomych – umawiają się na pizzę, bilard, kręgle. Spotykają się na domówkach przy sałatkach i mufinkach, grają w planszówki.

Myślę, że połowa osób, z którymi utrzymuję kontakt, to ludzie z WMS-u.

Dorota poznała Helenę na swoim pierwszym ogólnopolskim spotkaniu WMS-u w Trzebini w lutym 2013 roku.

To Helena zobaczyła, że jako „świeżak” jestem zagubiona. Podeszła, uśmiechnęła się i powiedziała, co gdzie jest: „Tu kawiarenka, a tutaj kaplica”. Zaoferowała się, że gdy czegoś nie będę wiedziała albo będę czegoś potrzebowała, mogę do niej podejść i śmiało pytać.

Robiła to swoim specyficznym, cichutkim głosem. Na początku nie mogłam się do niego przyzwyczaić. Myślałam, że Helena jest nieśmiała. To było mylne wrażenie. Później zobaczyłam, jaki to żywioł – wszędzie było jej pełno i cały czas było wokół niej mnóstwo osób, np. w kaplicy, gdy grała i śpiewała.

Podasz jakiś przykład?

Międzywodzie. Razem z Magdą Kanią siedziały i grały, a wokół byli ludzie. Śpiew do późna w nocy. Ksiądz kilka razy przychodził i mówił, żeby kończyć, bo rano nie wstaniemy. Helenka nagle stwierdziła, że nie idziemy spać, tylko idziemy na plażę oglądać gwiazdy. Była trzecia w nocy. Poszliśmy.

Członkowie WMS-u na listę mailingową otrzymują propozycje wyjazdów, na które mogą się zapisać.

Nie zwracałam na te maile wcześniej uwagi. Nie myślałam poważnie o wyjeździe. Chyba za krótko byłam w Wontariacie. Dopiero w ostatni dzień składania deklaracji przejrzałam te listy jeszcze raz i zobaczyłam, że brakuje osób na wyjazd do Charkowa. Przyszło mi na myśl, że się zapiszę, niech ksiądz zadecyduje, czy po roku nadają się na wyjazd.

Wiedziałam, że na dłuższy wyjazd nie mogłam sobie pozwolić, ale taki miesięczny był możliwy. Wiedziałam też, że nie chcę jechać do pracy z dziećmi. Wcześniej pracowałam w świetlicy środowiskowej z małymi dziećmi i wiem, że to bardzo duża odpowiedzialność. Dlatego Charków mi odpowiadał – pomoc siostram w ogrodzie, praca wśród bezdomnych, z dziećmi autystycznymi, w domu samotnej matki.

Dorota złożyła deklarację na wyjazd do Charkowa. Na majowym spotkaniu ogólnopolskim dowiedziała się, że zostaje posłana w ramach WMS-u na Ukrainę. Zgodę na wyjazd w to samo miejsce otrzymała także Helena.

Miałyśmy wspólny pokój, żebyśmy się mogły lepiej poznać i zintegrować przed wspólnym wyjazdem do Charkowa.

Helena mówiła, że już była na misji, że nie ma się czym przejmować, że będzie dobrze. Ja jako „świeżak” byłam zestresowana. Ona uspokajała. Mówiła, że nasz pobyt jest tak zorganizowany, że nie mamy się czego obawiać. Ona pracowała już na misji z dziećmi, więc teraz chciała spróbować czegoś innego – pracy z młodzieżą i dorosłymi.

W trakcie spotkania, na jednym z zajęć grupowych, mieliśmy napisać, jak naszym zdaniem będzie wyglądała misja, na której będziemy. Na dużych plakatach pokazywaliśmy, co chcemy wnieść w tę misję i czym ona dla nas jest. Pamiętam, że wtedy było mi bardzo zimno. Helenka – nie wiem skąd – wyciągnęła lateksową rękawiczkę. Namalowała na niej buźkę i oczka i powiedziała: „Proszę, to dla Ciebie – balonik, który zawsze będzie się do ciebie uśmiechał”. Mam ten nietypowy balonik do tej pory. Ktoś powie: głupia rzecz. Może. Dla mnie ważna. Teraz bardzo ważna...

To była Helenka – potrafiła wyczarować coś z niczego.

Ostatecznie Helena nie pojechała wtedy do Charkowa...

Tak, półtora miesiąca przed wyjazdem zdecydowała się na Zambię. W czasie wspomnianego tu majowego spotkania WMS-u były prezentowane też inne placówki misyjne, m.in. ta w Afryce, gdzie chłopcom ulicy pomaga Mama Carol. W tamtą stronę jechała Agata Krężel. Sama. Chyba to ksiądz zapytał Helenkę, czy nie chciałaby też jechać do Afryki.

Zaczęła się zastanawiać. Telefony do mamy, siostry. Słyszałam strzępy tamtych rozmów. Helena chciała usłyszeć, że zamiana miejsca to dobra decyzja. Liczyła na wsparcie bliskich i je dostała. Zresztą na spotkaniu powyjazdowym opowiadała, jak ważne było to dla niej.

Rozważając dwie możliwości wyjazdu: do Charkowa i do Zambii, Helena zastanawiała się, gdzie lepiej odnajdzie się w swojej roli, gdzie najlepiej spełni to, czego się od niej oczekuje, gdzie najwięcej będzie mogła dać od siebie, bo wiedziała, że ma dużo do zaoferowania.

Na tym spotkaniu ogólnopolskim WMS-u zmieniła decyzję.

Propozycja wyjazdu do Zambii to był też wyraz dużego zaufania odpowiedzialnych za WMS wobec Heleny.

„Odważna dziewczyna” – myślała o niej Dorota, która wówczas wyjeżdżała po raz pierwszy w ramach WMS-u.

Odważna. W ciągu jednego dnia podjąć taką decyzję? Gdy sama zdecydowałam się na wyjazd, nie poinformowałam o tym od razu rodziców. Zadzwoiłam z tą informacją do mamy dopiero miesiąc przed wyjazdem, jak złożyłam już wszystkie dokumenty. Mama nie chciała uwierzyć, że jadę na misję. Rodzice Helenki chyba musieli być dużej wiary, skoro ona od razu kontaktowała się z nimi w takich sprawach.

Wyglądało to zresztą tak, jakby decyzję o tym, że jedzie jednak do Zambii, Helena podjęła od razu. Dopiero później docierały do niej różne za i przeciw – co powie rodzina, że koszt takiej podróży jest duży, że musi szybko zebrać pieniądze na taki wyjazd, że musi przyjąć dodatkowe szczepienia.

Co zadecydowało o zmianie decyzji?

Myślę, że nie chodziło o miejsce i charakter pracy, do której pojedzie, ale raczej o to, że ktoś jej w tej chwili potrzebował. Mimo że do Charkowa nie było pełnego składu, było nas kilkoro. Do Zambii miała lecieć tylko Agata. Myślę, że dla Helenki to był istotny argument. Kilka miesięcy później, gdy mieliśmy spotkanie powyjazdowe, trafiłam do pokoju z nimi obiema. Nie potrafię tego opisać. Przez sześć godzin opowiadały mi o Zambii – na zmianę śmiały się i płakały. Obie deklarowały, że chcą tam wrócić, że gdyby mogły, to już by tam wróciły. Miały głowy pełne pomysłów. Chciały organizować jakąś pomoc dla Afryki. Byłam tym zaskoczona. Zastanawiałam się, co się tam takiego wydarzyło. Pamiętam, że obie bardzo przeżywały wdzięczność, której doświadczyły od tych chłopców ulicy.

Helena wróciła z Zambii chora...

Bardzo się wtedy o nią martwiłam. Helena ciągle kaszłała. Miała gorączkę. Do tego nie dostrzegła w ogóle, że coś jej dolega. Bagatelizowała to. Mówiła, że chodziła po deszczu i stąd ten spadek formy. Później się okazało, że ma poważną wadę serca, że konieczny jest zabieg operacyjny. Helena po prostu nie myślała o sobie, ale ciągle o innych. Mówiłam jej, że powinna odpocząć. Nie chciała. Działała ciągle na pełnych obrotach, mimo że widać było, że coś się z nią dzieje, coś jest nie tak.

Dorota i Helena należały do dwóch różnych regionów WMS-u. Widywały się na spotkaniach ogólnopolskich i kontaktowały się telefonicznie.

Rozmawiałyśmy o wszystkim. O swoich planach, o tym, co w życiu jeszcze powinnyśmy zrobić, np. że Helenka powin-

na nagrać płytę, bo ślicznie śpiewa. Śmiała się. „Płytę? Ja? Takim cichutkim głosem?”. Do tego samego zachęcaliśmy również Magdę Kanię. Gdy Magda zdecydowała się nagrać płytę, poprosiła Helenę, by śpiewała w chórkach. Uwielbiam tę płytę. Jak słyszę Helenkę, myślę, że dzięki tym dźwiękom ona będzie wiecznie żywa. Podobnie, gdy oglądałam filmiki, zdjęcia... To jest dla mnie ważne.

Helena ciągle mówiła, że chciałaby pomagać ludziom, że tak widzi swoją przyszłość. Mówiła też, że chciałaby znaleźć męża, mieć dzieci, że marzy jej się piękny ślub.

Mówiła, że fajnie byłoby mieć gromadkę maluchów, które będą się śmiały, że połowa będzie podobna bardziej do niej, a druga – do męża. Miała wszystko poukładane. Imponowało mi to, że ona wie, czego w życiu chce.

Nigdy nie rozmawialiśmy na temat jej uczelni. Czasami wspominała, że musi zarwać jakąś noc, bo przygotowuje się do kolokwium. Tyle.

Ona po prostu potrafiła oddzielić swój czas prywatny, studia od wolontariatu. Czas dla innych to był czas dla innych.

Jak wyglądała Twoja obecność w Wolontariacie po przyjeździe z misji?

W kolejnym roku chciałam wrócić do Charkowa, ale w ramach WMS-u już nie było takiej możliwości. Helena pomagała mi wówczas podjąć decyzję dotyczącą dłuższego wyjazdu. Mogłam na trzy miesiące wyjechać na Filipiny lub do Ziemi Świętej.

Po Charkowie chciałam spróbować czegoś innego – tym razem np. pracy z dziećmi. Myślałam o Filipinach, gdzie zadaniem wolontariuszy jest uczenie angielskiego i zabawy z dziećmi. W Ziemi Świętej jednak też czekało na mnie prawdziwe wyzwanie – pomoc w ośrodku dla kobiet z cho-

robami neurodegeneracyjnymi, a ja studiowałam neurobiologię. Helenka upewniła mnie w tym. Mówiła: „Uczynisz się w tym kierunku – jedź, sprawdź, czy faktycznie to jest to, co chcesz w życiu robić. Na dzieci przyjdzie czas za rok czy dwa”.

Planowałam wyjechać na trzy miesiące do Ziemi Świętej, ale wtedy dowiedziałam się, że mam problemy ze zdrowiem.

Był koniec 2014 roku, z powodu złego stanu zdrowia Dorota nie mogła poświęcać czasu na Wolontariat. Mijały miesiące. Dopiero w lutym 2016 mogła ponownie wrócić do Wolontariatu.

Chciałam się zaangażować chociaż odrobinę, bo czułam, że czegoś mi brakuje. Ksiądz Daniel Jamróży SDS wyraził zgodę. Opowiedziałam mu wtedy pokrótce swoją historię. Zasugerował, że może byłoby dobrze, żebym spotkała się z jakąś bliższą osobą z WMS-u, która mogłaby mnie wysłuchać.

W międzyczasie stan mojego zdrowia znów się pogorszył, z tego powodu musiałam zrezygnować ze studiów i z pracy. Wtedy, na tym spotkaniu – był już wieczór, po godz. 22.00 – mieliśmy czas wolny. Poszłam do kaplicy. Wszystko we mnie puściło. Rozpłakałam się. Nagle pojawiła się Helenka. Płakała ze mną. Rozmawialiśmy prawie dwie godziny. Modliłyśmy się. Jej słowa będę pamiętała do końca życia.

Co Helena Ci wtedy powiedziała?

Że jestem silna, że ona jest przy mnie, że dam radę. Później cały czas o mnie pamiętała. Przynajmniej raz na dwa tygodnie kontaktowała się ze mną i pytała o to, jak się czuję.

Pisała, że dobrze, że jestem, że wierzy, że będzie lepiej. Cały czas upewniała mnie w tym, że Bóg wie, że jestem silna, że nie daje mi więcej niż to, co potrafię unieść, że przy mnie ciągle jest...

To Helena była pierwszą osobą z WMS-u, której opowiedziałś o swoich problemach zdrowotnych?

[cisza]

Nie wiem, jak to się działo, ale zawsze, gdy był jakiś problem, Helena była blisko. Zawsze widziała rozwiązanie. Dla niej nie było sytuacji nie do rozwiązania.

W tym czasie nie uczestniczyłam w spotkaniach, ale Helena zawsze o mnie pamiętała. Dostawałam od niej SMS-y czy snapy, że np. jest tu i tu, leci tam i tam. Wysyłała mi zdjęcia samolotu, chmur. Potrafiła się cieszyć z drobnych rzeczy. Zaraziła mnie akcją „100 szczęśliwych dni”, która polegała na robieniu każdego dnia zdjęcia czemuś, co sprawiło nam radość. Fotkę trzeba było opublikować na Facebooku czy Instagramie. Żeby cieszyć się z tego, co jest, żeby z każdego dnia, nawet jeśli to był najgorszy dzień w naszym życiu, wyciągnąć coś pozytywnego. Dzięki Helenie zaczęły mnie na nowo cieszyć małe rzeczy. Byłam np. szczęśliwa, że w końcu mogę zjeść jogurt.

Wiedziałaś o jej wyjeździe do Boliwii?

Tak. Na spotkaniu w Krakowie w lutym 2016 roku, Helena pracowała w parze z Anitką. Miały wiele wspólnych tematów do omówienia. Myślę, że już wtedy rozmawiały o wspólnym wyjeździe na misje.

W trakcie spotkania robiłam zdjęcia. Do dziś pamiętam, jak Helena była wtedy ubrana. Bardzo w swoim stylu: rajstopy z nutkami, granatowa spódniczka, niebieski sweterek. Ona bardzo lubiła kolor niebieski.

O samym wyjeździe dowiedziałam się w wakacje z wydarzenia na Facebooku: „Bilet do Boliwii już od 10 zł”. Wymyśliły, że pod takim hasłem będą zbierały pieniądze.

Rozmawialiśmy później o tym. Mówiła, że do tej akcji zainspirowała ją praca w liniach lotniczych. Ludzie czasami bezwiednie klikali w ten profil, bo byli *de facto* zaintrygowani biletem do Boliwii za 10 zł. Gdy weszli na stronę, dowiadywali się o misyjnej pracy wolontariuszy.

Coraz więcej informacji na temat wyjazdu pojawiało się na fanpage’u.

Co myślałaś o pomysle misji w Boliwii?

Wiedziałam, że po misji w Zambii Helena miała komplikacje zdrowotne. Tym bardziej podziwiałam ją, że się nie boi, bo ta misja była i daleka, i długa.

Pytałam ją, czy się nie obawia, że się tam źle poczuje. Mówiła: „Oj tam, jeszcze długo pożyję, muszę zrobić jeszcze dużo dobrego”.

Trochę ją strofowałam, żeby się nie forsowała, żeby się wysypiała. „Wyśpię się po śmierci” – odpowiadała. Zachowywała się tak, jakby wyparła fakt wcześniejszych problemów ze zdrowiem. Uważała to za zamknięty temat i chciała iść dalej. Bardzo często mówiła, że trzeba szukać ciągle nowych możliwości, żeby czynić dobro, żeby pokazywać ludziom, jaki Bóg jest wspaniały.

Pytałam, czy nie obawia się o pracę – przecież to półroczny wyjazd. Zastanawiałam się głośno, co z Michałem.

Co odpowiadała?

„Jak kocha, to poczeka”. Śmiała się. Mówiła, że się dobrze poznali, że Michał wie, na co ona się decyduje. Akceptował to wszystko.

A praca?

Nie martwiła się tym zbyt: „Jeśli nie ta praca, to inna – znajdę lepszą”. Praca czy studia to nie były – tak mi się wydaje – najważniejsze rzeczy w jej życiu. Helena skupiała się na Bogu i na tym, żeby komuś pomagać. Dbała o relacje ze znajomymi.

Jeśli chodzi o jej relację z Panem Bogiem, to co dało się zaobserwować?

Chodzący po ziemi aniołek – wysłannik Boga na ziemi. Ona chyba ciągle była jedną nogą u Niego.

Co to znaczy?

Helena często można było znaleźć w kaplicy. Jak kończyły się jakieś obowiązkowe spotkania, brała gitarę, szła tam i zaczynała śpiewać. Bardzo często siedziała skulona blisko ołtarza. Gromadzili się wokół niej ludzie. Tylko że oni się zmieniali, a ona tak siedziała dwie-trzy godziny. Na mszy św. siedziała zawsze w pierwszym rzędzie. Nie miała z tym problemu, żeby być blisko ołtarza. Zachęcała do modlitwy. Budziła na jutrznię. Sama wstawiała pierwsza, nawet jeśli przed chwilą poszła spać...

Modlitwa dawała jej siłę, by pokonać fizyczne zmęczenie?

Na pewno. Modlitwa dawała jej motywację do działań. Wiara dawała jej siłę, nadzieję. Helena każdy dzień postrzegała jako dar od Pana Boga, w którym może coś Mu dać, a przy okazji rozwinąć siebie. Odbierałam ją jako osobę, która miała wszystko poukładane. Zawsze miała na szyi krzyżyk. Po mszy św. nigdy się nie spieszyła. Zostawała długo w kaplicy. Otwierała Pismo Święte. Na Facebooku często dzieliła się cytatami biblijnymi.

Jak wyglądało Wasze ostatnie spotkanie?

W listopadzie 2016 roku było ogólnopolskie spotkanie WMS-u. Przyjechałam na nie z chłopakiem – dawaliśmy lekcje salsy. Helenka była bardzo szczęśliwa, że będzie tańiec. Pamiętam, że mnie mocno przytuliła i dziękowała za „jej ulubioną salsę”.

Znałyśmy się w sumie cztery i pół roku, ale to ważne – Helenka, którą poznałam na początku, i ta z końcowego etapu to dwie różne osoby. Na początku wydawała mi się taka cichutka, skromniutka, aniołek, który starał się wszystkim pomóc. Wtedy, w listopadzie, widziałam kobietę, która wie, czego chce – już nie dziewczynkę, tylko kobietę.

Takiej pewności siebie i większej otwartości na ludzi nauczyły ją z pewnością wyjazdy misyjne i praca zawodowa.

Miała charyzmę. Widać to było na spotkaniach, kiedy pojawiał się ktoś nowy. Helena budziła szacunek. Dla wielu była autorytetem.

Wiedziała, że to będzie jeden z jej ostatnich wyjazdów, bo później przyjdzie czas na rodzinę. Wiedziała, że to ostatni moment na tak długi wyjazd, że zamyka pewien etap w swoim życiu, a otwiera nowy. Lubiła dzieci. Z myślą o nich pojechała do Boliwii.

Kiedy kontaktowałeś się po raz ostatni?

Rozmawiałyśmy przez telefon. To było tuż przed sylwestrem. Zadzwoiła, by zapytać o moje samopoczucie. Składałyśmy sobie życzenia. Życzyła mi tego, żebym szybko wróciła do zdrowia, że będzie się o to modliła. Słyszałam radość w jej głosie, gdy mówiła o wyjeździe do Boliwii. Obiecała, że się spotkamy. Jak wróci.

W jakich okolicznościach dowiedziałaś się o jej śmierci?

Dowiedziałam się o jej śmierci, gdy po wizycie wróciłam ze szpitala. Jak poczułam odrobinę siły, wzięłam do ręki telefon i przeczytałam wiadomość. Płakałam jak bóbr. Zaczęłam wydzwaniać do ludzi, pytać, jak to możliwe? Jak to się stało? Nie mogłam sobie z tym poradzić. Wtedy zadzwonił do mnie ks. Mirek, że potrzebują kogoś, kto mógłby powiedzieć coś o Helence dla telewizji. Nie wiedziałam, czy będę w stanie, ale chciałam tam być, żeby dowiedzieć się, co się stało. O wszystkim opowiedział ksiądz prowincjał. Nie mogłam w to uwierzyć. Ona pojechała do pracy z dziećmi! Pokazywała zdjęcia z pandami, widziałam, jak malują salkę, a nagle jej nie ma. Już nie przyjedzie, nie spotkamy się, nie porozmawiamy. Nigdy nie wysłał SMS-a.

Jakie myśli zostały w Tobie po jej śmierci?

Zastanawiałam się: dlaczego ona? Dlaczego taki dobry człowiek? Przecież ona miała tyle planów. Zastanawiałam się, co się dzieje z Anitą. Nie mogłam uwierzyć w to, co się działo. Nie mogłam sobie wyobrazić, że to wydarzyło się w miejscu, którym opiekowały się zakonnice, u sióstr służebniczek. Nie rozumiałam, że ktoś był tak okrutny i zadał jej tyle ran. Co ona mu zrobiła?

Była wystarczająco dobra – zasłużyła na niebo. Pewnie nie musiała już tutaj być. Była bardziej potrzebna tam. Ma teraz nową misję. Chociaż tu by się jeszcze przydała...

Co Ci po niej pozostaje?

[cisza, wzruszenie]

Pragnienie, żeby w Wolontariacie dawać świadectwo młodszym wolontariuszom, żeby dawać świadectwo tego, że to nie są wakacje, a ciężka praca. Znowu zaangażowałam się w Wolontariat. Raczej nie zdecyduję się na wyjazd, ale

wiem, że mogę pomagać w inny sposób – robić np. rękodzieło.

Helena dała mi nowe siły, zaszczepiła myśl, żeby się nigdy nie poddawać, żeby szukać rozwiązań trudnych sytuacji. Gdy okazało się, że przez problemy ze zdrowiem być może nie będę mogła mieć dzieci, mówiła mi, żebym nie robiła operacji i nie usuwała macicy, żebym szukała innych rozwiązań. Nie zdecydowałam się na operację.

Helena przydałaby się teraz... Żeby dodać otuchy. Nie ma jej. Wiedziałyby, co w takiej sytuacji powiedzieć. Ale wierzę, że na pewno jest gdzieś tutaj z nami i przysłuchuje się tej rozmowie. Mam nadzieję, że będzie się też za mną wstawiała, żeby wszystko było dobrze.

Modlisz się do niej?

[wzruszenie]

I za nią. Zawsze prosiła, żeby jakąś zdrowaśkę za nią szepnąć.

Czy jej śmierć wywołała w Tobie jakieś poważne pytania?

Czy faktycznie jestem dobrym człowiekiem? Czy nie jestem zbyt leniwa?

Przez swoje problemy zamknęłam się trochę w sobie. Przestałam mieć kontakt z osobami, które były dla mnie naprawdę ważne. Chcę odbudować te relacje. Ona pokazywała, co to znaczy być przyjacielem. Życie jest kruche, dlatego trzeba dbać o to, co mamy. Pamiętać o ludziach, którzy są tu i teraz, odwiedzić chorego dziadka.

Jak myślisz, czy Helena zostanie świętą?

Ona dla mnie jest świętym człowiekiem. Gdy sobie wyobrażam świętego, to widzę ją.

**Jeśli zostanie świętą, to czyją powinna być patronką,
jakich spraw?**

Beznadziejnych. Takich jak moja.

[śmiech]

Kraków, kwiecień 2017

KS. PAWEŁ FIĄCEK SDS

ONA DLA INNYCH BYŁA ZAWSZE NA STO PROCENT

Zambia jest spełnieniem Księdza misyjnych marzeń?

W zasadzie nie sama Zambia, ale charakter posługi, którą teraz tam pełnię. Zawsze chciałem być duszpasterzem misyjnym, zajmującym się pracą bezpośrednią, którą w teologii nazywamy *ad gentes*, tzn. pracą wśród ludzi, którzy jeszcze nie słyszeli o Jezusie, o Kościele, o sakramentach.

Skąd w ogóle misje w Księdza życiu?

W seminarium w Bagnie – byłem wtedy jeszcze klerykiem – pewnego razu odwiedzili nas nasi starsi współpracownicy – misjonarze, którzy pracowali w Tanzanii i Kongo [to „najpopularniejsze” kierunki pracy misyjnej polskich salwatorów – przyp. red.]. Spotykali się z nami, opowiadali różne historie i dzielili się swoją pasją, z jaką z poświęceniem na misjach pracowali. Wtedy zacząłem sobie wyobrażać, że też mógłbym tak pracować, poświęcać się. Zawsze towarzyszyła mi jedna myśl: my w Polsce mamy dużo księży – mamy zdecydowanie dużo powołań; jeszcze kilka lat temu według statystyk co dwunasty ksiądz na świecie był Polakiem – dlatego stwierdziłem, że jest to nasza narodowa powinność, by dzielić się powołaniami z innymi, zwłaszcza tam, gdzie księży brakuje. A słyszałem, że w Afryce zawsze była niewystarczająca liczba księży.

Od trzeciego roku formacji towarzyszyła mi myśl, że chciałbym tam pracować. Przed święceniami kapłańskimi

w 2005 roku ówczesny prowincjał zapytał, co chciałbym robić jako kapłan. Odpowiedziałem, że chciałbym pracować na misjach. Uszanował to, ale postawił pewien warunek. Wtedy, o wiele bardziej niż do pracy bezpośredniej, np. w buszu, księża byli potrzebni jako wykładowcy i formatorzy kleryków w Tanzanii. Nie wyobrażałem sobie siebie w roli profesora, ale podporządkowałem się woli przełożonych. Zaraz po święceniach kapłańskich poszedłem na studia specjalistyczne z dogmatyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Po sześciu latach spędzonych w Lublinie i Nałęczowie wyjechałem do Tanzanii. I – co ciekawe – jednocześnie objąłem opiekę nad Wolontariatem Misyjnym.

Będąc profesorem w Tanzanii, był Ksiądz równocześnie odpowiedzialny za Wolontariat Misyjny w Polsce...

Nowy prowincjał – ks. Piotr Filas SDS – miał taką wizję, że przez semestr zimowy będę pracował w Morogoro, a na letni będę wracał do kraju i spędzał go z młodzieżą, przygotowując ją do wyjazdów misyjnych. Funkcjonowałem tak przez dwa lata. W Morogoro dobrze działał Internet, dzięki temu oprócz prowadzenia wykładów dla tanzańskich kleryków równocześnie zarządzałem Wolontariatem. Pomagali mi w tym współbracia, którzy w Polsce opiekowali się grupami regionalnymi. Sam przygotowywałem materiały na konferencje, a oni je prowadzili w kraju. Poznawałem wolontariuszy, odpisywałem na maile, nawet prowadziłem rozmowy telefoniczne. Przygotowywałem spotkania ogólnopolskie – zawsze we współpracy z kimś.

Jednak z czasem Wolontariat zaczął się tak rozrastać i tak mnie absorbować, że posługa na dwa fronty stała się niemożliwa. Dlatego też po tych dwóch latach poprosiłem prowincjała, żeby pozwolił mi zaangażować się w Wolontariat na całego. Myśl o misjach cały czas była w sercu

i głowie, ale posługa na rzecz Wolontariatu jawiła mi się jako ważna i konieczna. Sam chciałem przez jakiś czas posługiwać w Wolontariacie, zanim wyjadę na misję.

Ale wolontariat misyjny w Księdza życiu pojawił się wcześniej...

Gdy byłem w Lublinie na studiach, a mieszkalem w salwatoriańskiej wspólnotce w Nałęczowie i pisałem doktorat, jednocześnie zaangażowałem się w działalność takiego wolontariatu misyjnego. Działał on przy duszpasterstwie, w zasadzie było to duszpasterstwo Świętego Ducha w Lublinie, wielowymiarowe. Tam s. Cecylia Bachalska prowadziła lekcje suahili. Wiedziałem, że chcę jechać do Afryki, myślałem o Tanzanii, więc w zasadzie do wolontariatu przyszedłem dlatego, żeby się uczyć języka. W tej grupie nawiązywały się relacje, można powiedzieć, że z niektórymi z tych młodych się zaprzyjaźniłem.

W 2010 roku jeden współbrat, nasz ówczesny kleryk, Jakub Trzópek, organizował grupę na wyjazd do Albanii, gdzie w dwóch salwatoriańskich placówkach było zapotrzebowanie na wolontariuszy misyjnych. Słyszał, że spotykam się z grupą misyjną, czy wręcz przyjaźnię się z wolontariuszami, więc spytał, czy nie znajdę kogoś na taki wyjazd. I rzeczywiście. Gdy rzuciłem hasło, zgłosiło się dziesięć osób, które potem, w czasie wakacji pojechały do Albanii. Osiem zawiozłem busem na miejsce, a dwie dojechały autobusem. Po powrocie jedna z nich podeszła i powiedziała, że w przyszłości wolontariusze chcieliby jeździć na podobne wyjazdy. Prosimy o zorganizowanie spotkań, pomoc w przygotowywaniach, co ważne – prosili też o formację pod tym kątem. Na początku myślałem, że to słomiany zapał, więc przez trzy miesiące się opierałem.

Rozumiem, że nie udało się ich zniechęcić?

Rzeczywiście, nie udało się. Wciąż nalegali i od Bożego Narodzenia rozpoczęliśmy regularne spotkania, na które przychodziło coraz więcej ludzi. Na początku przyszło kilka osób, a przed wakacjami było ich już prawie 30.

Przy innych salwatoriańskich placówkach też zaczęli się gromadzić wolontariusze. Potrzebny był opiekun nowego dzieła. Prowincjał widział, że po roku tego mojego spontanicznego doświadczenia dobrze się czuję wśród młodzieży. Złożył mi propozycję, odwołując jednocześnie wyjazd na misje w buszu, ale zapewniając, że w przyszłości mnie puści. Miałem pracować dla Wolontariatu dwa-trzy lata. Ostatecznie były cztery lata. Prowincjał jednak dotrzymał słowa i jesienią 2015 roku wyjechałem do Zambii.

Wolontariat Misyjny Salvator rozwijał się w pewnym sensie dwutorowo. Jak mówi ks. Paweł Fiącek, ideę wolontariatu misyjnego w seminarium salwatorianów w Bagnie zaszczyił kl. Jakub Trzópek. Pomysł spodobał się trzem innym klerykom: Kamilowi Leszczyńskiemu, Pawłowi Radziejewskiemu i Rafałowi Głowczyńskiemu – dziś wszyscy są już kapłanami. To oni szukali młodzieży chętnej na wyjazdy i to oni wyszli z taką propozycją w Nałęczowie do ks. Fiącka. Okoliczności zadecydowały, że mógł on duchowo zaopiekować się pierwszą grupą wolontariuszy, która powstała w Lublinie. Ponieważ młodzież z pozostałych części kraju nie miała możliwości wspólnych spotkań i formacji, klerycy postanowili zorganizować spotkania ogólnopolskie. Dwa pierwsze odbyły się w 2011 roku (marzec – Zakrzów; czerwiec – Trzebinia) pod opieką ks. Mirosława Stanka, który wówczas był odpowiedzialny za Referat Misji Zagranicznych w Polskiej Prowinjacji Salwatorianów.

Przyjechali zarówno ci, którzy byli w Albanii, jak i zachęceni przez nich ich znajomi, którzy w przyszłości chcieliby wyjechać. Klerycy mieli kontakt z różnymi kołami misyjnymi, np. w parafiach. Na tych pierwszych ogólnopolskich spotkaniach pojawiało się ok. 60 osób. Wtedy ksiądz prowincjał zaproponował, by bazując na tej młodzieży, zorganizować wolontariat misyjny na sposób bardziej systemowy. Pomysł był taki, żeby odbywały się regularne spotkania ogólnopolskie, ale także w mniejszych grupach, w regionach.

Po wakacjach 2011 roku ks. Fiącek wyjechał na pierwszy semestr do Tanzanii. Kontakt z wolontariuszami utrzymywał głównie via mail. Po powrocie, wiosną i latem nadrabiał zaległości, spotykając się z młodzieżą w realu.

Co tym młodym daje wolontariat misyjny?

To jest dobrze ujęte pytanie, bo w pewnym sensie sugeruje już odpowiedź. Młodzież wyjeżdża zawsze w konkretnym celu – by służyć w różnorodnej formie: dzieciom w przedszkolach i w sierocińcach; w szkołach poprzez nauczanie, ale także przez pomoc nauczycielom; w przychodniach, lecznicach, szpitalach czy pośród bezdomnych. Zawsze jest to jakaś forma kontaktu z drugim człowiekiem i służby temu, który jest w takiej czy innej potrzebie. To można podać jako pierwszy powód wyjazdu, ale myślę, że nie jedyny i chyba nie priorytetowy. Okazuje się bowiem, że wyjazdy misyjne najbardziej potrzebne są... tej młodzieży. Papież Benedykt XVI mówił, że „człowiek staje się sobą, gdy przekracza siebie; człowiek dorasta do miary człowieczeństwa dopiero, kiedy przekracza własne ograniczenia”. Myślę, że formacja przygotowująca do wyjazdów, a później one same, są nade wszystko potrzebne tej młodzieży, by ci

młodzi ludzie mogli dostrzec obok siebie drugiego człowieka w potrzebie.

Czym jest ta umiejętność dostrzegania – dla nich, dla świata?

Człowieka w potrzebie Matka Teresa porównywała do Pana Jezusa, który na krzyżu wołał: „Pragnę”. Wolontariusze w tych wszystkich ludzkich problemach pomagają tylko doraźnie, ale uczą się postawy empatii, zdobywają zdolność uniżenia, służenia, pomagania. To wszystko jest potrzebne, żeby przełamywać własny egoizm, z którym każdy z nas się rodzi, i podobno całe życie mamy na to, żeby się nauczyć altruizmu, żeby przełamywać własne ograniczenia, własne pokusy, których wszyscy doświadczamy. Wolontariusze te postawy niosą potem w dorosłe życie, w małżeństwo, w rodzinę, w relacje, które budują, w przyjaźnię, które bywa, że trwają całe życie. Uczą się postawy bycia dla drugiego, daru z siebie, postawy, którą w teologii nazywamy postawą pro, czyli bycia dla kogoś. To cenne.

Kiedy do Wolontariatu Misyjnego przychodzi Helena?

Był rok 2012. Byłem świeżo po powrocie z Tanzanii, z Morogoro, po pierwszym przepracowanym tam semestrze w charakterze wykładowcy dla kleryków. To był Wielki Post. Głosiłem rekolekcje w Mykanowie koło Częstochowy. Zadzwoił telefon. Helenka przedstawiła się, że jest z Libiąża, że jest studentką Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Musiała powiedzieć o sobie coś, co przekonało mnie, że może wyjechać w wakacje na pierwszy swój misyjny wyjazd, choć formalnie na to nie zasługiwała.

Statuty WMS-u mówiły wówczas, że jakkolwiek wyjazd misyjny poprzedza roczna formacja albo przynajmniej półroczna.

Helenka zgłosiła się na tzw. wyjazd krótki. Chciała na dwa tygodnie wyjechać na Węgry. Prawdopodobnie powiedziałem jej, że muszę to przemyśleć, że musimy się spotkać, porozmawiać, że musi przedstawić jakieś konkretne argumenty. Przez swoje bardzo czynne zaangażowanie, żywe, pełne entuzjazmu, przez tych dosłownie kilkanaście tygodni, od marca do czerwca, Helenka zaskarbiła sobie moją sympatię i utwierdziła mnie w przekonaniu, że jest gotowa do wyjazdu. Zgodziłem się w trybie nadzwyczajnym. Nie przeliczyłem się – pięknie tam pracowała. Od razu wykazała się ogromną kreatywnością, pracowitością i fantastycznym podejściem do dzieci. Wolontariusze w Galgahévíz przez dwa tygodnie prowadzili półkolonie językowe dla dzieci.

Czy pamięta Książ, jak Helenka mogła argumentować swoją gotowość do wyjazdu?

Wydaje mi się, że jednym z argumentów była jej doskonała znajomość angielskiego. Dwa lata uczyła się w prestiżowym liceum w Wielkiej Brytanii. Poza tym studiowała w języku angielskim na politechnice. Wiedziałem, że dobrze musi mówić po angielsku, a praca wolontariuszy na tej węgierskiej placówce na tym miała polegać, że przy okazji gier, zabaw, różnych aktywności, mieli uczyć dzieci języka angielskiego. Podejrzewam, chociaż już dobrze nie pamiętam, że to był jeden z argumentów. Do tego doszła jej osobowość. Od samego początku dała się poznać jako osoba bardzo życzliwa, serdeczna, uczynna i zaangażowana całym sercem, całą sobą w to, co robiła. Gdy widziałem ją w działaniu jeden czy drugi raz, miałem przeczucie, że to nie jest w żaden sposób sztuczne, udawane, na pokaz, ale że to jest cała ona.

Rozeznawałem to. Muszę przyznać, że te wyjazdy zawsze starałem się rozeznawać na kolanach.

Co to znaczy „rozeznąć na kolanach”?

Musiałem mieć pewność co do gotowości, kompetencji i przygotowania młodzieży. Oprócz takiego rozumnego oglądu i w miarę obiektywnej oceny starałem się też rozeznawać na kolanach. Na modlitwie pytałem o to Pana Boga i prosiłem Go o intuicję. Wobec Helenki, ale też kilku innych osób, miałem głębokie przekonanie, że nawet jeśli odstąpię od zasad, które obowiązują w Wolontariacie, nie zawiodę się.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Helenie zależało na wyjeździe na Węgry zaraz po przyjeździe do Wolontariatu. Jej marzeniem były misje w Afryce albo na innym kontynencie. Tak zwane dalekie wyjazdy – także ze względu na koszty – są raczej długoterminowe, czyli przynajmniej dwumiesięczne. O „daleki” wyjazd mógł starać się wolontariusz, który miał już na koncie wyjazd „krótszy”. Gdyby wolontariat na Węgrzech przesunął się na kolejne wakacje, marzenia o Afryce oddalałyby się znacznie w czasie. Te marzenia rzeczywiście spełniły się rok później, kiedy Helena wyjechała do Zambii. „Była na to gotowa” – mówi ks. Fićcek.

A pamięta Ksiądz, co Helenkę pchało na misje? Dlaczego chciała wyjechać?

Nie pamiętam w szczegółach, ale patrząc na całokształt zaangażowania Helenki, na jej postawę, jej charakter, osobowość zaryzykuję tezę, że to była chęć służenia drugiemu człowiekowi, takiego bezinteresownego służenia. Im bardziej bezinteresownie się dało, tym lepiej – tylko i wyłącznie dla dobra tych, do których była posłana, zupełnie bez

szukania siebie. No i to wszystko jeszcze w duchu wiary. Bo Helenka była bez wątpienia osobą gęboko wierzącą z osobistego przekonania. Ona wierzyła nie dlatego, że tak wypada, że taka tradycja, że tak ją wychowali rodzice, ale mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że Helenka była osobą bardzo gębokiej, szczerej wiary osobistej, którą przeżywała też na modlitwie. Mięo było widzieć ją klęczęcą, szczególnie po mszy św. Zawsze na uwielbieniu, w ciszy, zatopiona w modlitwie. W Helenie było silne pragnienie robienia dobra dla drugiego człowieka – choćby to było małe, choćby to było w odczuciu innych nieistotne, dla niej było ważne, stawało się świadectwem jej wiary. Przez posługiwanie chciała wskazywać innym na samego Pana Jezusa, który do takiej postawy zachęca, który zaprasza do samarytańskiego pochylenia się nad drugim. Pan Jezus się utożsamia z tym „drugim”, bo mówi: „Byłem gęodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić” (Mt 25,35). W niej tę postawę było widać.

Ksiądz Paweł od pierwszego telefonu od Helenki do jej wyjazdu na Wędry spotkał się z nią kilkakrotnie – na ogólnopolskich spotkaniach Wolontariatu, a także regionalnych, gdzie bywał gościem (wówczas stolicą regionu dla młodzieży z Małopolski i Śląska było Bielsko-Biała).

Helena chętnie też przyjeżdżała do naszego centrum wolontariatu, do Trzebini, szczególnie gdy z Gliwic jechała do rodziców do Libiąża. W Trzebini była stacja przesiadkowa na trasie Gliwice – Libiąż. Helenka, mając chwilkę czasu pomiędzy jednym a drugim połączeniem, a może celowo, dzwoniła z wyprzedzeniem albo pisała SMS-a:

- Jest ksiądz na miejscu? Mogę przyjść na kawę?
- Zapraszam.

Jak wyglądały Wasze spotkania?

To była zazwyczaj zwykła rozmowa na różne tematy. Dzieliła się, z właściwym sobie entuzjazmem, tym wszystkim, co się w jej życiu działo. A to życie było barwne, bo oprócz studiów było duszpasterstwo, były różne inicjatywy, które podejmowała z własnej nieprzymuszonej woli. Helenka była kreatywna... Kończyła szkołę muzyczną, z czym związane były różne ćwiczenia czy jakieś wyjazdy. Po prostu dzieliła się tym, co u niej słychać.

Żywo była też zainteresowana rozwojem Wolontariatu. Wypytywała, co słychać w WMS-ie. Kiedy poznaliśmy się i dowiedziała się, że pracowałem w Tanzanii, od razu było to dla niej ciekawe – jak tam trafiłem i co tam robię, jak wygląda Afryka.

Co ciekawe, zawsze proponowała swoją pomoc:

– Czy Książd nie potrzebuje jakiejś pomocy w Wolontariacie?

W WMS-ie było sporo roboty papierkowej. Nie zawsze nadążałem z nią na bieżąco, więc Helenka i inne osoby czasami mi w tym pomagały.

Wspomnieliśmy już dwa wolontariackie wyjazdy Heleny – w 2012 roku na Węgry i w 2013 roku do Zambii.

Potem w 2014 roku był bardzo spontaniczny wyjazd do Rumunii.

Spontaniczny?

Helenka przyjechała wieczorem do Trzebini, dzień przed wyjazdem grupy wolontariuszy. Chciała pomóc w zapakowaniu busa, w ostatnich przygotowaniach do wyjazdu, może jakichś zakupach. Helenka nie miała jechać do Rumunii. Przyjechała też dlatego, bo była okazja do spotkania z ludźmi, do tego, by wieczorem razem posiedzieć przy herbacie,

a potem w kaplicy. To ważne i bardzo charakterystyczne dla tej młodzieży – oni dobrze czuli się w kaplicy. Helenka chętnie wtedy brała gitarę – grała i śpiewała. Tamtego wieczoru, gdy dowiedziała się, że jeden z uczestników wyjazdu zaniemógł i jest wolne miejsce, zapytała mnie z właściwą sobie pokorą – licząc się oczywiście z każdą odpowiedzią, czy zgodzę się, żeby ona w takim przyspieszonym trybie mogła wyjechać. Nie widziałem przeciwwskazań. Pojechała wówczas do Rumunii na tydzień.

Później w wolontariackich wyjazdach Heleny jest przerwa. Następnym wyjazdem dopiero ten do Boliwii w 2017 roku.

W czerwcu 2015 roku zakończyłem opiekę nad WMS-em – wyjechałem do Zambii, więc nie znam szczegółów tej przerwy. Wydaje mi się, że powód mógł być prozaiczny. Po pierwsze obrona pracy magisterskiej, po drugie chęć usamodzielnienia się, podjęcia pracy, ale też chęć zaangażowania w różne inicjatywy na miejscu. W Wolontariacie podkreślaliśmy, że wyjazdy to nie wszystko, że tak naprawdę postawa wolontariusza powinna charakteryzować tę młodzież przez całe życie. Również tu, na miejscu, w Polsce, poprzez zaangażowanie w różnego typu inicjatywy charytatywne, jak np. regularne odwiedziny w jakimś ośrodku, takim jak: dom samotnej matki, dom dziecka czy szpital albo hospicjum, świetlica środowiskowa, czy poprzez świadczenie innej pomocy na rzecz ubogiej młodzieży. Helenka angażowała się w tego typu inicjatywy w Gliwicach.

Czy to był jedyny powód, że zdecydowała w 2015 i 2016 roku nigdzie nie wyjeżdżać? Może potrzebowała czasu, żeby się dobrze przygotować do misji, która, jak się okazało, była dla niej ostatnią?

Być może, ale to tylko domysły. Nie rozmawiałem z nią o tym, dlaczego po wyjeździe do Zambii przez długi czas nie zdecydowała się na daleki wyjazd. Fakty były też takie, że z Afryki wróciła z dużymi problemami zdrowotnymi. Nie przesadzę, gdy powiem, że otarła się wtedy o śmierć, a jednocześnie to, że pojechała do Zambii, było opatrnościowe, bo dowiedziała się o chorobie, o której nie miała pojęcia, a która mogła doprowadzić ją do śmierci. Helenka w czasie pobytu w Zambii bardzo słabo się poczuła, podejrzewano malarię, tyfus albo dengę. Objawy tych wszystkich chorób tropikalnych bywają bardzo intensywne, a w konsekwencji bardzo osłabiają organizm. Helenka była niezwykle osłabiona, miała wysoką gorączkę, przez kilka dni nie pomagały żadne leki, dlatego trafiła do szpitala. Ostatecznie nie zdiagnozowano u niej żadnej z tych chorób. Wychodząc ze szpitala w Lusace, dostała zalecenie, że po powrocie do kraju ma się zgłosić do szpitala na bardziej kompleksowe badania. I tu, w Polsce okazało się, że ma przetokę płuca, którego część musiano wyciąć. Ten zabieg pozwolił jej żyć i funkcjonować bez ryzyka, że w każdej chwili serce się zatrzyma. To trochę taki uśmiech ze strony Pana Boga, jak to skomentował bp Jan Zająć, wujek Helenki. Prawdopodobnie w ten sposób Pan Bóg ofiarował jej jeszcze trochę życia.

Duszpasterz WMS-u w trakcie wyjazdów wolontariuszy – a zwłaszcza tych długoterminowych – jest z nimi w stałym kontakcie. Mailowym i telefonicznym. „Gdy się coś działo, był jakiś problem albo potrzeba na miejscu, wolontariusze wiedzieli, że wystarczy puścić sygnał telefonem komórkowym, a zaraz do nich oddzwonię” – mówi ks. Fiącek.

Pamięta Ksiądz jakież rozmowy z Zambii?

Pamiętam. Helenka z drugą wolontariuszką Agatą Krężel opowiadały mi z wielką fascynacją o swojej posłudze wśród chłopców.

Ksiądz Fiącek zna dobrze charakter pracy wśród dzieci ulicy, bo w czasie swojego pobytu w Zambii sam służył im jako kapelan.

Dziewczyny uczyły chłopców, pomagały im w odrabianiu lekcji. W wolnych chwilach, np. w weekendy, organizowały zajęcia dodatkowe – sportowe, taneczne, różnego rodzaju działania, jakieś konkursy itp. Opowiadały mi o tym, jacy ci chłopcy są wspaniali, mimo że wiele przeszli; zostali zabrani z ulicy, po bardzo trudnych doświadczeniach. Mieli w sobie dużo ciepła, ale też wiele miłości, przez co wszelką formę ofiarowanej im dobroci przyjmują i odwzajemniają. Helenka i Agata z entuzjazmem opowiadały, jak bardzo dobrze się tam czują, jak bardzo ciepło ci chłopcy je przyjęli. Od razu poczuły się jak w rodzinie.

Podobnie Mama Carol, Amerykanka, która zorganizowała i prowadzi ten ośrodek, przyjęła nasze wolontariuszki z wielką troską, z wielką otwartością, życzliwością.

Poza trzema spotkaniami ogólnopolskimi WMS-u pod koniec września organizowane jest jedno dodatkowe, tzw. powyjazdowe, na którym wolontariusze dzielą się swoimi doświadczeniami z misji.

Co dziewczyny opowiadały już po powrocie do Polski? Jaki ślad zostawiły w nich misje w Afryce?

Spotkanie już trwało, kiedy dziewczyny do nas dojechały. Pamiętam, jak weszły na salę i z wszystkimi się przywitały. Gdy przyszedł czas na ich relacje, pokazały pamiętki,

które dostały od chłopców. Pamiętam to jak dziś. Wśród pamiątek był dość spory, bo półmetrowy albo większy, samochodzik zrobiony z drutu, nakrętek od butelek, kartoników. Helenka przywiozła go w rękach, żeby się nie pogniół w bagażu. Ona tym samochodzikiem wjechała na salę, ale na naszą prośbę, żeby coś opowiedziała, tylko się popłakała. Nie była w stanie nic opowiedzieć. Emocje zablokowały ją wówczas całkowicie. Agata dzieliła się trochę swoim doświadczeniem, a Helenka przeżywała chyba ciągle trudny dla siebie moment rozstania z tymi chłopcami po prawie trzech miesiącach. Być może takie spotęgowane emocje były wynikiem osłabienia organizmu, z jakim wróciła z Afryki.

Czy mówiła coś o powrocie tam?

Nie pamiętam.

W 2013 roku Ksiądz był „na pełnym etacie” w WMS-ie. Myślę, że nie przesadzę, gdy powiem, że Wolontariat stał się wtedy dla mnie niemalże całym światem. Oczywiście z zachowaniem priorytetu, jakim jest powołanie kapłańskie i zakonne, czyli uwzględniając troskę o własne życie i rozwój duchowy, o życie wspólnotowe. Jednocześnie Wolontariat był konkretną formą realizacji mojego powołania. Zaangażowałem swoje serce, potencjał, czas, by to dzieło się rozwijało. Obserwowałem młodzież – tych młodych charakteryzowała dobroć, a jednocześnie radość bycia ze sobą oraz pasja do misji – zarówno wtedy, gdy wyjeżdżali, jak i wtedy gdy nie wyjeżdżali, bo z różnych powodów nie mogli. Przyjeżdżali na spotkania ogólnopolskie. Siedzieli do późna w nocy. Tematy rozmów się nie kończyły. Czułem, że to jest moje miejsce, a serce napełniała radość, ponieważ też duma, którą starałem się przekuć na wdzięczność

Panu Bogu. Wiedziałem przecież, że nie było w tym żadnej mojej zasługi. Pan Bóg to wszystko sprawił. Mogłem być narzędziem w Jego ręku.

Helenka była jedną z osób, które w Wolontariacie odgrywały ogromną rolę.

Rok 2013. Międzywodzie. Ogólnopolskie spotkanie WMS-u z posłaniem wolontariuszy na misje. Helena jest przed wyjazdem do Zambii. Na tym spotkaniu podsunęła ks. Pawłowi pomysł, żeby każdy wyjeżdżający miał „anioła stróża”, czyli osobę, która będzie się każdego dnia za niego modliła.

Wstyd mi było, że sam tego nie wymyśliłem, a jednocześnie byłem dumny, że to inicjatywa oddolna. Jednego dnia ogarnialiśmy to wieczorem, już po wszystkich zajęciach siedliśmy przy komputerze i zrobiliśmy listę wszystkich wyjeżdżających, a obok drugą tabelkę, w którą mógł się wpisywać „anioł stróż”. Od tego czasu zawsze było praktykowane i zawsze znajdowali się „aniołowie stróżowie” dla wszystkich wyjeżdżających.

Dla „aniołów stróżów” wolontariusze WMS-u przygotowali specjalne modlitwy. Dodatkowo, w intencji swojego „podopiecznego”, odmawiano dziesiątek różańca.

Od samego początku w naszym Wolontariacie bardzo charakterystyczne było to, że na wszystkich naszych spotkaniach – czy to zorganizowanych, czy zupełnie spontanicznych – modliliśmy się Liturgią godzin i różańcem. A już zupełnie wyjątkowy był i jest tzw. dziesiątek o dziesiątej. O godz. 22.00 wszyscy wolontariusze, niezależnie od tego, gdzie byli – robiliśmy to w kaplicy, gdy była taka możliwość, w samochodzie, gdy byliśmy w podróży, albo po pro-

stu w naszych domach – modlili się dziesiątkiem różańca. Za siebie nawzajem, za misje, za misjonarzy, o powołania misyjne, za dobrodziejów misyjnych. To było wzajemne wsparcie, pamięć o sobie przed Panem Bogiem. Później tę inicjatywę przejęły też inne młodzieżowe apostołaty salwatoriańskie – Ruch Młodzieży Salwatoriańskiej i Salwatoriański Ośrodek Powołań.

Wolontariacka aktywność Heleny przypada na czas jej studiów w Gliwicach. Ksiądz był wtedy odpowiedzialny za WMS. Odwiedzał Ksiądz może słynne mieszkanie na Lutyckiej?

Mieszkało tam kilka dziewczyn, które należały do Wolontariatu. Odwiedzałem je zwłaszcza wtedy, gdy jechaliśmy gdzieś większą grupą. Na marginesie muszę powiedzieć, że gdy byłem w Wolontariacie, prawie nigdy nie jeździłem sam – najczęściej towarzyszyli mi jacyś wolontariusze i to zarówno, gdy jechałem na jakieś ogólnopolskie czy regionalne spotkanie (np. do Mikołowa, Wrocławia), jak i wtedy, gdy prowadziłem wykłady z teologii dogmatycznej w naszym seminarium w Bagnie na Dolnym Śląsku. „O ks. Paweł jedźcie do Bagna. Możemy się zabrać do Wrocławia, żeby kogoś odwiedzić?”

To było dla mnie dość sympatyczne. Gdy to była akurat Helenka albo ktoś inny z tamtego terenu, na ogół po drodze zatrzymywaliśmy się w Gliwicach. Zaproszenia mieszkańców tego domu, wliczając także Helenkę, były bardzo serdeczne: „Zawsze jak będziecie w okolicy, nasz dom jest otwarty – przyjdźcie na jakąś kolacyjkę czy choćby na herbatkę”.

Byłem kilka razy w mieszkaniu na Lutyckiej. Raz na pewno przy jakiejś okazji odprawiałem tam mszę św. Nie wiem, czy to jest do opublikowania. Teoretycznie nie po-

winno się odprawiać mszy św. poza miejscem konsekrowanym i do tego przeznaczonym. Ale jednocześnie pomnę, że Jan Paweł II potrafił w górach czy na kajakach odprawiać mszę św. Wiem, że jeśli jest taka konieczność, to raz na jakiś czas nie zaszkodzi, zwłaszcza wtedy, kiedy ma się pewność, że uczestnicy przeżyją Eucharystię z wiarą.

Przypominam sobie, że byłem tam też na czyichś urodzinach. Był to dom pełen serdeczności. Gdy przyjeżdżałem, a któraś z lokatorek uczyła się czy była czymś innym zajęta, to chociaż na chwilę przychodziła, żeby porozmawiać, zapytać, co słycać.

To były krótkie wizyty – pół godziny, trzy kwadranse – tak, żeby wypić herbatę i jechać dalej. Jedno w tym domu zwracało uwagę. Te dziewczyny dobierały się tak, by mogły się razem modlić. Gdy odwiedzałem mieszkanie, razem modliliśmy się Liturgią godzin. Wiem, że wspólnie też modliły się brewiarzem. W większości należały do tego samego duszpasterstwa akademickiego. Na pewno wzajemnie się motywowały do rozwoju duchowego. Rozmawiały o wierze, o Panu Bogu. Zastanawiały się też, co się z nimi stanie po studiach, gdy pójdą w świat, każda w swoją stronę. Wspólne mieszkanie na Lutyckiej było dla nich swoistą enklawą, a wiedziały, że świat jest o wiele trudniejszy od rzeczywistości, którą sobie tam budowały. Miały świadomość, że bycie razem jest dla nich wzajemnym wsparciem.

Ksiądz obserwował Helenę na spotkaniach WMS-u, w czasie tych krótkich wizyt na Lutyckiej w Gliwicach. Co Ksiądz może powiedzieć o relacjach, jakie budowała z rówieśnikami?

Helenka życiem potwierdzała pewną tezę ks. Krzysztofa Wonsa – dyrektora Centrum Formacji Duchowej, który

kiedyś wyraził to w jednej z konferencji dla naszych wolontariuszy. Twierdził, że w życiu najbardziej liczą się relacje, wszystko inne jest wtórne, dodatkowe, on to nazwał: „plastikowe”. W życiu nie ma nic cenniejszego, nic innego nie da takiego szczęścia i spełnienia, poczucia sensu, jak właśnie dobre, konstruktywne relacje, szczególnie, kiedy są wzajemne. W niedojrzałej relacji jest tylko jednostronne branie czy dawanie, ale w dojrzałej chodzi o wzajemne obdarowywanie się sobą. Wiem, że to bardzo górnolotnie brzmi, ale chodzi o bardzo konkretne dzielenie się swoimi talentami, dobrocią, obecnością, atencją.

Myślę, że Helenka przy wielkiej skromności, która ją charakteryzowała, bo była osobą – przynajmniej z pozoru – cichą i skrytą (mówię z pozoru, bo jak się ją poznało bliżej, widać było, ile ma w sobie niespotykanej dobroci, radości, miłości, spontaniczności, energii życiowej), w całości angażowała się w relacje z innymi osobami. Po pierwsze, poświęcała swój czas – nigdy go nie żałowała. Jeśli ktoś był w potrzebie, ona była zawsze do dyspozycji. Po drugie, angażowała swój potencjał – była niezwykle utalentowana i cokolwiek mogła zrobić dla drugiego człowieka, chciała i starała się to zrobić, np. pomagała w nauce angielskiego. Trzeba pamiętać, że Helenka była cały czas niewyspana. Noce miała krótkie, bo za dnia zawsze liczyli się inni ludzie, a swoje sprawy zostawiała ciągle na później – choćby studia, których jednak nie zaniedbywała, wszak była prymuską. W ciągu dnia nie miała czasu się uczyć – wiem to z relacji jej koleżanek – uczyła się po nocach. W dzień miała duszpasterstwo, szkołę muzyczną, spotkania z ludźmi, wyjścia, wyjazdy.

A jak wyglądała jej relacja z Księdzem – duszpasterzem Wolontariatu?

Z mojej strony ta relacja była przyjacielska, podobna do innych, które miałem z wolontariuszami, a Helenka zawsze z wielką atencją odnosiła się do mnie, przede wszystkim ze względu na to, że jestem kapłanem.

To, w jaki sposób myślała o drugim człowieku, jak się o niego troszczyła, może wyrazić prezent, który otrzymałem od niej, kiedy po czterech latach opieki nad Wolontariatem miałem wyjechać na swój pierwszy rok misji do Zambii. Wtedy Helenka przywiozła do Trzebini zwykłą, tekturową, niebieską teczkę. Pamiętam jak dziś – teczkę, w której były koperty: 12 kopert na 12 miesięcy. Na każdej kopercie data i instrukcja, że nie wolno otworzyć przed wyznaczoną datą. Jak się okazało po otwarciu pierwszej i kolejnych kopert, były to listy od wolontariuszy. To pomysł Helenki. Mówiła, że przede mną pierwszy rok na misji. Wiedziała, że miałem być tam sam, więc żebym nie czuł się bardzo osamotniony, żebym wiedział, że ktoś na miejscu myśli o mnie i pamięta, zorganizowała te 12 osób. Przygotowali piękne listy – niektóre długie, inne krótsze. Mam nadzieję, że ciepłe słowa od nich nie były przesadzone i podyktowane tym, co chciałbym usłyszeć. Po kilku latach mojej opieki nad Wolontariatem wyrażali w tych listach swoją wdzięczność i radość, opisali, co dla nich znaczy Wolontariat jako wspólnota, czym są spotkania, wyjazdy; zapewniali też, że chociaż zmieniam miejsce i charakter posługi, nie oznacza to, że przestaję mieć swoje miejsce w Wolontariacie.

Ten prezent pokazuje, jaka była Helenka. Myślę, że nie przesadzę, jeśli powiem, że ona wszystkie relacje, na ile to tylko było możliwe, tak właśnie traktowała – żeby ktoś poczuł się wyjątkowy. Przez zwykłe i proste wydawałoby się rzeczy, chciała i potrafiła afirmować drugiego człowieka.

Czy Ksiądz może coś powiedzieć o relacjach damsko-męskich Heleny? To normalne wśród młodych ludzi, studentów, że zawiązują się bliższe przyjaźnie, czasem związki, z których wyrastają małżeństwa.

Na jednym ze spotkań ogólnopolskich widziałem, że iskrzy między Helenką a pewnym młodym człowiekiem. Szczególnie wieczorami, gdy część młodzieży szła spać, oni siedzieli sobie na kanapie i dużo rozmawiali. Rozstali się, bo oboje stwierdzili, że jednak do siebie nie pasują. Dojrzała decyzja, każdy młody człowiek ma do niej prawo.

Natomiast Michała, który towarzyszył jej w ostatnich miesiącach życia i boleśnie przeżył jej śmierć, poznałem w ostatni wieczór przed moim wyjazdem do Zambii w 2016 roku. Kończyłem urlop w Polsce. Helenka już wcześniej dowiadywała się, kiedy będę w Trzebini i chciała zorganizować grilla albo ognisko przy swoim domu. Libiąż od Trzebini jest oddalony o jakieś 12-13 kilometrów. Przyszło trochę wolontariuszy z okolicy, wspólni znajomi. Właśnie wtedy z radością, z taką świeżością i czułością przedstawiła mi Michała, z którym – jak mówiła – znali się już od jakiegoś czasu, ale właśnie dosłownie kilka tygodni wcześniej zaczęli się spotykać, czyli być w tej szczególnej relacji. Przedstawiła mi to z taką radością, bo ona długo czekała na tego właściwego. Ten temat czasem pojawiał się w rozmowach między nami. Helena jak najbardziej rozeznała swoje powołanie do małżeństwa, do rodziny, do bycia mamą. Nie chciała jednak wiązać się z człowiekiem, który nie podzielałby jej wartości, przekonań, praktyk religijnych. Helenka szukała takiego towarzysza życia, który wspierałby ją i dawałby okazję, żeby z wzajemnością mogła wspierać go w rozwoju duchowym, żeby wzajemnie prowadzili się do Pana Boga. I z tego, co mi powiedziała, tak bardzo spontanicznie – jak to ona – że Michał jest właśnie taką osobą. Poznała go

w duszpasterstwie. Mówiła, że to człowiek o silnej wierze, dla którego Pan Bóg jest pierwszy.

Ze świadectw innych osób wiem o Michale, że przeżywał wyjazd Helenki do Boliwii na zasadzie rozdarcia. Z jednej strony darzył ją miłością, a miłość to jest pragnienie dobra drugiej osoby – wiedział, jak wiele ten wyjazd dla niej znaczył i chyba nawet nie rozważał, że mógłby zaprotestować. On po prostu szanował ją w decyzji, którą podjęła. Jednocześnie półroczna rozłąka, zaraz po półrocznym byciu razem, w ten szczególny sposób, była dla niego trudna. Dlatego rozmawiał o tym z inną wolontariuszką, Beatą Grzegorzek – dziś Nowakowską. Beatka cały zeszły rok spędziła w Zambii na wolontariacie, a kilka tygodni przed wyjazdem na ten wolontariat zaręczyła się. Narzeczonego zostawiła w domu tuż po zaręczynach. Oznajmiła mu, że jedzie na rok do Zambii i on to przyjął z ogromną pokorą i z nastawieniem: „Tobie to jest potrzebne dla twojego rozwoju, jest to twoją pasją, tak czujesz, proszę bardzo”. Michał podpytywał Beatę, jak oni sobie z tym poradzili. Byli już narzeczonymi, planowali małżeństwo. Rodziło się naturalne pytanie: czy ten rok rozłąki nie był zbyt trudny? Beata tłumaczyła, że trudny, ale jak najbardziej do przetrwania, że to była wręcz próba miłości, czas jeszcze większego scementowania i sprawdzenia motywacji, która im towarzyszyła, żeby być razem ze sobą. Nowoczesne i ciekawe podejście. Jednocześnie radziła Michałowi, żeby nie kontaktowali się za często, bo to będzie zwiększało tęsknotę i będzie dla obojga stawało się nieznośne.

Po śmierci Heleny ks. Fiącek pytał znajomych wolontariuszy o to, jak się czuje Michał. Wtedy dowiedział się, że publicznie, na jednej z internetowych grup Michał napisał: „Dziękuję Panu Bogu za to, że dał mi możliwość spędzić najwspa-

nialsze sześć miesięcy mojego życia u boku tak wspaniałego człowieka, jakim była Helenka”.

Myślę, że w tak prostym zdaniu można zobaczyć ogromną wiarę tego człowieka, który nie robił wyrzutów Panu Bogu za to, że mu zabrał przecież potencjalną, fantastyczną partnerkę życia, żonę, matkę wspólnych dzieci. Nie, on potrafił to w sobie, na kolanach, na modlitwie przepracować tak, że dziś dziękuje za czas z nią spędzony i za to, jak wyjątkową była osobą i jak wiele dała jemu i innym, jak uczyła przeżywać życie w pełni. Myślę, że ta postawa pokazuje, jak szczególnie osobą w życiu Helenki był Michał.

Ksiądz Fiącek już od ponad roku nie był formalnie związany z WMS-em, gdy Helena z Anitą planowały wyjazd do Boliwii. Jego kontakty z wolontariuszami były też mniej intensywne, ponieważ przygotowywał się do otwarcia parafii w Zambii, co pochłaniało dużo czasu, a poza tym w miejscowości, w której pracował, był problem z dostępem do Internetu.

W wakacje zapytał Helenkę na Facebooku o jej plany. Dowiedział się, że myśli o wyjeździe na misje, ale na pewno nie w czasie wakacji ze względu na pracę. Helena czekała na decyzję o półrocznym bezpłatnym urlopie. Ksiądz Fiącek zażartował wówczas:

– Słyszałem, że wybierasz się do Zambii.

– Tak? A ja nic o tym nie słyszałam – odpowiedziała Helena, przyjmując konwencję rozmowy.

Wtedy ks. Fiącek odpisał, że gdyby rzeczywiście zdecydowała się na Afrykę, to miejsce i posługa się dla niej znajdują. „Zambia czeka!” – miał pisać ks. Paweł do Heleny. Odpowiedziała, że to rozważy, ale ma też inne marzenia.

Jakiś czas później z Facebooka dowiedział się o planach dziewczyn – o Boliwii, do której jechały, by pomagać w ochronie prowadzonej przez siostry służebniczki dębickie.

Fanpage na Facebooku nazwały „Misja możliwa” – nawiązując do filmu *Mission: Impossible*. Ich misja taka miała być – możliwa.

Jak dowiedział się Ksiądz o tragicznych wydarzeniach w Boliwii?

Muszę powiedzieć, że to była jedna z najboleśniejszych informacji, jakie otrzymałem w ostatnich latach, jeśli nie w całym swoim życiu. Dlaczego? Po pierwsze, ze wszystkimi wolontariuszami starałem się utrzymywać osobisty i dość bliski kontakt – mówię o nich, że są to moje duchowe dzieci. Chociaż formalnie już nie sprawowałem nad nimi pieczy duszpasterskiej, nadal pozostali mi bardzo bliscy. A Helenka szczególnie, przez swoje zaangażowanie w budowanie naszej wspólnoty wolontariackiej. Śmierć każdego z wolontariuszy byłaby dla mnie ogromnym wstrząsem i szokiem. Po drugie, Helenka jest pierwszą z tych osób, którym towarzyszyłem, które mi towarzyszyły, z którymi wzajemnie budowaliśmy tę wspólnotę, a którą Pan Bóg powołał do wieczności. Przyznam, że wielokrotnie w moich myślach tworzyły się takie czarne scenariusze, które starałem się składać w rękach Pana Boga i prosić Opatrzność, żeby one nigdy się nie zrealizowały. Będąc odpowiedzialnym za Wolontariat i mając świadomość, czym są misje, wyobrażałem sobie, niestety, że taka sytuacja może się zdarzyć. Jednocześnie wierzyłem, że się nie zdarzy. Zdarzyła się...

Byłem wtedy w Lusace – w stolicy Zambii. Razem z drugim misjonarzem zdawaliśmy państwowe egzaminy, żeby

otrzymać zambijskie prawo jazdy. Po całym dniu w ośrodku egzaminacyjnym wracaliśmy do siebie – do miejsca oddalonego o ok. półtorej godziny na południe od Lusaki. Byliśmy zmęczeni. Ksiądz Artur zaproponował przerwę na pizzę. Zatrzymaliśmy się w jednym z centrów handlowych w stolicy. Wtedy w komórce, na Messengerze, pojawiła się wiadomość od znajomej z Salezjańskiego Wolontariatu Misyjnego. Pytała mnie, myśląc, że jestem wciąż odpowiedzialny za nasz Wolontariat:

– Proszę księdza, czy wy posłaliście swój Wolontariat do Boliwii?

– Tak, dwie dziewczyny. Masz jakieś wieści o nich?

– Tak, ale to nie są dobre wieści.

Przerażony odłożyłem kawałek pizzy i pytam dalej, co ma na myśli.

– Proszę księdza, był napad – taką informację podała, chociaż nie do końca prawdziwą – jedna pobita, a ta druga nie żyje.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Jesteś pewna, że to są te same osoby?

– Wolontariat Misyjny Salvator?

– Tak!

– Helenka nie żyje. Anita pobita.

To był pierwszy szok. Wyszedłem z tej pizzerii. Poprosiłem znajomą o numer telefonu. Zadzwoiłem. Potwierdziła, że informacje są sprawdzone i pewne. Przekazał je franciszkanin, który pracuje w Cochabambie, a dzwonił do niej, bo myślał, że to dziewczyny z ich wolontariatu. Niektórzy ludzie myślą salezjanów z salwatorianami. Wtedy pomyślała o mnie. W Zambii było ok. godz. 19.00 – w Polsce ok. 18.00. Po rozmowie z nią zadzwoniłem do ks. Mirka [Stanka – przyp. red.]. Od rana wiedzieli o tych wydarze-

niach – prowincjał był pierwszą osobą, która otrzymała tę informację.

Jak Ksiądz zareagował?

Gdy dotarła do mnie świadomość, co się stało, to nie byłem w stanie powstrzymać płaczu. Zwyczajny, taki płacz od serca był chyba jedyną formą wyrażenia tego, co się we mnie działo. Nieważne wtedy było, że znajduję się w centrum handlowym – ludzie chodzili, patrzyli, a tu dorosły facet ryczy jak dziecko. Zupełnie się tym nie przejmowałem. Czulem, że tak muszę i mam do tego prawo.

Ksiądz Artur poprowadził samochód. Sam nie byłem w stanie. Niedaleko od tego centrum handlowego jest parafia prowadzona przez polskich misjonarzy. „Wieź mnie do kościoła, przed Najświętszy Sakrament!” – poprosiłem. Nie umiałem sobie znaleźć innego miejsca. Uklęknąłem i musiałem się wypłakać, przeczekać. Wspólnie z ks. Arturem odmówiliśmy nieszpory za zmarłych, zwłaszcza za Helenkę. Dzięki temu trochę się uspokoiłem. Mogliśmy wrócić do naszego domu. Byliśmy chyba ok. godz. 10.00 wieczorem. To był dla mnie bardzo silny wstrząs. Totalne zaskoczenie, ogromny szok.

A gdy opadły pierwsze emocje?

Boję się, żeby nie zabrzmiało to jak „wymądrzanie się klechcy”... W pierwszych dniach po śmierci Heleny, które były bolesne, starałem się nie zawieszać swoich obowiązków. Następnego dnia miałem np. katechezę w szkole – przeprowadziłem ją, ale czulem, że nie umiem zebrać myśli, że cały czas krąży wokół Helenki i tego wydarzenia. Starałem się wypełniać obowiązki, a potem każdą wolną chwilę spędzić na modlitwie, na refleksji, na wyciszeniu. Ta modlitwa dała mi przeświadczenie, że potrzeba wdzięczności zamiast

żalu i pretensji do Pana Boga. Wtedy było bardzo naturalne pytanie: „Dlaczego?” – „Panie Boże, dlaczego nie mogłeś poczekać? Tyle dobrego mogła zrobić i pięknie żyć. Tak wiele osób cierpi po jej śmierci”. Starałem się to przekuć w docenienie tego, jaka była Helenka, i tego, że była darem dla innych, dla mnie; że dał jej życie, że to życie było tak intensywnie przeżywane, tak w pełni, tak bardzo dojrzałe. Myślę, że to było bardzo prawdziwe, bez patosu. Jednocześnie byłem przekonany, że to była święta, że ona żyła na sposób święty i że tej jej świętości mogli dotknąć inni, pośród nich ja, miałem ten przywilej. Dla mnie to zaszczyt, że mogłem być opiekunem Wolontariatu, w którym jej wrażliwość misyjna, jej wiara, jej postawa, zaangażowanie na rzecz misji rozwijały się, wzrastały. Jakoś z Bożą pomocą udało się nie zepsuć tego jej naturalnego odruchu, głębokiego pragnienia serca, ale tak to stymulować, że ona realizowała swoje misyjne powołanie. Starałem się to oddawać Panu Bogu, żeby siebie uczyć postawy wrażliwości i innych ludzi na to uwrażliwiać.

Zdarzyło się coś tragicznego. Nie sposób sobie tego racjonalizować od razu, nawet w perspektywie wiary.

Tak po ludzku to jest tragedia, ale w perspektywie naszej wiary w szczęśliwą wieczność z Panem Bogiem, w zbawienie, w niebo... Każdy odchodzi do wieczności. Tylko Pan Bóg wie, kiedy przyjdzie ten czas. Najważniejsze, żeby widzieć to w tej perspektywie: Helenka już jest po drugiej stronie istnienia – jak wierzymy – po tej lepszej stronie. Wydaje mi się – chociaż tu kategorie zasługiwania jakoś wyłączamy – że gdyby myśleć o tym w ludzkich kategoriach, to ona sobie zasłużyła na to, żeby być u boku Pana Boga, że umarła w opinii świętości i tak naprawdę na posterunku, na misji. Chciała służyć Bogu do końca i to było

świadectwo jej wiary. Nie była to śmierć męczeńska, ale jednak było to oddanie życia Panu Bogu do końca.

Przypominają mi się słowa z pewnego pogrzebu stosunkowo młodego, 43-letniego zakonnika. Arcybiskup Hoser pytał wtedy zgromadzonych: „Zastanawiacie się pewnie, czemu Bóg odwołał już do wieczności ks. Mariusza; bo on już dojrzał do wieczności, a my jesteśmy jeszcze w drodze”. Próbowałem te słowa przyłożyć do Helenki – ona sprintem przebiegła dystans, który my być może będziemy pokonywać latami.

Święty Paweł w 2. Liście do Tymoteusza pisał: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem” (2 Tm 4,7). Te słowa można zastosować – wypisz wymaluj – do Helenki: w dobrych zawodach wystąpiła, bieg ukończyła sprintem, ale wiary ustrzegła. Dlatego też wierzymy, że odłożony jest dla niej wieniec sprawiedliwości (por. 2 Tm 4,8).

Gdy pomimo ludzkiego bólu spróbujemy popatrzeć na te wydarzenia w perspektywie wiary, nauczania Pana Jezusa i Kościoła, to w tej śmierci można dostrzec paradoksalną wartość.

Co dokładnie ma Ksiądz na myśli?

Dzięki jej śmierci świat dowiedział się o jej życiu. Jest szansa, że Pan Bóg te tragiczne wydarzenia przemieni w dobro. Dla Niego jest to możliwe. Ludzie, którzy targnęli się na jej życie, ewidentnie mają na swoim sumieniu winę, ale może jest to *felix culpa* [łac. szczęśliwa wina – przyp. red.], która przyczyni się do większego dobra.

Dziś tak o tym myślę, tak wygląda moja modlitwa, ale zaraz po tych wydarzeniach moje odczucia były ambiwalentne. Podam przykład dwóch rozmów z tamtego czasu.

Zadzwoiłem do współbrata w Polsce. Zakonnik w wieku mojego taty. Gdy tylko usłyszał, że to ja dzwonię, od

razu zaczął krzyknąć do słuchawki: „Widzisz, Paweł, co się stało; ja ci zawsze mówiłem, że ten wolontariat to jest bez sensu – posyłać młodych ludzi na pewną śmierć. Na misje to my możemy sobie jeździć, siostry zakonne czy bracia, którzy nie mamy rodzin. A ona? Młoda, w perspektywie życie, rodzina, którą chciała założyć. Jestem zdruzgotany i mam do was żal, że wciągacie młodych w ten wolontariat”. Mnie to zbiło z pantałyku. Rzeczywiście, jeśli patrzeć na to tylko w ludzkich kategoriach, gdyby nie misje, to taka młoda osoba szczęśliwie żyłaby dalej i może dożyłaby sędziwej starości. To też jest trudne i bolesne. To jest też część mnie, która krzyczy.

Ale dosłownie dzień po tej rozmowie spotkałem ks. Kazika, który jest w Afryce od 20 lat – najpierw pracował w Zambii, a teraz pracuje w Kenii jako formator kleryków. Jak dowiedział się, że jestem salwatorianinem, i skojarzył, że Helenka była z naszego Wolontariatu, powiedział: „Księżo, może to zabrzmie dziwnie i paradoksalnie, ale ja wam gratuluję. Gratuluję, że udało się wam w ten sposób wychować tak dojrzałą wolontariuszkę, która była gotowa aż na śmierć”. Oczywiście to nie gratulacje dla mnie, tylko dla rodziców, którzy w duchu wiary potrafili wychować Helenkę. My, salwatorianie, możemy się tylko cieszyć, że tego nie zepsuliśmy i dziękować Bogu, że są młodzi ludzie, którzy w czyn potrafią wprowadzać słowa popularnej piosenki napisanej przez naszego współbrata Ireneusza Czecha: „Ofiaruję Tobie, Panie mój, / całe życie me / cały jestem twój / aż na wieki”.

Wasze ostatnie spotkanie?

Grill w Libiążu, o którym już wspominałem. Jesienny wieczór. Pamiętam, że gdy zrobiło się chłodno, przyniosła jeszcze dzban ciepłej herbaty i wyciągnęła gry planszowe.

A ostatni kontakt?

To było jakoś przed Bożym Narodzeniem. Gdy dowiedziałem się, że z Anitą wyjeżdżają do Boliwii, zrobiłem niewielki przelew ze swojego kieszonkowego, żeby wspomóc zbiórkę funduszy na ten wyjazd. Mam świadomość tych kosztów. Wtedy Helenka na Messengerze podziękowała mi i powiedziała, że ich misja staje się trochę bardziej możliwa.

Jak Helena powinna zostać zapamiętana przez ludzi, także tych, którzy nie znali jej osobiście?

Ksiądz Marek Dziewiecki ma taką dewizę, że świętość to bycie najpiękniejszą wersją samego siebie. Bardzo ją lubię, jest dobra i jednocześnie mocna. Tam nie ma ani jednego zbędnego słowa – każde niesie ogromny ładunek wiedzy o tym, czym ma być świętość. Każdy ma być na sto procent swoich możliwości – ani więcej, ani mniej. Normalność do maximum. Bycie sobą dzięki Bożej łasce. Chciałbym taką Helenkę zapamiętać, chociaż ona sama nie zgodziłaby się z tymi słowami... W całej swojej pokorze i skromności pewnie mówiłaby: „Jestem w tym jeszcze taka niedoskonała; mam tyle do przepracowania”. To zresztą pokazuje, że miała odniesienie do Pana Boga i bardzo starała się rozwijać. Jako zewnętrzny obserwator mogę przyznać, że bardzo się starała i bardzo dobrze wychodziło jej stawianie się najpiękniejszą wersją siebie samego.

Kraków, luty 2017

AGATA KRĘŻEL

W ZAMBII
PŁAKAŁYŚMY RAZEM

Agata Krężel była z Heleną na misji w Zambii. W ramach WMS-u była także w Albanii, ponownie w Zambii i dwa razy w Kenii. Aktualnie zdobywa doświadczenie zawodowe i chce rozwijać swoją firmę, ale nie wyklucza, że wyjedzie jeszcze kiedyś na wolontariat.

To jest bardzo fajne przeżycie, bardzo ubogacające człowieka. Tyle ludzi się spotyka – każdy inny. Do tego całkiem inna kultura, tradycja... Wszystko jest inne. To jest coś niesamowitego i jest to niezwykle cenne doświadczenie.

Jak trafiłaś do WMS-u?

Za sprawą ks. Kamila Leszczyńskiego SDS. Spotkałam go na październikowej pielgrzymce z Wrocławia do Trzebnicy, do grobu św. Jadwigi Śląskiej w 2011 roku. Chwilę rozmawialiśmy. Powiedział, że w listopadzie będzie spotkanie Wolontariatu Misyjnego Salvator we Wrocławiu. Poza chyba dwiema osobami wszyscy byli nowi. Tak powstał wrocławski region WMS-u. To był dobry czas. I do dziś jest.

Co Cię przyciągnęło do wolontariatu misyjnego?

Zawsze marzyłam o wyjeździe na misje. Wiedziałam, że salwatorianie jeżdżą na misje. Również tato często mi powtarzał: „Agata, nie siedź w jednym miejscu – tylko dom, studia, studia i studia, i imprezy ze znajomymi. Zrób coś

w kierunku Boga!”. Zastanawiałam się nad jakimś duszpasterstwem, ale stwierdziłam, że to chyba nie dla mnie. Nie znałam wtedy ludzi z duszpasterstw, dziś wiem, że są fantastyczni. Myślałam o tym, co powiedział mi tato, by znaleźć dla siebie jakieś miejsce...

To miejsce znalazło Ciebie.

Tak! Leszczu mówił o tym wolontariacie, o wyjazdach na misje. Jeszcze wtedy nie byłam pewna czy znajdę tam to, czego oczekiwałam. Sama nie wiem, dlaczego poszłam na to pierwsze spotkanie. Przecież wcześniej sama wyjeżdżałam za granicę... Zatem jaką atrakcję miałabym znaleźć w misjach? Na spotkaniu obejrzelśmy filmy z jakichś misji, występowały w nich dzieci. Zaczęłam myśleć o tych maluchach. No i gdzieś tam we mnie zostało: „Super, że poznałam tych ludzi”.

Czyli poszłaś do WMS-u, szukając dla siebie wspólnoty...?

Wcześniej myślałam trochę o misjach. Afryka zresztą zawsze mnie pociągała, ale myślałam o niej raczej w kategoriach turystycznych. Oglądałam reportaże Cejrowskiego i rodziło się pragnienie: „Jejku, jakbym chciała tam być!”. Jednak zawsze wydawało mi się, że aby pojechać na takie misje, trzeba zorganizować mnóstwo rzeczy. Zadawałam sobie pytania: czy jestem odpowiednią osobą? Czy sobie dam radę? Miałam wyobrażenie, że to musi być ktoś rzeczywiście dobry, kto będzie chciał tam spędzić całe życie. Nie wiedziałam, że można wyjechać np. w wakacje – na miesiąc wolontariatu czy dwa. Nie sądziłam, że to takie proste – masz czas, jedziesz. Wydawało mi się, że musiałabym poświęcić np. cały rok – przerwać studia, rzucić pracę. A wtedy miałam trochę inne priorytety.

Oglądałam w telewizji reportaże, czytałam książki. Misje pozostawały w sferze marzeń, nigdy też nie spotkałam nikogo, kto miałby takie doświadczenie i zweryfikował te moje wcześniejsze wyobrażenia. Nagle poznałam wspomnianego ks. Leszczyńskiego. A potem? Potem zaczęła się przygoda z WMS-em.

Wydaje mi się, że to był też czas, kiedy mocno szukałam samego Boga. Wierzyłam, chodziłam do kościoła, modliłam się, mam też wrażenie, że Wolontariat pomógł mi pogłębić wiarę. Jestem teraz lepiej w niej osadzona, wiem, czego w życiu chcę.

Co w WMS-ie budowało Twoją wiarę?

Spotkania z ludźmi i wspólna modlitwa. Lubię przebywać z innymi, ale nie wiedziałam, że w WMS-ie poznam aż tyle otwartych osób...

Wspomniałaś o fascynacji Afryką, turystycznych marzeniach, ale też o misjach. Rozumiem, że początkowo brałaś pod uwagę nie „religijne”, ale czysto humanitarne wyprawy. Chciałaś pomagać.

Wiedziałam o AIESEC [Association Internationale des Étudiants en Sciences Économiques et Commerciales – pozarządowa organizacja *not-for-profit*, jedna z największych międzynarodowych organizacji studenckich; członkowie AIESEC organizują i wyjeżdżają na wolontariat oraz praktyki zagraniczne; zdobywają doświadczenie w ponad 120 krajach świata – przyp. red.]. To wydawało mi się atrakcyjne. Jedziesz i pomagasz. Jednak w przypadku wolontariatu misyjnego prowadzonego przez instytucje kościelne jest jeszcze coś więcej. Jedziesz, pomagasz i... kształtujesz siebie.

A nie innych?

My nie jesteśmy od kształtowania innych. Dobrze wiemy, że te misyjne wyjazdy nie są po to, byśmy kogokolwiek nauczali czy cokolwiek głosili. My tam najpierw słuchamy. Oczywiście dajemy coś od siebie – poświęcamy swój czas, nieraz spędzamy z ludźmi całe dni, prawie w ogóle nie odpoczywając. Trzeba jednak przyznać: naprawdę bardzo dużo dzięki temu zyskujemy i wiele się uczymy – o sobie i o innych. Tu nawet nie chodzi o poznawanie nowych krajów, kultur czy tradycji. To jest oczywiście cenne. Chodzi przede wszystkim o to, że tutaj u nas, w pędzie życia, zapominamy często o relacjach międzyludzkich.

Wyjazd misyjny to czas poświęcony drugiemu człowiekowi?

Tak, dotykasz drugiego człowieka, dotykasz jego problemów. Polskę od Afryki dzieli ogromna odległość, ale ludzie mają takie same problemy, może nieco inny jest ich charakter. Bo rzeczywiście, dzieci ulicy to problem krajów Trzeciego Świata. W Polsce raczej nie mamy z tym do czynienia. Czytać czy słyszeć o tym problemie to jedno, a zobaczyć takie sytuacje na własne oczy to coś zupełnie innego...

Pamiętam swoje pierwsze wyjście na ulicę. Byłyśmy razem z Heleną. Obie płakałyśmy. Zastanawiałyśmy się, jak w ogóle można tak żyć. Słyszałam o tym problemie, ale gdy sama zobaczyłam, jak to wygląda... W Polsce też spotyka się bezdomnych, ale tam widzisz nagle setki bezdomnych dzieci i dorosłych ludzi na ulicy w ciągu dnia, a jeszcze więcej wieczorem. Dzieci leżą poprzykrywane kartonami, w podartych ubraniach, z klejem w ręce. To był dla mnie porażający widok... Wracałam stamtąd i płakałam. Później już wiedziałyśmy, z czym możemy się spotkać, więc

byliśmy silniejsze – wiedziałyśmy, że płacz nic nie da, że dzieciakom to nie pomoże.

Wiedziałyśmy również, że tą jedną misją nie zbawimy świata. Tata zawsze powtarzał: „Agata, nie wyobrażaj sobie, że pojedziesz na misje i znajdziesz dom dla wszystkich dzieci ulicy”. Żeby to zmienić, potrzeba lat. Trzeba żmudnej, wieloletniej pracy; z uśmiechem na twarzy, z Bożą radością, by pokazać im, że jest inne życie, coś poza tym, co oni tutaj mają, że mogą być kimś innym, iść do szkoły, że edukacja jest ważna, podobnie jak modlitwa... Nie wychodziłyśmy do nich z Biblią w rękę – wychodząc na ulicę, Biblię trzeba mieć w sercu. Nie mówić o Bogu, ale swoimi czynami pokazywać to, w co się wierzy.

Zaraz wróć do Zambii, ale powiedz jeszcze, proszę, o motywacjach wyjazdów w tak egzotyczne miejsca jak Afryka czy Azja.

Jeśli ktoś ma tylko turystyczne motywacje, przychodząc do Wolontariatu, nie wytrzyma presji związanej z formacją na spotkaniach ogólnopolskich czy regionalnych. To środowisko kształtuje człowieka, oczyszcza motywacje. Oczywiście jest to, że wyjazdy do tych dalekich krajów są kuszące także pod względem turystycznym. Nieraz rozmawialiśmy ze znajomymi z Wolontariatu, że fajnie byłoby pojechać tam czy tam, zobaczyć kawałek świata. Nie chodzi nawet o leżenie na plaży, ale o obcowanie z odmienną kulturą czy tradycją, czyli *de facto* o spotkania z tamtejszymi ludźmi. Wolontariat stwarza tę możliwość – spotkania z ludźmi, wejścia w ich codzienność, a przez to poznania tamtejszej kultury i tradycji. Oczywiście, będąc na miejscu, trudno nie doświadczyć też piękna świata, które poznają turyści „niemisijni”, ale to jest efekt uboczny wyjazdów wolontariackich.

Agata miała wielkie pragnienie wyjazdu na wolontariat do Afryki, ale w WMS-ie panuje zasada, że pierwszy wyjazd jest do krajów europejskich. Pojechała więc do Albanii. Dopiero w następnym roku przygotowywała się do wyjazdu do Tanzanii, ale finalnie poleciała do... Zambii. Razem z Heleną.

Albania?

Spędziłam tam miesiąc z dziećmi. Otrzymałam od nich dużo energii. Złapałam bakcylię i ciężko mi było zapomnieć o tym doświadczeniu. Często powtarzałam, że chcę wrócić do Albanii. Właśnie ze względu na dzieci. Ale myśl o Afryce nie opuszczała mnie. Zwłaszcza, że ks. Paweł Fiącek był w WMS-ie wielkim promotorem Afryki. Jego samego zawsze ciągnęło na Czarny Ląd. Miał doświadczenie posługi w Tanzanii. Zachęcał do wyjazdu właśnie tam. Znowu chodziło o dzieci i naukę. Wiedziałam, że mogę się w tym sprawdzić. Na wyjazd zgłosiłam się ja i jeszcze jedna dziewczyna z WMS-u. Później okazało się, że ona ma jakieś ważne osobiste sprawy i nie może na tak długo wyjechać, szczególnie do Afryki. „Trudno, pojedę sama” – myślałam, bo napaliłam się już na tę Tanzanię. Ksiądz Paweł niby nie odradzał mi tego wyjazdu w pojedynkę, ale zaznaczał, że w dwójkę zawsze raźniej. Zasugerował, żebym popytała wśród wolontariuszy, może ktoś się zgodzi pojechać ze mną. Pamiętam, jak jechaliśmy wtedy do Międzywodzia na ogólnopolskie spotkanie WMS-u, na którym odbywało się posłanie, a to znaczy, że wszyscy obecni tam wolontariusze mieli już wybrane placówki misyjne i przygotowywali się w swoich własnych grupach wyjazdowych. Rozmawiałam z kilkoma osobami, ale nikt nie chciał zrezygnować z zaplanowanego wcześniej wyjazdu i zmienić kierunku na Afrykę. Nie wiedziałam, co robić z tą Tanzanią. Czułam się

niepewnie. Po kilku nieskutecznych próbach bez większej nadziei podeszłam do Helenki i opisałam jej moją sytuację. Wtedy ona zaczęła myśleć. Na pewno nie zgodziła się od razu, ale stwierdziła, że musi to z kimś skonsultować. Dzwoniła chyba do rodziców. Była otwarta na ten Czarny Łąd. Zgodziła się, a ja ponownie poczułam pewność, że mam jechać do Tanzanii.

Ale to nie tam pojechaliście...

Jakiś tydzień po tym spotkaniu skontaktował się ze mną ks. Paweł i zapytał, czy nie chciałybyśmy zamienić Tanzanii na Zambię, bo tam potrzeba wolontariuszek. Na spotkaniu w Międzywodziu o Zambii opowiadały dziewczyny, które były na wolontariacie u Mamy Carol. To właśnie tam miałybyśmy pojechać z Heleną. Jednak od razu ks. Paweł zaznaczył, że w Zambii będą o wiele trudniejsze warunki niż w Tanzanii. Mówił, że to będzie „hardcore” i że w buszu... Każda z nas tę decyzję miała podjąć indywidualnie. Nie miałyśmy dużo czasu, trzeba było kupować bilety lotnicze – albo do Tanzanii, albo do Zambii.

Mama Carol (wł. Carol McBrady). Blisko 60-letnia Amerykanka jest szefową organizacji Action For Children Zambia. Jej działalność obejmuje przede wszystkim pomoc dzieciom ulicy. Salvation Home jest domem, w którym dzieciaki uczestniczą w programie umożliwiającym im powrót do życia w społeczeństwie. Farma Kulanga Bana (70 km od Lusaki) jest z kolei miejscem, dokąd udają się po zrealizowaniu programu i zostają aż do ukończenia szkoły lub do momentu usamodzielnienia.

Obie stwierdziłyście, że chcecie jechać do Zambii. Jak wyglądały wasze początki?

Latałam wcześniej turystycznie do Afryki – do Tunezji, Egiptu, ale wtedy zawsze na lotnisku czekał na mnie rezydent z tabliczką, który prowadził mnie do autobusu. Tym razem było zupełnie inaczej. Leciałyśmy przez Dubaj. Ogromne lotnisko. Gdyby nie Helena, chyba umarłabym ze stresu. Ona wtedy powiedziała, że uczyła się w szkole na Wyspach Brytyjskich i latała do Londynu. Pomyślałam, że skoro ma doświadczenie, będzie wiedziała, jak zachować się na lotnisku. Wprawdzie też pierwszy raz była wtedy w Dubaju, ale zachowywała się na tyle swobodnie, że czułam się przy niej bardzo pewnie. O tej szkole za granicą powiedziała mi w samolocie. Nie chwaliła się – po prostu trochę o niej opowiedziała. Miałam nawet wrażenie, że to bagatelizowała. Dopiero później dowiedziałam się, że było to ekskluzywne stypendium. Byłam zaskoczona. Wcześniej od innych wolontariuszy słyszałam, że dobrze mówi po angielsku, ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, gdzie nabyła tę umiejętność.

Z Dubaju dotarliście do Lusaki.

Z lotniska odebrała nas Mama Carol. Wszystko było nowe, inne. Nawet ruch jest lewostronny. Gdy wylądowałyśmy, było jeszcze jasno. Jadąc z lotniska, mijałyśmy suche trawiaste tereny, typowo afrykańskie. Mama Carol opowiadała nam o swoim życiu, o tym, jak założyła placówkę, a my z Heleną wypytywałyśmy ją o różne rzeczy. Nasza podróż trwała pewnie z godzinę, droga była pełna wertepów. Gdy dotarliśmy na miejsce, było już ciemno. Padłyśmy ze zmęczenia i rano zaspaliśmy na modlitwę.

Dziewczyny dotarły do Salvation Home pod Lusaką – do jednej z dwóch placówek prowadzonych przez Mamę Carol. Druga oddalona jest o jakieś półtorej godziny jazdy samo-

chodem, znajduje się w buszu. Salvation Home to ośrodek pomagający dzieciom ulicy. Trafiają tam chłopcy, od kilku- do nastoletnich. W domu mieszka Mama Carol, ok. 20 podopiecznych i wolontariusze.

Mama Carol co niedzielę wychodziła na ulice Lusaki. Miała zmysł, dzięki któremu wiedziała, które dzieci może zabrać do Salvation Home, aby im skutecznie pomóc. Dom jest mały, więc nie można zabrać wszystkich. Nie wszystkie dzieciaki miały też predyspozycje, by sprostać zasadom panującym w ośrodku – chodzi o pewien rygor, różne ograniczenia. Chłopcy często są uzależnieni od waczenia kleju, a w domu nie toleruje się żadnych używek. Z tego powodu niektórzy wytrzymywali tylko kilka dni i uciekali z powrotem na ulicę.

Mamie Carol zawsze towarzyszy pracownik socjalny, który zajmuje się różnymi sprawami formalnymi – sprawdza status prawny dziecka, wspólnie ustalają, czy ma rodziców, poznają jego historię.

Czym zajmowałyście się w Salvation Home?

Rano Mama Carol prowadziła modlitwy – uczestniczyliśmy w nich wspólnie z chłopakami. Później był czas na jakieś animacje – gry i zabawy. Gdy wracali ze szkoły, odrabialiśmy wspólnie lekcje. Helena przywiozła walizkę pełną bloków, kredek i tym podobnych materiałów, które pozwoliły nam prowadzić zajęcia plastyczne. Prace manualne, rysowanie pomogły nam i chłopcom nawzajem się poznać, oswoić, zbliżyć do siebie.

Wróćmy jeszcze raz do opowieści o Waszym pierwszym wyjściu na ulicę.

Było popołudnie. Gdy dojechaliśmy na miejsce, zapadał zmrok. Wtedy „normalni” ludzie idą do domów, a na ulicy zostają bezdomni. Mama Carol знаła miejsca, gdzie gromadzą się masowo dzieci. To był plac przy targowisku, na którym dzieci grywały w piłkę.

Co tam zobaczyłyście?

Pierwszy raz widziałam coś takiego. Takie obrazy znałam tylko z telewizji. Dzieci... To było przerażające. Na początku było mi bardzo ciężko. Helenie też. Gdy wracałyśmy z ulicy, płakałyśmy. Pamiętam, że Helena mnie pocieszała. Wiedziałyśmy, że nie przyjechałyśmy płakać, ale po to, by dać im trochę siły. Jednak to ciężkie przeżycie, trudno było powstrzymać emocje. W drodze powrotnej z pierwszej wizyty na ulicy Mama Carol dużo nam opowiadała, ale my wtedy milczałyśmy.

Co wywarło na Was tak mocne wrażenie?

Mama Carol zajęła się opatrywaniem ran niektórych dzieci. Wszystkie ją tam znały. Ciesząc się, przybiegały do niej. Wołały do niej po imieniu.

My rozmawiałyśmy z dziećmiakami i młodzieżą. W Zambii są różne plemiona, ale urzędowym językiem jest angielski. Helena była bardzo otwarta, a to nie było na początku takie łatwe... Dzieci są brudne, niekiedy nieładnie pachną, w rękach mają często klej, czasami są poranione, zakrwawione. Pojawia się zwyczajny strach, że można się czymś zarazić. Po powrocie z ulicy od razu zrzuca się ubrania do prania.

Wtedy była z nami też Dorota Olędzka – wolontariuszka, która dojechała zaraz po nas, ale która już wcześniej cały rok spędziła u Mamy Carol. Przytulała dzieciaki, nie było w niej tego wstrętu, o którym wspominałam. Rozmawiała,

widać było wzajemną radość. My tego pierwszego dnia byliśmy trochę wycofane.

Później dołączyła do nas jeszcze czwarta wolontariuszka, Asia, która była już na wolontariacie w Zambii, ale w innym miejscu. Mama Carol podzieliła nas na pary – na zasadzie „doświadczona plus świeżak”. Helena była z Dorotą. W tym czasie jeszcze kilka razy wyjechały na ulicę z Mamą Carol.

Jak myślisz, jak Helena mogła czuć się wśród tych dzieci?

Kiedy teraz o tym myślę... Helenka lubiła przytulać. Bardzo dużo przytulała. Gdy dowiedziałam się o jej śmierci i przywoływałam jej obraz w pamięci – widać to zresztą na zdjęciach – był to obraz, jak przytula dzieciaki, przytula mnie, Dorotę. Ona wszystkich przytulała. To nie było takie zwykłe przytulanie. Nie robiła tego na siłę. Nikt nigdy nie czuł się z tym źle. To było bardzo ciepłe. Jak Helenka przytuliła, to każdy czuł się wyróżniony.

Helena była bardzo aktywna, mocno angażowała się we wszystkie zajęcia z dziećmi. Cały czas coś robiłyśmy – albo wspólne zajęcia, albo przygotowania do zajęć. Późno kładłyśmy się spać. Nieraz byliśmy bardzo zmęczone.

Jakich argumentów używałyście, żeby przekonać dzieci, by poszły z Wami do ośrodka?

To nie było nasze zadanie. Tym zajmowała się Mama Carol. Myśmy nie szły na ulicę po to, by kogokolwiek do czegoś przekonywać – myśmy szły po to, by z tymi dziećmi po prostu być. Spędzałyśmy tam dwie, trzy godziny – wspólnie graliśmy w piłkę, rysowaliśmy, rozmawialiśmy, opatrywałyśmy rany – dawałyśmy siebie.

Z kolei w samym ośrodku odbywały się typowe lekcje. Helen była nauczycielką. Przede wszystkim angielski

i matematyka. Matematyka, bo dzieci miały z nią problem. A angielski, wiadomo – Helen robiła to profesjonalnie.

Po powrocie z Zambii utrzymywałaś kontakt z Heleną?

Na ogólnopolskim spotkaniu WMS-u wspólnie opowiadałyśmy o Zambii. Wcześniej przygotowałyśmy filmik o naszej misji w Afryce. Potem też często wspominałyśmy Zambię. Ja mówiłam, że chciałabym tam wrócić; Helena zresztą też. Ja faktycznie wróciłam, ona już nigdy nie pojechała do Zambii.

Co według Ciebie sprawiało, że myślała o powrocie do Zambii?

Praca na misji to nie jest robienie cudów – nie da się zmienić wszystkiego od razu, ale da się zmieniać stopniowo. Helena bardzo lubiła ludzi i była otwarta na drugiego człowieka. Chyba ten bliski kontakt z ludźmi w Zambii był dla niej najważniejszy. Myślę, że miała nadzieję, że poprzez poświęcony czas, rozmowy może odmienić los czy rozwiązać problemy chociaż niektórych dzieciaków. Ona spędzała z nimi bardzo dużo czasu. Poznawała historie ich życia. Kiedy przyjeżdżałam z buszu, opowiadała mi o poszczególnych chłopakach – naprawdę bardzo dużo o nich wiedziała, a z kolei ta wiedza pomagała jej złapać z nimi dobry kontakt.

Co dla Ciebie było najbardziej frustrujące w tej pracy?

Nie było niczego frustrującego. Bardzo cieszyłam się z tego, co tam robiłyśmy. Najmniej sympatyczna sytuacja, którą pamiętam, to ta, jak zostałam okradziona... Przestrzegano nas, by nie zostawiać pieniędzy, a jednak to zrobiłam. Byłam zła, że staram się pomagać dzieciom, a najpewniej ktoś z nich mnie okradło...

Nie zniechęcał Cię w tej pracy fakt, że Wy przez chwilę wyrwacie te dzieci z ich rzeczywistości, a one później wracają na ulicę?

Nie wszystkie wracają, niektóre kończą licea, idą do college'u. Oczywiście, niektóre dzieciaki wracają na ulice, nadal wążają klej. Ale jest Mama Carol. Ona znowu je przygarnie i może za którymś razem opuszczą ten zaklęty krąg...

A Helena? Mówiła, co najbardziej przeszkadzało jej w Zambii?

Nic takiego nie utkwilo mi w pamięci. Nie przeżywałyśmy jakichś trudnych momentów. Zdarzało się, że nie zawsze była woda, albo w prysznicu leciała tylko zimna; czasami denerwowałyśmy się z powodu karaluchów. Wiedziałyśmy jednak, że to drobne sprawy w stosunku do tamtejszych problemów... Tam nie było czasu, żeby się rozczulać nad sobą. My tam byłyśmy przede wszystkim dla dzieci.

Helena była w WMS-ie „muzyczną”. Czy swój talent wykorzystywała również w Zambii?

Nie zabrała swojej gitary, ale zawsze pytała: „Gdzie jest gitara?”, bo na placówce były instrumenty. Brała gitarę, zaczynała brzdąkać, śpiewać. Gromadziły się wokół niej dzieciaki. Wiezorami w pokoju też śpiewała i... tańczyła. Ona była cały czas aktywna. Nie siedziała – jak siedziała, to rozmawiała z dzieciakami albo spała.

Zresztą nie miałyśmy tam zbyt dużo czasu na sen i zawsze trudno było wstawać rano o 5.30 czy 6.00 na modlitwę. Helena wstawała bez ociągania, nigdy nie narzekała. Nie pamiętam jej narzekającej. Ona potrafiła cieszyć się z tego, co jest. Bardzo ciepło ją wspominam. Gdybym miała użyć jednego słowa, aby ją opisać, powiedziałabym: aniołek.

Miała tam czas na modlitwę?

Tak. Czasem modliłyśmy się razem. Jak szłyśmy spać, zagadywałam coś do niej, a ona: „Czekaj, czekaj, bo kończę dziesiątkę”. Innym razem, gdy wchodziłam wieczorem do pokoju, widziałam, jak klęczała na łóżku, albo w ciągu dnia siedziała gdzieś w kącie skulona z Biblią. Była zwariowaną kobietą, ale potrafiła się też wyciszyć, jak warunki dnia na to pozwalały, bo np. dzieci poszły do szkoły. Myślę, że z modlitwy czerpała swoją siłę. Była taką osobą, która miała wszystko. Łączyła w sobie wiele cech, które raczej się ze sobą nie łączą. Potrafiła być zwariowana i spontaniczna, ale i wyciszona, stonowana.

Wiedziałaś o tym, że Helena wyjeżdża na misję do Boliwii?

Tak. Śledziłam na Facebooku, co w Boliwii robią razem z Anitą. Widziałam zdjęcia malunków na ścianach ochronki. Były śliczne. Dziewczyny pomalowały bardzo duże powierzchnie. Widać było, że mają talent i serce. To nie był tylko rysunek, ale serce na ścianie.

Tam było tak pięknie, że momentami chciałam tam być. Zresztą razem z Martą Trawińską miałyśmy jechać do Cochabamby. Uczyłam się nawet hiszpańskiego, ale siostry chyba nie odpowiedziały na naszego maila. Zareagowały później, dla nas było już za późno, dlatego w innym terminie pojechały Anita z Heleną.

W jakich okolicznościach dowiedziałaś się o śmierci Heleny?

Byłam wtedy w Kenii na prywatnym wyjeździe. Przechodziłam przez ulicę, żeby rozmienić pieniądze i zapłacić za przejazd. Gdy włączyłam Internet w telefonie, na

WhatsAppie odczytałam informację od Marty Trawińskiej: „Stało się coś strasznego – Helena nie żyje”.

Co pomyślałaś?

Że to głupi żart. Aż mi ciarki przeszły po plecach.

Przeleciała mi wtedy przez myśl cała Zambia. Zaczęłam się zastanawiać, czy to chodzi o Helenę, którą znałam – tę z Wolontariatu? Tę, z którą byłam w Zambii? Tę naszą Helenę?

Zatrzymałam się na końcu ulicy i nie mogłam uwierzyć w to, co przeczytałam. Wreszcie dotarło do mnie, co się stało. Rozpłakałam się. Płakałam w autobusie przez całą drogę do Nairobi. Później zaczęłam dopytywać Martę o to, co się stało. Wiedziałam, że w Boliwii jest niebezpiecznie, ale żeby ktoś zamordował wolontariusza? Ksiądz Paweł, jako misjonarz, wielokrotnie przestrzegał nas przed różnymi niebezpieczeństwami – byliśmy wyczuleni, że takie rzeczy mogą się zdarzyć, ale zabójstwo wolontariusza? To do dzisiaj nie mieści mi się w głowie. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że wolontariat czy praca na misji może być tak poważnym wystawianiem się na niebezpieczeństwo. Zwłaszcza, że to było okrutne morderstwo...

Okrutne?

Mam na myśli liczbę zadanych ciosów. Ile nienawiści musiało być w tym człowieku? On nawet jej nie znał... A Helena była szczuplutka, taka delikatna, taka zwiewna... Ona zawsze kojarzyła mi się z Zosią z *Pana Tadeusza* – taka dziewczęca, ciepła, uśmiechnięta, oczy z iskierkami, jej głos zawsze był ciepły. Aż mnie ciarki przechodzą, jak o tym teraz mówię. Dalej trudno mi w to uwierzyć...

Głośno mówi się o tym, że Helena może zostać świętą. Co o tym myślisz?

Ona zawsze była pomocna dla ludzi, otwarta, ciepła. Myślę, że ta świętość zawsze w niej była. Nie wiem, czy ludzie to docenią, bo „święty” kojarzy się od razu z Franciszkiem z Asyżu, z kimś z przeszłości. Dziś niełatwo być świętym... Ale jej się chyba to należy... Nie mnie o tym decydować, ale wydaje mi się, że jej życie zasługuje na takie wyróżnienie. Wielu ludzi zwróciło uwagę na jej piękne życie; wystarczy zauważyć, jak dużo osób było na jej pogrzebie, by to stwierdzić. Sama nie wiem, czy spotkałam inną tak dobrą osobę...

Te wydarzenia w Boliwii zmieniły Twój stosunek do wolontariatu misyjnego?

Jak rozkręcę swoją firmę i ustabilizuję się finansowo, to chętnie znowu wyjadę na misję. Pierwsze wrażenie po tragicznej informacji z Boliwii jest straszne. Morderstwo niewinnego człowieka, w tak okrutny sposób, może zrazić do wolontariatu. Misje są niebezpieczne, my jesteśmy tego świadomi; nas na to przygotowano – może nie na śmierć, ale na pewno uwrażliwiano nas na różne niebezpieczeństwa na miejscu. Zwłaszcza kiedy jedziemy do Afryki czy Ameryki Południowej, wyróżniamy się na ulicy, nie możemy się ukryć w tłumie. Jesteśmy dla nich biali i z góry jesteśmy przez nich oceniani – często nie mamy na to żadnego wpływu. Może tak było w Boliwii? Zobaczyli dwie białe dziewczyny z walizkami, które przyjechały do miasta... Nie wiem, jaka była motywacja tego człowieka. Nie ma usprawiedliwienia dla takiego zachowania.

Jej śmierć nie była na darmo – wierzę, że ma jakiś sens. Chociażby to, żeby pokazać ludziom, że świętym może być każdy z nas; że świętość okazuje się swoim zwykłym

życiem; że świętość to pomaganie innym na co dzień, że dziś święci są także pośród nas.

Czy Helena Ci czymś imponowała?

Ona mnie zawsze inspirowała. Wszędzie było jej pełno. Zawsze się zastanawiałam, skąd ona bierze tyle energii. Zawsze mnie inspirowało jej życie, nawet jej śmierć była inspirująca, bo ona nie umarła na darmo. Myślę, że Bóg miał w tym jakiś cel.

Sądzę, że jej postawa będzie inspiracją dla wielu ludzi, zwłaszcza dla misjonarzy. Miała taki hart ducha, była ambitna w tym, co robi, a przy okazji ludzka i... anielska zarazem. Jej życie jest bardzo inspirujące, zawsze żyła blisko Boga. Pamiętam, że na spotkaniach WMS-u często do późna siedziała z gitarą w kaplicy. Wszyscy już wychodzili, a ona nadal grała i tym samym zachęcała, by ludzie zostawali i śpiewali. I faktycznie zostawali.

Była bardzo aktywna, nie tylko na polu religijnym, ale na każdym, na którym się udzielała – widać to po jej różnych aktywnościach i zainteresowaniach: chemia, muzyka, bycie stewardesą... Ja też zawsze chciałam być stewardesą. Gdy się dowiedziałam, że Helenka stara się o tę pracę, pomyślałam: „Jezu, jakie to cudowne, że ona spełnia marzenia”. Dziewczyny często marzą o tym, by być stewardesą.

Helena była szczuplutka, wrażliwa i bardzo kobieca, ale zarazem silna, miała swoje zdanie i jak chciała, to postawiła na swoim.

Czy zastanawiałaś się, skąd ona brała siłę na wszystkie wspomniane tu działania?

Wiedziałam i widziałam. Skąd? Od Boga. W niej było mnóstwo pasji, radości i miłości do Boga. Nie wiem, jak blisko była z Bogiem, ale patrząc na to, jak była skupiona

na mszy św., podczas śpiewów, jak dużo czasu spędzała w kaplicy, widać było, że jej zależało na relacji z Nim. Ciągle chciała być jeszcze bliżej Niego, by ubogacać się, umacniać się od wewnątrz. Bardzo nam wszystkim jej brakuje, i tej aury, którą wokół siebie roztaczała.

Trzebnica, kwiecień 2017

MAGDALENA KACZOR

ZROBIĘ WSZYSTKO, BY MISJA HELENY TRWAŁA

Magdalena Kaczor, dla bliskich i przyjaciół „Kaczka”. Pierwszy raz spotkała się z Helenką na ogólnopolskim spotkaniu Wolontariatu Misyjnego Salvator w maju 2012 roku. W sierpniu tamtego roku wyjechały razem na dwutygodniowy wolontariat na Węgry. To Magda jako osoba odpowiedzialna za komunikację i PR w WMS-ie po śmierci Heleny czuwała nad informacjami, które wychodziły w świat.

Ja i Helena. Obie już od kilku miesięcy należałyśmy do WMS-u. Spotkałyśmy się pierwszy raz w maju i bardzo szybko się okazało, że obie wybrałyśmy Węgry na swoją pierwszą placówkę misyjną. Poznawałam Helenkę w tej właśnie perspektywie: jedziemy razem na dwutygodniowy wolontariat.

Pamiętam, że na początku wydała mi się taka bardzo delikatna, dziewczęca, cicha. Myślę, że po części taka była, że raczej z natury była... zrównoważona. Tak, zrównoważona, to jest chyba dobre słowo. Szybko się jednak okazało, że jej osobowość jest bardziej skomplikowana. To znaczy, nie jest to tylko taka cicha i skromna osoba, ale potrafi być i zabawna, i przebojowa; miała w sobie dużo spontaniczności. Ale to zauważyłam dopiero przy bliższym poznaniu.

Magda pochodzi z niedużej miejscowości Czemierniki (60 kilometrów na północ od Lublina); była stypendystką Fundacji

Dzieło Nowego Tysiąclecia. Na jednym z wakacyjnych obozów Fundacji, w 2009 roku, poznała o. Ottona Katto, pochodzącego z Ugandy misjonarza w Zgromadzeniu Misjonarzy Afryki, Ojców Białych.

Swoimi opowieściami i w ogóle swoją obecnością zasiał we mnie ziarenko. Od tamtej pory ono kiełkowało. Słuchając o. Ottona, czułam, że muszę sprawdzić, czy to, co mi się teraz wydaje, co czułam, faktycznie jest powołaniem, a może tylko moją zachcianką i słomianym zapałem?

Magda już od 2009 roku chciała dołączyć do jakiejś wspólnoty misyjnej, ale nie do końca wiedziała, gdzie takie pragnienie może zrealizować. W trakcie swych studiów w Warszawie dowiedziała się, że jedna z jej koleżanek z roku kilka miesięcy wcześniej dołączyła do WMS-u. To ona pierwszy raz zaprowadziła Magdę na regionalne spotkanie Wolontariatu w Warszawie.

W ogóle wcześniej nie znałam salwatorianów. Przez przypadek, czy raczej dzięki Ani, trafiłam do Wolontariatu Misyjnego Salvator. Myślę, że to był palec Boży, że akurat w tej grupie zaczęłam rozważać i pogłębiać swoje powołanie.

Palec Boży? Co takiego spotkało Cię w WMS-ie?

Myślę, że bardzo dużo dobrych, ale też trudnych doświadczeń... To, jakich ludzi poznałam i z jakimi przyjaźnię się do tej pory, jest zasługą akurat tego, że w odpowiednim czasie znalazłam się w tej grupie. Teraz nie wyobrażam sobie siebie w innej grupie misyjnej. Poza tym salwatorianie stali mi się bardzo bliscy. Myślę, że to było miejsce doskonałe dla mnie. Gdy pojawiłam się w WMS-ie, poczułam, że właśnie odnalazłam to, czego mi brakowało.

Magda w 2012 roku wyjechała na Węgry, w 2013 do Rumunii, a w 2014 ponownie na Węgry. Na przełomie lat 2015 i 2016 poleciała do Meksyku.

Z Helenką byliście razem tylko raz? Na tym pierwszym wyjeździe?

Tak, chociaż miałyśmy plany, żeby pojechać jeszcze gdzieś razem. Ona miała jechać z nami do Rumunii w 2013 roku, ale ostatecznie wybrała inny kraj.

Dlaczego na ten pierwszy wyjazd wybrałaś Węgry?

W tamtym roku było zapotrzebowanie na wolontariuszy w tej placówce. A ja jako nowy członek Wolontariatu nie miałam dużego wyboru – jest on zależny od stażu i od zaangażowania. Moje zaangażowanie było bardzo mocne, ale wtedy jeszcze stosunkowo krótkie, więc mogłam się starać tylko o te najbliższe i najkrótsze wyjazdy. Poza tym o wyjeździe na Węgry zdecydowały też bardzo prozaiczne rzeczy – odpowiadał mi termin, odpowiadała mi specyfika pracy, czyli praca z dziećmi i młodzieżą, organizacja półkolonii językowych. Czytając o wymaganiach do posługi na tej placówce rozeznałam, że to powinno być miejsce, w którym się przydam z moimi predyspozycjami. Podobnie było w przypadku Helenki – czytając opis placówki i tego, co tam ma się odbywać, poczuła, że to jest jej bliskie i że w tym by się odnalazła.

Opowiedz o wyjeździe.

Pojechaliśmy tam w piątkę. To był totalny miszmasz charakterów – ja z Helenką prawie w tym samym wieku; Marta, która dopiero co skończyła 18 lat; małżeństwo o kilka lat starsze od nas. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że każdy z nas jest totalnie z innej bajki. Później okazało się, że to

bardzo dobrze działa, że się świetnie uzupełniamy. Pamiętam nasze wspólne posiłki, nasze rozmowy. Często to, co wypełniało drugi plan, okazywało się bardzo wartościowe – nie tylko nasza praca dla tych ludzi, z tymi ludźmi, ale też to, co my sobie nawzajem dawaliśmy, siadając wieczorami i rozmawiając o Bogu, na różne poważne tematy, grając w piłkarzyki czy chodząc wspólnie na poranną mszę św.

Pracowaliście tam z dziećmi. Na czym konkretnie polegała Wasza praca? W czym najlepiej czuła się Helena?

Program na każdy dzień ustalaliśmy wszyscy razem. Już przed wyjazdem mieliśmy pewien zarys tego, jak będą wyglądały te półkolonie – co chcemy zrealizować, a później już z detalami ustalaliśmy to z dnia na dzień, przygotowując konkretne materiały. Przed południem mieliśmy zajęcia z dziećmi, później obiad, a po południu zajęcia z młodzieżą. To były najróżniejsze zajęcia – sporo tańca, muzykowanie, nauka angielskiego, zabawy sportowe. Każdy z nas angażował się w prowadzenie tych zabaw. Wydaje mi się, że wszyscy pracowaliśmy tak samo, więc trudno byłoby mi określić, w czym Helenka czuła się najlepiej. Ale niewątpliwie, gdy uczyliśmy piosenek, Helena siadała z gitarą i śpiewała – dobrze się czuła w takim bezpośrednim kontakcie z dziećmi. One ją świetnie odbierały. Była ciepłą osobą, wzbudzała zaufanie i uwielbiała się przytulać – wiecznie było ją widać wśród dzieci, które się do niej garnęły.

Dzieci w jakim wieku?

Młodsze, mniej więcej od 5 do 12 lat, a starsze do 18. roku życia.

Poza pracą typową dla tej placówki mieliście czas dla siebie? Na zwiedzanie, jakąś rekreację?

Były takie momenty, chociaż nie za wiele. Pamiętam, że kiedyś wybraliśmy się nocą do Budapesztu. Byliśmy też w Ostrzyhomiu, gdzie jest przepiękna bazylika. Tam oprowadzał nas salwatorianin [bazylika św. Wojciecha w Ostrzyhomiu to największa i najważniejsza katedra katolicka na Węgrzech, siedziba prymasa Węgier – przyp. red.]. Były zatem także i takie momenty, kiedy mogliśmy się trochę oderwać od pracy i odpocząć. Poza tym nieco z innej perspektywy poznać Węgry i kulturę tego kraju.

Miałś szansę spędzić z Heleną więcej czasu, poznać ją. Na pewno. Na pierwszym spotkaniu nie zdążyłam jej jeszcze poznać – miałam jakieś pierwsze impresje, ale nie byłam w stanie powiedzieć o niej więcej. Jednak już po dwóch tygodniach na Węgrzech złapałyśmy naprawdę świetny kontakt i czułyśmy się bardzo dobrze w swoim towarzystwie – nadawałyśmy na tych samych falach. Bardzo się zakumplowałyśmy po tym wyjeździe, więc później byliśmy w stałym kontakcie.

Poznałam wtedy Helenkę z różnych stron, różne jej oblicza – też takie bardziej szalone, bo my tam cały czas robiłyśmy jakieś żarty, wygłupiałyśmy się, np. oblewałyśmy wszystkich wodą albo krzyczałyśmy na ulicy: „Szukam męża!”, kiedy prawie nikt nas nie rozumiał. Obie mocno się cieszyłyśmy, że ten wyjazd dał nam szansę, by bliżej się poznać.

Wpuściła Cię wtedy do swojego prywatnego świata – do swojej rodziny, opowiadała o bliskich? Dowiedziałas się o niej czegoś, co było dla Ciebie ważnym odkryciem? Nie przypominę sobie teraz, czy Węgry to był akurat ten moment, kiedy opowiadała mi o sobie i o swoich bliskich. Wtedy na pewno doświadczyłam, jakim jest człowiekiem.

Widziałam jej działanie, bycie tu i teraz, że jest bystra i bardzo uważna na inne osoby, dobra dla innych, ale równocześnie, że jest też normalną dziewczyną. Widziałam w niej czasami to, co widziałam i w sobie. Że czasami ma ochotę coś zrobić, ale nie do końca wie jak albo jeszcze się wstydzi. Z każdym dniem widać było, że obie coraz mocniej pokonujemy jakieś nasze blokady i odważamy się na więcej. Helenka mnie tym zaskakiwała. Na samym początku myślałam, że to taka bardzo skromna, pobożna, cicha dziewczyna – i jak mówiłam, taka faktycznie była – ale oprócz tego była i niezłą jajcarą. Pograła w piłkę, kogoś zaczepiła, dała nawet jakiegoś szturchańca. Miała w sobie dużo luzu, dużo takiej spontaniczności i szaleństwa Bożego.

Powiedziałas, że po pobycie na Węgrzech Wasz kontakt się zintensyfikował.

Widywałyśmy się na spotkaniach ogólnopolskich Wolontariatu albo przy okazji jakichś innych wydarzeń związanych z misjami. Poza tym byłyśmy w stałym kontakcie telefonicznym, mailowym czy facebookowym. Później, w latach 2015-2016 częściej się odwiedzałyśmy – ona od czasu do czasu wpadła do Warszawy; ja odwiedziłam ją kilka razy. W ogóle w różnych sytuacjach gdzieś tam się łąpałyśmy.

Zapytam jeszcze o to: „Szukam męża”. W Helenie była tęsknota za tym, żeby stworzyć z kimś związek, a potem małżeństwo?

Taaak, jasne. Ona miała takie marzenie, żeby założyć rodzinę. Ale w czasie, o którym opowiadam, miałyśmy po 22-23 lata. To był jeszcze moment, kiedy żadna z nas nie żyła tym tak bardzo mocno. To prawda, później coraz częściej się o tym mówiło i to było oczywiste, że Helenka będzie chciała

zakładać rodzinę, jak pojawi się ta odpowiednia osoba. Na pewno widziała siebie jako żonę i mamę.

W jaki sposób w Waszych rozmowach pojawiał się temat misji? Mówiąc o swoim zaangażowaniu misyjnym, użyłaś słowa „powołanie”...

My bardziej żyłyśmy misjami, niż o tym rozmawiałyśmy. To się po prostu działo codziennie i cały czas. To, czym się zajmowałyśmy, to były misje non stop. Jak już były takie momenty, że się zatrzymywałyśmy nad tym i podejmowałyśmy jakąś refleksję, dochodziłyśmy do wniosku, że mamy ogromną potrzebę tego typu pracy i przeżywania wiary właśnie w takiej odsłonie. Widziałyśmy w tym działanie, które ma na celu przybliżenie ludzi do Boga, nawet jeżeli wprost o tym Bogu nie mówimy. Zależało nam na tym, żeby tak traktować ludzi, z taką miłością, by sami czuli się kochani i mieli świadomość, skąd jest ta miłość. To ich poprowadzi do Pana Boga.

Myślę, że kiedy w 2015 czy 2016 roku Helenka rozważała kolejny dłuższy wyjazd, to wtedy mówiłyśmy o powołaniu misyjnym, o tym, że jest takie pragnienie w sercu, żeby Panu Bogu oddać jeszcze więcej, żeby zostawić to wszystko, co się tutaj ma, to wszystko znane, bliskie, a często też wygodne. Miałyśmy przeświadczenie, że zostawiając wszystko dla Pana Boga, zyskamy jeszcze więcej. Było w nas pragnienie oddania życia, zawierzenia Mu, i chęć powiedzenia: „Jadę gdzieś na pół roku czy na rok – dysponuj mną, jestem Twoim narzędziem”.

Jak ta deklaracja ma się do tego, o czym powiedziałaś wcześniej – do pragnień Helenki o małżeństwie i rodzinie? Czy to się nie wyklucza?

Boliwia miała być tym najdłuższym wyjazdem. W momencie, o którym opowiadam, myślałyśmy, że to jest do pogodzenia. Równocześnie miałyśmy gdzieś z tyłu głowy świadomość, że to ostatni moment, kiedy możemy w taki sposób służyć misyjnie – to było na chwilę przed moim wyjazdem do Meksyku i rok przed Boliwią Helenki. Wiedziałyśmy, że teraz jest ostatni dzwonek na to, żeby wyjechać, bo później każda z nas miała w planach raczej skoncentrowanie się na zakładaniu rodziny, na zadbaniu o związek. To wprawdzie nie wykluczało się z działaniem na rzecz misji, ale już nie mogło być mowy o takim totalnym oddaniu. Nie można być świeckim misjonarzem, który spędza po kilka czy kilkanaście miesięcy na drugim końcu świata, i równocześnie ma szczęśliwy związek. Chyba że wyjedzie się we dwoje...

Jednocześnie wiedziałyśmy obie, że inna forma służby w Wolontariacie też jest potrzebna. Gdy kończyłyśmy studia czy gdy byłyśmy świeżo po studiach, widziałyśmy siebie właśnie w takim działaniu, jak wyjazd na placówkę misyjną gdzieś daleko, ale po powrocie myślałyśmy już raczej o innym rodzaju posługi – dzieleniu się doświadczeniem i wspieraniu grupy z innej perspektywy. Nie można pozostawać całe życie w tym samym punkcie. Wiedziałyśmy, że nie zostaniemy w Wolontariacie na zawsze, bo formacja jest nastawiona na osoby młodsze od nas, to znaczy na studentów. Skoro my już tę formację przeszłyśmy, teraz trzeba poszukać dla siebie nowego miejsca, nowej przestrzeni, by nadal czuć, że pogłębiasz wiarę, że się rozwijasz, że dajesz od siebie tyle, ile jesteś w stanie. Obie byłyśmy otwarte na to, by działać na różne sposoby i dojrzywać do tego, żeby w odpowiednim momencie umieć rozeznać, co jest tak naprawdę najlepsze, na czym mi zależy. Żadna z nas nie miała takiej pewności w sobie, że chce być świecką misjonarką

i całe swoje życie poświęcić gdzieś na misji, rezygnując z założenia własnej rodziny.

Nasza potrzeba wyjazdu na misje była autentyczna, dlatego nazywam to „powołaniem misyjnym”, ale jednocześnie byliśmy pewne, że chcemy założyć rodziny, że Panem Bogiem chcemy dzielić się z najbliższymi, a dopiero później iść dalej.

Poza Boliwią dość wyjątkowy był wyjazd Heleny do Zambii...

Pamiętam, jak Helenka decydowała się na ten wyjazd. To było w trakcie ogólnopolskiego spotkania WMS-u, a takie decyzje powinny być podjęte dużo wcześniej. Ona zmieniła swoją początkową decyzję. Myślę, że trochę pod wpływem prezentacji o tej placówce, którą mieliśmy na spotkaniu. Ta prezentacja zrobiła na Helenie ogromne wrażenie i wtedy zaczęła się poważnie zastanawiać nad tym, czy nie dałaby rady pojechać gdzieś dalej i na dłużej. Ostatecznie zdecydowała się właśnie na Zambię, której też dosyć mocno się bała, bo nie wiedziała, czy sobie tam poradzi, ale bardzo mocno zawierzała Panu Bogu.

To były dla niej bardzo wartościowe i szczęśliwe chwile, ale także bolesne. Napatrzyła się na ludzkie cierpienie, na krzywdę, na biedę, na choroby, na bezdomne dzieci. Zadawała sobie pytanie bez odpowiedzi: jak im pomóc? Widziała ocean potrzeb i pragnień, których nie była w stanie spełnić. Wiedziała, że to, co robi, to kropla w morzu, ale wiedziała też, że warto tę swoją kroplę dać. Czuła, że bardzo potrzebna jest tam ta pomoc i jeśli miałyby okazję jechać do Zambii jeszcze raz, to na pewno chciałyby pojechać. Widziała ogromną potrzebę pracy wolontariuszy i misjonarzy świeckich.

Ty na swoim koncie masz nie mniej egzotyczny wyjazd do Meksyku. Jak Helena komentowała Twoje plany?

Ona mnie bardzo wspierała i była podekscytowana tym wyjazdem, bo też już jej w głowie świtało, żeby pojechać do Ameryki Łacińskiej. I nawet już zaczynała uczyć się hiszpańskiego. To jej mocno grało w duszy. Mówiła mi: „Oj, Kaczusia, zazdroszczę ci, że ty już tam jedziesz; może pojedę tam po tobie”. Cieszyła się, że jadę, obiecywała mi modlitwę. Często, jak do niej pisałam, zapewniała o tym, że się za mnie modli, że pamięta, więc czułam od niej duże wsparcie.

Meksyk i Boliwia to dla Europejczyka kraje zbliżone kulturowo.

Tak. Jak jej opowiadałam o Meksyku, to miała już pewne wyobrażenie tego, jak może być w Boliwii. Niebawem te wyobrażenia miała zweryfikować...

Ty byłaś przy rodzeniu się pomysłu wyjazdu do Boliwii?

Pamiętam, że o tym rozmawialiśmy. Boliwia pojawiła się na horyzoncie wtedy, gdy była pewność, że wolontariusze WMS-u nie będą już jeździli na placówkę do Meksyku. Helena zaczęła rozglądać się za inną lokalizacją w Ameryce Łacińskiej. Gdy Boliwia została potwierdzona, ja byłam świeżo po powrocie z Meksyku i zaczynałam pracę w WMS-ie. Odpowiadałam za promocję i *fundraising*, pomagałam w koordynacji pracy wolontariuszy i bieżącej działalności Wolontariatu. Z tego powodu byłam na bieżąco w kontakcie z dziewczynami – starałam się je mocno wspierać w ich przygotowaniach do wyjazdu, w pozyskiwaniu środków.

Co im mówiłaś o Latynosach?

Zwracałam uwagę, żeby miały bardzo dużo cierpliwości, żeby nie starały się zmieniać czegoś na siłę, żeby się nie frustrowały, żeby nie oczekiwały punktualności, bo tam ludzie zupełnie inaczej mogą postrzegać czas. Mówiłam, że kiedy spróbują wniknąć w tę kulturę, to przestanie im sprawiać kłopot. Zachęcałam, by szukały takich rozwiązań, które być może tutaj nigdy by im nie przyszły do głowy. Uprzedzałam, że to będą najdłuższe i najgłębsze rekolekcje w życiu. Mówiłam też, że już im zazdroścę tego czasu, ale nie ukrywałam, że też będzie trudno – będzie pięknie i trudno.

Wydaje mi się, że one były na to gotowe, że w ogóle dużo omadlały ten swój wyjazd, że mocno starały się przygotować. Miałam wrażenie, że odpowiednie osoby jadą w odpowiednie miejsce. Byłam spokojna, bo wiedziałam, że i Helena, i Anita są dojrzałymi osobami i zrobią tam kawał dobrej roboty.

Mówisz, że jechały w „odpowiednie miejsce”, czyli nie było w Tobie żadnych wątpliwości co do bezpieczeństwa? Wiem, co się mówi o Ameryce Łacińskiej, jakie panują stereotypy – że tam jest niebezpiecznie, że przemysł narkotykowy, że to kraje pełne przemocy. W Meksyku niczego takiego nie doświadczyłam. Dziewczyny doskonale wiedziały, że trzeba tam zachować ostrożność, i nie musiałam ich jakoś szczególnie na to uwrażliwiać.

Jak już wspomniałam, w Meksyku nie miałam nawet takiego wrażenia, że jestem w pobliżu jakiegoś zagrożenia, że może mi się stać krzywda, więc raczej je uspokajałam. Osoby spoza Wolontariatu widzą to często inaczej: „Jedziesz na koniec świata; Bóg wie co tam ci się przytrafi; może stać się coś złego”. One odbierały takie sygnały, a ja je z kolei uspokajałam – owszem, nie zachęcałam do ryzyka,

zwracałam uwagę, żeby uszanowały to, że tam panuje inna kultura, ale absolutnie nie zniechęcałam do tego wyjazdu.

Czy Twoje myślenie o bezpieczeństwie na misjach zmieniło się po wydarzeniach w Boliwii?

Nie, moim zdaniem to mogło się wydarzyć w każdym innym miejscu. Także w Polsce. Nie uważam, żeby tamtejsi ludzie byli brutalniejsi. Od początku na to zwracała uwagę Anita, która z powodu ogromu cierpienia mogłaby żywić głęboką urazę. Zależało jej jednak od samego początku, by nikt nie pomyślał, że Boliwijczycy są źli, by nie rozpowszechniały się i nie umacniały krzywdzące stereotypy na ich temat.

Rozmawiałś o tym z Anitą, dlatego że to Ty odpowiadałaś za medialny przekaz w WMS-ie po śmierci Helenki?

Ona mówiła o tym do mnie w prywatnych rozmowach. Choć przyznam, że w tych miesiącach po śmierci Heleny lepiej się poznałyśmy, byłyśmy w stałym kontakcie. Dodatkowo, faktycznie z racji moich obowiązków zawodowych, byłam blisko i czuwałam nad komunikacją z mediami. Pamiętam, że pytałam, co ona chciałaby światu powiedzieć. Jedną z pierwszych rzeczy, o których wspominała, było właśnie to, że nie chce utrwalania tych krzywdzących stereotypów, że to, co się tam wydarzyło, mogło się wydarzyć zupełnie gdzie indziej. Z drugiej strony – mówiła – to może być potwierdzenie, że tam trzeba jeździć z Panem Bogiem, że On tam jest bardzo potrzebny.

Każde zło ma swoje źródło. Wydaje mi się, że jeśli ktoś jest szczęśliwy, nie będzie czynił zła. Zło często jest reakcją na zło, które wcześniej się człowiekowi przytrafiło. Ludzie, którzy popełniają przestępstwa, którzy zabijają, tak naprawdę są bardzo nieszczęśliwi, słabi i totalnie zagubieni.

Anitka właśnie w ten sposób patrzyła na człowieka, który zabił Helenkę. Wręcz płakała nad jego niedolą, że jest tak strasznie zagubiony, że jest tak bardzo uwikłany w grzech.

Magdo, ostatni raz z Heleną spotkałyście się tuż przed wylotem do Boliwii, bo dziewczyny nocowały u Ciebie w Warszawie...

Przyjechali we trójkę: Helenka, Anita i Michał. Ten wieczór był naprawdę jakiś magiczny i bardzo radosny. Przyszło też kilku naszych wspólnych przyjaciół i nagle pokój się wypełnił. Porozsiadaliśmy się we wszystkich możliwych miejscach – zajęliśmy wszystkie krzesła i łóżka, siedzieliśmy na podłodze. Panowała fajna atmosfera. Dziewczyny jeszcze coś przepakowywały, bo Anita przywiozła własnoręcznie upieczony chleb, Helenka pokazywała ikonę napisaną przez swoją mamę. No i cały wieczór się przytulaliśmy i było dużo radości; nie było we mnie żadnego niepokoju o dziewczyny. Miesiąc wcześniej wysyłałam inną moją przyjaciółkę, Mariolkę, do Zambii. Teraz był czas na Helenkę i Anitę, które miały wrócić za pół roku. Byłam przekonana, że będę je właśnie wtedy odbierać z lotniska. Już nawet myślałam, co na tę okoliczność przygotować – jakieś plakaty powitalne, szampana...

Wspomniałaś, że do Warszawy dziewczyny przyjechały z Michałem. Jak patrzyłaś na ich związek?

Wiedziałam, że Helenka zna się z Michałem od dłuższego czasu. Ale jako bardzo zabiegana osoba pojawiała się w wielu miejscach tylko na chwilę. Oni widywali się regularnie, jednak nigdy nie mieli okazji, by się bliżej poznać. Gdy wyjechali razem w góry i mogli spędzić ze sobą więcej czasu niż zwykle, okazało się, że są bratnimi duszami. Później zaczęli się częściej spotykać. Wydaje mi się, że zadziało

się to dość szybko. I nagle Helena mówi mi, że czuje, że mógłby to być jej mąż i ojciec jej dzieci. To było od początku bardzo poważne. Takie rzeczy się po prostu wie.

Helena z jednej strony była bardzo podekscytowana tym związkiem, a z drugiej – trochę zaniepokojona, że miłość przytrafiła jej się właśnie akurat teraz, w momencie gdy przygotowuje się do wyjazdu na misje. To było dla niej trudne. A jeszcze trudniejsze dla Michała, który wcześniej nie miał praktycznie styczności z tym misyjnym światem. On nie do końca rozumiał, dlaczego tak niesamowita dziewczyna, z którą wspólnie chcą tworzyć coś solidnego, zaraz ucieknie na drugi koniec świata. Pamiętam, jak Helena mi powiedziała, że dla niej to jest bardzo trudne, ale misje były pierwsze...

To był pragmatyczny wybór? Zadecydowała kolejność...

To pokazywało, że Helena jest przede wszystkim oddana Panu Bogu. Gdy odkryła to powołanie misyjne, nie chciała z niego rezygnować dla bycia z Michałem. Mówiła też: „Jeżeli mamy być razem, przetrwamy to”. Dobrze rozumiałam tę sytuację. Tak samo zadziało się ze mną i z Carlosem – poznaliśmy się, gdy szycowałam się do długiego wyjazdu. Od razu postawiłam sprawę bardzo jasno, że ja tak czy siak tam pojedę. On od początku mnie w tym wspierał. Nie miał zresztą innego wyjścia. Ten mój wyjazd ostatecznie nas umocnił – pokazał, że trzeba bardzo walczyć o kontakt z drugą osobą, gdy jest tak utrudniony.

Ale to jest możliwe...

Oczywiście, to jest możliwe. Helena była przekonana, że wyjedzie do Boliwii, ale zaraz stamtąd wróci, będą się zaręczać, zakładać rodzinę. Ta misja była dla niej bardzo ważnym etapem. Ale właśnie etapem. Ona wiedziała, że

ma do czego wracać i chciała do tego wracać. To nie jest tak, że wyjeżdżała, bo nie miała nic innego do roboty, albo wyjeżdżała, by szukać sensu życia. Ona ten sens od początku dostrzegала, była bardzo szczęśliwa i spełniona, ale jednocześnie miała ogromną potrzebę, by jeszcze – dopóki właśnie nie jest na etapie zaręczyn czy bliskiego myślenia o zakładaniu rodziny – coś z siebie dać.

Gdy dziewczyny były już w Boliwii, utrzymywałyście kontakt?

Pisałyśmy na Facebooku. Za każdym razem Helenka mówiła, że mają się super i wysyłała zdjęcia – obie z Anitą uśmiechnięte, w kapeluszach.

Napisała mi m.in., że już rozumie, co miałam na myśli, gdy opowiadałam o Meksyku i mówiłam, że jest to niesamowite uczucie, gdy zostawiasz wszystko, co kochasz, jedziesz w zupełnie nieznanne miejsce i wydaje ci się to ogromnym poświęceniem, ale jak już tam jesteś, to mimo wszystko, czujesz się ogromnie szczęśliwy. To jest niepojęte, że jest się tyle tysięcy kilometrów od domu, bez bliskich, i jest się szczęśliwym. Ona była bardzo szczęśliwa. Odkryła, podobnie jak ja, że gdy robisz to dla Pana Boga, czujesz ogromną wolność. Trudno to opisać...

Gdy pytałam, jak się obie mają, Helenka pisała: „Wspaniale! Kochamy, tęsknimy”. Często dodawała, że więcej napisze jutro. Jedna z tych wiadomości okazała się ostatnia...

W jaki sposób dowiedziałaś się o śmierci Heleny?

Telefonicznie, od księży salwatorianów. To było dosyć wcześnie – ok. godz. 13.00-14.00. Wtedy nie wiedzieli jeszcze rodzice, więc księża prosili, bym z nikim nie dzieliła się tą wiadomością. I to było chyba dla mnie najtrudniejsze. Najtragiczniejszą wiadomość w moim życiu, najgor-

sze chwile przez kilka godzin przeżywałam sama. Byłam w szoku i totalnym zawieszeniu. Bardzo płakałam. Przez dłuższą chwilę nie mogłam się uspokoić. Kłębowało w myśli i okropny ból – niezrozumienie, dlaczego to się w ogóle stało. Ból pomieszany z nadzieją na cud, że to może nie jest prawda, że może mi się to tylko śni i zaraz się przebudzę z tego koszmaru. Zastanawiałam się, dlaczego to jej się przytrafiło – przecież ja też byłam tyle czasu w Meksyku i włos mi z głowy nie spadł, a ona dopiero co wyjechała i ktoś ją zamordował. Jak to możliwe?

Otrzymałaś taką wiadomość, bo ktoś musiał się zmierzyć z tym, że za chwilę trzeba będzie przygotowywać jakieś komunikaty medialne. Jak wyglądały wtedy kulisy Twojej pracy? Opracowaliście jakąś – brzydko mówiąc – strategię informowania?

Radziłam się moich przyjaciół, którzy pracują w różnych mediach. Sugerowali, żeby ograniczyć się do komunikatów drogą mailową, by na początku ograniczyć wywiady telefoniczne czy na żywo, bo możemy zostać łatwo wmanewrowani w retorykę, której nie chcemy. Na początku był strach, że media nie zostawią na Wolontariacie suchej nitki, że będziemy obwiniani o śmierć Helenki. Wiedzieliśmy, że takie pytania będą się pojawiać, więc żeby wyjść im naprzeciw, sami sformułowaliśmy nasze stanowisko. Myślę, że pierwszy komunikat, jaki opublikowaliśmy, ograniczył medialne spekulacje. Przygotowywanie tekstu było dla mnie trudne.

Było trudne z tego względu, że z jednej strony przeżywałam coś bardzo osobistego, bo ta tragedia dotyczyła kogoś Tobie bliskiego, ale z drugiej strony musiałaś zająć się różnymi sprawami...

Dokładnie tak było. Dostyc szybko zablokowałam w sobie pewne emocje. Po ludzku chciało mi się płakać, nie chciałam nigdzie wychodzić, wolałabym zostać w domu. Ale jeszcze mocniej wpłynęła na mnie świadomość, że muszę być ostoją dla wszystkich ludzi w Wolontariacie, muszę wszystkim się zająć – jestem jedną z twarzy Wolontariatu i teraz to jest moja misja. Chciałam nad wszystkim możliwie jak najlepiej zapanować, żeby też zaoszczędzić cierpienia rodzinie Helenki. Miałam takie mocne przekonanie, że muszę się tym zająć niezależnie od tego, czy będzie czas na sen, jedzenie; wiedziałam, że przez tych kilka pierwszych dni muszę dać z siebie wszystko. Tak było... Wtedy praktycznie nie odchodziłam od komputera i nie odkładałam telefonu.

W tym wszystkim była też Anita, która została w Boliwii...
Udało nam się z nią skontaktować chyba na trzeci dzień po śmierci Helenki. Do tego momentu bardzo się o nią bałam. Po rozmowie kamień spadł mi z serca.

Bałaś się, że ona nie udźwignie tego, co się stało?

Nie wyobrażałam sobie, jak ona strasznie musi cierpieć. Nie wiedziałam, jaka będzie jej reakcja. Po rozmowie okazało się, że Anita tę sprawę bardzo mocno zawierzyła Panu Bogu. Bardzo mnie to uspokoiło, chociaż wiedziałam, że ogromnie cierpi. Miałam nawet taką myśl, że spakuję się i polecę do niej, bo nie może być w takich okolicznościach sama. Ale siostry odpowiednio się nią zajęły. Uspokoiła mnie, mówiąc, że siostry się o nią troszczą i że niczego jej nie brakuje, chociaż przyznała, że wszystkim na miejscu jest bardzo trudno.

Powiedziałaś, że musiałaś wyciszyć swoje emocje, żeby zająć się sprawami formalnymi. Były takie momenty, kiedy te emocje odblokowywałaś?

Tak. Na mszach św. Pozwalałam sobie wtedy na płacz i przeżywanie tego, co naprawdę czuję. Tak samo było na pogrzebie. Emocje zaczęły ze mnie schodzić. Ale do czasu pogrzebu przez kilka tygodni żyłam w zawieszeniu. Zrezygnowałam z udziału we wszystkich przedsięwzięciach, w które byłam wcześniej zaangażowana. Zupełnie przeorganizowałam swoje życie. Jak dziś o tym pomyślę, to wiem, że fakt, iż to przetrwałam, zawdzięczam tylko Panu Bogu.

Czy czułaś, że pogrzeb kończy jakiś etap w tym całym wydarzeniu czy przeciwnie – że otwiera jakiś nowy czas w Waszej relacji z Heleną?

Z jednej strony to było zamknięcie pewnego etapu – po prostu pożegnanie z nią jako moją żyjącą przyjaciółką, a z drugiej – otwarcie kolejnego. Od początku myślałam o tym, że ona już na pewno jest w niebie i że teraz stamtąd będzie czuć i wspierać. Dlatego wiedziałam, że to nie koniec, ale nowy początek. I że ten początek nie będzie już taki trudny i bolesny, że to będzie zmartwychwstanie, nowe życie i kontynuacja jej misji – że ona będzie nadal żyła w tym, co się będzie działo po jej śmierci.

Czujesz, że ona ciągle jest?

Nie ma dnia, nie ma wręcz godziny, w której bym o niej nie pomyślała. Czasami, jak jest mi trudno, gadam do niej: „Helena, co ty byś zrobiła?”. Czuję jej obecność. Gdy mam momenty jakiegoś zwątpienia, myślę, że nie warto się poddawać, bo ona by nie ustawała. Wtedy zaciskam zęby i idę dalej.

Widzę też dużo ożywienia w osobach, które od dłuższego czasu były już mniej zaangażowane w Wolontariat, a które od śmierci Helenki uaktywniły się i zdały sobie sprawę z tego, że misje i nasz Wolontariat nadal są ważne w ich życiu. Nie oszukujmy się – łatwo jest się w tym

świecie gdzieś zapędzić – dużo pracy, dużo obowiązków, codzienne troski. Łatwo wypaść z rytmu działania na rzecz misji. Sporo osób dzieliło się taką refleksją, że śmierć Helenki była dla nich pewnym przełomem, momentem stanięcia w prawdzie i... powrotu. Zadawali sobie pytanie: co mogę teraz od siebie dać, by misja Heleny trwała: „Teraz dużo zależy od nas samych, czy będziemy z niej czerpać i się nią inspirować”.

Co jeszcze, oprócz reakcji wolontariuszy, zaskoczyło Cię w tym, co wydarzyło się po śmierci Heleny? Reakcja mediów?

Tak. Media mnie pozytywnie zaskoczyły. Zdecydowanie przeważały głosy pełne współczucia i podziwu dla niej, dla jej ofiary, oraz zrozumienia, że ta tragedia mogła się wydarzyć też w innym miejscu, w innych okolicznościach. Dużo było materiałów, które podkreślały nie tylko jej śmierć, ale fakt, że Helenka pięknie żyła, a dzięki jej śmierci wielu ludzi mogło poznać to piękne życie. Mnie bardzo cieszyło to, że przestała być kojarzona tylko jako „wolontariuszka zamordowana na misji”. Ludzie poznali ją jako pięknego człowieka, wielu osobom stała się bardzo bliska. To było niesamowite, gdy różni ludzie pisali na naszym fanpage’u na Facebooku – wierzący i niewierzący – że mimo iż jej nie znali, Helena stała się im bardzo bliska, że czują się z nią mocno związani. Podkreślali, że gdyby nie jej śmierć, nie zobaczyliby, jak piękne życie prowadziła, a teraz dała im dużo do myślenia.

Byłaś świadkiem jakichś cudów za jej wstawiennictwem?
Dochodzą mnie takie słuchy, ale nie chcę o tym mówić, co dzieje się w życiu innych. Gdy jest mi ciężko, proszę, żeby Helena mi pomagała. Gadam do niej albo z nią. Czuję,

że przynosi mi to ulgę. To są takie moje małe cuda, które dzieją się każdego dnia.

Skoro dochodzą Cię słuchy, że takie cuda się zdarzają, to może któryś z nich przyczyni się w przyszłości do beatyfikacji Heleny?

Od początku nie miałam wątpliwości, że ona jest już w niebie. To, czy Kościół uzna jej świętość, to dla mnie drugorzędna sprawa. Oczywiście bardzo się będę cieszyła, jeśli to nastąpi, ale też chyba nie dociera do mnie fakt, że ktoś bardzo mi bliski może zostać uznany przez Kościół katolicki za błogosławionego czy świętego. To jest po prostu niebywałe. Mocno też czuję, że nasza wspólna historia – Helenki i moja – będzie jeszcze trwać. Mimo że Helenka umarła, nasza przyjaźń będzie trwać przez wiele, wiele lat, do końca mojego życia – albo i dłużej.

Trzebnica – Warszawa, wrzesień 2017

KS. MIROŚLAW STANEK SDS

CZY O TAKIE BŁOGOSŁAWIENSTWO CHODZIŁO?

Ksiądz Mirosław Stanek SDS dyrektorem Wolontariatu Misyjnego Salvator jest formalnie od 1 lipca 2015 roku, natomiast nieformalnie jest związany z jego początkami od roku 2010, kiedy to odpowiadał za Referat Misji Zagranicznych w Polskiej Prowincji Salwatorianów, któremu początkowo podlegał WMS.

Czasami w żartach chwale się, że jestem chyba jedyną osobą, która była na wszystkich ogólnopolskich spotkaniach WMS-u.

Skąd w ogóle wzięły się misje w Księdza życiu? Był Ksiądz misjonarzem?

Na misjach nigdy nie byłem, ale już od czasów seminarijnych ten temat był mi bardzo bliski. W seminarium opiekowałem się kołem misyjnym, a także odpowiadałem za organizowanie sympozjów misyjnych. Myślałem również o pracy misyjnej... Zaraz po święceniach zrobiłem doktorat z misjologii. Jak widać, wszystko kręciło się wokół misji. Myślę, że w pewien naturalny sposób po kilku latach pracy na parafii zostałem skierowany do pomocy w Referacie Misji Zagranicznych, a w 2015 roku zostałem wybrany na konsultora prowincjalnego do spraw misji.

Formalnie ks. Stanek jest odpowiedzialny równocześnie za salwatoriański Referat Misji Zagranicznych i za Wolontariat Misyjny Salvator. To dwa różne apostołaty, ale siłą rzeczy bardzo ze sobą związane. Po pierwsze, ze względu na charakter i zakres działalności, a po drugie, w sposób formalny – w przeważającej większości wolontariusze wyjeżdżają na salwatoriańskie placówki misyjne.

W rozumieniu salwatoriańskim „misje” odnoszą się do placówek zakonnych w krajach stricte misyjnych – zgodnie z definicją soborową – tam, gdzie „ludzie rzeczywiście nie znają Chrystusa” i gdzie struktury kościelne nie istnieją w wystarczający sposób, ale także w krajach bałkańskich czy w krajach Europy Wschodniej, gdzie struktury Kościoła katolickiego nie są samodzielne.

Referat to wewnętrzzakonna instytucja, która zajmuje się opieką nad misjonarzami i pomocą misjom. Czym konkretnie? Jeśli chodzi o samych misjonarzy, to głównie jest to załatwianie różnych formalności, dokumentów potrzebnych misjonarzom (np. rejestracja samochodu). W przypadku misji chodzi o wspieranie ich materialnie. Ponieważ WMS też prowadzi działalność misyjną, zdarza się, że zasilają go środki z budżetu Referatu, tzn. od dobrodziejów salwatoriańskich misji. Ci ostatni regularnie otrzymują informacje na temat tego, co dzieje się zarówno na konkretnych placówkach misyjnych, jak i u konkretnych misjonarzy i w samym Wolontariacie.

Pod opieką Referatu pozostaje ok. 30 zakonników pracujących w różnych miejscach na całym świecie. Zakonników, bo jak dotąd pod auspicjami salwatorianów nie posługuje żaden świecki misjonarz, aczkolwiek formalnie nie ma do tego żadnych przeszkód.

Gdzie przebiega granica między misjonarzem a wolontariuszem misyjnym?

Trudno to określić. Podstawowym kryterium wydaje się czas spędzony na placówce misyjnej. Jeżeli ktoś wyjeżdża na dwa-trzy miesiące, czasem kilka tygodni, na pewno jest to wolontariusz misyjny. Chociaż z drugiej strony bardzo mocno uczulamy wolontariuszy, że są posłani z ramienia Kościoła. A skoro tak, to są posłani nie po to, żeby pomagać dla samego pomagania, tylko po to, aby świat, to znaczy konkretni ludzie usłyszeli o Chrystusie. Stają się wtedy przekaznikami wiary, czyli misjonarzami.

Helena była wolontariuszką misyjną czy misjonarką?

To miał być półroczny wyjazd. Ale w tym wypadku czas jest rzeczą drugorzędną, bo misjonarzem jest ten, kto chce mówić, świadczyć o Chrystusie. Gdziekolwiek jedzie nasza młodzież, gdzie wykonuje tzw. pracę wolontariacką, tam albo brakuje duchownych, albo nie ma struktur Kościoła, a ludzie, którzy przychodzą na nasze placówki, potrzebują też ewangelizacji. Jeśli spojrzymy na tę sprawę pod kątem wewnętrznym, duchowym, to wobec każdego z naszych wolontariuszy możemy zamiennie używać określenia „misionarz”. Tym bardziej wobec kogoś, kto planuje wyjazd roczny czy półroczny, a to oznacza o wiele większe poświęcenie, czasem rezygnację ze swoich innych planów i ambicji. To coś więcej niż tylko oddanie czasu wakacji.

O Helenie możemy mówić „misionarka” w tych dwóch aspektach – formalnie jej wyjazd miał trwać pół roku, a o kwestiach duchowych chyba nie trzeba przypominać... Patrząc na całe jej życie i nie mam wątpliwości, że można o niej mówić „misionarz”, czyli ten, kto całym życiem świadczył. Tu nawet nie chodzi o jej śmierć na misji czy same wyjazdy misyjne. Przecież, jak mówiła jej mama, He-

lena była misjonarką na pokładzie samolotu, gdzie wśród ludzi niewierzących potrafiła mówić o Chrystusie, o wartościach, które wypływają z wiary. Misjonarzem jest osoba, która świadczy.

Pamięta Ksiądz pierwsze spotkanie z Heleną?

Szczerze mówiąc, nie pamiętam momentu pierwszego spotkania. W tym czasie przez Wolontariat przewinęło się kilkaset osób. Jestem osobą, która nie nawiązuje bliskich relacji przy pierwszym spotkaniu. Helenkę zauważyłem po pewnym czasie. Bliżej poznaliśmy się, gdy sześć lat temu trafiłem do Mikołowa. Jako odpowiedzialny za Referat Misji Zagranicznych naszej prowincji opiekowałem się też śląskim regionem Wolontariatu, do którego należała Helenka.

Jak ją Ksiądz zapamiętał z tamtego czasu?

Bardzo otwarta, ze zdolnościami muzycznymi, nie narzucała się innym. Nie była duszą towarzystwa od pierwszego momentu, ale w naturalny sposób stawała się nią przy bliższym poznaniu.

Chyba najmocniejsze wspomnienia związane są z jej pracą. Często na naszych spotkaniach zjawiała się prosto z lotniska, w swoim uniformie, albo wcześniej rano wyjeżdżała z naszych spotkań prosto na lotnisko, też w uniformie. Ciągłe bardzo żywy w mojej pamięci jest nasz wspólny lot z Gruzji.

Co to znaczy, że była otwarta?

To było bardzo naturalne. Nie narzucała się. Miała silną osobowość, ale każdy człowiek czuł się przy niej dobrze. W kontakcie z drugą osobą była bardzo delikatna. Gdy człowiek do niej podchodził, od razu coś zaskakiwało. Użyję wielkiego słowa – każdy czuł się przez nią zaafirmowany.

Na dużych ogólnopolskich spotkaniach ludzie się często mijają – nie sposób zaprzyjaźnić się z każdym. Może bardziej wybijają się osoby, które są organizatorami, które odpowiadają za coś wielkiego. A jej niezwykłość polegała na normalności. Jeśli mówimy o pięknym życiu, o świętości tego życia, to w Helence to jest piękne, że w niej nie ma nic, co w pierwszym momencie mocno rzucałoby się w oczy.

Ksiądz w jednym z wywiadów mówił, że ona lubiła ludziom sprawiać przyjemność. Co to znaczy?

Widziałem, jak zostawiała komuś na stoliku jakieś drobne prezenty.

Ten wspólny lot z Gruzji. W tanich liniach bezpłatnie nie powinniśmy dostać nic do picia, a ona przyniosła nam wodę w kubeczkach, na których było napisane „uśmiechnij się” i narysowana buźka i kwiatuszki; do tego były jakieś słodczyce – lizak czy cukierek. To było bardzo sympatyczne.

Czyli drobnostki, dbałość o szczegół – właściwie nic wielkiego, ale takie rzeczy wywołują u drugiego człowieka uśmiech.

Wszyscy to podkreślają. Wykorzystywała każdą możliwą okazję, by coś takiego zrobić.

Jeszcze odnośnie do tamtego lotu. To było niesamowite. Nic za to nie dostała, a zarwała całą noc tylko po to, żeby z nami wrócić. Podejrzewam, że w jej sercu musiało się to wszystko w niesamowity sposób obracać – każda mała okazyja była wykorzystywana, by zrobić coś dobrego dla kogoś.

W maju 2016 roku ks. Stanek odwiedzał placówkę misyjną w Gruzji. Kamilianie opiekują się tam chorymi i niepełnosprawnymi. Mieli tam jechać wolontariusze WMS-u.

Ksiądz Stanek już wcześniej mówił o swoim wyjeździe do Gruzji, więc Helena wiedziała, że będzie leciał Wizz Air.

Do Gruzji nie dała rady polecieć, ale spotkaliśmy się w drodze powrotnej. Wchodzę do samolotu, a steward, który odbiera ode mnie bilet, mówi: „Koleżanka na pana czeka”. Byłem zaskoczony. Nie powiedziała, że będzie leciała. Zrobiła mi niespodziankę.

Kiedy pierwszy raz rozmawialiście o jej wyjeździe misyjnym do Boliwii?

Ona czasami coś wspominała na ten temat, ale tak już bardzo konkretnie rozmawialiśmy o tym w maju 2016 roku na ogólnopolskim spotkaniu. Zasugerowałem jej, że mamy możliwości wysłać wolontariuszy do Afryki, gdzie zresztą już była, na Filipiny, do Indii, ale też do Ameryki Południowej. „Przemódl, rozglądaj się, myśl na ten temat” – mówiłem. Gdy we wrześniu spotkaliśmy się w Trzebini, sprawdzaliśmy w Internecie, jakie mamy możliwości w Boliwii. Wtedy znaleźliśmy siostry służebniczki. W ciągu kilku dni zadzwoniłem do sióstr tutaj w Polsce. Gdy dostałem numer do Boliwii, kontaktowałem się z s. Beżymą z Wikariatu Misyjnego. Wymieniliśmy się kilkoma mailami, a później sprawy organizacyjne przejęły już dziewczyny. Od finalnych ustaleń pod koniec września do wylotu minęło ok. trzech miesięcy.

Cochabamba i służebniczki to przypadek?

Do końca nie wiem. Być może Helenka spotkała wcześniej służebniczki i wiedziała o ich misji w Boliwii i to ona nam je zasugerowała, a my z ks. Adamem Ziółkowskim szukaliśmy kontaktu. Nie wiem...

Co Helena mówiła na temat tego wyjazdu? Jakie były jej motywacje?

Ze mną dziewczyny rozmawiały na ogół o sprawach technicznych związanych z wyjazdem. Na początku nie było wiadomo, w jakim charakterze będą tam posługiwać. Siostry dopiero przygotowywały ochronkę, więc teoretycznie dziewczyny mogły tam pracować. Anita jest rehabilitantką, a siostry zajmują się też taką usługą, zatem i ten rodzaj umiejętności mógł być przydatny. Stwierdziliśmy wspólnie, że to jest półroczny wyjazd, więc na pewno w tym czasie jakoś się tam odnajdą. Im obu, i Helenie, i Anicie, bardzo zależało na tym wyjeździe.

Poza tym o czym rozmawialiście? Co dla Heleny było ważne, jakie tematy poruszała? Czy to były może luźne rozmowy, żarty, czy może – ze względu na to, że Ksiądz jest kapłanem, duszpasterzem – przychodziła z poważniejszymi sprawami?

Dużo żartowaliśmy. Pod tym względem chyba się dobrze rozumieliśmy. Mieliśmy podobne poczucie humoru. Często były dialogi, których nie da się tu cytować ze względu na ich charakter – humor sytuacyjny, który nie byłby teraz zrozumiały.

Często też po moich kazaniach przychodziła i zwracała na coś uwagę. To była jedna z nielicznych osób, które to w jakiś sposób komentowały.

Mieliśmy spotkanie ogólnopolskie w Trzebnicy, w klasztorze u sióstr, kilka lat temu. Temat: adhortacja papieża Franciszka o radości – *Evangelii gaudium*. Helena wyczytała w tym dokumencie, że kazanie ma być „krótkie i jasne”. Zestresowała mnie tą uwagą na początku mojego kazania. Od tego zacząłem. Było wesoło.

Słuchała, a później miała pytania, wątpliwości?

Tak, albo jakieś dopowiedzenia czy nawet prowokacje. To było na ogół kilka słów. Wymiana myśli.

Każdy wolontariusz WMS-u jest oficjalnie posyłany na misję przez Kościół. W przypadku Anity i Heleny to posłanie było trochę nietypowe.

Nietypowe w tym sensie, że odbywało się w innym terminie niż zazwyczaj. Zwykle nasi wolontariusze wyjeżdżają w czasie wakacji, dlatego ich posłanie z nałożeniem krzyża misyjnego odbywa się na ogólnopolskim spotkaniu WMS-u podczas długiego weekendu w maju lub podczas kolejnego w czerwcu.

W przypadku dziewczyn, które miały wyjechać w styczniu, zdecydowaliśmy się na 6 stycznia – uroczystość Objawienia Pańskiego, wtedy Kościół w Polsce obchodzi Dzień Modlitw i Pomocy Misjom. Dziewczyny przyjechały wówczas do sanktuarium Matki Bożej Fatimskiej w Trzebini. Obie były z okolicy.

Ale to nie był pierwszy raz, kiedy posłanie wolontariuszy WMS-u odbywało się w innym terminie niż ten przed wakacjami. Poza tym pod względem, powiedzmy, technicznym, to posłanie nie różniło się w żaden sposób od pozostałych. Jest odpowiednia formuła – odniesienie do posłania misyjnego Kościoła, ale też do naszego założyciela Franciszka od Krzyża Jordana. W to wszystko wplecione jest nałożenie krzyża misyjnego, który jest znakiem towarzyszącym posłaniu.

Na ogólnopolskich spotkaniach krzyże misyjne wolontariuszom wręcza prowincjał salwatorianów.

Ze względu na ten wyjątkowy termin ksiądz prowincjał nie mógł być obecny. Ksiądz Marek Gadomski, duszpasterz

regionu WMS-u, do którego należały dziewczyny, nakładał im krzyże.

Ponieważ znamy dalszy ciąg wydarzeń z 6 stycznia, to czy coś w czasie tego posłania zwróciło Księdza szczególną uwagę?

Razem z ks. Markiem koncelebrowałem tę mszę św. Staliśmy już przy ołtarzu, dziewczyny w pierwszej ławce. Szepnąłem Markowi, że będę odprawiał w ich intencji – z prośbą o błogosławieństwo na czas wyjazdu do Boliwii. Wtedy wymieniliśmy spojrzenia i uśmiechy z dziewczynami. To jest moment, do którego powracam, dla mnie bardzo osobisty i mocny.

Dlaczego?

Bo wraca pytanie – modliłem się o błogosławieństwo dla nich, zresztą jak wszyscy na tym posłaniu – czy o takie błogosławieństwo chodziło?

Po mszy św. odbyło się spotkanie w naszym zakonnym refektarzu. Byli rodzice, znajomi dziewczyn. Gdy tam wszedłem, Helena od razu wstała i podbiegła do mnie i oczywiście rzuciła się na szyję. To jakoś dotyka... Trudno też o tym mówić.

Zwrócił Ksiądz uwagę, że był problem z założeniem krzyży dziewczynom...

Tak, bo rzemyki były zdecydowanie za krótkie, aby przez te wszystkie fryzury je przełożyć.

Dopytuję o to posłanie, bo ono w jakimś sensie stało się motywem Księdza słów wypowiedzianych w czasie pierwszej części uroczystości pogrzebowych, które odbywały się w Trzebini. Mówił Ksiądz wtedy o swo-

istym drugim posłaniu i o tym, że misja Heleny nadal trwa...

Pewnie wszyscy, którzy są w jakiś sposób zaangażowani i śledzą to, co dzieje się dziś wokół Heleny, widzą, że ta druga misja zaczęła się w momencie jej śmierci. Ponieśliśmy ogromną stratę – Helena straciła ziemskie życie. Ale przecież teraz dzieje się tak wiele różnego rodzaju dobra... Przez te tragiczne wydarzenia wiele osób mogło poznać świadectwo jej życia. Gdyby nie ta dramatyczna śmierć, kto by o niej usłyszał? Tu nawet nie chodzi o nią samą, ale o sposób czy możliwość prowadzenia takiego życia, jakie ona prowadziła. To jest ta druga misja.

To pokazały pierwsze dni po śmierci, a także po pogrzebie. Chociażby reakcje mediów, które nie doszukiwały się sensacji, ale w bardzo pozytywny sposób mówiły o jej życiu. Mam wrażenie, że to, co się stało w Boliwii, umożliwiło pokazanie jej osoby światu. Nie chodzi tylko o kwestię samego wyjazdu misyjnego czy pobytu w Boliwii, ale o całe jej życie, jej wybory. Dziś to może stanowić wzór dla wielu – zwłaszcza młodych – ludzi. Większość z nas poznawała jej całe życie dopiero po śmierci. Wcześniej znaliśmy tylko fragmenty. Poza zaangażowaniem misyjnym na jej życie składa się przede wszystkim zwyczajna codzienność, ta w Gliwicach, w rodzinnym domu. Helena jest wzorem codziennego życia. To jest właśnie ta misja, o której mówiłem, ten element, z którego wyniknie z pewnością więcej dobra niż za jej życia. Myślę, że to jest analogiczna historia jak w przypadku wielu świętych, którzy umierali młodo – ich misja zaczynała się po śmierci, kiedy ich życie stawiane było za wzór.

W czasie posłania zobaczył też Książd po raz pierwszy, że Helena z Michałem tworzą parę...

Zobaczyłem, że się przytulają, i wiedziałem, że to jest inna relacja niż z każdym z nas.

Nie zdziwiło Księdza to, że Helena zostawi chłopaka i na pół roku wyjedzie na drugi koniec świata?

Wtedy nie znałem szczegółowo ich sytuacji. Dopiero później z różnych relacji dowiedziałem się, że po powrocie z Boliwii planowali zaręczyny.

W czasie uroczystości pogrzebowych był Ksiądz jedną z osób, które od prowincjała otrzymały krzyż misyjny, taki jak dostają wolontariusze WMS-u.

To był dokładnie taki krzyżyk, jaki dostały dziewczyny.

Co się z nim teraz dzieje?

Znajduje się w „centrum WMS” w Trzebini.

Jak informacja o śmierci Heleny dotarła do Księdza?

Telefony były już o godz. 7.00. Nie odebrałem kilku połączeń z nieznanymi numerami – jak się okazało z Boliwii, a później także od sióstr służebniczek z Dębicy. Wtedy siostry, przez sekretariat prowincjalny, skontaktowały się z prowincjałem, który przekazał mi tę wiadomość.

To był szok. Przez pierwsze minuty gorączkowo zastanawialiśmy się nad tym, jak przekazać te informacje rodzinie. Wtedy skojarzyłem, że ks. bp Jan Zając to bliski krewny Heleny. Początkowo myślałem, że jest „bezpośrednim” wujkiem Heleny, czyli bratem mamy [w rzeczywistości bp Jan Zając jest bratem ojca Barbary Kmiec, czyli mamy Heleny – przyp. red.]. Postanowiliśmy najpierw poinformować biskupa i przez niego przekazać informację rodzinie. To trwało. Bardzo nerwowy czas. Kilka godzin. Dopiero po południu w końcu dodzwoniliśmy się do księdza bisku-

pa. Z prowincjałem byliśmy gotowi na wyjazd do Libiąża, by poinformować rodzinę, albo na wizytę w towarzystwie biskupa. Ksiądz biskup stwierdził, żeby nie odbywało się to tak formalnie, i zaproponował, że pojedzie tam razem z ks. Franciszkiem Ślusarczykiem. Już na miejscu, gdy przekazali tę wiadomość, biskup zadzwonił do księdza prowincjała i prowincjała, na prośbę rodziców, wyjaśniał okoliczności, które wtedy były znane, czyli to, co przekazały nam siostry.

Z kim z Boliwii Księża rozmawiali?

Najwięcej informacji przekazywała nam s. Savia Bezak – Polka, która wizytowała właśnie placówkę w Cochabambie. Opisywała nam m.in. strukturę budynku i to, w jaki sposób miejsce było zabezpieczone.

Czego dotyczyła „nerwowość”, o której Ksiądz mówi? Rozumiem, że sytuacja sama w sobie była dramatyczna...

Dla mnie to był szok. W pierwszym momencie myślałem, że trzeba albo zamknąć Wolontariat, albo przynajmniej na rok zawiesić wyjazdy.

Duży stres budziło to, w jaki sposób przekazać tę informację... właściwie wszystkim. Baliśmy się, żeby ta wiadomość o śmierci się nie rozniosła. Zależało nam, by rodzice usłyszeli o tym jako pierwsi. Później trzeba było napisać kilka słów i wysłać do wszystkich wolontariuszy. Trochę napisał ja, trochę Magda Kaczor. Zamieściliśmy informację na Facebooku. Zaraz zaczęły napływać informacje zwrotne, SMS-y.

Skąd myśl, by zamykać Wolontariat? Czego się Ksiądz obawiał? Nagonki mediów? Tego, że wolontariusze zrezygnują?

Jednego i drugiego. Byłem przekonany, że nie znajdzie się nikt, kto będzie chciał jechać nawet do bliższych krajów, skoro stało się coś, co nas wszystkich przerosło. Kiedy informacja o śmierci Heleny stała się publiczna, już kilka godzin później wiedziałem, że moje myślenie było błędne. Ludzie zareagowali zupełnie inaczej. Pojawiły się głosy, że nie można się poddawać, tylko działać. Rezygnowanie z Wolontariatu byłoby porażką. Usłyszałem też słowa, że byłaby to porażka dla Heleny, że jej życie poszłoby na marne – a nawet gorzej, jeśli to ze względu na nią działalność Wolontariatu stanęłaby pod znakiem zapytania. Bezsensowna byłaby wtedy jej śmierć, gdybyśmy tak patrzyli.

Czy w którymś momencie miał Ksiądz poczucie winy, że śmierć Heleny wydarzyła się na wyjeździe pod patronatem instytucji, której jest Ksiądz dyrektorem?

Tak było w pierwszym momencie. Ale po chwili refleksji przychodziła myśl, że takie nieszczęście mogło się zdarzyć wszędzie. Trudno mówić o jakiejś logice myślenia w takiej sytuacji...

Myślał Ksiądz kiedykolwiek o tym, że będąc odpowiedzialnym w swojej prowincji zakonnej za misje, będzie musiał się Ksiądz kiedyś mierzyć z taką sytuacją jak śmierć misjonarza?

Zawsze najniebezpieczniejszym miejscem wydawała mi się Afryka. Starałem się zwracać uwagę na wolontariuszy, którzy tam wyjeżdżali. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę się musiał mierzyć ze śmiercią kogoś z misjonarzy, bo jednak śmierć na misjach to nie jest chleb powszedni. Ponad dwa tysiące Polaków pracuje na misjach – księżę diecezjalnych, zakonników i siostr zakonnych, osób świeckich. Do tego trzeba doliczyć całą rzeszę wolontariuszy.

Jeśli zliczyć osoby z innych krajów, to na misje wyjeżdżają dziesiątki tysięcy osób. Nie bagatelizuję tego, ale przecież takie sytuacje się nie zdarzają. Więcej ludzi ginie w Polsce w różnych napadach.

Oczywiście taka tragedia, jak ta w Boliwii, wywołuje poruszenie, nawet strach, ale to jest jednostkowa sytuacja, która nie może wpływać na nasze myślenie o misjach. Niestety, musimy mieć świadomość, że jutro znowu gdzieś na świecie może wydarzyć się coś podobnego, a może być tak, że kolejny misjonarz zostanie zamordowany za 100 lat albo w ogóle.

Spotkał się Ksiądz z jakimiś atakami na siebie albo na WMS, z zarzutami, że jest winny tej tragedii?

Przeczytałem wiele takich komentarzy w Internecie. Ale nikt, kto mnie zna, nie postawił mi takiego zarzutu wprost.

Był Ksiądz z prowincjałem u rodziców Helenki. Jak reagowali na informacje o tej tragedii?

Byłem pod niesłychanym wrażeniem. Nie spodziewałem się takiej reakcji, tzn. przyjęcia tego wszystkiego, co się stało, z takim spokojem, w duchu ogromnej wiary. Nie wiem, czy można użyć słowa „zrozumienie”, że ofiara z tego życia jest po to, żeby prowadziła do innego życia. Było oczywiście sporo emocji. Wszystko zostało przyjęte z ogromną wiarą.

Ksiądz biskup, kiedy przekazywał informacje o śmierci, miał powiedzieć, że „Helenka poszła do nieba”. Rodzice pomodlili się Koronką do Bożego miłosierdzia. Później przez telefon załatwiałem wiele spraw z mamą Helenki w kwestii pogrzebu. Z jej strony padało wiele słów wdzięczności za zaangażowanie. Na pewno nigdy nie usłyszałem żadnego słowa wyrzutu, a tym bardziej oskarżenia. Słyszałem też, że gdy jakieś przyjaciółki Heleny dzwoniły do siostry, to ona

je pocieszała. Środowisko rodzinne, w którym wyrastała Helena, było niesamowite, na pewno nieprzeciętne.

Od momentu śmierci do pogrzebu minął prawie miesiąc. Co się wtedy działo?

Przede wszystkim pracowaliśmy nad sprawami formalnymi – m.in. kwestią sprowadzenia ciała. Tutaj trzeba oddać wielki honor siostrze, które tam na miejscu czuły się bardzo związane z tą sytuacją. Robiły wszystko, co w ich mocy. Bardzo pomocny był też konsul, z którym w kontakcie był ks. Marek Gadomski. Ksiądz Marek także w pierwszych dniach pojechał na mszę św. do Libiąża i zaopiekował się najbliższymi Helenki. My, jako WMS, utrzymywaliśmy ciągle telefoniczny kontakt i z siostrami, które przekazywały bezpośrednio informacje, i z konsulem. Wiadomości trafiały do nas, a później do księdza biskupa i do rodziny albo bezpośrednio do rodziny.

Okazało się, że wszelkiego rodzaju formalności były trudne do załatwienia. Ciało musiało być przetransportowane najpierw z Boliwii do Peru, a dopiero z Peru do Europy. Procedury wymagały odpowiedniego czasu, kontroli itp. To trwało naprawdę długo.

W Krakowie prokuratura wszczęła postępowanie. W związku z tym byłem kilkakrotnie przesłuchiwany.

Zastanawialiśmy się też nad organizacją pogrzebu – jak będą przebiegać uroczystości, kto ma być za nie odpowiedzialny.

Ponadto w tym czasie, zwłaszcza bezpośrednio po śmierci i w okolicach pogrzebu odpowiadaliśmy na liczne zapytania ze strony mediów.

Kto zdecydował o tym, że ciało należy sprowadzić do Polski?

Chyba nikt się nie zastanawiał nad tym, żeby pochować ją w Boliwii. To była dla nas i dla rodziny bardzo oczywista sprawa.

Rozmawiamy o Helenie, a przecież w Cochabambie ciągle była wtedy druga Wasza wolontariuszka – Anita.

Kiedy pierwszy raz z nią rozmawiałem przez telefon, była w szoku. Sam byłem w szoku, gdy ją słyszałem. Po kilku dniach było dużo lepiej.

Od początku staraliśmy się sprowadzić ją jak najszybciej do Polski. W Boliwii musiała zostać kilkanaście dni ze względu na sprawy prowadzone przez policję i prokuraturę. Szukaliśmy różnych rozwiązań. Zastanawialiśmy się, czy ktoś nie powinien do niej lecieć. Byliśmy na to gotowi – albo któryś z księży, albo Magda Kaczor. Na szczęście sprawy toczyły się w miarę sprawnie i dość szybko mogła wrócić do kraju.

Ktoś z nią wracał?

To było dla nas ważne, żeby nie leciała sama, dlatego też zastanawialiśmy się, czy ktoś z nas nie powinien po nią lecieć. Ale jedna z siostr przesunęła swój urlop i wróciły razem do Polski. Rodzice przyjechali po nią na lotnisko. Rozmawiałem z nią o tym dwa dni przed wylotem. Chciała, żeby tylko rodzice po nią przyjechali.

Czy Ksiądz jako dyrektor WMS-u zaobserwował jakieś owoce wydarzeń w Boliwii? Coś, co można nazwać „efektem Helenki”?

Myślę, że całe to spotkanie WMS-u, które odbyło się w czasie uroczystości pogrzebowych, było takim efektem. Ono nas nieco przerosło ze względu na liczbę osób. Mamy więcej wolontariuszy, ale to może być efekt naszej wzmożo-

nej pracy na jesieni 2016 roku, kiedy uderzyliśmy z nową energią.

Osobiście wydaje mi się, że efekt Helenki dopiero się pojawi. Możliwe, że będzie widoczny nie tylko w Wolontariacie, ale może i w powołaniach do naszego zgromadzenia...

Jeśli chodzi o sam WMS, pod wpływem wydarzeń w Boliwii na nowo zaangażowało się wielu wolontariuszy, którzy przez lata byli z nami, ale już odeszli czy zastanawiali się nad odejściem, bo na takim etapie swojego życia byli. Dziś najbardziej widać to, że zaangażowanie we wspólnotę i poczucie tej wspólnoty zostało bardzo mocno odnowione.

Ksiądz nieśmiało przyrównał Helenę do świętych, którzy umarli młodo i którzy mogą być wzorem dla innych. Jednak już dziś głośno mówi się o możliwym procesie beatyfikacyjnym.

Helena na pewno jest wzorem i beatyfikacja w jej przypadku jest możliwa. Wszystko zależy pewnie od tego, na ile my ją zachowamy jako wzór, na ile w świadomości ludzi będzie funkcjonowała jako wzór życia. Ale niczego w tym obszarze nie wolno zbyt brutalnie przyspieszać. To musi być takie jak ona – bardzo naturalne. Nie chcę być źle zrozumiany, ale mamy na to kilka lat [kanoniczny czas do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego to pięć lat od śmierci kandydata na ołtarze – przyp. red.]. Chociaż już teraz niektórzy ludzie dają bardzo mocne świadectwa łask, jakie wydarzyły się w ich życiu za wstawiennictwem Heleny. To są bardzo dobre sygnały.

Co możemy powiedzieć na ten moment? Helena na pewno jest i będzie wzorem dla wielu. Musimy teraz patrzeć na jej wpływ na życie innych. Z pewnością możemy powiedzieć, że żyła w sposób święty.

**Jeśli proces doszedłby do skutku, to czy Helena została-
by pierwszą „salwatoriańską świętą”? Salwatorianie tak
o niej myślą?**

Każdy pewnie widzi Helenkę w takim kontekście, w jakim przeżywał relacje z nią. My niewątpliwie również tak o widzimy. Osobiście spotykałem ją w kontekście powołania misyjnego, realizacji charyzmatu salwatoriańskiego, w kontekście o. Jordana. Na spotkaniach często rozmawialiśmy przecież o salwatoriańskim rozumieniu misji, o słowach o. Jordana, które towarzyszą nałożeniu krzyży misyjnych – „Dopóki żyje na świecie choćby jeden tylko człowiek, który nie zna i nie kocha Jezusa Chrystusa – Zbawiciela świata, nie wolno ci spocząć”. Helena bardzo dobrze znała ten charyzmat. To doskonale widać, jak popatrzymy na jej życie lub zaangażowanie w różne sprawy.

To jednak delikatna sprawa. Czy ktoś zgodzi się nazwać ją salwatoriańską świętą? Osobiście tak bym ją nazwał.

Kraków, kwiecień 2017

KS. PIOTR FILAS SDS

NASZA, SALWATORIAŃSKA

Ksiądz Piotr Filas SDS – prowincjał Polskiej Prowincji Salwatorianów. Był pierwszą osobą ze „świata salwatoriańskiego” (włączając w to także Wolontariat Misyjny Salvator), która otrzymała informację o śmierci Heleny.

Siostry służebniczki dębickie nie mogły dodzwonić się do ks. Mirka Stanka odpowiedzialnego za Wolontariat Misyjny Salvator. Dlatego matce generalnej przysłała do głowy myśl, by skontaktować się z nami przez sekretariat prowincjalatu.

Dziś znamy drogę, jaką przebyła informacja o śmierci Heleny. Matka generalna sióstr służebniczek otrzymała tę wiadomość od s. Savii Bezak, która wizytowała właśnie placówki Wikariatu Misyjnego służebniczek dębickich w Boliwii.

Obiecałem matce generalnej, że zajmę się całą sprawą przekazania informacji rodzicom Helenki i rodzicom Anity. Gdy tylko spotkałem się z ks. Mirkiem, poinformował mnie, że krewnym Helenki jest ksiądz bp Jan Zając. Doszliśmy do wniosku, że skontaktujemy się z księdzem biskupem i postaramy się wspólnie ustalić dalsze działania.

Byłem wtedy świadkiem rozmowy ks. Mirka z s. Savią. Usłyszałem pierwszy opis wydarzeń z Boliwii. Siostra oczywiście była w szoku, ale próbowała zwerbalizować to, co się stało. Powiedzieliśmy, że będziemy w kontakcie.

W tym czasie Anita bardzo chciała zadzwonić do swoich rodziców. Jednak byliśmy przekonani, że najpierw musimy poinformować rodziców Helenki, później rodziców Anity. Chodziło o dobro każdej ze stron.

Jednak przekazanie tej informacji się opóźniało. Nie mogliśmy się skontaktować z bp. Zającem. W kurii dowiedziałem się, że jest na pogrzebie ks. Malińskiego. Poprosiłem sekretarkę, że jak tylko ksiądz biskup wróci, by pilnie się ze mną skontaktował. Samemu księdzu biskupowi zostawiłem SMS-a i co jakiś czas próbowałem się z nim połączyć. Mijały minuty.

O której godzinie informacja z Boliwii dotarła do Krakowa?

Matka generalna dzwoniła do mnie chwilę po godz. 10.00 [w Boliwii było wtedy po godz. 5.00 – przyp. red.]

Kiedy udało się skontaktować z bp. Zającem?

Jakieś dwie godziny później – ok. godz. 12.30.

Przez dłuższą chwilę był Ksiądz sam z tą informacją. To czas, w którym zapewne rodzą się różne myśli.

W tym momencie wiedzieliśmy tylko ja, ks. Mirek, pani, która pracuje w naszym sekretariacie, sekretarz i ekonom prowincjalny. Wiedziało bardzo ściśle grono zarządu prowincji. Nie ogłaszałem tej informacji nawet na naszym wspólnotowym obiedzie. Bałem się, że w pewnym momencie może zostać upubliczniona.

Jak przekazał Ksiądz tę informację bp. Zającowi?

Głos mi drżał. Ułożyłem sobie wcześniej w głowie taki tekst: „Niestety nie mam dobrych wiadomości. Przed chwilą otrzymałem informację z Boliwii, za pośrednictwem

matki generalnej służebniczek dębickich, że w miejscu, gdzie była Helenka, był napad. W trakcie tego napadu Helenka została dźgnięta nożem”. Wtedy jeszcze nie znaleźliśmy szczegółów. Powiedziałem, że były próby ratowania jej życia, ale nie powiodły się i ona zmarła.

Taką informację bardzo źle podaje się przez telefon. Nie widziałem reakcji drugiej strony. Starłem się mówić trochę okrągłymi słowami, bo nie znałem stopnia pokrewieństwa Helenki i księdza biskupa. Poza tym ksiądz biskup ma swoje lata i ta reakcja mogła być różna. Dla mnie osobiście to był trudny moment, widziałam, jak przeżywał to ks. Mirek. Przypuszczałem, że jeszcze trudniejsze będzie to dla osoby spokrewnionej.

Jak zareagował ksiądz biskup?

Był zaskoczony, nie dowierzał. Słysząc było, że łamie mu się głos. Odczułem, że jest bezradny, nie wiedział, co powiedzieć.

Ponieważ czas biegł nieubłaganie, starałem się przynaglać księdza biskupa, byśmy wspólnie znaleźli sposób, jak tę informację przekazać rodzicom. Zależało nam na czasie, bo wiedzieliśmy, że w Boliwii pracują polscy misjonarze i ta informacja może szybko dotrzeć do Polski. Nie chcieliśmy, by rodzice o śmierci swojej córki dowiedzieli się z mediów. Biskup zapytał, jakie mam propozycje. Stwierdziłem, że są trzy możliwości – pojedziemy tam wspólnie, pojedę sam albo ksiądz biskup pojedzie sam. Biskup zdecydował, że pojedziemy razem, a on wcześniej powiadomi rodziców, że się do nich wybieramy. Odradziłem takie rozwiązanie, bo z doświadczenia wiem, że ta godzina (tyle mniej więcej) zajęłaby nam podróż z Krakowa do Libiąża) dla rodziców byłaby jednym wielkim znakiem zapytania. Nagle przy-

jeżdża do nich biskup z prowincjałem? Zaczęłyby działać wyobraźnia. Poza tym mogliby zacząć dopytywać, a biskup zostałby postawiony w niezręcznej sytuacji, w której trudno nie odpowiedzieć. Ostatecznie ksiądz biskup się ze mną zgodził i poprosił o chwilę czasu, by mógł to przemyśleć i przemodlić. Po chwili oddzwonił. Powiedział, że pojedzie do Libiąża z ks. Franciszkiem Ślusarczykiem, a mnie prosi, żebym był w tym czasie pod telefonem. Mówił, że nie jest w stanie przewidzieć, jak zareagują rodzice, i być może mój głos będzie wtedy potrzebny.

Co potem zdecydował ksiądz biskup?

Rzeczywiście biskup do mnie zadzwonił i powiedział tylko, że są w domu Helenki i oprócz niego i ks. Ślusarczyka są rodzice i babcia. Mocniej zaczęło bić mi serce. Biskup poprosił, bym opisał, co się stało. Po drugiej stronie panowała kompletna cisza. Staralem się to ująć bardzo delikatnie, a zarazem konkretnie, żeby rodzina miała jasny obraz tego, co się wydarzyło. Zacząłem od kondolencji i wyrazów współczucia. Powiedziałem, że dla nas to też jest szok, że łączymy się z nimi w bólu. Mówiłem jakieś 15 minut, więc musiałem być bardzo szczegółowy. W zasadzie nie otrzymałem żadnego dodatkowego pytania. Ksiądz biskup jasno podziękował i powiedział, że będziemy w kontakcie.

Za jakiś czas zadzwonił ponownie. Już w drodze powrotnej do Krakowa. Powiedział, że jest mi bardzo wdzięczny, bo ten mój telefon uspokoił rodziców, dopełnił też jakoś całości informacji, którą przekazał im biskup jako ich krewny. Powiedział też, że rodzice przyjęli to w duchu wiary, chociaż był to dla nich wielki szok i ból. Po ludzku się z tym nie godzą, ale ponieważ są ludźmi wierzącymi, to przyjmują to dość spokojnie. Od tego momentu odbyłem jakieś kilkadziesiąt rozmów z biskupem.

Następnego dnia, w czasie rozmowy, opowiadał mi o tym, kim dla niego była Helenka i ta rodzina. Słyszałem, że płacze. Moja reakcja była podobna. To był moment, kiedy pierwsze informacje zaczęły pojawiać się w mediach. Zaczęli do nas dzwonić dziennikarze. Biskup poprosił, żebym osobiście nawiązał relację z rodzicami, bo trzeba podejmować konkretne decyzje, a pośrednictwo to utrudnia. Pojawiły się pierwsze informacje z konsulatu. Chodziło o sprowadzenie ciała. Chociaż Helenka była wolontariuszką WMS-u, to w tej kwestii nie mogliśmy być stroną – formalnie musieli się tym zająć najbliżsi.

Co w tym czasie działo się z Anitą? Czy jej rodzice dostali już informację o tej tragedii?

Nie. Nie wiedzieliśmy, jakie są relacje między rodzicami jednej i drugiej dziewczyny. Jak już mówiłem, zależało nam, by to rodzice Helenki jako pierwsi otrzymali tę wiadomość. Dopiero, gdy tak się stało, mogłem zadzwonić do rodziców Anity. Telefon odebrała mama. Był płacz. Może nawet histeria. Przypuszczam, że początkowo nie zostałem do końca dobrze zrozumiany, kiedy mówiłem, że Anita jest bezpieczna, i możliwe, że w wyobraźni mamy zaczęły pojawiać się różne domysły. W czasie tej rozmowy w tle słyszałem dziecko. Dodatkowo mama na bieżąco informacje przekazywała komuś w domu, najprawdopodobniej mężowi. Jedno z pierwszych pytań było następujące: „Kiedy Anita wróci do Polski?”. Odpowiedziałem, że dołożymy wszelkich starań, żeby nastąpiło to jak najszybciej. Pewne rzeczy były od nas niezależne. Anita musiała być do dyspozycji policji i prokuratury. Zapewniłem, że nie będzie wracała sama – albo przyleci z nią ktoś z Boliwii, albo ktoś z Polski po nią poleci. Później odbyłem z rodzicami jeszcze kilka rozmów. Sytuacja się trochę uspokoiła, gdy porozmawiali ze

swoją córką, usłyszeli jej głos. Zorientowali się, że mimo trudnej sytuacji tam, na miejscu, Anita jest bezpieczna. Później pytali m.in. o datę powrotu, o możliwość kontaktu z psychologiem. Zapewniłem, że uczynimy wszystko, co w naszej mocy, by sprowadzić ją do Polski i by mogła tu normalnie funkcjonować.

Wróćmy jeszcze do tego momentu, gdy po raz pierwszy dowiedział się Ksiądz o śmierci wolontariuszki „najmłodszego apostołatu” Polskiej Prowincji Salwatoriaków, którą Ksiądz kieruje. Jakie wtedy rodziły się myśli? Wróciłem w nich do ogólnopolskiego spotkania WMS-u w Międzywodziu. Wówczas dyrektorem Wolontariatu był jeszcze ks. Paweł Fiącek SDS, który na posłanie wolontariuszy, którym wręczałem krzyże misyjne, zaprosił także ich rodziców. Spotkaliśmy się wtedy na kawie – ja, wolontariusze posyłani na misje i ich rodzice. Wtedy najczęściej powtarzaniem pytaniem kierowanym w moją stronę było: „Czy nasze dzieci będą tam bezpieczne?”. Kiedy kończyłem tę pierwszą rozmowę z matką generalną siostr służebniczek, przypomniało mi się to spotkanie w Międzywodziu i to pytanie. Wiedziałem, że ono będzie teraz przez wielu powtarzane. Zacząłem się też zastanawiać, jaka będzie reakcja wolontariuszy, bo zginęła jedna z nich. Nie wiedziałem wtedy, co stanie się z samym Wolontariatem. Myśli były różne i skrajne. Zdawałem sobie sprawę, że takie zdarzenie mogło mieć miejsce wszędzie. Z drugiej strony to był konkretny kraj i konkretne posłanie, konkretna misja, konkretna wolontariuszka i konkretna śmierć... Wtedy w mojej głowie rodziło się wiele pytań, bo nie wiedziałem chociażby tego, jak na tę informację zareagują rodzice. Gdy tę reakcję już znałem, a nawet byłem po pierwszym osobistym spotkaniu z rodzicami, miałem w sobie większy spokój. Usłyszałem

wtedy od rodziców, że chociaż jest to dla nich ból, to przyjmują te wydarzenia ze zrozumieniem. Oferowałem im wtedy każdą potrzebną pomoc. Ksiądz Marek Gadomski SDS był swoistym łącznikiem między salwatorianami a rodziną i to on załatwiał wiele formalności związanych ze sprowadzeniem ciała Heleny do Polski czy później z organizacją pogrzebu. Szukaliśmy też różnych rozwiązań dotyczących pogrzebu. Sugerowałem rodzicom, by grób był w ogólnodostępnym miejscu, ze względu na możliwość wszczęcia w przyszłości procesu beatyfikacyjnego.

Już wtedy o tym myślano?

Tak, ponieważ taka sugestia pojawiła się na konferencji prasowej, w której wzięli udział kard. Stanisław Dziwisz i jego następca abp Marek Jędraszewski. Może to nie był najlepszy moment, ale wtedy też zapytałem rodziców, czy nie mieliby nic przeciwko temu, gdybyśmy założyli fundację misyjną imienia Helenki. Próbowałem się też zorientować, czy nie przeszkadza im fakt, że wypowiadamy się na jej temat w mediach. Wtedy otrzymałem odpowiedź w ciepło brzmiących słowach: „Proszę księdza, ona należała do was, bo jak przyjeżdżała na chwilę do domu, to brała szybki prysznic i jechała do Trzebini, na spotkanie Wolontariatu”. Te słowa „ona należała do was” upewniły mnie w tym, że musimy dołożyć wszelkich starań, by mimo tej wielkiej tragedii wypłynęło z niej mnóstwo dobra.

Co Ksiądz pamięta jeszcze z tego pierwszego spotkania z rodzicami?

Pamiętam, że gdy mama podawała ciasto do kawy, to powiedziała, że po śmierci Helenki spotykają się z wielką życzliwością ludzi – chociażby to ciasto, ktoś im je przyniósł, podarował. Całe spotkanie było przeplatane łzami,

każdej ze stron. Kiedy mówiłem, że Helenka była dla nas bardzo ważna, że była oddaną wolontariuszką, to mama stwierdziła, że o tym wie, bo „misje były dla niej wszystkim”. Mama zaczynała opowiadać o tym, jak Helenka zapalała się do wyjazdów misyjnych – od krótkiego pobytu po te dłuższe. „Jej nie można było utrzymać. Jak sobie coś postanowiła, robiła to”. Opowiadali nam o jej pracy stewardesy. I o tym szaleństwie, że w tak trudnych ekonomicznie czasach zdecydowała się na bezpłatny półroczny urlop, by pojechać na misje.

Książd przygotowywał się jakoś na to spotkanie z rodzicami? Obawiał się go?

Mam głęboko w sercu często powtarzane słowa – i w kapłańskim życiu, i wcześniej w kleryckim – żeby nie bać się tego, co chce się powiedzieć, bo „Duch będzie przez nas mówił” (por. Mt 10,20). Myślę, że to była jakaś łaska, bo gdy czasami wracam do słów wypowiedzianych w tamtym czasie, to myślę, że były trafne, ale nie wiem, skąd one we mnie były. Podobnie działo się wtedy, gdy stawałem przed kamerami i musiałem odpowiadać na pytania dziennikarzy.

A co z Wolontariatem Misyjnym Salvator?

Rodziło się wiele pytań. Jak zareagują wolontariusze? Czy Wolontariat nie rozpadnie się sam z siebie? Czy może ja powinienem jakoś zareagować i może przynajmniej na jakiś czas zawiesić jego działalność? Ale wątpliwości zaczynały zniknąć, gdy obserwowałem reakcje mediów, gdy rozmawiałem z ludźmi. Byłem pozytywnie zaskoczony tym, że praktycznie nie ma krytyki, a wszyscy wyciągają na wierzch dobro, które było udziałem Heleny. W tamtym czasie dostałem też wiele SMS-ów i maili wspierających. Odbyłem wiele spotkań i rozmów, także z jej bliskimi, którzy ciepło o niej

opowiadali, nie raz ze łzami w oczach. To nas wszystkich połączyło.

Skoro mówimy o mediach, to jaka była strategia komunikowania w tym czasie?

Początkowe ustalenie było takie, że wydajemy tylko komunikat i niczego więcej nie komentujemy. W tym komunikacie zresztą była prośba, by to uszanować. Ale w pewnym momencie uzmysłowiłem sobie, że o Helenie wszędzie zaczyna się mówić, a wydarzenia komentowały osoby, które niekoniecznie ją znały. Wtedy przyszło natchnienie, że skoro Helena była z nami tak bardzo związana, to nie możemy na jej temat milczeć. Pierwszego wywiadu udzieliłem Radiu Watykańskiemu. Tę rozmowę zaczęto cytować w różnych mediach. Później rozdzwoniły się telefony do sekretariatu z prośbą o kolejne wywiady.

Wspomniał Ksiądz SMS-y czy maile ze słowami wsparcia. A czy ktoś zgłaszał pretensje?

Osobiście nic takiego do mnie nie dotarło. Otrzymałem w tym czasie mnóstwo wiadomości z przekazem, że ludzie byli dumni, że salwatorianie w taki sposób pokierowali całą tą akcją. Dużo było wyrazów solidarności także od osób zupełnie obcych, np. na Facebooku.

Ksiądz jako prowincjał posyłał wolontariuszy na misje, wręczając im krzyże misyjne. Zwyczajowo brał Ksiądz udział w posłaniu, które odbywało się na spotkaniu ogólnopolskim. Posłanie dziewczyn do Boliwii odbyło się 6 stycznia i Ksiądz nie był na nim obecny. Proszę jednak opowiedzieć, jakie jest znaczenie tego obrzędu?

Posłanie to postawienie kropki nad i. Po okresie przygotowania do wyjazdu na misję – minimum rocznego przygo-

towania – następuje swojego rodzaju zwieńczenie. To jest też nawiązanie do opisywanego w Ewangeliach posłania uczniów przez Jezusa. Ponieważ WMS prowadzony jest przez Polską Prowincję Salwatorówianów, to wolontariuszy na misje posyła prowincjał.

Co Ksiądz chciał wyrazić, zawieszając krzyżyk misyjny na trumnie Heleny w czasie pogrzebu?

Nie ukrywam, że proponowaliśmy rodzinie, żeby pogrzeb Heleny odbył się w Trzebini. Powodów było kilka – tam mieści się siedziba Wolontariatu Misyjnego Salvator, z tego miejsca została też posłana na misję do Boliwii. Myślałem, że ten krzyżyk zawieszony na trumnie w Trzebini będzie taką swoistą klamrą. Chodziło o pewien symbol – z tego miejsca została posłana do Boliwii i z tego miejsca też rusza na ostatnią ziemską wędrówkę.

Ksiądz biskup zdecydował inaczej. Uroczystości pogrzebowe miały składać się z dwóch części – w sobotni wieczór pożegnanie Wolontariatu z Helenką w Trzebini, bardziej salwatoriańska uroczystość, a pogrzeb następnego dnia w Libiążu miał być manifestacją wiary (wiedzieliśmy już wtedy, że będzie wiele delegacji, że msza św. będzie miała charakter państwowy, z udziałem wojska, wiedziałem, że Helenka otrzyma prezydenckie odznaczenie). Chciałem, żeby ten oficjalny, bardzo uroczysty pogrzeb miał też jakiś wymiar salwatoriański, związane z Wolontariatem i misjami, z czym symbolicznie mogliby poczuć się połączeni wolontariusze, którzy przyjechali do Libiąża. Pomyślałem o tym krzyżyku, który jest charakterystyczny dla WMS-u. Z tego powodu przyczepiłem go do trumny.

Przekazał Ksiądz jeszcze trzy krzyżyki – rodzicom, bp. Zającowi i ks. Stankowi.

Chciałem wyrazić wdzięczność rodzicom – to dzięki ich wychowaniu Helena była zdolna do takich dzieł jak wyjazd na misje. Chciałem, żeby wiedzieli, że jako salwatorianie jesteśmy z nimi i będziemy z nimi do końca.

Wiedziałem też, że trzeba pamiętać o tych, którzy dokonali tego zła. Powiązałem ten fakt z Bożym miłosierdziem, a honorowym kustoszem sanktuarium Bożego Miłosierdzia jest właśnie bp Zając, który nas wszystkich jakoś przez tę tragedię przeprowadził, a należał do rodziny Helenki i mocno przeżył jej śmierć – sam słyszałem, jak płakał. Tak więc poprosiłem go, żeby krzyżyk zawiązał do Łagiewnik.

Byłem przekonany, że czwarty krzyżyk musi pojawić się przy zdjęciu Helenki, które zawiśnie w siedzibie WMS-u w Trzebini. Ten krzyżyk przekazałem dyrektorowi Wolontariatu – ks. Mirkowi.

Wspomniał Ksiądz, jak mama Helenki mówiła, że „ona jest wasza”. Co w niej jest waszego, salwatoriańskiego?

Trzeba mieć świadomość, że Helena była aktywna na różnych polach – pracowała przy organizacji ŚDM, udzielała się w duszpasterstwie akademickim w Gliwicach. WMS był jednym z takich pól aktywności Heleny.

Ona tak utożsamiała się z Wolontariatem, że prowokowała innych do tego, żeby jeszcze więcej zrobić na rzecz misji. To nie był przypadek, że ona trafiła do WMS-u. Jak weszła do Wolontariatu i pokochała misje, to robiła to z wielką pasją.

Czy Helenka ma coś z o. Jordana, założyciela salwatorów?

To nie przypadek, że przemówienie na zakończenie pogrzebu w Libiążu rozpocząłem od zdania, które jest duchowym testamentem o. Franciszka: „Dopóki żyje na świecie choćby

jeden tylko człowiek, który nie zna i nie kocha Chrystusa, nie wolno ci spocząć”. Nie przywołałem tych słów tylko dlatego, że my salwatorianie je świetnie znamy. Helena nie mogła spocząć, wyróżniała się aktywnością, była ponadprzeciętna w wielu obszarach: studia, duszpasterstwo akademickie, praca, wolontariat. Wiedziała, że musi zrobić coś więcej. To idea, która przyświeca w ogóle Wolontariatowi Misyjnemu Salvator, a Helenie przyświecała w sposób szczególny.

Jak Ksiądz rozumie sens tej śmierci?

[cisza]

Gdy dowiedziałem się o tej tragedii, po ludzku zadałem sobie pytanie: „Dlaczego ginie osoba, która tyle dobra mogła jeszcze zrobić?”. To naturalna wątpliwość. Rodzi się w każdym z nas. W pierwszej chwili myślimy: czy nie lepiej by było, gdyby Helena realnie wykonała dobro, które było jej zadaniem? Jednak dzisiaj, z perspektywy miesiąca, z perspektywy tego wszystkiego, co o niej powiedziano i napisano, z perspektywy doświadczeń z jej bliskimi, z perspektywy pogrzebu, jestem przekonany, że Pan Bóg ma plan. I tak jak powiedziałem o tym w kazaniu w Trzebini, że choć po ludzku jest ból, niezrozumienie, może nawet bunt, to ufam, że za jakiś czas, nie wiem jaki, zostanie nam pokazane, dlaczego tak, a nie inaczej zakończyła się misja w Boliwii.

Czym dla rodziny salwatoriańskiej są wydarzenia ostatnich miesięcy – zarówno śmierć Helenki, jak i to wszystko, co wydarzyło się chwilę po?

Moja siostra, słuchając moich wypowiedzi w mediach, śledząc różne relacje, napisała SMS-a: „Pan Bóg ciekawie, choć tragicznie opowiedział o was innym. Helenka zginęła, będąc

salwatoriańską wolontariuszką, i teraz o tym, że należała do waszego Wolontariatu, do wolontariatu salwatoriańskiego, poprzez swoją śmierć innym opowiada”. Coś w tym jest. Choć wiem, że dopiero w dłuższej perspektywie zobaczymy pewne sprawy. Po pierwsze: jaki to ma wpływ na nas, na nasz sposób życia jako salwatorianów? Po drugie: w jakim stopniu ta tragiczna śmierć i osoba Helenki wpłyną na rozwój wolontariatu i liczbę powołań do zgromadzenia? Choć przyznam, że już dzisiaj widać pierwsze efekty po ogólnopolskim spotkaniu Wolontariatu Misyjnego. Obawialiśmy się, czy ono w ogóle się odbędzie, zastanawialiśmy się, ile osób przyjedzie. Okazało się, że nie dość, że spotkanie się odbyło, to jeszcze mobilizacja starszych stażem i liczba nowych osób pozytywnie zaskoczyły nas wszystkich.

Pojawiają się pierwsze głosy na temat procesu beatyfikacyjnego Heleny. Jaka jest Księdza refleksja na ten temat?

Najpierw patrzę na Helenkę jak na osobę, która we współczesnym świecie pozytywnie namieszała. W rzeczywistości, która pędzi, w której często nie mamy chwili na refleksje, w której gubią się wartości, ona pokazała, że można tymi wartościami żyć i można w tym pędzie się odnaleźć. Dlatego – jak wiele osób o niej wspominało – może być brana za wzór i może być przedstawiana jako ta, która pokazuje kierunek działania. Ktoś powiedział, że ten przypadek, ta śmierć, ten pogrzeb i ta osoba są dowodem na to, że święci żyją wśród nas. Myślę, że nawet jeśli Helena nie zostałaby wyniesiona na ołtarze, to wszystko, co wydarza się teraz, całe to dobro w sercach nas wszystkich, jest bardzo ważne. Oczywiście pojawiają się różnego rodzaju informacje. Z ust kard. Stanisława Dziwisza usłyszeliśmy, że śmierć Heleny to śmierć męczeńska. W tym kontekście Helena staje się naturalną kandydatką na ołtarze. Myślę, że jeśli takie będzie

natchnienie Pana Boga, to Kościół z pewnością w pewnym momencie tę procedurę rozpocznie.

Czy ta młoda wolontariuszka jest obecna w Księdza prywatnej codzienności?

Na pewno. Przy różnych okazjach, gdziekolwiek się pojawia, jej osoba nieustannie powraca. Czasami dlatego, że ktoś był na pogrzebie, czasami, bo ktoś mnie gdzieś przy tej okazji widział i teraz pyta: co dalej? Na tym etapie zainteresowanie Helenką jest dość duże, a ponieważ mocno wpisała się w naszą salwatoriańską rzeczywistość, jest obecna i w moim życiu.

Stała się Księdzu bliższa?

Helena pojawia się wraz z pytaniami, które rodzą się we mnie w kontekście naszego życia i naszej śmierci. Jej odejście zmieniło bardzo wiele w mojej rzeczywistości, ale nie tylko mojej. Mówi się o niej na placówkach, na których była, rozmawiają o niej współpracownicy w miejscach na całym świecie, gdzie pracują salwatorianie, a to jest 16 krajów. Poruszyła serca wielu ludzi. Zadała nam konkretne pytania: jak żyjesz? Co możesz zmienić? Co by było, gdybyś był na jej miejscu i zginął? Jak ta sprawa potoczy się dalej? Czy Helena będzie świętą? Co teraz robi po tamtej stronie? Jak patrzy na naszą rzeczywistość? Jaki to będzie miało wpływ na dalsze losy młodego pokolenia? Teraz potrzebujemy też czasu. Na razie nadal myślimi jesteśmy przy Boliwii, przy sprowadzeniu ciała do Polski, przy pogrzebie i przy tym, co inni na jej temat powiedzieli, przy zdjęciach, które się pojawiają. Potrzebujemy czasu, by to w nas wybrzmiało.

Co jest zaskakującego dla Księdza w obrazie Heleny, który wyłania się teraz – z nowych wątków i opowieści?

Minuty, które dzieliły telefon z Boliwii od telefonu do ks. bp. Jana Zająca, spędziłem częściowo przed profilem Heleny na Facebooku. Przeglądałem jej ostatnie wpisy. Przypominałem sobie, że czasami lajkowała lub komentowała na mojej stronie. Nagle dostrzegłem coś, co z mojej prywatnej perspektywy było bardzo mocne – Helena często umieszczała zdjęcia z zachodami słońca. Podobnie jak ja. Wtedy pomyślałem, że coś nas łączyło, coś, czego wcześniej nie widziałem. Potem zauważyłem podpis pod tymi zdjęciami. Słowa o drugim brzegu. Wtedy zrozumiałem, że ona żyła pełnią życia i dokładnie wiedziała, dla kogo żyje. Była pewna, że drugi brzeg istnieje. Czasami między wierszami, a czasami wprost pisała, że tam się wybiera. I teraz trwa ta chwila. Siedzę przed komputerem, mam w sobie już tę trudną informację, o której prawie nikt jeszcze nie wie. Myślę o Helenie. Czy miała jakieś przeczucie, pisząc o tym? Czy wiedziała?

Bagno, marzec 2017

ANITA SZUWALD

OBIE OD POCZĄTKU MIAŁYŚMY W SERCU POKÓJ

Na to spotkanie jedziemy z dwóch różnych stron Polski. Jedna podróż od początku nie idzie, a właściwie nie jedzie. Coś nie przyjeżdża, coś się spóźnia. Szybka konsultacja przez telefon. Chwilę potem następną. To ważna rozmowa. Gdyby wtedy to jedno z nas zrezygnowało, nie mielibyśmy nagrania. To pierwsze nagranie przypadło wraz z pendrive'em, na który został zgrany plik z dyktafonu.

Anita Szuwald. Razem z Heleną Kmieć posłana na misję do Boliwii.

Osobą, która towarzyszy tej rozmowie, na wyraźną prośbę Anity, jest ks. Wojciech Michalczuk.

Anita: Na początku w duszpasterstwie akademickim bliżej poznałam Aldonę Podżorską i Pawła Kusia. Było tak: wychodzimy z kościoła, jest chwila po 20.00. Aldona mówi: „Zapraszamy do nas na herbatę”. Trochę mnie to zaskoczyło. Teraz, o tej godzinie, mam iść do kogoś do domu na herbatę? Poszliśmy. To było słynne mieszkanie na Lutyckiej. Jednak Heleny, mimo że tam mieszkała, nie było. Zresztą często jej tam nie było. Tamten czas spędzałam z Aldoną.

Jakie były wrażenia z Lutyckiej?

Anita: Bardzo pozytywne.

Pozazdrościłaś znajomym tego miejsca?

Anita: Mój etap życia był wtedy inny. Po trzech latach mieszkania w akademiku wróciłam do rodzinnego domu. Jednak rzeczywiście, gdy po pracy nie miałam gdzie się zatrzymać, bo do domu było kawałek, trochę mi moja sytuacja przeszkadzała. Poza tym na Lutyckiej spotykali się fajni ludzie. Można było wyjść z nimi na kawę czy herbatę.

Ks. Wojciech: Na Lutyckiej wszystko można było robić. Tylko ze spaniem były kłopoty. Mówisz, że dla ciebie 21.00 to późno... Tam o tej porze było dopiero wczesne popołudnie. Późno zaczynało się robić ok. 1.00-2.00 w nocy.

Anita: Potem to już wiedziałam.

[śmiech]

Wiele z osób, które wtedy spotykałam na Lutyckiej, należało już do Wolontariatu Misyjnego Salvator, stąd sporo rozmawialiśmy na ten temat.

Czy ktoś z nich był już wtedy na misjach?

Anita: Tak. I Paweł, i Aldona, i Helenka. W czasie, gdy ich poznałam, wybierali się na ogólnopolskie spotkanie WMS-u do Międzywodzia. Pytali, czy nie chciałabym pojechać z nimi. To był długi weekend [Boże Ciało, czerwiec 2015 rok – przyp. red.]. Jechali autem, mieli miejsce, więc zaproponowali, że mogą mnie zabrać. „Znam was, więc myślę, że mogę jechać” – odpowiedziałam. Pojechaliśmy. Tak poznałam ludzi z WMS-u. Bardzo polubiłam ks. Pawła Fiącka SDS, niestety okazało się, że to było jego ostatnie spotkanie – pożegnalne [ks. Fiącek wyjeżdżał na misje do Zambii – przyp. red.]. Żałowałam, to bardzo fajny ksiądz. Pamiętam też, że byłam lekko zestresowana. Trudno mi było odnaleźć się wśród tylu nowych ludzi, ale bardzo mi się tam podobało. Szczególnie część z warsztatami. W spo-

tkaniu brało udział jakieś 60-70 osób. Myślałam, że pewnie ktoś jeszcze jest tam nowy wśród wolontariuszy, ale nie – tylko ja byłam po raz pierwszy. Dlatego też trzymałam się trochę z boku. Przyglądałam się. Gdy ks. Paweł podsumowywał całe spotkanie, powiedział: „Anitka, ty napiszesz świadectwo”. To było moje pierwsze „Podejmij wyzwanie”. Nigdy nie lubiłam publicznie mówić ani pisać. Później nadeszły wakacje. Na kolejny wyjazd nie mogłam jechać. Jednak Wolontariat był ciągle obecny w Gliwicach, a tutaj mieszkali: Aldona, Paweł, Helena.

Jak Twoi bliscy reagowali na zaangażowanie w działania wolontariatu misyjnego?

Anita: Chyba do końca nie wiedzieli, co robię. Wiedzieli, że Gliwice, że duszpasterstwo, i traktowali to jako jedno – nie myśleli, że wyjazdu WMS-u to coś innego.

Ojciec Andrzej, przyjaciel rodziny, który błogosławił małżeństwo rodziców Anity, jest misjonarzem w... Cochabambie. Gdy przyjeżdżał do Polski, odwiedzał państwa Szuwałdów. Anita słuchała jego opowieści. Mówiła, że chce wyjechać na misje. Wtedy mama znacząco kiwała głową. To kiwanie oznaczało, że pomysły tego typu w ogóle nie wchodzi w grę.

Anita: Gdy byłam starsza, o. Andrzej wspominał, że do Boliwii przyjeżdżają wolontariusze. Pytał, kiedy ja przyjadę. Wtedy jeszcze nie znałam WMS-u, ale to właśnie podczas tych rozmów po raz pierwszy zapaliła mi się „misyjna lampka”. Wcześniej nie miałam pojęcia, że świeccy mogą wyjeżdżać na misje.

A kiedy w Tobie zrodziło się po raz pierwszy pragnienie wyjazdu na misje?

Ks. Wojciech: Pewnie nakręcałyście się razem z Helenką?

Anita: Tak było.

Prosimy bez odpowiedzi [śmiech].

Anita: To rodziło się powoli. Gdy o. Andrzej wyjeżdżał z Polski, wracało normalne życie, a myśl o misjach słabła. Potem pojawił się Wolontariat Misyjny i nagle ten temat odżył we mnie na nowo. Później w rozmowach z Heleną okazało się, że to jest możliwe i coraz bardziej dopuszczalam do siebie tę myśl.

Jak zareagowali duszpasterze WMS-u? Wiemy, że zasada jest prosta – nie można na pierwszy wyjazd wyjechać na tak długo i tak daleko.

Anita: Tak, jest taka zasada. Jeśli bierzesz udział w spotkaniach, angażujesz się w wolontariat w Polsce, możesz wyjechać, ale na początek na krótko i do kraju w Europie. Dopiero później otwierają się drzwi na wyjazdy dłuższe i dalsze.

Wyjazd mój i Helenki nie był jednak do końca typowy. Nie podpisałyśmy umowy z WMS-em, ale miałyśmy jego patronat. Salwatorianie pośredniczyli w kontakcie z siostrami służebniczkami w Boliwii. To w pewien sposób było oczywiste, że ksiądz, odpowiedzialny za Wolontariat, jest bardziej wiarygodny niż dwie dziewczyny, które mają pomysł, by wyjechać na misje.

Tak też się stało. Ksiądz Mirek Stanek nawiązał kontakt z jedną z siostr. Przekazał nam maila, a później wszystko załatwialiśmy już same.

Zanim jednak wyjechałaś do Boliwii, przez półtora roku należałaś do wspólnoty WMS-u.

Anita: Tak. Poświadczyła za mnie Helenka. Rozmawiała z ks. Mirkiem Stankiem. Powiedziała, że jest bardziej pewna mnie niż siebie [śmiech]. Cała Helena.

Jak znalazłyście to konkretne miejsce, Cochabambę?

Anita: To nie my je znalazłyśmy ani też ks. Mirek. Chciałyśmy wyjechać do Ameryki Południowej. Pytałyśmy księdza, czy utrzymuje kontakt z jakąś placówką misyjną. Pomyślał o słuźebniczkach pewnie dlatego, że któraś z siostr z tego zgromadzenia była na jednym ze spotkań WMS-u i opowiadała o pracy na misjach w Ameryce Południowej. Tę część historii znam od Helenki. Opowiadała mi o tym, gdy byłyśmy w drodze do Boliwii. Gdy ks. Mirek napisał, że znalazł dla nas placówkę w Boliwii, a dokładnie w Cochabambie, pomyślałam, że świat jest naprawdę mały. Przecież właśnie tam, w Cochabambie, jest o. Andrzej.

Tyle razy pytał, kiedy do niego przyjadę... Wtedy, gdy otrzymałam wiadomość, że tam jedziemy, napisałam do niego: „Niedługo zobaczymy się w Boliwii”.

Spotkałaś się z nim na miejscu?

Anita: Tak. Zdążył też poznać Helenkę.

Powiedziałaś, że chciałyście wyjechać do Ameryki Południowej. Dlaczego tam?

Anita: Nie potrafię tego wyjaśnić. To było w moim i w Heleny sercu. Kultura, ludzie i język hiszpański. Obie z Heleną miałyśmy pragnienie, żeby to był akurat ten region świata. Wydawało nam się, że będzie to dobre miejsce, właściwe dla nas, że odnajdziemy się wśród tamtejszych ludzi.

Dobrze mówisz po hiszpańsku?

Anita: Nie [śmiech]. Znałyśmy hiszpański na poziomie podstawowym, ale s. Bejzyna nas nie pytała o znajomość języka. „Nie ma problemu, dziewczyny, nauczycie się” – zapewniała. Przez pierwsze dwa miesiące miałyśmy mieć czas, by się poduczyć. Wieczorami ćwiczyłyśmy same. W ciągu dnia rozmawiałyśmy po hiszpańsku z siostrami i też trochę między sobą.

Jak zrodził się pomysł, żeby wyjechać na misje razem – Ty i Helena?

Anita: Spędzałam z Heleną dużo czasu. Wiedziałam, że ona chciała wyjechać na dłużej. W jednej czy drugiej rozmowie pojawił się pomysł, że może pojechałybyśmy razem. To były luźne rozmowy. Nie jestem w stanie wskazać dokładnego miejsca i czasu. Dopiero, gdy zapadła decyzja, zaczęły się konkretne działania.

Ks. Wojciech: Ale hiszpański Helenka szlifowała już od roku. Zanim Boliwia pojawiła się na horyzoncie.

Anita: Ja też dużo wcześniej uczyłam się hiszpańskiego. Myślałam nawet o wyjeździe w tym celu – by w ramach wolontariatu wykorzystywać swój zawód, a przy okazji nauczyć się języka. Nic jednak nie znalazłam.

Anita jest fizjoterapeutką. Zawód wybrała ze względu na kontakt z ludźmi i chęć pomocy drugiemu człowiekowi.

Do Boliwii jechałyście pracować wśród dzieci.

Anita: Tak, w ochronce dla dzieci.

Jakie miałaś wyobrażenia dotyczące pracy, która czekała na Was w Boliwii?

Anita: Nigdy nie pracowałam z tak dużą grupą małych dzieci. Helena też nie. Z poprzednich misji miała raczej doświadczenie w pracy z nastolatkami, a nie z maluchami. Dla nas obu to było coś nowego.

Chcę tu coś dopowiedzieć. Gdy ktoś wyjeżdża gdzieś po raz pierwszy, często towarzyszą temu lęk i obawy. My obie od początku miałyśmy w sercu pokój.

Na miejscu okazało się, że mimo tego, że żadna z nas nie miała doświadczenia w pracy z dziećmi, w ogóle nie byłyśmy przerażone. Na początku zajęłyśmy się przygotowaniem ochronki na przyjście dzieci. Wykonanie tego zadania było zaplanowane do połowy lutego...

Przed wyjazdem do Boliwii pracowałaś zawodowo?

Anita: Tak, od trzech lat. By wyjechać na misję, wzięłam bezpłatny urlop na pół roku.

Obie skorzystałyście z bezpłatnych urlopów. Nie było z tym problemów?

Anita: Nie. W sumie podczas całych przygotowań nie było żadnych problemów.

Ks. Wojciech: Pytałem Helenę o urlop. „Co zrobisz, gdy go nie dostaniesz?”. „Zwolnię się” – odpowiadała. Zdziwiłem się, bo przecież rekrutacja do tej pracy kosztowała ją wiele wysiłku. Egzamin... „To tylko praca” – mówiła.

Anita: Praca w liniach lotniczych to nie była praca marzeń.

Dlaczego?

Anita: To nie była jej praca docelowa. Trzeba gdzieś zarabiać, więc wybrała akurat pracę w liniach lotniczych. Rozmawiałyśmy o tym, bo ja również zastanawiałam się nad

zmianą pracy. Dla żadnej z nas praca nie była przeszkodą w planowaniu wyjazdu do Boliwii.

Mówisz, że to nie była wymarzona praca Heleny. W takim razie czy ona wiedziała, co chce w życiu robić?

Anita: Nie.

Ks. Wojciech: Chodziło na pewno o to, że praca stewardesy kompletnie nie pasowała do życia małżeńskiego i rodzinnego. Dopóki Helenka była wolna, ta praca była okej, ale gdy w jej sercu coś zaczynało się rodzić, jakieś uczucie, trzeba było myśleć o zmianach. Wiem, że proponowano jej przejście do kontroli naziemnej. Helenka niezbyt się o to troszczyła. Nie martwiła się o jutro. Jej mama mówiła, że charakteryzowała ją „lekkość bytu”.

Anito, Ty jednak pracowałaś w swoim zawodzie...

Anita: Tak, ale podobnie jak Helena, miałam wrażenie, że nie rozwijam się w swojej pracy. Poza tym Helenki praca była bardzo męcząca dla organizmu. Obie potrzebowałyśmy zmiany.

Ks. Wojciech: Na początku to była świetna przygoda, a później permanentne zmęczenie.

Jak wyglądały Wasze przygotowania do wyjazdu do Boliwii?

Anita: O możliwości wyjazdu do Boliwii dowiedziałyśmy się chyba we wrześniu. Nie pamiętam dokładnie. Każda z nas miała w tym czasie mnóstwo zajęć. W połowie października rozchorowałam się i byłam na zwolnieniu lekarskim. Helenka przyjechała do mnie i zaczęłyśmy układać plan działania. Pieniądze na wyjazd zaczęłyśmy zbierać w listopadzie.

Ks. Wojciech: 26 września Helenka napisała do mnie SMS-a, że przyszła pozytywna odpowiedź od sióstr z Boliwii. A pierwsze informacje o Cochabambie mam w SMS-ach od niej z 24 sierpnia. Helenka wysłała mi zdjęcie i informacje o tym miejscu.

Anita: Na początku był taki plan, że miałyśmy wyjeżdżać w październiku, ale Helena nie dostała wtedy urlopu. Miałam możliwość, by się do niej dostosować, bo w mojej pracy nie było takiego problemu z urlopem. Gdybyśmy leciały w październiku, to na pewno nie poleciałybyśmy w to miejsce, do Cochabamby. Ochronka wtedy była jeszcze w budowie – dopiero pod koniec roku były gotowe np. pokoje dla wolontariuszy, w których później zamieszkałyśmy.

Czy w trakcie przygotowań pojawił się jakiś trudniejszy moment? Jakież zniechęcenie?

Anita: Nie. Nawet nie było na to czasu [śmiech]. Może w sercu Heleny rodziła się jakaś trudność, bo związała się wtedy z Michałem, ale nigdy nie mówiła o tym, że ma jakieś wątpliwości, czy wyjeżdżać...

Helena związała się z Michałem po tym, jak podjęłyście decyzję o wyjeździe do Boliwii?

Anita: Tak. Myślę, że gdyby było na odwrót, Helenka nie wyjechałaby.

W jaki sposób zbierałyście pieniądze na wyjazd?

Anita: Organizowałyśmy zbiórki w kościołach. Pierwsza odbyła się w kościele akademickim w Gliwicach – mocno wsparł nas wtedy ks. Wojciech. Zbierałyśmy też w mojej rodzinnej parafii.

Na Facebooku utworzyliśmy wydarzenie: „Bilet do Boliwii za 10 zł” – funkcjonowało to trochę na zasadach serwisów crowdfundingowych, gdzie za każdy rodzaj wpłaty był przewidziany określony gadżet.

Otrzymałyśmy również pomoc od dzieci, które należą do koła misyjnego w katedrze gliwickiej. Gdy spotkałam się z nimi, okazało się, że niektóre z nich to moi mali pacjenci.

W sumie potrzebowałyśmy ok. 13 tysięcy na bilety w dwie strony, dla dwóch osób. Na dwa, trzy tygodnie przed wylotem miałyśmy pełną kwotę.

Salwatorianie osobno opłacili nasze ubezpieczenie. Dzięki pomocy wielu ludzi udało nam się wyjechać.

Jak już uzbierałyście pieniądze, kolejna rzecz to wiza?

Anita: Z wizą nie było żadnego problemu, dostałyśmy ją od ręki.

Najbliższa placówka dyplomatyczna Boliwii jest w Berlinie. Dziewczyny kontaktowały się z pracownikami tej ambasady, aby uzyskać informacje na temat potrzebnych dokumentów.

Anita: Miałam tylko jeden dzień urlopu, by pojechać do Berlina i załatwić formalności. Potrzebne było zaświadczenie o niekaralności z sądu, ale przetłumaczone na język hiszpański. Długo szukałyśmy tłumacza przysięgłego. W końcu się udało. Potem wszystkie dokumenty trzeba było zeskanować i dołączyć do specjalnego arkusza z danymi, który wypełnia się elektronicznie. Zrobiłyśmy wszystko. Ale myślałyśmy, że skoro ten arkusz wysyła się drogą elektroniczną, nie trzeba go dodatkowo drukować. Na miejscu, w Berlinie, okazało się, że to jednak konieczne. Wtedy pomógł nam Michał, który nas zawiózł do Berlina. Miał ze sobą laptop. Na miejscu mogłyśmy ściągnąć potrzebne pliki i je wydrukować.

Czy aby wyjechać do Ameryki Południowej, potrzebowalibyście dodatkowych szczepień?

Anita: Tak. Szczepiliśmy się na żółtą febrę, bo bez tego nie dostałybyśmy wizy. Dodatkowo WZW A i WZW B.

Jak rodzice zareagowali na Twój wyjazd?

Anita: Najpierw podzieliłam się tą informacją z babcią. „Ja tyle się modłę do św. Józefa o dobrego męża dla ciebie, a ty jeszcze chcesz gdzieś wyjechać?” – to był jej komentarz. Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że może modlić się nadal. Później powiedziałam rodzicom. Nie byli zaskoczeni, ale jak to rodzice – martwili się. Jednak bardzo pomagali w moich przygotowaniach. Pewnie, gdyby to oni mieli decydować, nie zgodziliby się na wyjazd.

Kulturę tego kraju postrzegasz jako bardzo atrakcyjną?

Anita: Tak, ponieważ jest bardzo różnorodna i w dużej mierze jest związana m.in. z muzyką i tańcem, a to jest moją pasją. Zresztą sami ludzie, ich życie, stroje są bardzo ciekawe.

Pamiętasz moment, jak leciałyście?

Anita: Pamiętam. Towarzyszyły temu różne emocje. Pamiętam też taką zabawną sytuację. Miałam ze sobą małe ukulele. Umiałam tylko parę podstawowych melodii. Wzięłam do zabaw z dziećmi. Podczas każdej kontroli proszono mnie, żebym pokazała, jak instrument brzmi. To było zabawne. Ze zmęczenia nie rozumiałam, czego ode mnie chcą. Myślałam, że będziemy miały za chwilę jakiś problem, a oni chcieli tylko, bym zagrała.

Gdy wylądowałyśmy w Cochabambie, przywitała nas s. Bejzyna: „Cześć, dziewczyny”. Była bardzo żywa i radosna. Mówiła: „Uśmiech, szybko zrobię wam zdjęcia. Wyślecie

rodzicom”. Dostałyśmy balony z napisem po hiszpańsku: „Witamy”. Siostra Bejzyna zabrała nas do auta i pojechałyśmy do domu siostr. Gdy weszłyśmy, powiedziała, żebyśmy zostawiły rzeczy, umyły ręce i poszły na obiad. Usiadłyśmy i spojrzaliśmy przez okno. W Polsce 24 godziny wcześniej było minus 25 stopni – doświadczyłyśmy już mroźnej zimy. A tu, w Boliwii, też 25 stopni, tylko że na plusie. Byłyśmy zdziwione, że jest taka różnica temperatur, ale nie doświadczyłyśmy żadnego szoku termicznego. Mówiłyśmy: jesteśmy tak wiele kilometrów od domu, ale siostry nas tak dobrze przyjęły, że czujemy się jak u siebie. Na ogół w nowym miejscu człowiek czuje się skrępowany, a my nie, nie czułyśmy tych kilometrów. Było jak w domu.

Byłyście zaskoczone warunkami?

Anita: Tak.

Ks. Wojciech: Helenka mi napisała, że są tak dobre, że aż wstyd, by misjonarki mieszkały w takich warunkach.

Anita: Na początku, przez trzy dni spałyśmy w starej ochronce, w jednej z sal dla dzieci. W tej nowej ochronce każda z nas miała osobny pokój, a do naszej dyspozycji była łazienka i mały aneks kuchenny. W pokojach były nowe meble, dostałyśmy lampki nocne. Siostry po prostu były przekochane.

Czułaś, że siostry o Was dbają?

Anita: Tak, bardzo. Siostra Bejzyna, jak wracała do Cochabamby, przywoziła nam jakieś prezenty. Mamy zdjęcie w tamtejszych czapkach, dostałyśmy też w prezencie „typiczne” – jak mówiła siostra – cukierki. Zajadałyśmy je wieczorami, oglądając jakiś film po hiszpańsku lub bajki.

Czy zabrałyście coś z Polski do Boliwii?

Anita: Podstawki pod kubki, kubki, breloczki, pocztówki – gadzety promujące Polskę.

Jedzenie?

Anita: Wafelki prince-polo i inne słodczyce.

Te ostatnie z myślą o dzieciach?

Anita: Tak, ale nie zdążyłyśmy się nimi podzielić... Kiedy wyjeżdżałam, zostawiłam je siostrze. Napisałam też do dzieci i młodzieży list.

Skąd pomysł na fanpage „Boliwia: Misja Możliwa”?

Anita: Po prostu – chciałyśmy się dzielić z innymi tym, co tam przeżywałyśmy. W WMS-ie też nas zachęcano, by nie zatrzymywać tych wydarzeń tylko dla siebie. Zależało nam, by inni włączyli się w naszą misję, chociażby poprzez modlitwę. W ten sposób ludzie mogliby doświadczyć tego, że ten rodzaj zaangażowania może przebiegać naprawdę na różnych poziomach.

To Ty prowadziłaś stronę na Facebooku czy Helena?

Anita: Bardziej Helena. Miała telefon, dzięki któremu było to łatwiejsze.

Kiedy rozmawiałyśmy przed włączeniem dyktafonu, mówiłaś, że tam, na miejscu, poczułaś z Heleną jakieś pokrewieństwo dusz.

Anita: Helena była taką osobą, której wszędzie było pełno. Ale była też zwyczajnym człowiekiem, kobietą, która miała wiele różnych przeżyć i emocji. Potrzebowała sporo czasu, żeby się tym podzielić z drugim człowiekiem. Nie była wylewna. Czasami widziałam, że jest jakiś problem, ale nie

znałam szczegółów. Nie naciskałam, by wyjawiała, o co chodzi, bo sama mam podobnie. Nie lubię innym opowiadać o swoich trudnościach. Obie potrzebowałyśmy czasu i zaufania, by zbliżyć się do tej drugiej osoby.

Obserwowałam, jak nasza relacja się zmienia. Obie potrzebowałyśmy czasu, by się do kogoś zbliżyć, komuś zaufać. Już w trakcie lotu do Boliwii dużo ze sobą rozmawiałyśmy – nasze rozmyślenia nad różnymi sprawami były podobne. Potem też w samej Boliwii miałyśmy czas, by poruszyć wiele trudnych dla nas tematów. Cieszyłam się z tych rozmów z nią, z tej przyjaźni, która się tam rodziła.

Rozumiem, że to są bardzo osobiste kwestie, ale czy możesz przybliżyć jakieś tematy? O czym rozmawiałyście?

Anita: To były tematy związane z marzeniami, relacjami, relacjami w rodzinie...

Na zdjęciach, które publikowałyście na Facebooku, widać dwie bardzo szczęśliwe kobiety. Co Wam dawało tę radość?

Anita: Każda z nas miała małe marzenie, by codziennie zachwycać się jakąś drobną rzeczą. Czy to miało być poznanie jakiegoś człowieka, jego słowa, doświadczenie nowej kultury. Poza tym każdego dnia uczestniczyłyśmy we mszy św. Gdy nie było księdza z parafii, szłyśmy na mszę do siostr na godz. 6.30. Siostry się z nas śmiały, że jesteśmy już postulantkami, skoro tak wcześnie wstajemy i odmawiamy z nimi brewiarz. Msza parafialna była o 19.00.

Dlaczego zwracasz uwagę na mszę św.?

Anita: Spotkanie z Bogiem dawało nam siłę. Z Nim wszystko jest łatwiejsze... Dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. Czułam wtedy w sercu wielką radość i wdzięczność, ale też

niedowierzenie, że tam jestem, że to się dzieje naprawdę, że możemy się tym obie cieszyć.

A kultura Ameryki Południowej, którą tak chcieliście poznać?

Anita: Tak naprawdę nie zdążyłyśmy. Bo te dwa tygodnie wyglądały mniej więcej tak: rano msza św. , słyśmy do kaplicy, później śniadanie, praca, obiad, godzina siedzenia na schodach pod kościołem, bo tam można było złapać dobry zasięg i porozmawiać z bliskimi, później chwila na zewnątrz, a potem znowu do wieczora praca, kolacja i czas dla nas. Wtedy oglądałyśmy bajki po hiszpańsku albo uczyłyśmy się słówek.

Miałyście telewizor?

Anita: Nie, książki.

Ks. Wojciech: To są te schody pod kościołem [ksiądz pokazuje zdjęcie w komórce – przyp. red.]. Zapytałem Helenkę, czy się opaliła. Przysłała mi takie zdjęcie z komentarzem: „Nie wiem, czy coś widać, bo tak grzeje słońce, że nie widzę ekranu”.

A u nas była zima...

Ks. Wojciech: Tak, wymienialiśmy się na bieżąco informacjami o pogodzie.

Anita: Moi rodzice też przysyłali zdjęcia z Polski.

Wróciłbym do 6 stycznia.

Anita: Do posłania? W Trzebini była cała moja rodzina – rodzice, dziadkowie, brat – to było dla mnie bardzo ważne. Wieczorem wróciłam do domu. Spotkałam się z moimi przyjaciółmi na tradycyjnym kolędowaniu w kościele. Tam mnie wówczas pożegnali.

Długo się pakowałaś na taki wyjazd?

Anita: Nie. Dzień lub dwa. Jak zwykle na ostatni moment.

Stąd, z Gliwic, razem pojechałyście do Trzebini?

Anita: Tak. Myślałam, że Helena będzie nocowała w Trzebini, ale powiedziała, że jeszcze nic nie przygotowała na wyjazd, a że z Trzebini jest blisko do Libiąża, wróciła do domu.

Ks. Wojciech: Jeszcze była akcja z Michałem. 5 stycznia przyszlście na mszę św., a Helenka zapłakana. Pytam, co się stało. „Michał chory”. Mówię, że się pomodlimy i miłość go uzdrowi. Rano wstał zdrowy. Następnego dnia przyjechał do Trzebini.

Anita: W Trzebini po mszy z posłaniem była kawa i ciasto. Przygotowaliśmy poczęstunek dla naszych gości. Przyszła część scholi z Gliwic – dostałyśmy płyty z nagraniami niedzielnych Ewangelii od stycznia do czerwca. Helenka dostała *selfie stick* do robienia zdjęć i karty w pudełeczku z cytatami dla kobiet, na każdy dzień. Od koleżanki dostała kopertę z cytatami – tyle cytatów, ile dni miałyśmy spędzić w Boliwii. Każdego dnia wyciągałyśmy cytat. Miałyśmy przyklejać je do drzwi, takie były plany.

Zapamiętałaś coś szczególnego z tego oficjalnego posłania przez Kościół na misje?

Anita: Miałam dużo radości w sercu i poczucie, że w tym momencie dzieje się coś ważnego, a nie coś, co my sobie wymyśliłyśmy. Krzyż misyjny, który mam, jest dla mnie czymś szczególnym. To symbol tego, co się wydarzyło, a czego nie widzimy.

Na nagraniu z posłania widać, że krzyżyk nie chciał przejść przez głowę Heleny. Ty byłeś w drugiej kolejności, więc dostałeś go od razu prosto do ręki.

Anita: Podobna sytuacja zdarzyła się, gdy było posłanie naszej koleżanki na misje do Afryki. Rzemyski przy tych krzyżykach były po prostu za krótkie. Śmiałyśmy się do księdza, żeby zrobił z nami próbę. Wiedziałam, że skoro rzemysk nie przeszedł przez głowę Heleny, przez moją też nie przejdzie. Otrzymałam krzyżyk do ręki. To był dla mnie bardzo ważny moment.

Co robiliście w Boliwii? Mówiłaś, że dużo pracowałyście.

Anita: Zakończyła się oktawa Bożego Narodzenia. Siostry miały jeszcze choinki, mikołaje. Chciały posprzątać tę dekorację. Od tego zaczęła się nasza praca. Wieczorem pojechaliśmy jeszcze z s. Beżymą na zakupy, żebyśmy miały coś na śniadanie. Siostra zachęcała nas do spróbowania różnych rzeczy i mnóstwo ich nawrzucała do koszyka. „Tego musicie koniecznie spróbować”. To było bardzo miłe. Potem pojechaliśmy do starej ochronki, gdzie przez pierwsze dni nocowałyśmy.

Następnego dnia miałyśmy poznać siostrę odpowiedzialną za funkcjonowanie ochronki. Zapowiedziano nam z uśmiechem, że ona na pewno nie da nam odpocząć. Rzeczywiście, przywitała nas rano: „To co? Gotowe do pracy?”

[śmiejch]

Miałyśmy malować ściany. Ja lubię taką pracę, ale Helena nie bardzo. Stwierdziła jednak, że podejmie wyzwanie. Sporo już było pomalowane – siostra malowała plaże, słonie. Naszym zadaniem było domalowanie kwiatów w przed-sionku. Podczas malowania pierwszych elementów siostra podchodziła i coś poprawiała. Myślałyśmy, że będzie z tym kłopot. Ale przy kolejnych tak się wprawiliśmy, że siostra

nawet nie patrzyła, co i jak robimy. Miałyśmy całkowitą swobodę działania. W pewnym momencie prosiła nawet, żebyśmy poprawiały coś po niej. To było dla nas dużym wyzwaniem, a zarazem wyróżnieniem.

Jak planowałyście sobie pracę w ochronce?

Anita: Rozmawiałyśmy o tym z siostrą, która kilka dni przed nami przyjechała do Boliwii z Peru i miała być odpowiedzialna za funkcjonowanie tej nowej ochronki w Cochabambie. Opowiadała, ile będzie tam dzieci, w jakim wieku. Pytałyśmy o jej wcześniejsze doświadczenie pracy z dziećmi.

Jak reagowałaś na te informacje?

Anita: Nie było we mnie ani strachu, ani lęku, ale ciekawość. Na początku dużo fizycznie pracowałyśmy. Dla mnie to było bardzo dobre – wtedy zmęczenie fizyczne dobrze mi robiło. Helena odkryła swój talent i śmiała się, że teraz ona zacznie malować, a jej mama śpiewać. Siostra żartowała, że mama pochowa wszystkie pędzle, jak Helenka wróci do domu.

Po skończeniu malowania ścian myłyśmy okna. Było tam chyba 40 dużych okien. Zrobiłyśmy to w dwa dni. Później czyściłyśmy płytki z plam po farbie.

Czasami zdarzały się jakieś nagłe akcje. Gdy okazywało się, że siostry przywiozły rzeczy ze starej ochronki, trzeba było zanieść je do tej nowej. Segregowałyśmy i układałyśmy zabawki. Mamy nawet takie zdjęcie, że siedzimy wśród tych licznych zabawek.

Dużo pracy...

Anita: To była praca od rana do wieczora.

Byłaś zmęczona?

Anita: Nie. Nie, nie byłam. Ale pamiętam, że ten ostatni dzień, jaki spędziłam z Helenką, był trudny. Kręciło nam się w głowach. Może klimat, a może zanosilo się na deszcz. Obie miałyśmy problemy z ciśnieniem. Siostra przyniosła nawet aparat do mierzenia ciśnienia.

Ks. Wojciech: Pytałem Helenki, czy są zadowolone – odpowiadała, że zadowolone, ale zapracowane.

Anita: Mimo zmiany klimatu czułyśmy się dobrze. Zresztą siostry już nas same zaczynały namawiać, byśmy sobie wzięły wolne, ale my odmówiliśmy. Miałyśmy siły. Czułyśmy się tam bardzo dobrze.

Ks. Wojciech: Jak zawsze.

Mówisz, że godzinami malowałyście kwiaty na ścianach. O czym wtedy rozmawiałyście?

Anita: Czasami skupiałyśmy się na malowaniu i robiłyśmy to w ciszy, ale to nie była cisza męcząca tylko, można powiedzieć, taka budująca. Poza tym we wszystkim, co tam robiłyśmy, było dużo radości – albo same żartowałyśmy, albo żartowały siostry, które od czasu do czasu do nas przychodziły. Naprawdę było bardzo wesoło. Ani razu żadna z nas się nie poskarżyła: „Ja już nie mogę”.

Pewnego razu, gdy szłyśmy na obiad do sióstr drogą, przy której było mnóstwo kwiatów, podleciał do nas koliber. Wtedy spełniło się jedno z naszych małych marzeń. Innym marzeniem Helenki było to, by poprzytulać małpki. Miałyśmy jechać do La Paz pozałatwiać jeszcze jakieś formalności związane z naszym pobytem. Siostra Bejzyna polecała nam różne atrakcje, które w czasie tego wyjazdu mogłyśmy zobaczyć. Wspomniała m.in. o ogrodzie, gdzie można

było poprzytulać małpki. Wszystko nam zorganizowała: powiedziała, gdzie możemy przenocować, jak dojechać. W Cochabambie znajduje się wielka figura Chrystusa. Stale mogliśmy ją podziwiać. To wszystko było dla nas możliwe.

Nie miałyśmy z Heleną śmiałości, by pytać siostr, czy będziemy mogły gdzieś wyjechać, coś pozwiedzać. Wiedziałyśmy, że praca jest najważniejsza. Jednak obie lubimy podróżować, więc to było dla nas niesamowite, że siostry same wychodziły z takimi propozycjami. Przy okazji pracy misyjnej mogły się spełnić nasze drobne marzenia. O tym też rozmawiałyśmy z Heleną – o tym, że siostry są takie niesamowite i że cały czas spełniają się nasze marzenia, dzieje się coś wyjątkowego...

W ostatnim dniu przytwierdzałyśmy pineskami folię do szafek. To było bardzo trudne zadanie, nie miałyśmy młotka. Próbowaliśmy to robić kamieniem. Było bardzo wesoło. Po tym dniu czułyśmy się bardzo zmęczone.

W niedzielę zasadniczo nie pracowałyśmy. Pewnej niedzieli pojechałyśmy z siostrą do ośrodka dla niepełnosprawnych. Dla mnie to było ważne, bo zobaczyłam, jak wygląda fizjoterapia w Boliwii. Następnego dnia byłyśmy już dość zmęczone i po obiedzie pierwszy raz zrobiłyśmy sobie sjestę. Przespałyśmy się z godzinę.

A miałyście jakiś plan tego, co chcecie zobaczyć w Boliwii?

Anita: Oczywiście. Miałyśmy nawet buty trekkingowe, bo byłyśmy gotowe na wyjście w góry. Siostry obiecały, że pokażą nam różne miejsca i atrakcje, że będziemy miały kilka dni wolnego. Tylko kiwałyśmy głowami. Byłyśmy zaskoczone tymi propozycjami. Mówiłyśmy, że jesteśmy jak najbardziej za.

Nagrywałyśmy sporo filmików komórką. Chciałyśmy pokazać, co robimy na miejscu. Najpierw filmowałyśmy puste ściany, a potem dokumentowałyśmy to, jak wypełniają się kwiatami. W niedzielę powstał ostatni filmik – spacer po ochronce. Nie zdążyłyśmy go opublikować z powodu problemów z Internetem.

[...]

Ludzi poznałyśmy tylko w kościele. Chodziłyśmy codziennie na mszę św. Raz trafiłyśmy na chrzest, więc zostałyśmy dłużej i obserwowałyśmy, jak w Boliwii udziela się tego sakramentu.

[...]

Ktoś kiedyś na spotkaniu WMS-u powiedział, że jeśli w jakimś miejscu jest obraz Jezusa Miłosiernego, to jest to dobre miejsce. Pierwsze, co zwracało uwagę po wejściu do naszego kościoła w Boliwii, to duży obraz Jezusa Miłosiernego z napisem „Jezu, ufam Tobie” w języku hiszpańskim. Kiedy zobaczyłam obraz po raz pierwszy, w sercu poczułam, że to naprawdę dobre miejsce. Powiedziałam o tym Helenie. Już po jej śmierci z jedną z rodzin pojechałam do innego kościoła. Stałam tam z sercem pełnym pytań i wątpliwości. Tam też był duży obraz Jezusa Miłosiernego, tym razem z podpisem w języku polskim.

Spędziłaś z Heleną dużo czasu. Byłyście razem 24 godziny na dobę.

Anita: Cieszyłam się, że w końcu ją bliżej poznam. To był człowiek czynu. Jak trzeba było coś zrobić, to ona się nie wahała. Było ciągłe działanie. Mimo zmęczenia można było na nią liczyć. W Boliwii udało mi się z nią porozmawiać na ważne dla mnie tematy. Aż się wzruszyłam, że mi zaufała. Jej łzy i moje łzy. Doświadczyłam tego.

Po jej śmierci pojawiło się sporo informacji o jej świętości, o niezwykłości jej zwyczajnego życia. Czy Ty możesz coś o tym powiedzieć?

Anita: Helena była wyjątkową osobą. Ale gdy ja słyszę słowo „święty”, to dla mnie znaczy „normalny” – w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Pewnie większości osoba święta kojarzy się z kimś odległym, dla mnie Helena była bliskim człowiekiem – kobietą, przyjaciółką – taką, która była dla ludzi, ale miała też swoje uczucia, emocje, przeżycia, jak każdy z nas. Była normalnym człowiekiem, który dla drugiego człowieka dawał z siebie tyle, ile potrafił.

Czy było w niej coś wyjątkowego, co zahaczałoby o świętość?

Anita: O to właśnie chodzi w świętości, że ona powinna wyrażać się w normalności. Człowiek święty to człowiek niekoniecznie głośny, ale taki, który jest wśród ludzi – pomaga im, wspiera. Nie patrzy tylko na siebie. Mimo natłoku wielu różnych spraw Helena zawsze znajdowała czas dla drugiego człowieka.

A było w Helenie coś, czego w pozytywnym sensie byś jej zazdrościła? Czy coś Cię w niej inspirowało?

Anita: Myślę, że jej talenty – śpiew, którym potrafiła się dzielić z innymi i który doskonaliła w szkole muzycznej. A przy tym była bardzo skromna i cicha, ale w takim pozytywnym sensie – jak coś trzeba było powiedzieć, to powiedziała i zawsze robiła to z uśmiechem i z żartem.

Czy coś w jej zachowaniu Cię kiedyś zaskoczyło?

Anita: Helena szybko podejmowała decyzje. Pamiętam, że gdy siostry w Boliwii proponowały nowe zajęcia, to ja nie zdążyłam pomyśleć, przeanalizować propozycji, a Helena

już się zgadzała. To było tak: „Okej, zrobmy to”. Przycho-
dziły jej do głowy pomysły, na które sama bym nie wpadła.

Ona robiła tam jakieś żarty? Prowokowała jakieś śmiesz- ne sytuacje?

Anita: Przebywałyśmy na ogół z siostrami, więc żarty były
raczej sytuacyjne, które dziś opowiedziane nie będą zrozu-
miałe i śmieszne.

Czy Helena była tam szczęśliwa?

Anita: Mówiła, że jest fajnie. Było też po niej widać, że jest
bardzo zadowolona.

Nie tęskniła za Michałem?

Anita: Tęskniła, ale... misja w Boliwii była pragnieniem jej
serca. To miał być jej ostatni wyjazd. Potem chciała wrócić
i zakładać rodzinę z Michałem. To miał być koniec. Obie
stwierdziłyśmy, że ciągle gdzieś jeździmy, więc trzeba się
w końcu uspokoić, usiąść na miejscu. Mówiłyśmy, że jak
wrócimy do domu, skupiamy się na życiu rodzinnym, na
pracy.

Ten czas był bardzo dobry. Przez dwa tygodnie o nic się
nie pokłóciłyśmy, a przebywałyśmy ze sobą 24 godziny na
dobę. Początkowo chcieliśmy nawet spać w jednym poko-
ju, już miałyśmy przенosić łóżka. Ale siostry zasugerowały,
że będziemy spędzać razem całe dni, więc jest prawdopo-
dobne, że będziemy mieć siebie dosyć. Może chociaż na noc
warto mieć swój pokój? Tak wyszło, naturalnie. Jedna z nas
poszła do jednego, druga do drugiego pokoju. Żadna z nas
nie podejmowała tego tematu.

Cały wyjazd, aż do „tego” momentu, kojarzy mi się jako
jedna wielka radość, od rana do wieczora śmiech. Mimo
zmęczenia nie mogłyśmy się powstrzymać od śmiechu.

Pociąg nie poczeka. Właściwie to się spóźni. Ponad godzinę, ale o tym jeszcze nie wiemy. Na razie biegniemy ulicami Gliwic. Tych ulic nie jest zbyt wiele. Może dwie, trzy, które prowadzą na dworzec. Mamy bardzo mało czasu. Na pytania i na odpowiedzi. I wtedy, w tym biegu, między samochodami, ludźmi, wśród drzew, gdzieś między niebem a ziemią, dosłownie, bo tuż za przejściem dla pieszych, padają ostatnie słowa.

Anito, czy Ty doszukujesz się sensu w historii, która była i Twoim udziałem?

Anita: Czy szukam sensu? Zostawiłam to w Boliwii. Po śmierci Heleny weszłam do kaplicy u sióstr, usiadłam, otworzyłam Pismo Święte. Dostałam Słowo z Księgi Mądrości: „Ocena przedwczesnej śmierci sprawiedliwego”:

*A sprawiedliwy, choćby umarł przedwcześnie,
znajdzie odpoczynek.*

*Starość jest czcigodna nie przez długowieczność
i liczbą lat się jej nie mierzy:*

*sędziwością u ludzi jest mądrość,
a miarą starości – życie nieskalane.*

*Ponieważ spodobał się Bogu, został umiłowany,
a żyjąc wśród grzeszników, został przeniesiony.*

*Zabrany został, by złość nie odmieniła jego myśli
albo ułuda nie uwiodła duszy,*

bo urok marności przestania dobro,

a burza namiętności mąci prawy umysł.

*Wcześnie osiągnąwszy doskonałość, przeżył czasów
wiele.*

Dusza jego podobała się Bogu,

dlatego pośpiesznie uszła spośród nieprawości.

A ludzie patrzyli i nie pojmowali

*ani sobie tego nie wzięli do serca,
że łaska i miłosierdzie nad Jego wybranymi
i o świętych Jego staranie.
Kto umarł jako sprawiedliwy,
potępia żyjących bezbożnie,
a dopełniona wczesnie młodość – leciwą starość
nieprawego.
Zobaczą bowiem kres mądrego,
a nie pojmą, co o nim Pan postanowił
i w jakim celu zachował go bezpiecznym.
Będą patrzeć i żywić pogardę,
ale Pan ich wyśmieje.*

(Mdr 4,7-18)

Taką dostałam odpowiedź od Pana Boga.

Zadawałam Mu wiele pytań. Już wam mówiłam, że po śmierci Heleny weszłam do jednego z kościołów w Boliwii. Zobaczyłam duży obraz Jezusa Miłosiernego z napisem „Jezu, ufam Tobie”, w języku polskim.

Jak to odebrałaś?

Anita: To było dla mnie bardzo mocne. To była dla mnie kolejna odpowiedź. „Wbij sobie to do głowy. Zaufaj Mi!”. Przestałam pytać.

Któregoś dnia sprawowano mszę św. za Helenę pod przewodnictwem biskupa. Byli polscy księża. Kościół pełen ludzi, gdzie na ogół jest ich garstka. Potem poszliśmy na kolację z siostrami. Pierwszy raz mogłyśmy na spokojnie porozmawiać. Doświadczyłam wtedy pokoju w sercu, mimo tego wszystkiego co się tam działo. To był taki pokój, że wiedziałam, że on jest od Boga. Wszystkie siostry tego doświadczyły i ja też. Może dla kogoś to jest dziwne... Po ludzku to jest trudne do opowiedzenia, są emocje, ból, smutek, ale tak głęboko w sercu czułam pokój.

Po śmierci Heleny wydarzyło się też wiele małych cudów. Na przykład ten, że akurat ja żyję. Na początku trudno było mi to zaakceptować. Ale widzę w tym wszystkim cud. Inaczej patrzę też na życie. Tak bardziej... Nie wiem...

...świadomie?

Anita: Świadomie. Ale te wydarzenia zbliżyły mnie też z moją rodziną. Oni mocno przeżyli ten czas. Moja bratanica ma sześć lat. Gdy przyjechałam do Polski, złapała mnie i powiedziała, że już mnie nie wypuści. Więcej rozmawiam teraz z rodzicami i bardziej doceniam czas spędzany z nimi.

Kiedy mówiłaś o wyjeździe do Boliwii, używałaś słowa „powołanie”. Teraz odczytujesz je na nowo?

Anita: Często się nad tym zastanawiam. Co ja mam teraz z tym zrobić? Jaka jest moja droga? Co teraz zrobić z pragnieniem, które miałam? Czułyśmy się tam bezpieczniej niż tutaj. To przecież w Europie co chwilę są zamachy. Powrót z Boliwii był dla mnie trudny. Zastanawiałam się, co dalej. Mam wrócić do pracy? Mam jakby nigdy nic pracować? Nadal nie do końca to wszystko rozumiem. Muszę w sobie wiele poukładać. Ciągle przeżywam tamte wydarzenia, ale wiem też, że Bóg jest i że ma dla mnie najlepszy plan. Chcę Mu ufać.

Gliwice, maj 2017

S. BEJZYMA JODŁOWSKA

KRZYKIEM ZBUDZIŁAM SIOSTRY

Na ośmiu boliwijskich placówkach pracują polskie misjonarki i siostry pochodzenia boliwijskiego. Służebniczki dębickie w Ameryce Południowej mają także jedną placówkę w Peru podlegającą Wikariatowi Misyjnemu, którego przełożoną jest s. Maria Bejzyna Jodłowska, pracująca na misjach w Boliwii już od 30 lat.

Dom Wikariatu Misyjnego znajduje się w miejscowości Cochabamba, położonej w górskiej dolinie rzeki Rocha w Andach na wysokości ponad 2500 m n.p.m.

Służebniczki dębickie w Cochabambie prowadzą szkołę im. bł. Edmunda Bojanowskiego, do której uczęszcza ok. 2500 uczniów – dzieci od wieku przedszkolnego do maturzystów (nauka w boliwijskiej szkole obejmuje sześć klas szkoły podstawowej, a następnie sześć klas szkoły średniej).

Swoją troską siostry otaczają także parafialny kościół pw. Matki Bożej Łaskawej i bł. Edmunda Bojanowskiego, podejmując pracę w zakrystii i kancelarii parafialnej. W parafii angażują się w pracę duszpasterską, odwiedzają ludzi samotnych i chorych, a gdy kapłan nie jest w stanie dotrzeć do okolicznych wiosek, posługują jako nadzwyczajni szafarze Komunii Świętej.

W domu Wikariatu mieści się także centrum rehabilitacyjne, gdzie siostry pielęgniarki pomagają ludziom powracającym do zdrowia.

W Cochabambie działa także ochronka „Los Pitufos” („Smerfy”), gdzie każdego dnia opieką otacza się ok. 100

dzieci. To tam najmłodszymi miały opiekować się Anita i Helena.

Trzydzieści lat pracuje już Siostra w Boliwii. Jacy są Boliwijczycy?

To bardzo zróżnicowany naród, ogromny wpływ na tych ludzi ma miejsce ich pochodzenia. Ludzie z gór są raczej zamknięci, trudno zyskać ich zaufanie, potrzebują więcej czasu, by nawiązać kontakt z drugim człowiekiem. Natomiast ludzie z tropikalnej części Boliwii są na ogół otwarci i bardzo radośni, spontaniczni i bardzo lubią świętować, tańczyć.

To bardzo religijny kraj. Chrześcijanie stanowią 95 proc. ogółu mieszkańców. Jednak swoją wiarę wyrażają trochę inaczej niż my. Bardzo często czynią znak krzyża, w kościołach, przechodząc obok figurek świętych, dotykają ich i żegnają się. Świętych otaczają wielkim kultem – przystrajają ich figurki. Gdy wiosce patronuje jakiś święty, to jego wspomnienie jest wielkim świętem, odbywają się m.in. procesje ku jego czci, cała wioska świętuje.

Niedzielne uczestnictwo we mszy św. pozostawia jeszcze wiele do życzenia, ludzie w niedziele zajmują się handlem i często nie mają czasu dla Boga. W wioskach ludzie praktycznie nie mają możliwości uczestniczenia w niedzielnej mszy św., ponieważ misjonarze przyjeżdżają tam dwa-trzy razy w roku. Wyzwaniem dla tutejszego Kościoła jest formowanie świeckich katechistów, żeby to oni mogli ewangelizować tam, gdzie nie może dotrzeć kapłan.

Jak Siostra jako Europejka była przyjmowana tam pod koniec lat 80.?

W nas widzą bardziej misjonarki niż Europejki. Siostry zakonne są przyjmowane z wielką serdecznością i dobrocią. Tak jest do tej pory. Wszędzie, gdzie się pojawiajemy, wszyscy

są dla nas życzliwi, uśmiechają się, przybiegające dzieci przytulają się. Ta posługa daje mi dużo satysfakcji i radości.

Czy Siostra po tych latach widzi owoce swojej pracy?

Pan Bóg może widzieć owoce. Gdy spotykamy się z dorosłymi ludźmi, którzy kiedyś byli naszymi uczniami, a dziś bardzo dobrze radzą sobie w życiu, to faktycznie cieszy. Wiele lat pracowałam w domu dziecka – dużo dzieci osieroconych, z biednych rodzin wychowałam od kolebki. Wiele z nich ochrzciliśmy, przygotowaliśmy do Pierwszej Komunii, do sakramentu bierzmowania, a gdy dziś słyszę, że ci ludzie ułożyli sobie życie, zdobyli zawód, to jest to moją radością i pewnie „małym owocem” pracy misyjnej.

Jak Siostra postrzega współpracę z wolontariuszami na misjach?

Jesteśmy bardzo wdzięczne wolontariuszkom, które przyjeżdżają do pracy, aby wspomagać nas w naszej misji. Na misjach potrzebujemy serc pragnących dzielić się wiarą i rąk do służby ubogim.

Czy nie jest czasami tak, że wolontariusze bardziej przeszkadzają, niż pomagają? Że w czasie ich pobytu, oprócz standardowej pracy, muszą Siostry się jeszcze nimi zajmować?

To nie przeszkoda, ale radość, że są młodzi ludzie oddani Panu Bogu, którzy chcą pomagać drugiemu człowiekowi na innym kontynencie. Dla mnie osobiście ich posługa jest bardzo pomocna.

Bywa, że wolontariusze, którzy wyjeżdżają na misje, mają przekonanie, że zmienią świat, że tam na miejscu uda im się dokonać czegoś dobrego, jednak gdy wracają z misji,

okazuje się, że to oni więcej otrzymali, niż dali. Skąd ta zmiana w myśleniu?

My, misjonarze, kiedy wyjeżdżamy na misje, myślimy, że zbawimy wszystkich i wszystkim na miejscu pomożemy. Po przyjeździe trzeba być bardzo otwartym na inność drugiego człowieka, na jego kulturę, wtedy dopiero uczymy się dostrzegać, jak miejscowi ludzie doświadczają Boga, czego najbardziej potrzebują. Przyglądamy się im z szacunkiem, a dopiero później zastanawiamy się, jak my możemy im pomóc. W tym sensie się ubogacamy. Na samej misji ubogacamy się głównie przez poznawanie innych ludzi, ich sposobu życia, przeżywania wiary, podchodzenia do drugiego człowieka. Wzbogaca nas ich postawa, sposób wychwalania Pana Boga.

Z Wikariatem Misyjnym siostr służebniczek skontaktował się ks. Mirosław Stanek – dyrektor WMS-u. Siostra Bejzyma zgodziła się na przyjęcie dwóch wolontariuszek, Anity i Heleny, i poinformowała o możliwości pracy wśród dzieci w Cochabambie.

Jak Siostra zapamiętała obie dziewczyny, które wtedy przyleciały do Cochabamby?

Obie powitałam na lotnisku. Były pełne zapału. Podczas pierwszego spotkania robiły wrażenie bardzo miłych osób. Mówiły, że przyjechały, aby nam pomóc. Poznałam je jako osoby, które chcą być blisko nas i są gotowe ofiarować swój czas, swoje zdolności. Skromne. Serdeczne. Otwarte na tę nową rzeczywistość. Chciały służyć – tak je zapamiętałam.

Siostra Bejzyma nie miała możliwości, by bliżej poznać dziewczyny. W Cochabambie spędziła wówczas tylko trzy dni. W Wikariacie Misyjnym trwała w tym czasie wizytacja

z Domu Generalnego w Dębicy s. M. Savii Bezak – radnej i ekonomki Zgromadzenia, więc zakonne obowiązki zadecydowały o podróży s. Beżymy do pobliskich placówek. Zdążyła jedynie wprowadzić Anitę i Helenę w charakter postugi, która na nie czekała.

Czym dziewczyny miały się zająć na miejscu?

Przyjechały w styczniu. W lutym planowaliśmy otworzyć nową ochronkę. Zadaniem dziewczyn była pomoc w przygotowaniu pomieszczeń i sal dla dzieci. Malowały ściany, zajmowały się organizowaniem i układaniem zabawek dla dzieci. Później miały pomagać w opiece i wychowaniu dzieci w ochronce i prowadzić lekcje z uczniami naszej szkoły. Jednak styczeń to czas wakacji w Boliwii, więc dziewczyny nie zdążyły jeszcze nikogo poznać ani zaangażować się w bezpośrednią pracę z dziećmi.

Codziennie dawały świadectwo swojej wiary poprzez uczestnictwo we mszy św. Stąd przede wszystkim pamiętają je parafianie.

Siostra była pierwszą osobą, która dostała sygnał o tragicznych wydarzeniach.

Po kilku dniach wizytacji wróciłam do Cochabamby. W nocy odebrałam telefon od Anity, która użyła telefonu komórkowego Helenki, więc na moim telefonie wyświetliło się imię Helenki i jej numer. Była godz. 1.27. Pamiętam to. Usłyszałam tylko pisk. Pisk Anity. Ogromnie się przeraziłam. Szybko włożyłam strój zakonny i dosłownie wyskoczyłam ze swojego pokoju. Myślałam tylko o tym, żeby jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Głośno krzyczałam. Byłam przekonana, że dzieje się coś złego. Krzykiem zbudziłam siostry ze wspólnoty. Pobiegły za mną. Panowały przerażenie i strach.

Co Siostra zobaczyła na miejscu?

Anita otworzyła nam drzwi ochronki, bo wszystko było pozamykane. Wbiegłyśmy tam wszystkie. Helenka już po prostu... Była wykrwawiona. Bez znaku życia...

Co Siostra wtedy czuła?

Dlaczego to się wydarzyło? Panie Boże! Dlaczego tak? Dlaczego my? Niezrozumienie tej tragedii. My tam na misjach pracujemy już ponad 35 lat. Na żadnej placówce w Boliwii nigdy nas nic takiego nie spotkało. Stąd to pytanie do Pana Boga: „Dlaczego?”

Potem trzeba było zmierzyć się z przyjęciem woli Bożej... Trzeba było wszystkim się zająć. Dużą pomocą była obecność siostry z Polski – s. M. Savii Bezak oraz siostr ze wspólnoty. To było wspólne działanie.

Przyjechała karetka pogotowia, policja. Otrzymałyśmy dużo dobra i wsparcia od ludzi w Cochabambie. Jako przełożona musiałam załatwiać wszystkie formalności na miejscu. Było to dla mnie bardzo trudne. Pan Bóg dawał jednak siłę, by zmierzyć się z tym, co się wydarzyło, i zobaczyć to w świetle Bożym. Patrząc czysto po ludzku – to trudne do zrozumienia.

W sprawie transportu ciała Heleny do kraju siostry kontaktowały się z ambasadą Polski w Limie, bo w Boliwii nie ma polskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego. Otrzymały dużą pomoc od konsula Konrada Kiedrzyńskiego, ale to one musiały udźwignąć cały ciężar tej tragedii i stawić czoło wszystkim przeciwnościom, tam na miejscu.

Co było najtrudniejsze?

Pierwszy moment, w którym zobaczyłam Helenkę. I drugi – pożegnanie jej ciała, gdy trumna leciała do kraju... To było najtrudniejsze...

Jak Siostra patrzy na te wydarzenia z perspektywy czasu?

Widzę, że mimo ogromnej tragedii zrodziło się też wiele dobra. I w Boliwii, chociaż Helenka była tam bardzo krótko, i w Polsce, co mogę obserwować w mediach. Wielkie dobro. My nie miałyśmy dużo czasu, żeby poznać Helenkę – poznałyśmy ją bardziej dzięki wszystkim wspomnieniom i opowiadaniom, które usłyszałyśmy po jej śmierci. Na pewno Pan Bóg wyprowadza z tej tragedii jakieś dobro.

Co dzieje się w Boliwii po śmierci Heleny?

Tak jak mówiłam, przez tych kilka dni najbardziej poznali ją ludzie w parafii, bo Helena razem z Anitą były codziennie na mszy św. Mieszkańcy do dziś są pełni podziwu, że tak młode dziewczyny zdecydowały się poświęcić swój czas, swoje zdolności, by służyć boliwijskim dzieciom w ochronce.

Młodzież i pracownicy z naszej szkoły również są pod wrażeniem ich postawy. Wokół jej osoby jest duże zainteresowanie. Myślę, że może się stać inspiracją dla boliwijskiej młodzieży.

Czy mieszkańcy Cochabamby pamiętają o niej?

Poznałam kobietę, która opowiadała mi, że modli się do Helenki, a ona pomaga jej w codziennym życiu. Nie znała jej. Spotkały się raz na mszy św. Wycięła jej zdjęcie z gazety i trzyma na swoim stoliku, gdzie pali świeczki [Boliwijczycy mają taki zwyczaj, że zapalają świeczki przy figurkach i obrazkach świętych – przyp. red.].

Jest też świadectwo młodego małżeństwa, które zawdzięcza wstawiennictwu Helenki poczęte dziecko.

Są małe znaki, iskierki, które może kiedyś rozpalą promienie wiary i wydadzą Boże owoce w środowisku, w którym pracujemy.

Czy Siostry we wspólnocie w Cochabambie też modlą się przez jej wstawiennictwo?

Modlimy się. Prosimy, żeby nam pomagała w pracy na misjach. Każdego 24. dnia miesiąca przez cały rok odprawiana jest u nas msza św. za jej świętej pamięci duszę. Ufamy, że jest już w niebie i wstawia się za nami.

Co Siostra myśli, gdy głośno mówi się o możliwości rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego?

Jeśli Pan Bóg tak chce, to na pewno zostanie błogosławioną. Jeśli będzie tak, że przez wielkie zło narodzi się jeszcze większe dobro, to dla nas Boży znak – dla naszej wspólnoty, ale i dla całego Kościoła. Jej życie to piękny przykład dla młodzieży.

Skoro Siostra wspomniała o złu... Co dzieje się z mordercą?

To młody chłopak. Zapadł wyrok – najwyższy z możliwych w Boliwii – 30 lat pozbawienia wolności. Przebywa w najcięższym więzieniu w Cochabambie. Był wychowywany tylko przez matkę. Od 15 lat wychowywał się praktycznie na ulicy, przyjmował narkotyki.

Media w Polsce informowały o jego wewnętrznej przemianie.

Okazał pewną skruchę. W czasie wizji lokalnej w naszej ochronie siostry podeszły do niego i zamieniły z nim kilka słów. Okazał skruchę zwłaszcza wtedy, gdy usłyszał, że rodzice Helenki mu przebaczyli. Usłyszał od nas, że rodzina i my chcemy, by zmienił swoje życie, zobaczył nasze gesty miłosierdzia i życzliwości. Na pewno był tym poruszony. Modlimy się o jego nawrócenie. Ufamy, że może zmieni

swoje życie i otworzy się na Boże miłosierdzie, które przecież nie ma granic.

Ochronka, w której miały pomagać Anita i Helena, już działa. Jak Siostra myśli, czy będą w niej pomagali jeszcze kiedyś wolontariusze?

Uroczyste poświęcenie pomieszczeń i całej nowej ochronki nastąpiło 14 czerwca 2017 roku. Na pewno potrzebujemy pomocy, więc myślę, że w przyszłości będziemy mogli przyjąć do nas nowych wolontariuszy.

Kraków, sierpień 2017

S. SAVIA BEZAK

Z BOLIWII PRZYWIOZŁAM SŁOWO „PRZEPRASZAM”

Siostra Savia Bezak, służebniczka dębicka, jest radną i ekonomką generalną. W styczniu 2017 roku przebywała w Boliwii, gdzie wizytowała placówki Wikariatu Misyjnego swojego zgromadzenia. Została też wydelegowana przez przełożoną generalną Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Bogarodzicy Dziewicy Niepokalanie Poczętej na uroczystość poświęcenia i otwarcia nowo wybudowanej ochronki w Cochabambie. Wydarzenie zaplanowano na 22 lutego.

Po tragicznych wydarzeniach w Cochabambie służebniczki dębickie były nękanie przez dziennikarzy, którzy, by wydobyć jakiegokolwiek informacje, często podszywali się pod przedstawicieli kościelnych instytucji, takich jak Konferencja Episkopatu Polski czy Radio Watykańskie. Siostra Savia zgadza się na rozmowę z nami dopiero w momencie, gdy słyszy, że pracujemy dla i z polecenia salwatorianów.

Byłam bardzo wdzięczna, że Wolontariat Misyjny Salvator wziął na siebie obsługę mediów w Polsce. W pierwszych chwilach po tej tragedii skupiliśmy się przede wszystkim na Anicie. Była w ogromnym szoku. Potrzebowała naszej pomocy. Zajmowała się tym szczególnie jedna z naszych sióstr misjonek – Polka, która przyjechała z Peru do pracy w ochronce w Cochabambie, s. Teresa. Wcześniej dziewczyny razem z nią przygotowywały ochronkę do otwarcia. A równocześnie było bardzo dużo spraw do załatwienia związanych z tą tragedią. Siostry kontynuowały swoje

posługi w kościele, centrum rehabilitacji, w szkole, którą trzeba było przygotować na rozpoczęcie roku szkolnego. Odbywały się rekolekcje dla sióstr, śluby zakonne, kończyła się kadencja Zarządu Wikariatu Misyjnego, który w nieco zmienionym składzie rozpoczął kolejną kadencję. Życie wspólnoty i Wikariatu musiało toczyć się dalej mimo wielkiego bólu, jaki nas przepełniał. Nie chcieliśmy rozmawiać o tym, zwłaszcza z żądnymi sensacji mediami. Tym bardziej że tyle było jeszcze niewiadomych. Uznałyśmy, że to w niczym nie pomoże, a może zaszkodzić prowadzonemu śledztwu i sprawić ból osobom cierpiącym z powodu śmierci Helenki. Byłyśmy świadome, że należy o tym poinformować, ale musi to być bardzo wyważona informacja, podana w sposób rzetelny i prawdziwy.

Komunikaty podawane przez Wolontariat bardzo dobrze oddawały to, co należało i można było przekazać w tym czasie. Pisano je w duchu ogromnego szacunku dla przeżywających żalobę po stracie Helenki.

Jaką rolę w tych wydarzeniach odegrała Siostra?

Byłam przy s. Bezymie – przełożonej Wikariatu Misyjnego. To ona w pierwszej kolejności odpowiadała za ochronkę, a także przygotowała cały pobyt Anity i Helenki w Boliwii. Siostra Bezymia bardzo boleśnie przeżywała to wydarzenie. W pierwszych godzinach, jak sama mi powiedziała, nie była zdolna do telefonowania gdziekolwiek i prowadzenia rozmów na temat tego, co się stało. Byłam razem z Anitą, ze wspólnotą sióstr, razem cierpiałymy, modliłyśmy się, umacniałyśmy się i załatwiałymy trudne sprawy związane z prowadzonym śledztwem, zabezpieczeniem i przewozem ciała Helenki do Polski. Tam, gdzie dałam radę, zastępowałam s. Bezymę. Byłam „łączniczką” pomiędzy Boliwią a moim zgromadzeniem w Polsce, księżmi salwatorianami a rodzicami Helenki oraz Anity. Pomagałam siostrom

w przyjmowaniu w domu dużej liczby osób odwiedzających nas, składających kondolencje z zapewnieniem o modlitwie. Siostry mówiły mi, że byłam dla nich „opatrznosciowym” człowiekiem w tych dniach.

Kto pierwszy poinformował o tym wydarzeniu?

Zastanawialiśmy się, co powinnyśmy zrobić w tej sytuacji – kogo w tym momencie powiadomić, a kogo jeszcze nie. Powtórzę: dla s. Bejzimy był to bardzo trudny moment. Nie była w stanie dzwonić, rozmawiać...

Czyli to Siostra dzwoniła z tą informacją do Polski?

Tak. Pan Bóg dał mi tyle siły, bym mogła to uczynić. Postanowiłam w pierwszej kolejności poinformować naszą matkę generalną, ponieważ stało się to w naszej placówce zakonnej. Zresztą nie miałam wtedy przy sobie żadnych innych numerów telefonów.

W czasie letnim boliwijskim między Polską a Boliwią jest pięć godzin różnicy. Dodatkowo w Domu Generalnym słuźebniczek w Dębicy trwały rekolekcje. Trudno było skontaktować się z matką generalną.

Pierwszy telefon wykonałam przed godz. 3.00 czasu boliwijskiego. W Polsce było przed 8.00 rano, zaczynał się dzień. Trwała msza św. Nie chciałam przekazywać wiadomości siostrze furtiance, dlatego poprosiłam, by poinformowała matkę generalną, że dzwoniłam z Boliwii i że będę jeszcze próbowała, ale gdyby nie udało mi się dodzwonić, proszę, by matka do mnie pilnie oddzwoniła.

Gdy siostrom udało się skontaktować, s. Savia poprosiła matkę, by to ona poinformowała prowincjała księży salwatorianów o tym, co się stało.

Czas oczekiwania w Boliwii, aż ta wiadomość dotrze do księży salwatorianów i rodziców wolontariuszek, był dla nas bardzo trudny... Anita chciała zadzwonić do swoich rodziców, ale prosiłyśmy ją, by poczekała do momentu, gdy tę jakże bolesną wiadomość otrzymają rodzice Helenki... Chciałyśmy, by wiadomość przekazał im ktoś w Polsce. Czułyśmy, że oni nie mogą dowiedzieć się o tej tragedii przez telefon i pozostać z tym sami. W rozmowie z naszą matką poprosiłam, by ona pierwsza powiadomiła księży salwatorianów, a ja zadzwonię później. Miałam przekonanie, że tak będzie lepiej, że zastanowimy się wspólnie, w jaki sposób poinformować rodziców, jak ich wesprzeć.

Krótko po telefonie od matki generalnej zadzwoniłam do księży salwatorianów, do ks. Mirka. Wtedy jeszcze nie znałam jego nazwiska. W międzyczasie udało nam się odnaleźć kontakt do niego, jako odpowiedzialnego za Wolontariat Misyjny Salvator. W jego pobliżu był już wtedy ksiądz prowincjał. Przeżywali to bardzo, tak samo jak my. Zastanawiali się, co w tej sytuacji robić, kto ma pojechać do rodziców Helenki. Wtedy dowiedziałam się od księży, że Helenka była spokrewniona z bp. Janem Zającem i że księża najpewniej jego poproszą o przekazanie tej wiadomości.

Oczekiwanie na przekazanie informacji rodzicom Helenki trwało długo, bo bp Zajęc był na pogrzebie ks. Mieczysława Malińskiego. Salwatorianie nie mogli się z nim skontaktować.

W czasie tej rozmowy poprosiłam też ks. Mirka, by porozmawiał z Anitą jako opiekun Wolontariatu, ktoś bliski, kto ją znał. Byłam świadoma, że ona potrzebuje ogromnego wsparcia. Bałam się o nią, o skutki, jakie mogło wywołać i pozostawić w niej to traumatyczne przeżycie.

Prawie cały ten dzień Anita z s. Bejzymą i s. Teresą spędziły na komisariacie. Gdy wieczorem wróciły, miałyśmy już potwierdzenie od ks. Mirka, że rodzice w Polsce zostali powiadomieni o tym, co zaszło.

Czy Siostry też chciały zadzwonić do rodziców wolontariuszek?

Tak, i takie rozmowy się odbyły. Najpierw wraz z Anitą podczas jej pierwszej rozmowy z rodzicami wieczorem, a dopiero na drugi dzień rano z rodzicami Helenki. Ten pierwszy dzień był dla nas bardzo trudny i nie mogłyśmy nawet znaleźć wszystkich numerów telefonów. Okazało się, że nie mamy telefonu do domu rodzinnego Helenki. Anita też go nie miała. Ich telefony były zabrane przez policję. Tyle rzeczy się działo... Ostatecznie numer telefonu do mamy Helenki otrzymałam od ks. Mirka następnego dnia. Potem kontaktowałyśmy się z nimi regularnie.

Siostra jest pierwszą osobą, z którą rozmawiamy, która w czasie tej tragedii była tam, na miejscu. Proszę spróbować to umiejscowić w czasie. Opowiedzieć o tym, co się wtedy wydarzyło.

Cała tragedia musiała się rozegrać ok. godz. 1.20 w nocy czasu boliwijskiego, 24 stycznia, ponieważ s. Bejzyna o 1.27 odebrała telefon od Anity. O 1.29 dzwoniła już na policję. Anita, jak wynikało z jej późniejszej relacji, bardzo szybko zareagowała na głos Helenki. Gdy s. Bejzyna wybiegła ze swojego pokoju do ochronki, krzykiem po polsku i hiszpańsku zbudziła wszystkie domowniczkę. Wiedziałyśmy, że coś się stało w domu naszych wolontariuszek.

W tym czasie we wspólnocie zakonnej w Cochabambie było 12 siostr (sześć polskich misjonarek, sześć siostr Boliwijek).

Gdy z s. Bezymą jeździłam po innych placówkach misyjnych, ona ostrzegała mnie przed tamtejszymi zwierzętami – zwłaszcza jadowitymi wężami i żmijami oraz pajakami. Te opowieści sprawiły, że w pierwszej chwili po obudzeniu, gdy usłyszałam bliżej nieokreślone odgłosy w domu, pomyślałam: jakieś zwierzę weszło do domu i siostry chcą się z nim rozprawić.

Potem na krótko zapadła cisza. Poczułam się zaniepokojona, gdy usłyszałam głos s. Bezymy na ulicy. Jak mi później powiedziała, wołała: „policja, policja” – chciała spłoszyć ewentualnych napastników, gdyby byli jeszcze gdzieś w pobliżu, w ochronce. Ona po reakcji Anity czuła, że coś strasznego się tam wydarzyło. Krzyczała, ile miała sił, emocje były bardzo silne. Wszystkie siostry, które się obudziły, wybiegły z budynku. Byłam bardzo zmęczona po podróży i z deficytem snu, więc mocno zasnęłam i zareagowałam z lekkim opóźnieniem. Nie mogłam się zorientować, co się dzieje. Najpierw jakieś poruszenie w domu i nagle cisza. Spojrzałam na zegarek, było wpół do drugiej w nocy. Wyrzłam na ulicę, panowała cisza. Gdy wyszłam na korytarz, też było cicho. Z pokoju wyrzała inna siostra, długoletnia polska misjonarka. Zapytałam, co się stało. Nie wiedziała dokładnie, ale powiedziała, że to u naszych wolontariuszek coś się wydarzyło. Wróciłam do pokoju, ubrałam się pośpiesznie. Gdy zesłam na parter, spotkałam kolejną siostrę. Powiedziała, że dzwoni na policję, bo zamordowano jedną z naszych wolontariuszek – Helenkę. Dzwoniła ponownie, już po pierwszym zgłoszeniu s. Bezymy, bo kazano im za kilka minut powtórzyć zgłoszenie. Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Poszłam najpierw do kaplicy. Mówiłam: „Panie Boże! Jak to możliwe?”. Myślałam, że może jest tylko ranna. Siostra powiedziała, że na miejscu są siostry pielęgniarki i że u dziewczyny niestety nie wyczuwa się już tętna.

Dowiedziałam się, że chłopak, który tam wtargnął, zadał jej ciosy nożem. Helenka się wykrwawiła. Po krótkiej modlitwie, właściwie krzyku do Pana Boga, żeby coś uczynił, żeby ją jeszcze uratował, wróciłam do swojego pokoju, nie wiedząc kompletnie, co mamy zrobić. Chciałam zadzwonić do Polski, do przełożonej generalnej, ale nie dowierzałam jeszcze temu, co usłyszałam, i nie wiedziałam dokładnie, co tak naprawdę się wydarzyło. Miałam wciąż nadzieję... Nie wytrzymałam długo i chciałam dołączyć do sióstr, jednak nie pozwolono mi wyjść samej. Wtedy przybiegła do mnie s. Bejzyna. To było chyba dla mnie najmocniejsze przeżycie tej nocy. Siostra była ogromnie przerażona. Z trudem wypowiedziała, że Helenka została zamordowana, przytuliłam ją mocno i się rozplakałam. Zanim o cokolwiek spytałam, wybiegła z powrotem do ochronki. W tym momencie zgasł ostatni promyk nadziei. Moje serce przeszła najstraszliwsza wiadomość w moim życiu. Tuż obok została okrutnie i w tak krótkim czasie zamordowana Helenka, którą dopiero co poznałam, a kilka godzin wcześniej odprowadziłam do mieszkania, dlaczego...? Pobiegłam za s. Bejzymą. Nie dotarłam na miejsce. Po drodze spotkałam Anitę z s. Teresą. Anita była w bardzo dużych emocjach. Bardzo płakała. Siostra poprosiła mnie, żebym wróciła, bo potrzebny jest ktoś z językiem polskim, kto pomoże w opiece nad Anitą.

Anita tego wieczoru znalazła się w samym środku wydarzeń...

Tak. Trzeba było jej perswadować różne rzeczy. Cały czas czuła się winna, że nie mogła nic zrobić. Ciągle wracała do tego, że bezskutecznie próbowała udzielić jej pierwszej pomocy – starała się zatamować krew z największej rany. Mówiła, że chce do niej wrócić, że chce z nią być. Powta-

rzała: „Co ja powiem jej rodzicom?”. Była w szoku. Helenka zmarła na jej rękach. Ponieważ na miejscu była już policja, prosili, by zabrać Anitę. Trzeba było ją niejako odciągnąć od tego miejsca.

Wtedy zostałam w głównym budynku. Wraz z s. Teresą pomogłam Anicie się umyć. Po prostu z nią byłam, rozmawiałam. Trzeba było ją uspokoić i zapewnić, że zrobiła wszystko, co mogła. Bo tak było! Podziwialiśmy jej trzeźwość umysłu, którą zachowała w takim momencie. Zapamiętała bardzo dużo szczegółów, była pewna przebiegu wydarzeń: tego, co widziała, w jakim czasie to się stało. Nikt nie był w stanie zachwiać w niej pewności tych informacji.

Później, gdy do domu zakonnego przyszła policja, s. Savia słyszała także zeznania Anity.

To było ogromnie trudne. Miałam świadomość, że to tak młode dziewczyny... Przyjechały nam pomóc... Wszystko było tak dobrze, tak pięknie się układało... Anita – w ogromnym bólu – wykrzyczała: „Miałyśmy ogromny pokój, chciałyśmy pomóc tym dzieciom. Dlaczego to się stało?”. Ale muszę powiedzieć, że miała bardzo głęboką wiarę. Pomimo tej strasznej tragedii nie obwiniła Pana Boga za to, co się zdarzyło, i nie zadawała Mu pytania: „Dlaczego?”. Może w pierwszym odruchu... Wszystkie wiedziałyśmy, że tej odpowiedzi nie otrzymamy ani w tym momencie, ani pewnie w ogóle. Dla nas było to tak nieprawdopodobne i bolesne wydarzenie, że można je było tylko okryć tajemnicą wiary i tajemnicą Bożego miłosierdzia.

Zaprowadziłyśmy Anitę do naszego pokoju gościnnego. Owinęłyśmy ją w koc, by łatwiej było nam zapanować nad jej emocjami i chłodem nocy. Anitka ciągle chciała wracać do Helenki... Wtedy też dowiedziałyśmy się, że Helenka

miała chłopaka. Anita nieustannie wracała do pytań: „Co ja powiem Michałowi, jej rodzicom, całemu Wolontariatowi?”

Tłumaczyliśmy jej, że była bardzo dzielna, że nie uciekła z tego miejsca, że zachowała zimną krew, że bardzo szybko wezwała pomoc, że zrobiła wszystko, co mogła...

W domu zakonnym Anita była przesłuchiwana przez policję prowadzącą śledztwo. Jak wyglądała ta rozmowa?

Anita próbowała odpowiadać po hiszpańsku, ale opowiadanie o tak tragicznych wydarzeniach w języku, którego się dopiero uczymy, nie jest rzeczą łatwą. Dlatego jedna z sióstr tłumaczyła. Opowiadała wszystko ze szczegółami – od momentu, kiedy usłyszała jakiś ruch w ich mieszkaniu i krzyk Helenki. W pierwszej chwili Anita myślała, że może Helence się coś przyśniło, czegoś się przestraszyła. Zawahała się, czy powinna wychodzić z pokoju. Chciała zadzwonić po pomoc, ale jej telefon był rozładowany. To trwało sekundy. Gdy usłyszała krzyk Helenki po raz drugi, zdecydowała, że musi wyjść. Kompletnie nie wiedziała, co tam zastanie. Towarzyszył jej ogromny lęk. I w tym momencie przeżyła chwile grozy. Anita zapaliła światło w swoim pokoju, otworzyła drzwi. Zobaczyła chłopaka wychodzącego z pokoju Helenki. Poczowała ogromny strach, do tego stopnia, że bała się na niego spojrzeć. Korytarz nie był szeroki, więc odległość pomiędzy nimi była mała. Stanęli naprzeciwko siebie. Helena i Anita miały pokoje *vis-à-vis*. On nic nie powiedział, nic jej nie zrobił – tylko na nią spojrzał. Jak się później okazało, bardzo dobrze zapamiętała jego twarz z prawego profilu. Miał bardzo charakterystyczną kość skroniową. Anita dokładnie zapamiętała, jak był ubrany. Uciekł najprawdopodobniej tą samą drogą, którą wszedł.

Czyli któredy?

Ochronka była zamknięta. Część mieszkalna była wydzielona wewnątrz ochronki i też była zamknięta – dziewczyny zamykały się na noc od korytarza. Była to część bardziej ukryta w budynku. Obok ich dwóch pokoi, łazienki i aneksu kuchennego (na ich wewnętrznym korytarzu) był tam jeszcze jeden niezamieszkały pokój, magazynek. Jako jedyny nie miał zewnętrznego okna, tylko przeszklenie w górnej części ściany, przez które wpadało trochę światła z głównego holu ochronki. Wszystkie zewnętrzne okna były okratowane. Wszedł i uciekł przez to naświetle. Choć było zamknięte, jakimś sposobem otworzył je.

Budynek ochronki jest zbudowany w sposób charakterystyczny dla boliwijskiej architektury. Na planie prostokąta. Sale dla dzieci i jadalnia otaczały patio (wewnętrzny dziedziniec), które miało być placem zabaw dla dzieci. Wyścielone sztuczną trawą. Było tam też przygotowane miejsce do modlitwy. Dziewczyny namalowały piękną grotę Matki Bożej z Lourdes. Stała tam figura Matki Bożej Niepokalanej.

Co one widziały z okien?

To jest parterowy budynek. W jakiejś części okien widziały mur otaczający ochronkę. Ale ponad nim piękną panoramę miasta Cochabamba, wysokie góry, błękitne niebo z białymi chmurkami i ogromną białą figurę Jezusa (od tyłu) – Cristo de la Concordia – z rozpostartymi ramionami, którymi obejmował Cochabambę. Szyby miały przysłonięte wówczas naklejonymi planszami z odmianą czasowników hiszpańskich.

Tajemnicą Pana Boga jest również to, dlaczego ten człowiek nie skierował się do sąsiednich drzwi, do Anity, tylko po przekątnej udał się do pokoju Helenki. Potem uciekł,

bo zobaczył drugą dziewczynę – jedyne go świadka. To też jest niezrozumiałe po ludzku, że nic jej nie zrobił – dzięki Bogu... Nie zaatakował jej, chociaż ona go zobaczyła.

Anita poszła za nim do tego pokoiku i zamknęła to przeszklenie, by mieć pewność, że nikt tą drogą nie wróci. Poszła do pokoju Helenki, w którym było zgaszone światło. Nie wiem, jak to możliwe, ale on w tych ciemnościach zadał jej 14 okrutnych ciosów... Anita zobaczyła Helenkę leżącą na podłodze z krwawiącymi ranami. Wołała do niej, ale Helenka się nie odzywała, nie nawiązywała już kontaktu. Wtedy Anita z biurka Helenki wzięła jej telefon, by zadzwonić do s. Bejzimy. Ponieważ bateria też była na wyczerpaniu, modliła się, by siostra szybko odebrała. Tak też się stało. W oczekiwaniu na siostrę Anita udzielała Helence pierwszej pomocy...

W życie Anity na zawsze została wpisana rola świadka...

Tak. Ona była tą pierwszą. Była z Helenką cały czas, także w ostatnich godzinach przed tą tragedią i w ostatnim momencie życia. To Anita zobaczyła sprawcę.

Kiedy w naszym domu zakonnym trwało przesłuchanie, policja złapała dwóch chłopców i chciała, by Anita ich rozpoznała. Kategorycznie się temu sprzeciwiłam, bo słyszałam przecież, jak opowiadała o wielkim strachu, ogromnym przerażeniu, jakie poczuła, gdy go zobaczyła, i teraz miałyby przeżyć znowu to samo? Stanąć z nimi oko w oko ponownie w tak krótkim czasie? Naprawdę się o nią bałam. Nie znałam jej. Nie wiedziałam, jaką ma wytrzymałość psychiczną. Zapytałam policjanta, czy byłaby możliwość zrobienia zdjęć zatrzymanym i pokazania ich Anicie. Zgodzili się. Anita jednoznacznie wskazała na jednego z nich. Drugiego w ogóle nie widziała i nie słyszała, by ktoś był ze sprawcą.

Gdy zeznania się zakończyły, zostawiłam Anitę z s. Teresą i innymi siostrami. Pobiegłam do ochronki. Wiedziałam, że tam w jakże trudnej sytuacji jest s. Bejzyna i pozostałe siostry. Nie mogłam już wejść do pokoju Helenki – wszystko było zaplombowane. Widziałam tylko świeże ślady krwi, zabezpieczone ślady sprawcy. Ciało Helenki było już w karetce. Krótko porozmawiałam ze śledczymi, którym zostałam przedstawiona. Zabrałam zboląłą s. Bejzymę po zakończeniu pracy policjantów, którzy zamknęli i zaplombowali ochronkę – wiedziałam, że ktoś musi przy niej być. Zapowiedziano im – s. Bejzymie i Anicie – kolejne przesłuchania i oględziny miejsca w ciągu dnia. A potem, w następnych dniach, było ich jeszcze wiele.

Siostro, a jak dzisiaj wygląda to miejsce?

Policja i prokuratura odplombowały ochronkę dopiero w marcu. Początkowo jej otwarcie było zaplanowane na 22 lutego. Miał być biskup pomocniczy Leszek Leszkiewicz z Tarnowa, ponieważ diecezja tarnowska bardzo nam pomagała finansowo w budowaniu ochronki. Ale w tych okolicznościach wiedziałyśmy, że pewnie ono się nie odbędzie. Siostry, razem z biskupem z Cochabamby, zdecydowały, że dzieci na razie zostaną w budynkach starej ochronki „Los Pitufos”, bo nawet gdybyśmy mogły wejść do tych nowych zabudowań, ta sprawa była za świeża, żeby tam rozpocząć działalność. To było dla nas bardzo bolesne doświadczenie. Dlatego ochronka nie jest jeszcze otwarta.

Nową ochronkę pw. Opatrzności Bożej poświęcono 14 czerwca 2017 roku. Dziś już normalnie funkcjonuje.

Siostro, posługujemy się ciągle sformułowaniem „ochronka”. Proszę wyjaśnić, czym ona właściwie jest.

Ochronka to nazwa pozostawiona nam przez założyciela naszego zgromadzenia bł. Edmunda Bojanowskiego. W dzisiejszej nomenklaturze mówimy o przedszkolu.

Początek naszego zgromadzenia liczy się od roku 1850, kiedy to Edmund Bojanowski założył pierwszą ochronkę. Taką właśnie nazwę nadał miejscu, w którym opiekę miały znaleźć dzieci z wiosek. Ta idea w jego sercu zrodziła się, gdy obserwował osierocone dzieci po epidemii cholery w Wielkopolsce. Według jego głębokich założeń to miejsce miało dzieci ochraniać przed niebezpieczeństwem, przed samotnością, przed złym wpływem środowiska. To miała być przestrzeń ochrony i rozwoju. Stąd „ochronka”. Sam Bojanowski przygotował cały program wychowawczy, z którego korzystamy do dziś. Przyuczał do pracy z dziećmi wiejskie dziewczyny, bo wiedział, że one najlepiej rozumieją potrzeby biednych wiejskich dzieci. Z tych pierwszych wychowawczyń zrodziło się zgromadzenie zakonne.

Szlachta, ziemianie czy inni dobrodzieje zakładali ochronki, prosili o siostry i wspierali je materialnie. Widzieli, jak wiele dobra w nich się dokonuje, jaki dobry wpływ mają na środowisko. Wieczorami ochronki zamieniały się w centra kształcenia dla wiejskich kobiet; siostry organizowały różne kursy, uczyły prac domowych, katechizmu, modlitwy, przygotowywały dziewczęta do roli żon i matek. Bojanowski wiedział, że kobieta – żona i matka, jest ostoją rodziny, wychowawczynią, przekazicielką wiary i patriotyzmu dla pokoleń.

Zgromadzenie tę nazwę „ochronka” zostawiło. Dzisiaj prowadzone przez nas przedszkola funkcjonują jako: „Ochronka Zgromadzenia Sióstr Służebniczek BDNP przedszkole publiczne” (lub niepubliczne).

W jaki sposób dziewczyny dowiedziały się o misji Sióstr w Boliwii?

Ponieważ pojawiła się informacja, że Helenka spotkała służebniczki w czasie ŚDM, zapytałam o to Anitę. Jednak Helenka nic jej o tym nie mówiła, więc wersja ta jest mało prawdopodobna, choć możliwa. Anita wspominała, na podstawie opowiadania Helenki, że kilka lat wcześniej na jednym ze spotkań WMS-u była jakaś siostra i opowiadała o misji w Boliwii. Ale Anita jednak mało ten fakt pamiętała. Dziewczyny nie nawiązały z nią kontaktu. Nie wiem, czy miały świadomość, że my taką misję prowadzimy.

Natomiast z relacji s. Bejzimy wiem, że to dziewczyny zgłosiły się do ks. Mirka Stanka, opiekuna WMS-u, i prosiły go o możliwość wyjazdu do Ameryki Południowej. Ksiądz Mirek nawiązał kontakt z s. Bejzymą we wrześniu 2016 roku i telefonicznie pytał o taką możliwość. W październiku przesłał tę prośbę za pośrednictwem poczty elektronicznej; pisał, że jakiś czas temu dwie wolontariuszki zgłosiły do niego chęć wyjazdu do Boliwii i że od swoich znajomych już coś wiedzą o tym kraju. Pytał też, czy jest możliwa posługa wolontariuszy na naszej misji w Boliwii. Siostra Bejzyna doświadczyła bardzo dobrej, wieloletniej współpracy z wolontariatem księży salezjanów w innej naszej placówce, w domu dziecka, widziała więc taką możliwość w przyszłości, właśnie w ochronce w Cochabambie. Nawet ucieszyła się z tej opatrnościowej propozycji. Potem zostały jej przedstawione sylwetki wolontariuszek chętnych na wyjazd do Boliwii z zapewnieniem, że są dobrze do tego przygotowane poprzez długoletnią formację i doświadczenie pracy misyjnej w innych krajach. I zaczęły się intensywne przygotowania do przyjęcia ich w ochronce, która miała być otwarta w niedalekiej przyszłości.

Czy Siostra w Boliwii poznała Helenę i Anitę?

Poznałam, ale niestety miałam za mało czasu, żeby z nimi wejść w bezpośrednie relacje. Jak już wspominałam, trwała wizytacja, odwiedzałam nasze domy zakonne i prowadzone placówki. Czas na poznanie wolontariuszek zaplanowany był na późniejszy etap mojego pobytu, kiedy na dłużej miałam się zatrzymać w Cochabambie.

Czy miała Siostra okazję, by obserwować dziewczyny, podpatrzyć je przy pracy? Czym one się tam zajmowały?

Do Cochabamby przyjechałam w poniedziałek wieczorem, 16 stycznia. We wtorek przy śniadaniu zostały mi przedstawione. Przywitałyśmy się. One krótko opowiedziały o sobie – jak mają na imię, skąd pochodzą – ale nie znałam tych miejscowości, więc trudno było mi zapamiętać. Dowiedziałam się, że Anita pracuje jako rehabilitantka, a Helenka jest stewardesą w liniach Wizz Air w Katowicach i obydwie wzięły półroczny urlop bezpłatny. To mnie wzruszyło, bo miałam świadomość, co dzieje się na rynku pracy w Polsce, i w moim odczuciu trochę zaryzykowały. Zdarza się przecież, że po powrocie z takiego urlopu trzeba szukać pracy gdzie indziej. Siostry ze wspólnoty mówiły o nich wiele dobrego, że są pracowite, chętne do pomocy. Chwałyły je. Polubiły. Ponieważ jednak one były tam już tydzień, a ja byłam gościem, przekazywałam pozdrowienia od matki generalnej, opowiadałam, co się dzieje w Polsce. Dziewczyny bardziej słuchały, niż mówiły.

W środę odwiedziłam ochronkę. One się tam krzątały i też nie było czasu na dłuższą rozmowę. Ale widziałam, że hol ochronki jest już prawie cały wymalowany w kwiaty, na ścianach pojawiły się jakieś szlaczki, w salach dla dzieci – pszczołki. To było ich dzieło, praca wykonana

w ciągu pierwszego tygodnia. Każda sala pomalowana na inny kolor. Na podłodze czekało dużo zabawek do ułożenia. One przenosiły wszystkie pomoce ze starego budynku albo układały zakupione nowe rzeczy. Sprzątały, malowały, układały i cieszyły się, że zbliża się dzień, w którym sale zapełnią się dziećmi i one zaczną pracę z nimi. Wkładały w to całe swoje serce, zdolności i umiejętności.

Byłam zauroczona obiektem, bo na tle innych był bardzo nowoczesny i kolorowy. Wykładziny we wzory dla dzieci. Nad patio rozciągnięta zielona siatka, która powodowała, że słońce mniej tam świeciło, a było przewiewnie, na ziemi sztuczna zielona trawa, na której miały bawić się dzieci. Poza ochronką spotykałam się z dziewczynami w te dni na mszy św. w naszej kaplicy domowej, wcześniej rano. Były rozmodlone. A potem na wspólnym śniadaniu.

Jakie było pierwsze wrażenie, gdy Siostra je zobaczyła?

Przede wszystkim były bardzo skromne, uśmiechnięte, zadowolone, szczęśliwe, pracowite, rozmodlone, życzliwe. W pierwszym kontakcie nieco onieśmielone.

Dla dzieci w jakim wieku przygotowywano to miejsce?

Od dwóch do czterech lat. Trzy grupy.

Jak liczne?

W starej ochronce każda grupa liczyła ok. 50 dzieci. W tej nowej grupie miały być trochę mniejsze – po ok. 30 osób, aby dostosować się do obowiązujących tam przepisów dla przedszkoli. Podobnie jak u nas.

Na czym miała polegać praca dziewczyn w trakcie roku szkolnego?

Po przygotowaniu tego przedszkola miały pracować w grupach jako pomoc nauczycieli. Ich zadaniem byłoby pomaganie w zajęciach, w karmieniu, przy wyjściach na wycieczki, w animowaniu zabaw.

Dziewczyny miały tam być do czerwca. Później mieli przyjechać następni wolontariusze na kolejne pół roku.

Jak wygląda społeczność w Boliwii? Kim są rodzice, którzy posyłają dzieci do ochronki?

Kiedy siostry 32 lata temu zaczęły się tam osiedlać, to na pustym wzgórzu nic nie było. Cochabamba usytuowana jest w dolinie, ale i tak na wysokości ok. 2600 metrów, czyli tak jak nasze Tatry, wokół są góry. Siostry zdecydowały się tam osiedlić, bo z wysokich gór przychodziły ubogie rodziny, przybływały przesiedlone rodziny górnicze, rolnicy w poszukiwaniu pracy i wody. Boliwię poważnie dotyka problem braku wody. Powstawała nowa dzielnica. Są to więc w większości rodziny wielodzietne, ubogie, samotne matki. Jest to raczej ubogi rejon.

Czyli rejon, w którym Siostry prowadzą ochronkę, to coś w rodzaju przedmieścia?

Można tak powiedzieć. Miejsce to jest znacznie oddalone od centrum miasta. Ale dzisiaj to osiedle wygląda już dobrze – jest zabudowane, jedne domy są bogatsze, bo mieszkają tam ludzie bardziej wykształceni i pracujący, ale są też domy biedniejsze, a nawet bardzo ubogie, bo ludzie borykają się z brakiem pracy. Z tego, co słyszałam, młodzież ma problem z zatrudnieniem. Brakuje zajęć dla nich. Pewnie jak w wielu innych społecznościach. Dlatego zdarzały się jakieś drobne kradzieże, ale nigdy nikt nie słyszał o morderstwie na tle rabunkowym. Ewentualnie słyszał było o jakichś lokalnych porachunkach czy samo-

sądach, ponieważ tutejsze prawo nie jest tak wydolne jak w krajach europejskich. Znajduje się tutaj kilka szkół, m.in. nasza, im. Edmunda Bojanowskiego, na ok. 2000 uczniów, nauka odbywa się na trzy zmiany, począwszy od zerówki po wieczorówkę dla pracujących. Jest kościół parafialny. Nawet piękne boisko sportowe, jak nasze polskie Orliki. Dzielnica ta nazywa się Pacata Alta.

Czy to wydarzenie w jakiś sposób wstrząsnęło tamtejszą społecznością?

Zaraz po tym, jak powstała tam placówka misyjna, siedziba Wikariatu Misyjnego naszego zgromadzenia, siostry zaczęły budować szkołę. Placówka działa już 31 lat. Tworzyła ją – nieżyjąca od kilkunastu lat – s. Joela, bardzo charyzmatyczna siostra. Zaczynała od pracy z najmłodszymi, a razem z dziećmi rosły kolejne szkolne budynki. Dziś jest to renomowana szkoła. Wiele osób stara się, by się do niej dostać. Mamy tysiące absolwentów, wielu z nich podjęło dalszą edukację. I z tego powodu w okolicy, i nie tylko słuźebniczki są bardzo dobrze znane. Kiedy przed południem w lokalnej telewizji pojawiły się informacje o tych tragicznych wydarzeniach, to ci, którzy byli blisko związani z siostrami, zaraz dzwoniли do nas albo przychodzili.

Ludzie bardzo to przeżywali. Zapewniali nas o modlitwie. To nie były tylko słowa, szczerze płakali. Tam jest zwyczaj składania kondolencji nie tylko na pogrzebie, więc gdy pojawiliśmy się w kościele na wieczornej mszy św., wszyscy podchodzili do nas, składali wyrazy współczucia, ściskali. Przychodzili też prawnicy i adwokaci, którzy oferowali swoją pomoc. Byłam tym przejęta.

W ubiegłym roku siostry słuźebniczki zabrały na ŚDM do Polski grupę młodzieży związaną z ich placówkami w Boliwii

i Peru. Wśród nich był 25-letni chłopak z Cochabamby. Siostra Savia po przylocie do Boliwii spotkała się z jego rodziną. Było to bardzo radosne spotkanie. Rodzice serdecznie dziękowali za możliwość wyjazdu i troskę o ich syna w Polsce.

Oni uważnie śledzili to, co działo się w Polsce podczas ŚDM. Mówiło się wtedy dużo o zamachach terrorystycznych, więc bali się o swoje dziecko. Codziennie modlili się, by chłopak szczęśliwie wrócił do domu.

W telewizji usłyszeli, że została zamordowana młoda siostra zakonna narodowości polskiej. Taka informacja jako pierwsza pojawiła się w lokalnym programie w Cochabambie 24 stycznia przed południem czasu boliwijskiego. Myśleli, że chodzi o którąś z nas, o s. Teresę albo o mnie.

Gdy dowiedzieli się, że chodzi o naszą wolontariuszkę, ból był jeszcze większy, bo pomyśleli, co by czuli, gdyby z Polski nie wrócił ich syn... Jako rodzice nie wyobrażali sobie bólu rodziców Helenki. Prosim, bym, gdy spotkam się z nimi, zapewniła ich, że cierpią tak samo, jakby to była ich córka...

Siostra wspomniała, że widziała dziewczyny krzątające się w ochronce. A później, kolejne spotkanie?

Widziałyśmy się jeszcze w środę przy kolacji. W czwartek z s. Bezymą pojechałyśmy na inne nasze misyjne placówki i wróciłyśmy dopiero w poniedziałek. Tamtego strasznego dnia...

Spotkałyśmy się na wieczornej mszy św. Ponieważ nie było nas kilka dni, to już pod kościołem zatrzymałyśmy się, by zapytać, jak upłynął im ten czas. Pytałam, co się działo w tym czasie w ochronce, co one tam zrobiły, jak się czują. Okazało się, że w niedzielę nasza siostra zawoziła żywność do ośrodka dla niepełnosprawnych dzieci i zabrała dziewczyny ze sobą. To była ich jedyna wycieczka poza nasz dom

zakonny i budynek ochronki. W niedzielę były na mszy św., odbywał się chrzest. Dziewczyny były ciekawe, jak te obrzędy wyglądają w Boliwii.

Pytałyśmy, jak się czują. Odczuwały już, tak jak i ja, jakieś małe problemy jelitowo-żołądkowe. Ale po zmianie sposobu żywienia, klimatu, wody, to raczej normalne. Powiedziałyśmy, że gdyby im nie przechodziło, żeby dały znać, będziemy jakoś zaradzać tej sytuacji.

Siostra Bejzyna pytała, czy czują się tutaj dobrze, bezpiecznie, czy nikt ich nie zaczepiał, nie zakłócał nocy; nasz dom i kościół znajdują się przy głównej ulicy w tej dzielnicy, ochronka jest nieco ukryta za domem i murem. Mówiły, że muszą doładować czy raczej uruchomić zakupione boliwijskie karty do telefonów, a we wtorek lub środę miały jechać z s. Bejzymą do La Paz załatwiać formalności związane z ich pobytem. Kończyła im się miesięczna wiza pobytowa i trzeba było z Konferencji Episkopatu Boliwii uzyskać zaświadczenie, że ich pobyt jest związany z posługą w ramach wolontariatu misyjnego i starać się o wizę na dalszy pobyt. Siostra Bejzyna czekała na potwierdzenie informacji, że wizyta została umówiona i że dziewczyny mogą jechać do stolicy. Zaufana osoba miała je oprowadzić – przez kilka dni miały zwiedzać przy tej okazji miasto. Żegnałyśmy się pod bramą ochronki, mówiły, że jest spokojnie, że nikt tu nie przychodzi, że nikogo nie spotkały. Nie zauważyły, żeby ktośkolwiek kręcił się wokół ochronki, żeby zaglądał czy inaczej niepokoił. Czują się bezpieczne. A my spokojne, że wszystko jest w porządku. Około godz. 20.00 rozeszłyśmy się. One do swoich pokoi w ochronce, my do domu zakonnego.

Helenkę poznała Siostra dopiero po jej śmierci...

Tak. Z opowieści Anity i rozmów z rodzicami Helenki. Podczas naszych krótkich spotkań wymieniliśmy nieco

informacji i dostrzegłam te cechy, które już wymieniałam. Wiedziałam, z jakiego rejonu dziewczyny pochodzą, gdzie pracują, czym się zajmują rodzice, ile mają rodzeństwa, trochę o ich wolontariacie i jak wyglądało ich posłanie na misję do Boliwii. Wiedziałam też, jak minęła im podróż. Dziewczyny dobrze czuły się w tamtej wspólnotce zakonnej, siostry dobrze się nimi zaopiekowały. Gdy ojcowie redemptoryści przyjeżdżali odprawiać msze św. w naszej zakonnej kaplicy, ksiądz proboszcz był chyba na urlopie i nie było mszy św. w kościele, Helena i Anita modliły się razem z siostrami.

Po tym trudnym wydarzeniu, gdy zaczęłyśmy rozmawiać z Anitą, dowiedziałam się, że Helenka miała chłopaka. Również mama Helenki, już w pierwszej rozmowie telefonicznej ze mną, jeszcze z Cochabamby, mówiła mi z ogromnym bólem, że Helenka z Michałem zaplanowali zaręczyny po powrocie Helenki z Boliwii. Słuchając relacji Anity o tym, że Helenka dzieliła czas na pracę w liniach lotniczych i posługę w innych rozlicznych dziełach, w które była zaangażowana, przysłała mi myśl, że może nawet wcześniej się spotkałyśmy, bo zdarzało mi się latać Wizz Airem z Katowic. Usłyszałam, że ma drugą mamę, że jej pierwsza mama nie żyje, że ma starszą siostrę, która jest muzycznie uzdolniona i pracuje w Lublinie. Przyznam szczerze, że nie wiedziałam, że Helenka pięknie gra i śpiewa – wtedy nie było jeszcze takiego momentu, w którym ona mogłaby te talenty ujawnić wobec nas. Do malowania kwiatów zachęciła Helenkę s. Teresa, a Helenka nigdy nie odmawiała. Nawet jeśli czegoś nigdy nie robiła czy wręcz wydawało jej się, że czegoś nie potrafi, to jednak chętnie podejmowała się wyzwania. Dowiedziałamy się, że była bardzo utalentowana, że wszędzie ją chciano i wszędzie świetnie się spisywała w wielorakich działaniach.

Anita pokazała nam też fanpage na Facebooku, który prowadziły o swoim misyjnym wyjeździe. Wiedziałyśmy, że za jego pośrednictwem kontaktują się z innymi wolontariuszami, pokazują, czym żyją, co udało im się już zrobić. Wiedziałam także o ewangelizacji, podczas której Helenka śpiewała na dworcu PKP we Wrocławiu. Byłam zdumiona, taka delikatna, cicha, a tak potężnie brzmiał jej głos.

Anita opowiadała też o innych wspólnych wyjazdach, m.in. o pielgrzymce do Ziemi Świętej, którą odbyły rok wcześniej.

Jednak pierwsze słowa, które powiedziała Anita tego dnia w rozmowie z nami, to te, że Helenka mówiła, że pięknie jest oddać życie na służbę Panu Bogu. Te słowa przytaczali też inni wolontariusze w swoich świadectwach w Polsce. Później błędnie te słowa Helenki interpretowano, jakoby już wtedy pragnęła umrzeć i narażała swoje życie na niebezpieczeństwo, wyjeżdżając do Boliwii. Rodzice, kiedy się z nimi spotkałam, podkreślali, że Helenka kochała swoje życie, planowała założenie rodziny i na pewno nie miała na myśli w tym momencie dosłownego oddania życia. Bardziej chodziło o służenie Chrystusowi w wolontariacie poprzez pomaganie potrzebującym, oddanie się Chrystusowi poprzez służbę bliźnim.

Później, po przyjeździe do Polski, poznawałam ją ze świadectw składanych przez jej młodych przyjaciół i duszpasterzy oraz podczas spotkań z rodzicami w jej rodzinnym domu.

W tamtym czasie weszłam tylko raz na stronę salwatorianów, by przeczytać ich oświadczenie. My starałyśmy się o tym wydarzeniu mówić jak najmniej – po pierwsze, było to dla nas bardzo trudne, a po drugie, wzbudzało wielką sensację i wielość komentarzy. Pojawiały się informacje nieprawdziwe, niesprawdzone, oparte na domniemaniach,

często krzywdzące i zniekształcające fakty. Wiedziałyśmy, że dla dobra śledztwa lepiej mówić mniej, żeby nasze informacje nie były w żaden sposób przekręcane i nie powodowały niepotrzebnego zamieszania.

To Siostra wróciła do Polski z Anitą?

Trzy dni po tych wydarzeniach, 27 stycznia dowiedziałam się, że moja mamusia miała udar i w ciężkim stanie leży w szpitalu, na drugi dzień doznała wylewu krwi do mózgu, a za tydzień przeszła zawał serca. Rodzeństwo w rozmowach telefonicznych sugerowało, żebym rozważyła powrót do Polski. W tym samym czasie poszukiwałyśmy też możliwości powrotu dla Anity. Pytałyśmy znajomych misjonarzy – czy któryś z nich nie wybiera się np. na urlop do Polski albo czy ktoś zaufany i bliski nie będzie w najbliższym czasie tam leciał. Ostatecznie jedna z siostr misjonek, która miała kończyć swoją posługę na misjach w tym roku, przyśpieszyła swój wylot do Polski i zgodziła się na towarzyszenie Anicie. Wiedziałyśmy, że Anita nie może wracać sama. Szczególnie noce były dla niej trudne. Zresztą i w nas nocami wzrastał wewnętrzny lęk. Wszystkie przeżywałyśmy to w sposób podobny, a ona szczególnie. Noce były najtrudniejsze...

Ustaliłyśmy z prokuraturą i policją, że szybko dokonają niezbędnych czynności i przesłuchań, bo ona bezwzględnie musi wracać do Polski, do domu. Znalezienie w tym czasie biletów lotniczych do Europy nie było takie proste. Trwały wakacje i wielu Boliwijczyków latało do Hiszpanii, gdzie mają swoje rodziny.

Ze względu na bardzo ciężki stan zdrowia mojej mamy zdecydowałam się wracać do Polski i wraz z moją współsiostrą towarzyszyłam Anicie. Nie mogłam też dokończyć odwiedzania misyjnych placówek, bo s. Bejzyna musiała przebywać w Cochabambie, by załatwiać wszystkie formal-

ności. Wiadomo było, że ochronka jest zaplombowana i nie zostanie otwarta w planowanym terminie. Wyleciałyśmy 5 lutego. Następnego dnia byłyśmy w Polsce. Oprócz rodziców Anity i naszej matki generalnej nikt inny nie znał dokładnej daty i godziny przylotu. Termin przylotu znał jeszcze ks. Mirek, ale nie podawałyśmy dokładnych godzin, żeby nie narażać go na medialne naciski, by ujawnił, kiedy Anita wróci do Polski. Poprzez media to tragiczne wydarzenie nabrało wielkiego rozgłosu w całym świecie. Wizerunki sióstr i dziewczyn pojawiły się w boliwijskiej telewizji, a później także w innych mediach. Stałyśmy się rozpoznawalne. Bałyśmy się w samej Cochabambie, a później także w Madrycie, gdzie miałyśmy przesiadkę, czy w Warszawie, żeby dziennikarze, dowiedziawszy się, że Anita leci do Polski, nie nastawiały na nią. Choć i tak informacja ta w przeddzień wieczorem przedostała się do lokalnej telewizji.

Kto Was odebrał z lotniska?

Byli rodzice Anity i jej brat oraz Magda Kaczor z WMS-u. Radość rodziców mieszała się ze łzami. Dziękowali Bogu, że mimo że ich córka przeżyła ogromny strach, to ją mają przy sobie. Wiedzieli, jaki ból muszą przeżywać rodzice Helenki. A po nas, mnie i moją współsiostrę misjonarkę, przyjechała samochodem z Dębicy siostra wydelegowana przez matkę generalną.

Kiedy spotkała się Siostra z rodzicami Helenki?

Pierwszy raz na pogrzebie, a jakiś czas później (2 kwietnia) odwiedziłam ich w domu rodzinnym Helenki. Wcześniej mieliśmy kontakt telefoniczny, już z Polski. Umówiłam się, że przyjadę do nich, ale dopiero po jakimś czasie, po pogrzebie, by mogli spokojnie przeżyć pierwszą fazę żałoby, a także byśmy mieli dużo czasu na rozmowę.

Rodzice pytali o wydarzenia w Boliwii?

Tak, ale wcześniej odwiedziła ich Anita, więc ja przedstawiłam tylko swoją perspektywę. Zawsze zapewniali nas o modlitwie i swojej bliskości. Czułyśmy, że są to ludzie ogromnej wiary, bo ani nam, ani Panu Bogu nie robili wyrzutów. Mówili, że gdyby nie wiara, byłoby im o wiele trudniej. Straciliby sens życia po tej tragedii, w której stracili umiłowaną córkę. Ponieważ są ludźmi wierzącymi, wiedzieli, że Pan Bóg potrafi obrócić to na dobro, które jest dla nas jeszcze tajemnicą. Zostawili to Jemu. Z naszej strony była ofiarowana ogromna modlitwa i za nich, i za Michała, jako najbliższe osoby Helence. Opowiedziałam im o tym, o co pytali, o czym więcej chcieli się dowiedzieć ode mnie jako od przedstawicielki zgromadzenia, które przyjęło wolontariuszki, które prowadzi tam swoją misję, od osoby, która była tam w czasie tej tragedii i bezpośrednio po niej.

Siostra w czasie uroczystości pogrzebowych powiedziała duże słowo: „Przepraszam”.

Te słowa padły w kontekście tego, co wydarzyło się w Boliwii. Tamtejsi mieszkańcy, a nawet policjanci prowadzący śledztwo przychodzili do nas i składali nam kondolencje. Im było ogromnie przykro jako katolikom, którzy rozumieli misję Helenki, że coś tak tragicznego stało się na ich ziemi, że zrobił to Boliwijczyk. Oni wtedy mówili do nas: „Przepraszamy; nie wiemy, dlaczego to się stało, ale was za to przepraszamy”. Czułam, że muszę to słowo, od ludzi stamtąd, przywieźć rodzicom Helenki.

Wydarzenia w Boliwii na zawsze połączyły zgromadzenie zakonne – służebniczek dębickich ze śmiercią Helenki. Co Siostry myślą o tym z perspektywy czasu?

Tak, to bolesne wydarzenie połączyło nas na zawsze. Patrząc z perspektywy zgromadzenia, miejsce zdarzenia bę-

dzie wciąż nam o tym przypominało. Na pewno będzie to w jakiś sposób upamiętnione. Mam głębokie przekonanie, że niewinnie przelana krew Helenki i ten ogrom bólu, który przeżyliśmy, wyda bogate owoce w Boliwii i tutaj w Polsce, w moim zgromadzeniu, że będzie nowym zasiewem misyjnych powołań, a także lokalnych.

Myślę, że powoli Pan Bóg będzie nam odsłaniał głęboki duchowy sens tego wydarzenia, o co od samego początku się modłę.

Moja rodzina zakonna i rodzina Helenki, a także szerokie grono jej przyjaciół, znajomych, staliśmy się jedną wielką rodziną, najpierw pogrążoną w żałobie po stracie Helenki, później złączoną w uwielbieniu Boga za dar Helenki i piękno jej życia zjednoczonego w młodym wieku tak mocno z Chrystusem. To wielki dar i wzór dla nas i dla młodzieży.

Ogromnym zaskoczeniem dla mnie była duża liczba ludzi młodych zaangażowanych w Wolontariat Misyjny Salwator z Dębicy i okolic. Poznałam ich podczas ŚDM w naszym rejonie, ale nie wiedziałam o ich zaangażowaniu misyjnym. Po śmierci Helenki zainicjowali modlitewne czuwanie 24 lutego w Dębicy, w którym wzięli udział także Anita, Michał, Magdalena Kaczor i kilka osób z Trzebini wraz z opiekunem ks. Markiem Gadomskim. Wspaniała grupa, która nie zniechęciła się po tej tragedii, lecz umocniła swoje powołanie do służby bliźnim, do ewangelizacji w innych krajach.

Czy zaproszą Siostry jeszcze kiedyś do Cochabamby wolontariuszy misyjnych?

Zaproszenie jest wciąż otwarte, aktualne. Myślę jednak, że jeszcze trochę czasu musi upłynąć, zanim do Cochabamby przyjadą wolontariusze. Ta tragedia zachwiała w nas głębokie przekonanie o naszym bezpieczeństwie, którego

nikt do tej pory niczym nie naruszył. Wciąż nie znamy prawdziwych motywów tego czynu, co nadal wzbudza lęk o bezpieczeństwo wolontariuszy. Została przekroczona jakaś granica naszej przestrzeni zakonnej w kompleksie budynków, które od 31 lat służyły tamtejszej społeczności, i odbudowa tego zaufania wymaga czasu. Siostry również potrzebują czasu, by wyciszyły się emocje, by lęk został pokonany mocą wiary w Bożą opatrzność, w zwycięstwo Jezusa nad wszelkim złem, który i to miejsce sprofanowane złym czynem potrafi zamienić w miejsce błogosławione.

Czy ewentualny proces beatyfikacyjny mógłby w tym pomóc? Co Siostra myśli o tym, że Helenka może zostać błogosławioną?

Myszę, że może zostać błogosławioną. Jej życie głęboko zjednoczone z Jezusem, oddane Jezusowi i służbie bliźniemu za tym przemawia. Jednak pozostawiam to Bożej opatrzności i mądrości Kościoła, który każe czekać przynajmniej pięć lat do rozpoczęcia procesu. Ten czas jest potrzebny, by opadły emocje, oczyściły się zniekształcone, nadinterpretowane, naznaczone sensacyjnością informacje, by rozwinął się oddolnie kult, byśmy dostąpili łask wyproszonych przez jej wstawiennictwo. Jestem przekonana o jej świętości, że jest zbawiona. Mogę wzywać jej wstawiennictwa i tak czynię, wierząc w świętych obcowanie. Ogłoszenie jej przez Kościół błogosławioną, po przeprowadzeniu wszystkich procedur przewidzianych prawem, będzie urzędowym potwierdzeniem jej świętości, którą już dostrzegamy, i zezwoleniem na publiczny kult.

Dębica, kwiecień 2017

SPIS TREŚCI

| | |
|---|-----|
| WSTĘP | 5 |
| OD AUTORÓW | 9 |
| BARBARA I JAN KMIEĆ. RODZICE | |
| TAKA BYŁA HELENKA. Z FANTAZJĄ | 11 |
| TERESA KMIEĆ. SIOSTRA | |
| ZAWSZE JEJ KIBICOWAŁAM | 22 |
| BP JAN ZAJĄC. WUJEK | |
| MAM WRAŻENIE, ŻE ZARAZ MRUGNIE OKIEM | 48 |
| MICHAŁ SZUŚCIK | |
| BOLIWIA BYŁA W PAKIECIE Z HELENKĄ | 60 |
| ANNA I MICHAŁ TEMPIŃSCY | |
| NASZA CÓRECZKA JULIA HELENA | 86 |
| MAGDALENA I FRANCISZEK KRUPA | |
| ONA BYŁA PRZEZROCZYSTA | 105 |
| ALDONA I RAFAŁ PODŻORSKY | |
| LUTYCKA. ŻYŁYŚMY W OGARNIĘTYM CHAOSIE | 122 |
| JOANNA I KAMIL BŁYSZCZAKOWIE | |
| PODESZŁA DO MNIE I DAŁA MI KOMPAS | 138 |
| PAWEŁ KUŚ | |
| WIDZIAŁA MOŻLIWOŚCI, A NIE PROBLEMY | 162 |
| MONIKA KOSTKA | |
| MOGŁABY ZOSTAĆ ŚWIĘTĄ OD CHCENIA | 176 |
| KS. WOJCIECH MICHALCZUK | |
| DZIEWCZYNA O KOLOROWYM SERCU | 186 |
| KATARZYNA KRAJCKER | |
| MIAŁA TO COŚ W GŁOSIE | 211 |

| | |
|--|-----|
| JOANNA WOJNOWSKA, PROFESOR OD MUZYKI | |
| WIELE SIĘ OD HELENY NAUCZYŁAM. | 220 |
| KS. JAKUB TRZÓPEK SDS | |
| TO BYŁA MISJA WIARY. | 233 |
| KAROLINA KUŚNIERZ | |
| MAM SAME JEJ ZDJĘCIA Z GŁUPIMI MINAMI. | 248 |
| DOROTA KLABACHA | |
| POWINNA BYĆ ŚWIĘTĄ OD SPRAW BEZNADZIEJNYCH. TAKICH JAK MOJA. | 262 |
| KS. PAWEŁ FIĄCEK SDS | |
| ONA DLA INNYCH BYŁA ZAWSZE NA STO PROCENT. ... | 277 |
| AGATA KRĘŻEL | |
| W ZAMBII PŁAKAŁYŚMY RAZEM. | 306 |
| MAGDALENA KACZOR | |
| ZROBIĘ WSZYSTKO, BY MISJA HELENY TRWAŁA. | 324 |
| KS. MIROSŁAW STANEK SDS | |
| CZY O TAKIE BŁOGOSŁAWIEŃSTWO CHODZIŁO? | 344 |
| KS. PIOTR FILAS SDS | |
| NASZA, SALWATORIAŃSKA. | 362 |
| ANITA SZUWALD | |
| OBIE OD POCZĄTKU MIAŁYŚMY W SERCU POKÓJ. ... | 377 |
| S. BEJZYMA JODŁOWSKA | |
| KRZYKIEM ZBUDZIŁAM SIOSTRY. | 403 |
| S. SAVIA BEZAK | |
| Z BOLIWII PRZYWIOZŁAM SŁOWO „PRZEPRASZAM”. ... | 412 |



1. Przedszkolaczek (archiwum rodzinne państwa Kmieć)



2. Uśmiech Helenki (archiwum rodzinne państwa Kmieć)



3. Czesanie przed Pierwszą Komunią św.
(archiwum rodzinne państwa Kmieć)



4. Ktoś mnie wołał... (archiwum rodzinne państwa Kmieć)



5. Początki nauki gry na gitarze (archiwum rodzinne państwa Kmieć)



6. Wyjazd do szkoły St. Antony's Leweston w Sherborne w Anglii (archiwum rodzinne państwa Kmieć)



7. Wyjazd z przyjaciółmi z Duszpasterstwa Akademickiego w Gliwicach do Taize we Francji. W oczekiwaniu na kolację (sierpień 2010 r., archiwum Joanny i Kamila Błyszczaków)



8. Pierwszy wyjazd misyjny z ramienia Wolontariatu Misyjnego Salvator do Galgahévíz na Węgrzech. Na zdjęciu wśród dzieci m.in. Magdalena Kaczor (sierpień 2012 r., archiwum Magdaleny Kaczor)



9. Zadaniem wolontariuszy była m.in. organizacja półkolonii dla dzieci i młodzieży (sierpień 2012 r., archiwum Magdaleny Kaczor)



10. Beskid Wyspowy – Mogielica. Wyjazd z wolontariuszami Wolontariatu Misyjnego Salvator (czerwiec 2013 r., fot. Małgorzata Koziołek)



11. Drugi wyjazd misyjny z ramienia Wolontariatu Misyjnego Salvator do organizacji Action for Children w Zambii zajmującej się pomocą dzieciom ulicy (lipiec – wrzesień 2013 r., fot. Dorota Olędzka)



12. Wspólnie z drugą wolontariuszką Agatą Krężel (na dole po lewej stronie) pomagały w ośrodku Salvation Home w Lusace oraz w buszu na Kulanga Bana Farm (lipiec – wrzesień 2013 r., archiwum Agaty Krężel)



13. Helena w nowej afrykańskiej fryzurze
(lipiec – wrzesień 2013 r., fot. Dorota Olędzka)



14. Wyjazd z przyjaciółmi do Zakopanego. Radość Heleny
po zdobyciu Giewontu (2014 r., archiwum Katolickiego Związku
Akademickiego w Gliwicach)



15. Z duszpasterzem akademickim ks. Wojciechem Michalcukiem i przyjaciółką Aldoną Podzorską w kościele pw. św. Alberta Wielkiego w Gliwicach (marzec 2014 r., fot. Wojciech Baran)



16. Odwiedziny u siostry Teresy w Ružomberok, w drodze na rozmowę kwalifikacyjną w Budapeszcie dotyczącą zatrudnienia w liniach lotniczych Wizz Air (2014 r., fot. Piotr Kowalski)



17. Recital dyplomowy Heleny, która uczyła się w klasie śpiewu mgr Joanny Wojnowskiej. Sala koncertowa Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Ludomira Różyckiego w Gliwicach (22 września 2014 r., fot. Arkadiusz Tumidajski)



18. Świętowanie z przyjaciółmi w mieszkaniu przy ul. Lutyckiej w Gliwicach po obronie dyplomu w szkole muzycznej (22 września 2014 r., fot. Arkadiusz Tumidajski)



19. Jedno ze zdjęć do legitymacji pracowniczej w Wizz Air
(grudzień 2014 r., fot. Monika Kostka)



20. Helenka w pracy – za chwilę lot
(archiwum rodzinne państwa Kmieć)



21. Dwudzieste piąte urodziny Heleny spędzone wspólnie z przyjaciółmi w domu rodzinnym w Libiążu (od lewej: Anna i Michał Tempińscy, Joanna i Kamil Błyszczakowie, luty 2016 r., archiwum Anny i Michała Tempińskich)



22. Triduum Paschalne w Ziemi Świętej – „Pielgrzymka Życia” (marzec 2016 r., archiwum Anny i Michała Tempińskich)



23. Spotkanie ogólnopolskie Wolontariatu Misyjnego Salvator w Krakowie
(luty 2016 r., archiwum Wolontariatu Misyjnego Salvator)



24. Spotkanie ogólnopolskie Wolontariatu Misyjnego Salvator
w Zakrzowie. Z Anitą Szuwald
(maj 2016 r., archiwum Wolontariatu Misyjnego Salvator)



25. Spotkanie ogólnopolskie Wolontariatu Misyjnego Salvator w Zakrzowie (maj 2016 r., archiwum Wolontariatu Misyjnego Salvator)



26. Wakacyjny wyjazd z przyjaciółmi do Chorwacji (2016 r., archiwum Aldony i Rafała Podźorskich)



27. II Konkurs Chóralny MUSICA VERA w Toruniu. Podczas próby przed przesłuchaniem (październik 2016 r., archiwum Scholi Duszpasterstwa Akademickiego Albertinum w Gliwicach)



28. Wejście na Rysy (2016 r., archiwum rodzinne państwa Kmiec)



29. Msza Święta wraz z posłaniem na misje Heleny i Anity w sanktuarium MB Fatimskiej w Trzebini (6 stycznia 2017 r., archiwum Aldony i Rafała Podzorskich)



30. Jedno z ostatnich zdjęć Heleny, zrobione w ochronce dla dzieci prowadzonej przez siostry służebniczki dębickie w Cochabambie w Boliwii (styczeń 2017 r., archiwum rodzinne państwa Kmiec)



*Fundacja
im. Heleny Kmieć*

Misją fundacji jest wszechstronne wspieranie placówek misyjnych w krajach misyjnych w opiece nad dziećmi i młodzieżą, które zmagają się z wieloma problemami, takimi jak: bieda, bezdomność, choroby czy brak edukacji, i które – co najważniejsze – cierpią ogromne ubóstwo miłości i pięknych relacji z drugim człowiekiem.

Fundacja została powołana, aby jednoczyć ludzi gotowych nieść pomoc potrzebującym na wszystkie możliwe sposoby i – tak jak czyniła to śp. Helena Kmieć – dawać im nadzieję na lepsze jutro.

Obecnie Fundacja prowadzi wiele inicjatyw, takich jak:

- tworzenie interaktywnej bazy zdjęć, filmów i utworów Helenki;
- współpraca i patronaty przy publikacjach książkowych o Helence;
- tworzenie zaplecza informacyjnego związanego ze spotkaniami, czuwaniem i Mszami Świętymi w intencji Helenki;
- prowadzenie programu stypendialnego dla najbardziej potrzebujących dzieci i szkół w Boliwii, Zambii i na Filipinach.

Więcej o Helence i Fundacji na stronie www.helenakmiec.pl

Fundacja im. Heleny Kmieć

ul. B. Głowackiego 3

32-540 Trzebinia

fundacja@helenakmiec.pl

Bycie misjonarzem to coś więcej niż sam wyjazd na misję. To sposób postrzegania ludzi i świata, to postawa otwartości na potrzeby drugiego człowieka, to serce ciągle myślące: co jeszcze mogę zrobić dla innych? Życie jest tak krótkie, że naprawdę szkoda go marnować na sprawy nieistotne – tę zasadę przyjęła Helenka. Była gwiazdką, która prowadziła innych ku dobru, pokazując, że miłość istnieje nawet w tak okrutnym świecie. Życie jest piękne!

Dariusz „Maleo” Malejonek, muzyk

To wydarzenie wstrząsnęło całą Polską. Za każdym razem, gdy słyszałam jej imię, czułam, że stoimy w obliczu wielkiej tajemnicy, do której nigdy nie uda nam się zbliżyć. Dzięki tym przejmującym wspomnieniom najbliższych Helenki nagle staje się ona bliska jak przyjaciółka i obecna tu i teraz. Poczucie niezrozumienia zamienia się w pokój i wdzięczność. Ta książka jest jak podróż do bram nieba i spotkanie twarzą w twarz z samą Helenką.

Katarzyna Olubińska, dziennikarka TVN,
autorka bloga i książki *Bóg w wielkim mieście*

PATRONAT:



WOLONTARIAT
MISYJNY
SALVATOR



Towarzystwo
Boskiego
Zbawiciela
Salvatorianie

www.salwatorianie.pl



WYDAWNICTWO SALVATOR

ISBN 978-83-7580-593-2



9 788375 805932
www.salwator.com